

Philip

Kerr

PRZEWROTNY

PLAN

Z angielskiego przełożył

Wiesław Marcysiak

dla... PIENIĘDZY, OCZYWIŚCIE...

Codziennie rano Eve sporządzała menu, a potem udawała się do pobliskiej drukarni, aby dać do wydrukowania ostateczną wersję na grubym, szarym, niemal przezroczystym papierze, który wyglądał, jakby go zwędzono z biura architekta. Kiedy drukarze tym się zajmowali, nie miała nic szczególnego do roboty, szła więc na drugą stronę ulicy do kawiarni, by napić się kawy z ekspresu i przejrzeć „New York Daily News”. To była jedyna prawdziwa chwila odpoczynku w ciągu dnia. Lecz tego akurat dnia zaczynała detoks, a to oznaczało zero kawy przez następne siedemdziesiąt dwie godziny. Na dodatek skaner w drukarni był w przeglądzie, więc pan Jamal, właściciel zakładu, zaproponował, że dostarczy kopie menu osobiście, gdy tylko zostaną wykonane. Poza tym z jakiegoś powodu „Daily News” nie przywieziono tego dnia. Wszystko to przyczyniło się do faktu, że Eve nie było w restauracji tylko przez dziesięć minut zamiast godziny, jak zazwyczaj. Nie martwiła się specjalnie z tego powodu. Musiała uśmiercić kilka krabów i wołała zrobić to delikatnie, zanurzając je w zimnej, świeżej wodzie, zamiast gotować je żywcem, jak czyniło wielu kucharzy. Zabijanie ich w ten sposób trwało dłużej, ale Eve nie mogła znieść myśli, że jakiegokolwiek stworzenie będzie cierpieć z jej powodu. W ogóle nie gotowałyby krabów, tylko że Brad, jej mąż, nalegał, dowodząc nie bez powodu, że nowojorska restauracja bez krabów latem wkrótce wypadnie z interesu. Eve zawsze popadała w zadumę, kiedy miała wykonać to konkretne zadanie. Zapewne z tego powodu pomyślała, że nikt w restauracji nie usłyszał, jak wróciła. Nie dostrzegła ani Brada, ani Lorraine, kelnerki, która odkurzała dywany po poprzedniej nocy, nakrywała stoły i czasami robiła rezerwacje. Wyglądało na to, że tych dwoje gdzieś się wykradło.

Starła się o tym nie myśleć i poszła prosto do kuchni, gdzie skrzynka z żywymi krabami ciągle stała na podłodze. Skorupiaki błagalnie wyciągały szczypce spomiędzy drewnianych listew i jak zawsze przypominały jej o holokauście i o wypełnionych Żydami bydłowych wagonach, które z łoskotem ściągały z całej Europy do obozów śmierci. Stała się kuchennym Eichmannem. Perspektywa uśmiercenia trzech tuzinów krabów, nawet w tak łagodny sposób, irytowała ją i przygnębiała. To wszystko była wina Brada. Dlaczego on ich nie zabija? Oczywiście znała odpowiedź. Brad obojętnie podszedłby do zabijania krabów, tak samo jak do ich cierpienia. Po prostu wrzuciłby je do wrzącej wody i śmiałyby się pogardliwie i drwiąco, gdy ona z przerażeniem wykrzywiłaby twarz i zakryła oczy. Takiego spektaklu Eve nie mogła znieść spokojnie.

- Chcesz je zabijać humanitarnie, to sama musisz to robić! - wrzeszczał. - Ja nie mam czasu, żeby odgrywać doktora Jacka Kervorkiana przed bandą jakichś tam skorupiaków. Prowadzę tu restaurację, nie wszawy szpital dla zwierząt.

Eve włożyła fartuch i napełniła największy rondel zimną wodą. Potem zeszła do piwnicy po łom do otwarcia klatki, gdyż tam przeważnie zostawiał go Brad, który zajmował się winami.

Męża poznała, kiedy byli w Zatoce. Dowódca czołgu służący w dywizji generała Barry'ego McCaffreya, major DeLillo, planował wycofanie się z wojska i przejęcie włoskiej restauracji po starym ojcu. Lecz wpieryw potrzebna mu była żona i tu pojawiła się Eve, wówczas kapitan. Pobrali się, wystąpili z wojska i za siedemnaście tysięcy dolarów poszli na studia kulinarne w McIntosh College w Dover, w stanie New Hampshire, a potem przez blisko cztery lata pracowali w restauracji, zanim ją przejęli w roku 1995, kiedy zmarł ojciec Brada. Przez blisko cztery lata sprawy układały się dobrze. Gdy Brad witał gości, podawał wino, doprawiał makarony i ubijał zabaglione tak jak nauczył go ojciec, Eve czyniła cuda w kuchni. Wspaniale nauczyła się gotować; w „New York Magazine” napisano, że jej grillowany żółw jest „najlepszy na Manhattanie”, natomiast carpaccio z łososia to „przejrzysty cud”.

Eve zdała sobie po jakimś czasie sprawę, że jej mąż jest kobieciarzem. Nie potrafił oprzeć się widokowi pośladków kelnerki idealnie opiętych czarną mini, tak jak nie umiał przestać robić swoich głupich sztuczek magicznych czy trzymać z dala paluchów od *torta di nocciole*. Eve starała się ignorować jego flirty, tak samo jak mogła ignorować dobrego kelnera częstującego się drinkami, i próbowała podejść do problemu praktycznie, zatrudniając kelnerki, których sama nie uważała za interesujące. Lecz w życiu tak się niefortunnie składa, że w kwestii atrakcyjności seksualnej nie sposób przewidzieć czyjejś opinii. Większość żon uważa, że ich mężowie nie spojrzeliby na pierwszą lepszą. „Nikt na świecie - zauważył H.L. Menecken - nie stracił pieniędzy wskutek niedoceniań inteligencji prostych ludzi”. Ani przewidywania, jakie kobiety lubią faceci - mogłaby dodać Eve Merlini.

Usłyszała dobiegający z piwnicy głośny jęk i przez chwilę myślała, że Brad musiał się skaleczyć. Ruszyła szybko w stronę drzwi piwnicy i serce podeszło jej do gardła, gdy zdała sobie sprawę, że to, co często przewidywała, w końcu się spełniło. Na pewno spadł na niego chwiejny stos skrzynek z winem, który kazała mu zlikwidować. Już położyła rękę na klamce, gdy usłyszała kolejny, głośniejszy jęk, tym razem kobiety.

Nie wyrażał bólu, lecz coś zdecydowanie odmiennego. Po cichu uchyliła drzwi i przez wąską szparę zajrzała do środka.

Lorraine klęczała na skrzyni *brunello di montalcino*, rocznik 1990, które było najprawdopodobniej najlepszym winem w ich karcie, Lorraine była o kilka centymetrów wyższa od Brada. Nosila okulary i przesadny makijaż. W opinii Eve Lorraine miała za duży nos, a także tyłek, którego sporą część teraz Eve oglądała. Brad, stojąc za nią ze spodniami w okolicach kostek i chrząkając, jakby zjadł za dużo gnocclii, dawał jej klapsy w siedzenie, jakby poganiał swego ulubionego konia. Eve doszła do wniosku, że jeśli on poleciał na dziewczynę z takim tyłkiem, to jej starania, aby zachować formę i dobry wygląd dla męża, są absurdalne. Jednak nie to było dla niej najbardziej przykre. Ani nie bliska ekstazy mina jej przystojnego męża. Najwyraźniej Brad czerpał z tego przyjemność. Lecz było coś jeszcze. Eve najboleśniej odebrała to, że przy każdym rytmicznym pchnięciu w kremowo-białą pupę Lorraine Brad powtarzał niczym mantrę:

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię, kocham...

Eve ze łzami w oczach zamknęła bezgłośnie drzwi i wróciła na górę do restauracji, gdzie przez kilkanaście minut gorzko płakała. Nie chciała, aby zastali ją w takim stanie, więc osuszyła oczy, wydmuchała nos, nalala sobie szklanek grappy, którą przelknęła szybko, a potem poszła do łazienki poprawić makijaż.

Z lustra spoglądała na nią wysoka, przystojna kobieta po trzydziestce o burzy kasztanowych włosów. Na grzbiecie nosa miała lekki guz - wynik sparingu karate - ale wcale jej nie szpecił; większość ludzi uważała, że dzięki niemu jest bardziej seksowna. Błękitne, przepełnione łzami oczy wyglądały, jakby je posypano pieprzem kajeńskim; miała wysokie czoło, chociaż z powodu Brada pojawiły się na nim zmarszczki, skórę tak gładką jak lody pistacjowe i usta, trochę takie jak u Brada, szerokie i soczyste niczym plaster melona. Usłyszawszy kroki w kuchni, otworzyła drzwi i zobaczyła, że Brad klęczy przy krabach. Natomiast Lorraine zaczęła odkurzać dywany.

- Nie słyszałem, jak wróciłaś - powiedział, zerkając przez ramię. - A potem zwrócił się do krabów: - No chłopcy, czas na kąpiel. Tatuś ma was wykąpać czy mamusia?

- Ty gnoju.

Brad wstał i spojrział na nią. W Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku znajdował się obraz Bronzina, który nieustannie przypominał Eve Brada: portret młodego mężczyzny namalowany w roku 1550. Model Bronzina miał więcej włosów, prawdopodobnie, gdyż trudno było powiedzieć, co kryje się pod hiszpańską czapką.

Poza tym wyglądał jak nieco młodsza wersja Brada. Ta sama chłodna nonszalancja. Te same grube, zmysłowe wargi i mocny nos. Te same zgrabne dłonie - palce Brada nieustannie falowały jak morskie wodorosty, wyczarowywały monety z powietrza albo asy z kieszeni ludzi. Najwyraźniej to samo silne libido.

- Co jest? - zapytał z chłodnym uśmiechem. - Wyglądasz, jakbyś obierała cebulę.

- Teraz chcę obrać tylko twoją głupią gębę, zerwać z niej ten uśmiech - powiedziała i zaczęła płakać.

- Co ci jest?

- Myślisz, że jestem idiotką?

- Nie.

- Ty i ona.

- Co?

- Słyszałam cię, Brad. W piwnicy.

- Pewnie, byłem w piwnicy. Lorraine pomagała mi otworzyć parę skrzynek z winem.

- Otwierałeś coś jeszcze. Widziałam, jak wyciągałeś korek z jej butelki.

- Słyszałaś czy widziałaś? W końcu co?

- Jedno i drugie, ty kłamliwy szczurze. - Eve chwyciła go za rękę i powąchała mu palce. - Jeszcze ją wyczuwam.

Brad wyrwał jej rękę i powąchał sobie palce.

- To krab. - Wzruszył ramionami i wskazał skrzynkę na podłodze. - Wniosłem ją, zanim wyszłaś. To czujesz na moich palcach.

Lorraine, słysząc ich głosy, zajrzała do kuchni.

- Wszystko w porządku? - zapytała niewinnie.

Eve potrząsnęła głową. Kto by spodziewał się tego po dziewczynie takiej jak Lorraine. Nie należała do flirciarek.

W zasadzie miała w sobie trochę z melancholiczki. Co więcej, była katoliczką i chodziła na mszę kilka razy w tygodniu. Kto by pomyślał, że Brad uzna taką dziewczynę - miała dwadzieścia sześć lat - za atrakcyjną?

- Właśnie rozmawialiśmy o tobie, Lorraine - powiedziała Eve. - Brad uważa, że pachniesz jak krab. - Ruchem głowy wskazała poniżej obfitej talii Lorraine. - Wiesz. Tam na dole.

- Nie mieszaj jej do tego, Eve - rzucił Brad.

- Jak mam jej nie mieszać? Co, Lorraine, poruszyła się ziemia? A może tylko skrzynka z winem, na której klęczałaś?

Brad uniósł dłonie, jakby przyznając się do porażki.

- Dobra, słuchaj, przepraszam. Co się stało, to się nie odstanie. Dwoje ludzi... - Wzruszył ramionami. - Tak już czasami bywa, rozumiesz?

- Nie staraj się tego bagatelizować, Brad. Robisz to z nią od tygodni. A przed nią była ta albańska kelnerka, którą brałeś za Włoszkę. Ty durniu... A przed nią ta dzikuska z cyckami jak z plaży na Florydzie. - Widząc zaskoczenie na twarzy Lorraine, Eve się uśmiechnęła. - To prawda, skarbie, jesteś specjałem na dzisiaj.

- Kazałem ci nie mieszać jej do tego - wrzasnął Brad i wymierzył żonie niezdarny policzek.

Ale Eve była dla niego za szybka i za silna. Prawie automatycznie odpowiedziała szybkim, twardym ciosem w ramię, po którym Brad wylądował na skrzynce z krabami.

- Jezu - zachnął się. - Chyba złamałaś mi obojczyk.

- Wsadź go do śmieci razem z moim sercem.

- Ty cholerna suko - odezwała się Lorraine, która klękła obok Brada i próbowała zajrzeć mu pod koszulę.

Kilka krabów wycofało się ze zniszczonej skrzynki, a Eve, widząc odrazę Lorraine, podniosła największe zwierzę i podsunęła dziewczynie pod nos. Lorraine krzyknęła głośno.

- Co się stało, Lorraine? Lubisz szczury, a nie odpowiadają ci kraby?

Zbliżyła się do niej, trzymając przed sobą kraba jak zieloną ośmiopalczystą rękę. Lorraine znowu krzyknęła i wybiegła do restauracji, a Eve za nią.

W tym momencie pan Jamal zjawił się w drzwiach restauracji z menu na lunch. Na jego widok Lorraine zawołała:

- Niech pan zadzwoni na policję! Ona chce mnie zabić.

Eve zapędziła Lorraine za bar, szczując ją krabem, wpychając go jej w twarz i włosy. Przy każdym dotyku szczypców skorupiaka Lorraine darła się niczym ofiara inkwizycji. Jamal odłożył menu i uciekł.

- Lorraine, wcale nie chcę cię zabić. Taka kurwa jak ty nie zasłużyła na szybką śmierć. Nie, zabiorę cię do piwnicy i przywiążę, żeby kraby miały co jeść. Założę się, że już dawno nie jadły takiej świeżej suki jak ty.

Zdesperowana Lorraine próbowała przeskoczyć kontuar, ale Eve schwyciła ją i przygniotła do blatu, a następnie podsunęła jej kraba pod sam nos. Lorraine wpatrywała się w parę krabich oczu, poczuła zimny dotyk skorupiaka i krzyknęła przeciągle i głośno niczym bohaterka Hitchcockowskiej *Psychozy*.

Wtedy właśnie weszło dwóch policjantów. Natychmiast jeden z nich, rudzielec o bezczelnej twarzy i prawie niezauważalnym wąsie, wydobyl pistolet i wycelował w Eve.

- Proszę pani, wystarczy. Proszę odłożyć kraba.

Eve, ciągle z krabem w ręku, odstała od ofiary, która ze szlochom osunęła się na podłogę.

- Proszę odłożyć kraba - powtórzył policjant.

- Dobra, dobra. - Wzruszyła ramionami. - Nie jest naładowany - dodała z oschłym uśmiechem.

Położyła kraba na stole, a ten machając szczypcami na pożegnanie, natychmiast ruszył bokiem i wplątał się we włosy Lorraine, która znowu zaczęła wrzeszczeć.

- Wystarczy tego - powiedział gliniarz, chowając broń i wyciągając zza pasa kajdanki. - Jest pani aresztowana.

Chwycił Eve za włosy i jednocześnie próbował wykręcić jej rękę za plecy.

Eve zawsze dbała o formę. Chodziła na siłownię kilka razy w tygodniu. Biegała dookoła dzielnicy. Grała w tenisa. Jeździła na nartach w Vail. A od szkoły średniej trenowała aikido i karate. Nie uważała siebie za osobę gwałtowną, a postawianie czarnego pasa dawało Jej pewność siebie. Lecz przyłapanie Brada i Lorraine na pieprzeniu się na skrzynce *brunetto dt montaknno*, a teraz ten głupi glina, który ciągnął ją za włosy i wykręcał rękę jak pospolitemu kryminaliście, wystarczyło, aby po raz drugi tego dnia Eve straciła panowanie nad sobą. Rodzice Eve, podobnie jak Brada, mieli włoską krew. Jej rodzina pochodziła z Florencji, a jego z Mediolanu. Brad może miał ekstralibido, ale ona miała temperament.

- Zabieraj ode mnie te brudne łapy - warknęła i uderzyła policjanta mocno łokciem w żebra, łamiąc jedno.

Drugi glina złapał ją oburącz od tyłu w tali, więc z całej siły uderzyła obcasem w jego stopę, a potem złamała mu mały palec u ręki

Po tym wszystkim naląła sobie kolejną grappę, usiadła i czekała, aż policjanci dojdą do siebie na tyle, żeby wezwać wsparcie, a potem dała się aresztować.

Adwokat Eve, Ouinlan Whipp z Oueens, postarał się, aby sprawę rozpatrywał sąd okręgowy Manhattanu. Zarzucił dwóm policjantom, że podczas aresztowania nie przedstawili oskarżonej praw. Lecz jej sprawie niewiele to pomogło, bo Whippowi pękł wrzód i zabrano go do szpitala. Eve nie spodziewała się, że ława przysięgłych w ciągu godziny orzeknie werdykt „winna”.

W tych okolicznościach sędzia oskarżył Eve o zadanie obrażeń, w wyniku których Brad trafił do szpitala na jeden dzień i jedną noc, oraz wywołanie szoku nerwowego u Lorraine. Gorzej przedstawiała się sprawa napaści na dwóch policjantów. Eve trafiła do więzienia na pół roku.

Tymczasem Brad złożył pozew o rozwód, a dwaj policjanci domagali się odszkodowania, które Eve pokryła własną połową udziałów w „La Lanterna”. Historię nagłośniła lokalna telewizja i niektóre z gazet nowojorskich. W ten sposób dowiedział się o niej Bob Clarenco.

Okazało się, że Eve Merlini była właśnie tą osobą, której szukał.

1. Przygotowanie do weekendu

Eve spędziła trzy tygodnie w zakładzie poprawczo-wychowawczym o zaostrzonym rygorze Bedford Hills w okręgu Westchester. zanim przeniesiono ją do mniej surowego ośrodka w Beacon, około ośmiu kilometrów na północ od Akademii Wojskowej West Point, gdzie przed dwudziestu laty Brad był kadetem. Eve wstąpiła do Korpusu Szkoleniowego Oficerów Wojska podczas studiów na wydziale psychologii Uniwersytetu Columbia. Jej ojciec właśnie zmarł, a ona została praktycznie bez pieniędzy, którymi mogłaby opłacić czesne, toteż korpus wydał się jej jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Spodobało jej się wojsko, gdyż była wysportowana i lubiła mechanikę samochodową. W armii dosłużyła się stopnia kapitana w 24. Dywizji Piechoty Zmechanizowanej, którą wysłano w rejon Zatoki Perskiej w ramach operacji Pustynna Tarcza. Tam dowodziła czterema pojazdami taktycznymi hummvee i ze swoimi ludźmi spędziła prawie dziesięć tygodni za symboliczną „granicą” na pustyni, zanim jako jeden z pierwszych amerykańskich żołnierzy wkroczyła do Kuwejtu. Po Zatoce więzienie nie wydawało się takie złe.

Od czasu powrotu z Kuwejtu Eve myślała, że zna mężczyzn, i ciągle sobie wyrzucała, że pomyliła się w ocenie tego jednego.

Po czterech miesiącach zwolniono ją z Beacon. Zatrzymała się wtedy w mieszkaniu matki na Brooklynie; rano biegała po Prospect Park i parę razy odwiedziła Brooklyn Museum, swoją ulubioną galerię w Nowym Jorku, i cały czas myślała o tym, jak jej dotychczasowe życie legło w gruzach, ale robiła to bez smutku. Uznała, że podczas pobytu w Beacon wyplakała się za wszystkie czasy.

W pewien poniedziałkowy rano, mniej więcej tydzień po zwolnieniu z Beacon, dostała kopertę, tak białą i sztywną jak wykrochmalony kołnierzyk, a w niej zaproszenie na lunch w następny piątek do „Le Cirque” oraz pięć nowych banknotów studolarowych.

Jeżeli zadaniem tych pięciuset dolarów było wymuszenie na niej przyjścia, to nie były one konieczne; „Le Cirque” to jedna z najlepszych restauracji w Nowym Jorku, a Eve nigdy tam nie była, chociaż zawsze chciała. Zaproszenie na papeterii koloru kości słoniowej napisano odręcznie, elegancko i prawdopodobnie by je przyjęła, gdyby dołączono do niego tylko bilet na metro. Przez chwilę się zastanawiała, czy to zaproszenie nie pochodzi od jakiegoś dziennikarza - ostatnie doświadczenia nauczyły ją traktować dziennikarzy z tą samą instynktowną niechęcią, którą kiedyś rezerwowała dla urzędników nowojorskiej służby zdrowia - zanim odrzuciła tę myśl jako zbyt mało prawdopodobną; który dziennikarz mógłby sobie pozwolić na „Le Cirque”, a co dopiero na pięćset dolarów na dzień dobry. Tylko czego ten facet może od niej chcieć?

Zanim nadszedł wyznaczony dzień, Eve doszła do wniosku, że jakiś agent albo producent jest zainteresowany przeniesieniem jej życia na ekran. Na pewno nie chodziło o jakiś prawdziwy film, ale taki nieco gorszy, dla sieci kablowych. Powiedziała sobie, że to wszystko wydaje się bardzo mało prawdopodobne, ale co innego mogło wchodzić w grę.

Eve ubrała się starannie, wybierając prostą czarną sukienkę od Saksa na Piątej Alei i parę eleganckich butów od Tanino Crisciego, ostatni prezent urodzinowy od Brada. Na szczęście lepiej znalazł się na butach niż na kobietach. Do tego włożyła futro mamy, ponieważ na dworze było zimno i wzięła torebkę od Fine & Klein Kelly, którą kupiła na wyprzedaży w zeszłym roku. Odrzuciwszy myśl o taksówce, jako zbyt drogiej, poszła pieszo na Grand Amy Plaza - gdyby ktoś chciał ją napaść, uznała, że sobie poradzi - i złapała autobus pospieszny jadący na Sześćdziesiątą ulicę. Stamtąd

poszła Madison Avenue, cały czas zastanawiając się, czy powinna zaoszczędzić czy wydać te pięćset dolarów.

„Le Cirque” przy Sześćdziesiątej Piątej ulicy było, zdaniem Eve, miejscem, gdzie płacono się tyle samo za pałacowy wystrój i możliwość pochwalenia się, iż tam się jadło, co za jedzenie i wino. Eve udała się do damskiej toalety, aby przypudrować nos, a następnie powiedziała szefowi sali, że jest gościem pana Clarenca. Szef sali zaprowadził ją do stolika obok wielkiego marmurowego kominka, gdzie bezgłośnie płonęła kłoda wielkości pociągu, i wręczył jej imponujące menu.

Usiadła na krześle z wysokim oparciem, wyściełanym fioletowym zamszem i przyjrzała się kasetonowemu sufitom, ścianom, połączanym żyrandolom i portretom zdobiącym ściany. Doszła do wniosku, że wystrój wnętrza wywiera wrażenie. Z przyjemnością tu przyszła. Tak dobrze nie czuła się od chwili, gdy złamała mężowi obojczyk. Kelner przyniósł butelkę kruga rocznik '85 i napełnił połyskujący złoty kieliszek.

- Pozdrowienia od pana Clarenca - wyszeptał. - Spóźni się kilka minut.

Eve skinęła głową i popijając szampana, zaczęła się przyglądać innym gościom restauracji. Byli to głównie maklerzy z Wall Street i podstarzałe klientki renomowanych domów mody, wystrojone w eleganckie garsonki. Wtem przy stole zjawił się wysoki, przystojny mężczyzna pod pięćdziesiątkę, o jasnych włosach, delikatnie pachnący wodą kolońską. Przywitał się z kelnerem, jednocześnie wodząc wzrokiem po sali, a następnie uśmiechnął się do Eve, ukazując zęby białe jak obrus na stole i prawdopodobnie tak drogie jak zegarek, który nosił na śniadym przegubie. Miał mocny, pewny uścisk dłoni.

Brad, kiedy podawał kobiecie rękę, zawsze próbował wykonać jedną ze swych sztuczek iluzjonistycznych. Kobietom na ogół bardzo się to podobało.

- Dziękuję za przyjście - powiedział, odstawiając aktówkę, rozpinając błękitną marynarkę w prążki od Brioniego i poprawiając purpurowy krawat.

Eve uznała, że Clarenco wygląda na starszą i bardziej wypolerowaną wersję pewnego kinowego aktora, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Nie był dziennikarzem, to oczywiste, a na producenta filmowego czy dyrektora telewizji wyglądał zbyt konserwatywnie.

- Dziękuję za zaproszenie, panie Clarenco, chociaż nadal nie wiem, czemu zawdzięczam tę przyjemność.

- Proszę się nie głowić - odparł z błyskiem w oku - bo i tak się pani nie domyśli. Proszę delektować się szampanem. A tak na marginesie, jestem Bob. - Zerkając jednym okiem na kelnera, dodał: - Zdecydowałaś, co zjesz?

- Tak. Paszтет z gęsich wątróbek, filet z dorsza z żurawiną i duszoną polędwicę cielęcą.

- Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą, i cieszą się dobrym apetytem. Większość pań, z którymi spotykam się na lunchu... to przeważnie neurasteniczki cierpiące na bulimię... zamawiają dwie przystawki i szklankę niskokalorycznej wody. A propos, twoje zdjęcia nie oddają rzeczywistości. Spodziewałem się osoby mniej wyrafinowanej.

- Dziękuję - odrzekła skromnie, domyślając się, że czegokolwiek chciał, miało to jakiś związek z tym, co wydarzyło się w jej małżeństwie.

Clarence oddał kelnerowi menu.

- Poproszę to samo co pani - powiedział, jakby było mu to obojętne. - Ciekawiła mnie opinia innego szefa kuchni. Przychodzę tu, bo mam blisko z biura, nie dlatego, że jestem smakoszem.

- Cóż, nie ośmieliłabym nazwać siebie szefem kuchni. Kiedy słyszę to słowo, przychodzą mi na myśl mali mężczyźni w wysokich czapkach.

Clarence zaśmiał się z jej dowcipu.

- Wiem, o co ci chodzi. Nie uwierzysz, ilu kucharzy pozbyłem się przez te wszystkie lata.

Eve zastanawiała się, czy on jednak nie jest po prostu bogatym człowiekiem szukającym kucharza. Może planował otworzyć restaurację. To wydawało jej się najbardziej prawdopodobne.

- Kiedy jestem w Nowym Jorku, lubię jeść tutaj. Chyba przez lenistwo albo z braku wyobraźni. Znają mnie. To mi się podoba. Ale w „New York Magazine” przeczytałem o twojej restauracji. „La Lanterna”, prawda?

Eve wzruszyła ramionami.

- Musisz mieć dobrą pamięć. To było dość dawno temu.

Zjawił się kelner z kartą win. Clarence przyjrzał się jej bez większego entuzjazmu, zupełnie jakby oglądał księgi rachunkowe, i popatrzył na Eve.

- Znasz się na jedzeniu - powiedział, podając jej kartę win - zobaczmy, co wiesz o winach. Wybierz butelkę czerwonego i butelkę białego. Cokolwiek zechcesz.

- A co to? Jakiś egzamin?

- Jeżeli tak uważasz.

Eve, myśląc, że może Clarenco chce otworzyć restaurację, wzięła od niego menu oprawione w skórę i zaczęła studiować listę.

- Przy takich cenach to dziwne, że faceci napadają na banki, kiedy mogliby zostać restauratorami.

- Może gdybym określił kwotę, czułabyś się wygodniej. Tak? To lepszy pomysł. Dobrze, wybierz dwie butelki wina, białe i czerwone, w sumie nie więcej niż za tysiąc dolarów.

- Tysiąc dolarów?

Śmiejąc się teraz z jej zakłopotania, wyprostował podwójnie założone mankiety koszuli i wskazał kartę.

- Śmiało - zachęcił.

Eve zaczęła protestować: zaszokowała ją myśl o wydaniu tysiąca dolarów na dwie butelki wina. Lecz doszła do wniosku, że to próba, i wybrała butelkę chateau y'quem '85 za sześćset dolarów, które jej zdaniem dobrze pasowało do pasztetu z wątróbek, oraz butelkę sassicaia marchesi inci-sa '95 za czterysta dolarów - kiedyś próbowała rocznika '98 w „Barbetcie”, najstarszej włoskiej restauracji w Nowym Jorku i uznała to wino za całkiem dobre, doszła więc do wniosku, że rocznik '95 - a był to dobry rok dla toskańskich win - będzie wyjątkowy.

Ku jej zaskoczeniu Clarenco potwierdził wybór skinieniem głowy. Eve potrząsnęła głową i zasepiła się.

- Jakiś problem? - zapytał Clarenco.

- Żaden problem. Tylko teraz pójdę za tobą do toalety na wypadek, gdybyś próbował zostawić mnie z rachunkiem.

- Mówiłem już. Znają mnie tu. A propos, jakie było to czerwone?

- Sassicaia marchesi incisa della rochetta - odpowiedziała, starając się o najlepszy włoski akcent. - To wino z Toskanii. Jedno z najlepszych. Panie Clarenco, chciał pan rozmawiać ze mną o winie czy o czymś innym?

- Bob.

W zamyśleniu drapał się w brodę i Eve zauważyła, że ma lepszy manicure od niej; jego paznokcie wyglądały jak idealne kwadraciki masy perłowej.

- Dobrze, Bob. Ale czy moglibyśmy przejść do rzeczy? Nie lubię pozostawać w nieświadomości, trochę się denerwuję i wcale nie pomaga mi myśl, że właśnie zamówiłam wino za tysiąc dolarów.

- Przejść do rzeczy? - Clarenco skrzywił się i rozejrzał dookoła, jakby się spodziewając, że ktoś ich podsłuchuje. - Do diabła, nie. Chcę, żebyś była we właściwym nastroju, kiedy złożę propozycję biznesową. - Wzruszył ramionami, a jego garnitur od Brioniego wart cztery tysiące dolarów wydał jedwabisty szelest przy pocieraniu o angielską koszulę z czystej bawełny. - Zadałem sobie sporo trudu, aby zaaranżować to spotkanie, ale chyba za te pięćset dolarów, które ci przesłałem, możesz znieść moje kaprysy. - Uśmiechnął się. - Ale skoro wiem już wszystko o tobie, pozwolisz, że teraz opowiem o sobie.

Eve zmarszczyła brwi i zamierzała właśnie go zapytać, co dokładnie o niej wie, kiedy zjawił się kelner z y'quem, a że ona zamawiała wino, musiała je skosztować. Gdy przyniesiono potem pasztet z gęsich wątróbek, Clarenco zaczął mówić o sobie; było oczywiste, że to uwielbiał.

- Jestem właścicielem agencji ochrony - wyjaśnił z bostońskim akcentem. Naszym głównym zajęciem jest zapewnienie ochrony elektronicznej w handlu przez internet, bankowości on-line i tak dalej. Lecz zapewniamy także ochronę osobistą, obstawę, dozór elektroniczny, druty kolczaste, tego rodzaju rzeczy. Jak możesz się domyślać, internet stanowi największy udział w naszej firmie. Kiedyś to była też najbardziej dochodowa część, ale chyba nie muszę dodawać, że jak większość firm w tym sektorze mieliśmy wzloty i upadki.

Kilka lat temu byłem wart, osobiście, prawie miliard dolarów. Potem, wiosną dwutysięcznego roku, nadszedł krach na giełdzie technologicznej, a po nim katastrofa World Trade Center, jeżeli mogę tak to ująć, przez co zszedłem do zaledwie ułamka tej wartości. Po roku od tamtych wydarzeń rozwiódłem się z żoną - to też było kosztowne - i obecnie w zasadzie jestem bankrutem. Mój dom wystawiono na sprzedaż. Podobnie jak mieszkanie po drugiej stronie ulicy. Gdybym sprzedał wszystko, może byłbym wart piętnaście, dwadzieścia milionów dolarów. Czy mówię to, bo chcę, żebyś mnie żalowała? Nie. Mówię to, ponieważ uważam, że powinnaś zrozumieć moje motywy. Lecz wprawdzie musisz zrozumieć, kim jestem.

Przerwał, żeby delektować się smakiem słodkiego jak nektar y'quem.

- Masz rację - powiedział. - Rzeczywiście, znakomicie pasuje do pasztetu z wątróbek. Wspaniały wybór.

- Wątpię, czy poprawi się twoja sytuacja finansowa po wydaniu ponad tysiąca dolarów na lunch - skomentowała Eve.

- Możesz o tym zapomnieć? - Zaśmiał się. - Pozwól, że wyjaśnię ci pewną kwestię związaną z pieniędzmi. Nazywam to Zasadą Pizzy. Ile kosztuje pizza, kiedy zamawiasz ją na wynos? Dwanaście? Trzydzieści dolarów?

Skinęła głową nieco zdziwiona, że wie takie rzeczy. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić Boba Clarenca zamawiającego w Domino's.

- Załóżmy więc na moment, że roczne zarobki przeciętnego Amerykanina wynoszą około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Pizza za dwanaście dolarów to mniej więcej jedna dwutysięczna jego dochodu. Prezydent Stanów Zjednoczonych zarabia czterysta tysięcy dolarów na rok, a jedna dwutysięczna z tego wynosi dwieście dolarów. Do tej pory zarabiałem ponad pięć milionów dolarów na rok, z czego jedna dwutysięczna część wynosi około dwóch tysięcy pięciuset dolarów. Natomiast Errol Laerson, któremu niewiele brakuje do szczytu 400 magazynu „Forbes”, jest wart jakieś pięćdziesiąt miliardów dolarów, a do domu zabiera, jak by to ująć, pięćset milionów dolarów rocznie, z czego jedna dwutysięczna wynosi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Tak więc na koniec tego miłego lunchu, kiedy przyjmę rachunek, musisz jedynie powiedzieć sobie, że dla mnie była to tylko pizza.

- Postaram się zapamiętać - odparła.

- Kiedy Francis Scott Fitzgerald powiedział, że bogaci są inni - ciągnął Clarenco - miał rację, tylko źle to ujął. Nie chodzi o to, że są lepsi od innych ludzi, tylko o to, że zupełnie nie muszą się martwić finansami. Kupują to, na co mają ochotę. Errol Laerson nie musi zastanawiać się nad zakupem nowego ferrari dłużej niż przeciętny Amerykanin poświęca zamawianiu pizzy na wynos. To prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego Laerson ma tyle ferrari. Prawdę mówiąc, to ma ich chyba z tuzin. I tutaj bogaci tak naprawdę się różnią. Pod każdym innym względem są tacy jak przeciętni ludzie.

Clarenco, gładząc krawat niczym ulubionego kota, odchylił się na krześle, by kelner mógł zabrać puste talerze i przynieść następne danie, ale Eve zorientowała się, że jeszcze nie zakończył swego monologu.

- Tak, rzeczywiście sprawy zmieniły się od czasów Gatsby'ego - mówił. - W latach dwudziestych Gatsby był niezwykły i miał słabe strony, ponieważ zarabiał pieniądze, inaczej niż Tom i Daisy Buchananowie, którzy tylko je odziedziczyli. Ale w dzisiejszych czasach każdy może poradzić sobie z bogactwem. Spójrzmy na ciebie. Mogłabyś z powodzeniem uchodzić za osobę bogatą. Te buty, te kolczyki, ta torebka.

A popatrz na mnie. Byłem adoptowany. Doszedłem do wniosku, że to właśnie oznacza, że mógłbym być kimkolwiek. Wymyśliłem więc siebie.

Eve skinęła głową i zastanawiała się, dlaczego, skoro rzeczywiście... jak to ujął... „wymyślił siebie”, nie wybrał łatwiejszego nazwiska do wymówienia niż Clarenco.

- Nadal to robię, mówiąc szczerze. I tu pojawiaasz się ty. Możesz pomóc.

- Ja? - Eve się zaśmiała. - Bob, skoro twierdzisz, że wiesz o mnie wszystko, to powinieneś też wiedzieć, że w mojej sytuacji mało komu mogę pomóc. Sama sobie nie pomogę. Nie mam pojęcia, co mogłabym zrobić dla kogoś takiego jak ty.

- Powiem ci.

Eve czekała, aż przejdzie do rzeczy, ale on uwielbiał mówić. Pewnie robił to w obecności armii księgowych i prawników i nikt nie ośmielał się mu przerwać.

- Kiedy akcje spadły o osiemdziesiąt siedem procent, uświadomiłem sobie, że większość szkód poniosłem z własnej winy. Przez długi czas wartość firmy była zaniżona, a ja nie zabezpieczałem się należycie. Na szczęście przed ostatnim krachem sprzedałem bankowi udział w firmie wartości czterdziestu milionów dolarów. Z funkcji głównego dyrektora ustąpiłem pół roku temu, chociaż nadal jestem największym udziałowcem. Po rozwodzie, który kosztował mnie połowę majątku, doszedłem do wniosku, że mogę położyć się plackiem i cieszyć się tym, co mam, albo mogę odwrócić sytuację i odzyskać wszystko, co utraciłem. Oczywiście to nie takie proste. Dopóki sytuacja na rynku technologicznym się nie poprawi, firmy takie jak moja będą traktowane podejrzliwie. Teraz więc ignoruję giełdę. Tam nie będę odzyskiwać formy.

Eve starała się wykazywać zainteresowanie, ale Bob Clarenco zaczynał przypominać jej starszych oficerów, których poznała w wojsku: szorstkich, upartych, dowodzących w sposób graniczący z pompatycznością; musiała pohamować ziewanie i zastanawiała się, czy Clarenco jest wystarczająco atrakcyjny, aby z nim się przespać - na wypadek gdyby ta rozmowa miała w końcu do tego doprowadzić. W jakiś sposób czuła, że tak właśnie będzie. Kiedy mówił o tym, że może być kimkolwiek zechce, prawdopodobnie znaczyło, że nawiązuje kontakty z obcymi i przekupuje ich, by uprawiali z nim seks. Ale z jakiego powodu mówił jej, ile ma pieniędzy? Zapewne miało ją to przekonać, że za pójście z nim do łóżka dostanie więcej niż pięćset dolarów. Zamierzał jej płacić. W porządku. Był atrakcyjny. Może nie podobały mu się zawodowe dziwki. Poza tym po kilku miesiącach spędzonych w Beacon nie była już taka skrupulatna w tych sprawach; co ważniejsze, potrzebowała seksu. Jednak w

momencie, kiedy Eve starała się obliczyć, ile powinna zażądać - miała dość dobre ciało i wiedziała, że jest atrakcyjna, więc dlaczego nie? - i zastanawiała się, czy to w ten sposób dziewczyny wchodziły w obieg, Bob Clarenco przeszedł do rzeczy.

Wpierw Eve pomyślała, że się przesłyszała. A może, że jest trochę pijana. Odłożyła nóż i widelec i z uśmiechem - jeżeli naprawdę powiedział to, co jej się wydawało, to musiał żartować - przygryzła wargę.

- Słucham? - powiedziała. - Czy ja się nie przesłyszałam?

- Powiedziałem, że zamierzam odzyskać pieniądze, popełniając przestępstwo. Nieznacznie skinęła głową.

- Tak mi się wydawało. - Uśmiechnęła się. - Cóż, to twoja sprawa. Tylko radziłabym, żebyś jak najlepiej wykorzystał to, co masz. Z mojego punktu widzenia wcale nie jesteś bankrutem. Nie według mojej miary.

- I chcę, żebyś mi pomogła.

- Chcesz, żebym ci pomogła? - Potrząsnęła głową. - Panie Clarenco, Bob, to prawda, że niedawno wyszłam z więzienia, ale...

- Nie jakieś tam przestępstwo. Myślę o czymś naprawdę specjalnym. Czymś nadzwyczajnym. Czymś... - Jego spojrzenie rozmarzyło się, jakby myślał o jakimś niezwykłym miejscu, które chce odwiedzić.

Eve westchnęła. On zwariował. Ale chociaż miała pięćset dolarów. Nawet jeżeli zwariował, to przynajmniej lunch był dobry, a może jednak prześpi się z nim dla samej frajdy.

- Mówisz poważnie? - zapytała.

- Oczywiście.

Zwariował. Poczowała, że wybuchnie głośnym śmiechem, ale opanowała się i na jej ustach pojawił się jedynie słaby uśmiezek, potrząsnęła głową.

- Bob, lubię cię, naprawdę. I miło mi się tu z tobą siedzi. Myślałam, że zaproponujesz mi pracę w jakiejś nowej restauracji. Albo na mnie lecisz i chcesz mnie uwieść. Poszłabym na to. Jesteś atrakcyjnym mężczyzną. Ale pojawił się błąd. Ty popełniłeś błąd, panie Clarenco. Bob. W przeciwieństwie do tego, co mogłeś przeczytać w „New York Post”, nie jestem przestępcą. Właśnie wyszłam z więzienia, to prawda, ale to była sytuacja rodzinna, która wymknęła się spod kontroli. To nie robi ze mnie gangstera ani przestępcy giełdowego. I nie mam też zamiaru wracać do więzienia. Każdy dzień, który tam spędziłam, przypomina mi program w stylu *Potyczki Jerry'ego Springera* z podtytułem „Zbrodnia nie popłaca”.

Wzięła głęboki oddech, zaśmiała się głośno i dodała:

- Powiedz, że nie mówisz tego poważnie.

Jej śmiech najwyraźniej mu nie przeszkadzał. Chłodny uśmiech nadal malował się na jego twarzy, a ona uświadomiła sobie, że przypomina jej Michaela Douglasa. To przez te kąciki ust skierowane ku dołowi, orli nos i wysokie kości policzkowe... To, plus sardoniczny, niemal drwiący uśmiech. Najwyraźniej czekał na jej reakcję.

Clarence sięgnął po aktówkę stojącą obok nogi stołu, wyciągnął okazałą białą kopertę i położył ją na krześle między nimi. Trzymał rękę na kopercie, chociaż, prawdę mówiąc, chciał położyć rękę na jej dłoni. Nie spodziewał się, że spodoba się tej kobiecie. Była silna i przystojna, praktyczna i rozsądna, ale w sposób, który według Clarence'a czynił ją jeszcze bardziej atrakcyjną - jakby była czymś dzikim i nieokiełznanym.

- Cieszę się, że uważasz mnie za atrakcyjnego. Miałem nadzieję. Ale ani przez minutę nie uważałem cię za kryminalistkę. Przynajmniej nie zawodową. Jednak masz wszystkie inne cechy, których szukam. Widzisz, Eve, po tym, co przeczytałem w gazetach, popytałem nieco o ciebie. To proste, jeżeli jest się właścicielem firmy ochroniarskiej. Jak sugerowano w gazecie, rzeczywiście dowodziłaś zespołem mężczyzn za linią wroga w Zatoce. I nie ma wątpliwości, że umiesz sobie poradzić w życiu. Masz dyplom z psychologii, a co najważniejsze dla moich celów - jesteś kucharzem. Całkiem dobrym, jeśli wierzyć „New York Magazine”.

Wrócił kelner z sassaicaia, którego tym razem posmakował Clarence i pokiwał z uznaniem głową.

- Z pewnością także znasz się na winach. - Począł, aż kelner napelni kieliszki, i kiedy znów znaleźli się sami, dodał: - Wszystko to czyni cię wyjątkowo dobrze wykwalifikowaną osobą do tego, co planuję.

- Co planujesz... napad na restaurację? - Eve się skrzywiła. - Czy miejscowe delikatesy?

Posmakowała wina i pomyślała, że jest lepsze, niż się spodziewała. Ale za czterysta dolarów? Straszna cena.

- Mogę być z tobą szczerą? - zapytał.

Eve wzruszyła ramionami.

- Odnoszę wrażenie, że do tej pory rozmawialiśmy otwarcie.

- Brad, twój mąż, mieszka z Lorraine. Nie masz z czego żyć. Ani gdzie mieszkać. Masz za to wpis o karalności za napaść, co może przysporzyć ci kłopotów przy

szukaniu pracy. Nie wspominam o pozwie cywilnym złożonym przez tych dwóch policjantów. Mieszkasz z matką. Twoja najbliższa przyszłość nie przedstawia się różowo. Chyba nie masz zbyt wiele do stracenia. Kiedy o tym pomyślisz, na pewno zgodzisz się, że jestem twoim dzinnem w butelce, Eve.

Eve czuła, jak uśmiech znika jej z twarzy, a do kącika oka nabiega łza. Osuszyła ją wielką serwetką i postarała się zapanować nad emocjami.

- Przyznaję, Bob, jesteś bardzo dobrze poinformowany.

Kelnerzy zjawili się z połówką, którą wyczarowali spod srebrnych przykrywek niczym podrzędni iluzjoniści. Bradowi podobały się takie rzeczy w restauracji, jej nie. Zawsze chciała się z tego śmiać. Eve czuła, że jest trochę zawiana, wypła więc całą szklankę wody. Kiedy kelnerzy odeszli, Clarenco położył jej kopertę na kolanach.

- Naturalnie spodziewałem się, że to cię rozbawi, ale traktuję to śmiertelnie poważnie. Jak sama się przekonasz, kiedy otworzysz tę kopertę.

Zawahała się, czując, że jeżeli otworzy kopertę, to nie oprze się pokusie, bez względu na to, co będzie w środku. Przez chwilę nawet chciała ją oddać i wyjść z restauracji. Lecz on miał rację co do jednego. Jej przyszłość malowała się w czarnych barwach.

- To niesprawiedliwe - szepnęła. - Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.

- Eve, mogę ci pomóc.

- Mówisz jak wąż w rajku, Bob.

- Otwórz kopertę.

Westchnęła i zagryzła wargę. Naprawdę nie miała nic do stracenia. Zerknęła do środka koperty. Widok starannie zapakowanych studolarowych banknotów, całych plików, spowodował, że ją zatkało.

- Chryste - wykrztusiła wreszcie.

- Znak moich dobrych zamiarów - powiedział. - Możesz to nazwać płatnością z góry.

- Ile to jest pizz?

- To dziesięć tysięcy dolarów - odparł.

- Dziesięć tysięcy? - Eve wydała z siebie długie, niepewne westchnienie. -

Człowieku, jak umawiasz się z dziewczyną na lunch, to rzeczywiście się starasz, wiesz? Kogo mam zabić, aby móc to zatrzymać?

- Nikt nie zginie.

Eve ledwo go słuchała.

- W Zatoce dowodziłam czterema hummvee wyposażonymi w karabiny maszynowe kalibru pięćdziesiąt. Kilka razy w drodze do Kuwejtu wystrzeliłam w stronę pozycji irackich. To piekielna broń. Pocisk przebija mur z cegieł. - Widoku tego, co taki karabin może zrobić z człowiekiem, nigdy się nie zapomina. Jeszcze kilka dni potem było jej niedobrze. -Więcej nie zrobię czegoś takiego. Nawet za wszystkie pieniądze świata. Nie jestem mordercą.

- Zrelaksuj się. Nikt nie każe ci do nikogo strzelać. Nie jestem terrorystą. Nie mam zamiaru uciekać się do morderstwa. Nie dlatego, że jestem idealistą czy pacyfistą. Nie. To czysto biznesowa decyzja. Mówię ci, żebyś wiedziała, ile to dla mnie znaczy, Eve. Aby plan się powiódł, konieczne jest, aby nikt, powtarzam nikt, nie zginął. Broń będzie potrzebna, żeby osiągnąć niektóre cele, ale chcę, aby na miejscu było jak najmniej testosteronu. Poprowadziłabyś zespół ludzi, których dobrałem. Wierzę, że kobieta odpowiedzialna za taką operację będzie mniej wojownicza od mężczyzny. Dwa razy pomyśli, zanim kogoś zastrzeli. Jeżeli facetowi, nawet inteligentnemu, da się broń automatyczną, to z dużym prawdopodobieństwem zamieni się w Bruce'a Willisa. Wszystkim mężczyznom w jakimś stopniu odbija, kiedy dostają broń do rąk. Może to odziedziczyli w genach po pionierach, ale nie chcę żadnych macho w tym przedsięwzięciu. Według mnie być odważnym i mieć jaja to dwie różne rzeczy.

Eve skinęła głową i powąchała wino. Jego bukiet przywołał wspomnienie tego jedyne go razu, kiedy razem z Bradem odwiedziła Włochy. Miesiąc miodowy spędzili we Florencji, a dokładniej we Fiesole, kilka kilometrów od Florencji. Wszystko było tak drogie, że Eve pragnęła wrócić tam z prawdziwymi pieniędzmi w kieszeni. Chciała znowu odwiedzić galerię Uffizi, tylko tym razem samodzielnie albo z kimś, kto bardziej interesował się obrazami niż miejscowymi dziewczynami i kto nie żartował z rozmiarów członka Dawida dłuta Michała Anioła.

- Nie wiem - odezwała się. - Naprawdę nie wiem.

- Nikomu nic się nie stanie - powtórzył Bob. - W zasadzie po wszystkim trudno to będzie nawet nazwać przestępstwem. Mówiąc wprost, nawet nie można tego nazwać kradzieżą.

- A jeżeli nas złapią?

- Nie będę cię okłamywał. Jeśliby nas złapali, konsekwencje byłyby bardzo poważne. Ale mam dobry plan, zebrałem niezły zespół. I uważam, że istnieje spora szansa, że ujdzie nam to na sucho. Ale potrzebuję ciebie, Eve. - Pocałował jej dłoń. -

Teraz nawet bardziej, kiedy cię osobiście poznałem. Właściwie to nie wiem, jak mógłbym tego dokonać bez ciebie.

Kiedy całował jej rękę, Eve zadrżała do koperty, która nadal leżała na jej kolanach, i poczuła, jak pokusa rozprzestrzenia się po całym jej ciele. A może tak na nią wpływała jego obecność. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Przez chwilę myślała o Chrystusie kuszonym przez diabła na pustkowiu i doszła do wniosku, że pustynia to całkiem dobre miejsce na ignorowanie pokusy. W „Le Cirque”, z dziesięcioma tysiącami dolarów na kolanach oraz jedzeniem i winem na stole wartymi tysiąc, kiedy całuje ją przystojny mężczyzna, pokusa stawała się o wiele silniejsza. A to był jedynie znak dobrej woli.

- Powiedziałeś, że to zaliczka - odezwała się. - Ile zarobię, jeżeli się zgodzę?

- Twoja zapłata wyniesie milion dolarów - odparł Clarenco. - Nowy paszport. I bilet pierwszej klasy do dowolnego miejsca, które wybierzesz.

Eve łyknęła wino.

- Czego bym nie zrobiła za milion dolarów?

Westchnęła.

- Niewiele.

Skinęła głową, Nie zaszkodzi, jeżeli posłucha, co jej proponuje.

- Może opowiesz, o co w tym chodzi?

Clarenco ściszył głos i wyjawił jej swój plan. Nie wszystko rozumiała, ale gdy tylko skończył opis, wiedziała, że to może się udać. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że Bob oszukuje samego siebie: na pewno dojdzie do użycia przemocy. Może przeprowadzą plan, nie strzelając do nikogo, ale żeby plan się powiódł, trzeba będzie kogoś postraszyć bronią. A czy groźba zastrzelenia kogoś nie jest równie zła? Czy będzie mogła z tym żyć? Jaki jednak miała wybór? On miał rację. Perspektywy zatrudnienia były bliskie zera. Nie miała pieniędzy i domu. Co działo się z takimi kobietami? Kilka minut temu rozważała uprawianie seksu za pieniądze. To zadziwiające, co kilka miesięcy w Beacon może zrobić z uczciwą osobą.

Skinęła głową w zamyśleniu.

- Plan jest niezły - przyznała. - Ale co ja miałabym robić?

- Tymczasem tylko to. Chciałbym założyć firmę gastronomiczną. Wymyśl nazwę, jakieś menu, bzdurną filozofię, jeśli chcesz, a potem niech jacyś graficy złożą to w jeden spójny produkt, żeby wyglądało na prawdziwy interes. Niech wygląda jak najlepiej, więc nie żałuj pieniędzy. Poszukaj odpowiednich fotografów, tego rodzaju

rzeczy. Ja zapewnię pieniądze, a co najważniejsze, personel. Chyba żaden z nich nie potrafi dobrze złożyć serwetki, więc chciałbym, żebyś ich sama przeszkoliła. Możesz wykorzystać mój dom w Hampton.

- Rozumiem.

- To jak, wchodzisz w to?

- Miałbyś coś przeciwko, gdybym się z tym przespała?

- Skądże, ale mam lepszy pomysł. Moje mieszkanie jest zaraz po drugiej stronie ulicy. Może prześpimy się z tym razem?

*

Mniej więcej dziesięć dni później Eve jechała pociągiem z Penn Station do East Hampton, stamtąd udała się taksówką do domu Boba Clarenca w pobliżu Wainscott. Eve powiedziała sobie, że to raczej nietypowe miejsce na szkolenie ludzi, którzy mieli dopuścić się poważnego przestępstwa. Uważała również, że ona nie nadaje się do przeprowadzenia tego rodzaju szkolenia. Ale przecież tak samo nie wyobrażała sobie siebie w więzieniu stanowym. Mogła myśleć, że nie spotka jej nic gorszego niż przyłapanie Brada z inną kobietą, a potem rozwód, ale przyplątało się dwóch przemądrzałych gliniarzy i przez nich spędziła pół roku w Beacon. Biorąc to wszystko pod uwagę, powinna zwrócić pieniądze i uciekać stamtąd gdzie pieprz rośnie. Lecz to już nie wydawało się takie proste jak wcześniej. Po pierwsze, przespała się z Bobem i to kilka razy - doświadczenie przyjemne, chociaż nieco kliniczne, a po drugie, okazało się, że jej matka jest chora. Kiedy Eve przebywała w Beacon, lekarze powiedzieli matce, że ma niewydolność nerek i w tym roku będzie musiała rozpocząć dializy. Oczywiście była ubezpieczona. Ale z czego miała żyć, skoro - co było nie do uniknięcia - musiała zrezygnować z pracy?

Dom Clarenca - wystawiony na sprzedaż - był rodzinną rezydencją ukrytą wśród kilkunastu akrów ogrodów z widokiem na Georgica Pond. Posiadłość składała się z głównego budynku, domku dla gości, basenów - krytego i odkrytego - dwóch kortów tenisowych, sali gimnastycznej i kina. Dom wybudowany na przełomie XIX i XX wieku, pomalowany na biało, otoczony rozległymi trawnikami i tysiącami żonkili, bardziej przypominał rezydencję emerytowanego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Eisenhowera albo Reagana, tych, którzy wyglądali na emerytów jeszcze podczas sprawowania urzędu, niż posiadłość człowieka planującego zbrodnię doskonałą.

Ulubionym miejscem Eve w domu była kuchnia zaprojektowana przez angielskiego architekta, Johna Pawsona: chłodne, minimalistyczne i urzędowe wnętrze zapewniało w tym miejscu spokój potrzebny podczas gotowania, a jednocześnie wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. Były dwie olbrzymie lodówki Traulsen, trzy zmywarki i cztery kuchenki mikrofalowe. Lecz najlepszy ze wszystkiego był Viking, według Eve rolls-royce wśród kuchenek.

Pierwszy dzień w domu w Wainscott spędziła na zamawianiu produktów spożywczych z miejscowego supermarketu oraz zapoznawaniu się z ułożeniem obrusów, sztućców, szkła i srebrnej zastawy. Wszystko było pierwszej jakości i dokładnie takie, jakie Eve sama by wybrała: obrusy były irlandzkie, zastawa Wedgwooda, szkło Steubena, a srebra z Sheffield. Nakrycie antycznego mahoniowego stołu na osiemnaście osób było przyjemnością, skoro rezultat wyglądał jak scena z filmu *Handlarz kością słoniową*. Eve zawsze chciała mieć taką władzę nad stołem, chociaż mogła się obyć bez żyrandola Dale'a Chihuly, wiszącego nad nim niczym przedziwny różowy owad.

Eve uwielbiała filmy. Niespecjalnie przepadała za kryminałami, ale widziała ich dosyć, by wiedzieć, że kiedy film opowiadał o zorganizowanym napadzie, zawsze pojawiała się scena, w której główny bohater szkoli swój zespół do perfekcji, aby można było przeprowadzić napad z zadziwiającą precyzją. Oglądała karkołomne wyczyny i w pewnym sensie nie wydawało jej się słuszne, że uczy własny zespół przygotowywania sałatek i podawania do stołu, otwierania butelki wina i podawania komuś do skosztowania czy ugotowania jajka w koszulce; krótko mówiąc, wszystkiego, co ludzie pracujący dla „Top Table” - taką nazwę zatwierdził Clarenco dla firmy gastronomicznej - powinni wiedzieć. Michael Caine z trudem akceptowałby konieczność, by rewolwerowiec umiał polecać potrawy z menu.

Samotnie spędziła cudowny wieczór, udając, że dom jest jej. Zrobiła sobie sałatkę cesarską, otworzyła butelkę arrowwood chardonnay i wybrała DVD z pokaznej kolekcji Clarenca, zanim wzięła kąpiel w wannie wielkości Jeziora Górnego i poszła spać w łóżu, które - z niemal gotyckim baldachimem - wyglądało niczym mała, ale bardzo wygodna niemiecka katedra.

Nazajutrz rano do Wainscott przyjechał z Nowego Jorku minibus z dziewięcioma pasażerami - siedmioma mężczyznami i dwiema kobietami. Eve przywitała ich w dużym holu wejściowym niczym przedwojenna kasztelanka, zaprosiła ich na górę, aby wybrali sobie pokój - było ich dziewięć; ona mieszkała w domku dla gości - i po

półgodzinie zebrali się ponownie w salonie. Ich spojrzenia zdawały się jedynie potwierdzać podejrzenia Eve, że została rzucona na głęboką wodę albo że to wszystko jest szalonym snem, z którego zaraz się zbudzi.

Eve przyglądała się, jak nowo przybyli wchodzą po schodach, dźwigając tanie torby podróżne i z podziwem oglądając szerokie stopnie, i odniosła wrażenie, że - z jednym lub dwoma wyjątkami - wyglądali na zbyt zdrowych i wysportowanych, aby pracowali w gastronomii. „Niebiosy zesłały dobre mięso, a diabeł kucharzy”, mówiło przysłowie, ale ona uważała, że ci rzekomi kucharze wyglądali, jakby przysłano ich z Gold's Gym. Nie zaskoczyło jej to, ponieważ zdawała sobie sprawę, kim są ci ludzie i jakie mają szczególne umiejętności; z wyjątkiem Andrew Hogartha, który pracował w branży filmowej, wszyscy inni byli ochroniarzami albo wojskowymi, czasami jednym i drugim. Eve miała nadzieję, że zespół zebrany przez Clarenca nie będzie stwarzał problemów, ale żeby to osiągnąć, koniecznie trzeba było pokazać, kto tu rządzi. W wojsku Eve często przeprowadzała narady, podczas których na grafikach - w armii nazywano je „siatkami” - prezentowała za pomocą kwadratów i strzałek zadania poszczególnych osób w ogólnych strukturach operacyjnych, więc drużyna po powrocie do salonu zastała Eve ze wskaźnikiem w ręku, stojącą przed grafikami i gotową wyjaśnić każdemu jego rolę.

- Witam w Wainscott - powiedziała. - Mam nadzieję, że mieliście przyjemną podróż. Spodziewam się, że podczas waszego pobytu tutaj będziecie traktować ten dom i wszystkie sprzęty z należnym szacunkiem. Nie przeszkadza mi, jeżeli od czasu do czasu przeklniecie, ale jeżeli słowo „kurwa” można zastąpić innym, bardzo o to proszę. Więc nie nadużywajcie go, przynajmniej w mojej obecności. Jeżeli komuś z was coś się nie będzie podobać, powiedzcie mi to wprost, nie pomstujcie za moimi plecami. Nie cierpię malkontentów.

Czuła, że nabiera pewności siebie, gdy przypominała sobie stare wojskowe maniery.

- Nazywam się Eve Merlini i byłam kapitanem w Dwudziestej Czwartej Dywizji Piechoty Zmechanizowanej. Służyłam w Zatoce i jak kilkoro z was widziałam parę akcji. Niewątpliwie, co bardziej spostrzegawczy zauważą, że jestem kobietą.

- I to jaką - mruknął ktoś.

- Po wyjściu z wojska zostałam szefem kuchni i prowadziłam własną restaurację. Restauracja w Nowym Jorku jest jak pluton w wojsku... dość twarda jednostka. Może być gorąco. Może być duże ciśnienie. Może być niebezpiecznie. Moim zadaniem jest

przeprowadzić was przez podstawowe szkolenie i pokazać, jak wygląda praca w restauracji. Podczas waszego pobytu nauczę was wszystkiego, co musicie wiedzieć o przygotowywaniu i podawaniu jedzenia. Spodziewam się, że będziecie wykonywać rozkazy, jakbym była sierżantem z piekła rodem. Jeżeli nie macie dobrych manier, to się ich nauczycie, a jeżeli niczego poza tym sobie nie przyswoicie, to po tych dwóch tygodniach bardziej docenicie parę subtelniejszych rzeczy w życiu. Żebyśmy nie tracili czasu, wskażę każdego z was na siatce i omówię wasze funkcje w ramach naszej misji. Później poproszę, abyście wstali i powiedzieli, czy macie jakieś doświadczenie w przygotowywaniu i podawaniu jedzenia.

Eve wskazała grafik.

- Sierżant Bill King, uprzednio w Sto Pierwszej Powietrznodesantowej, do niedawna zatrudniony jako bramkarz w nocnym klubie w San Francisco. Bill będzie moim zastępcą. Zdaje się, że są tu jeszcze inni ze Sto Pierwszej, którzy już go znają, ale gdybyś mógł wstać, Bill.

King wstał. Był to wysoki Murzyn o wyjątkowym wyglądzie, z krótką bródką i wygoloną głową, w czarnych dżinsach i gładkiej, szarej koszulce polo. Jakby sobie przypominał Eve Merlini z czasów wojny w Zatoce... a może kogoś bardzo do niej podobnego. Kobiety w wojsku nie są zjawiskiem nadzwyczajnym, ale tylko nieliczne wyglądają tak jak Eve Merlini. Wzrost taki jak jego, wystające kości policzkowe i przenikliwie spoglądające oczy ostrzegały „nie igraj ze mną”; krótko mówiąc, według Kinga, była niczym dominatrix, aż po skórzane spodnie i buty na szpilkach, które miała na sobie. Ukłonił się Eve, a potem reszcie zespołu.

- Jak mówiła pani Merlini, służyłem w Czarnych Beretach jeszcze przed pięciu laty. - Z zadumą spojrział na swoje wyglansowane buty. - Życie w cywilu nie rozpieszczało mnie jak dotąd. Byłem kucharzem w barze szybkiej obsługi w Yuba City w Kalifornii, skąd pochodzę. W dzieciństwie zbierałem śliwki w miejscowych gospodarstwach. Zjadałem więcej, niż zbierałem. Ale zawsze lubiłem jedzenie. Nie mogłem się doczekać tych dwóch tygodni. Zawsze chciałem wiedzieć więcej o jedzeniu i winie.

Usiadł. Eve zanotowała coś i wskazała diagram.

- Następnym stopniem jest kapral Nick Pennac. Nick jest jednym z naszych ekspertów komputerowych i elektronicznych. Pracował w Agencji Systemów Obronno-Informacyjnych w St. Louis.

Pennac wstał, spoglądając nieśmiało, zdjął z twarzy prawie niewidoczne okulary w tytanowej oprawce i uśmiechnął się.

- Nigdy nie był ze mnie rewelacyjny kucharz - oświadczył, drapiąc się w długi jak u gнома nos. Eve przypominał postać z powieści Tolkiena. Brwi zrastały mu się pośrodku, a gęste, ciemne włosy prezentowały się jak na zdjęciu u fryzjera. Miał na sobie jasnobrązowe brezentowe spodnie, koszulę w kratkę od Ralpa Laury i brązową marynarkę ze sztruksu, co nadawało mu wygląd naukowca, chociaż Eve wiedziała, że jest też wysportowany. - Ale w college'u pracowałem jako kelner, żeby zarobić pieniądze na nowy komputer.

- W jakiej restauracji? - zapytała.

- „Taco Bell” - odpowiedział Pennac. - Robię też całkiem dobrą margaritę, jeżeli to może w czymś pomóc.

- Dzięki, zapamiętam.

Ann Choy miała azjatyckie rysy twarzy i krótkie, ciemne włosy. Eve przedstawiła ją jako specjalistkę w dziedzinie łączności elektronicznej z 82. Batalionu Łączności 18. Dywizji Powietrznodesantowej. Choy powiedziała zebranym, że tylko w połowie jest Chinką - w sposób, który zmuszał ludzi do myślenia, że druga połowa może martwić się tym faktem - ale nadal dość dobrze radzi sobie z wokiem.

- Może nie tak jak w „Tse Yang” - przyznała, wymieniając nazwę jednej z najlepszych chińskich restauracji w Nowym Jorku - ale wystarczająco dobrze dla większości ludzi.

Prawdę mówiąc, mogłaby uchodzić za Meksykankę czy Nikaraguankę. Uśmiechała się rzadko, dlatego że zęby miała bardzo nierówne, zupełnie jakby ktoś mocno uderzył ją kiedyś w usta. Poza tym prezentowała się nieźle, nosiła dopasowaną białą marynarkę, spodnie z lycry w czarno-białą kratę i markowe sandały; Eve pomyślała, że choć trochę była ubrana jak na szefa kuchni przystało.

Następna była Samantha Heinichen - ekspiełgniarka z wojskowego ośrodka zdrowia w Grafenwoehr w Niemczech, ale bardziej wyglądała na kulturystkę.

- Nie umiem gotować - powiedziała z ciężkim akcentem... w zasadzie była Czeszką. - W każdym razie nie jak moja matka. Kiedyś pracowałam w barze, podawałam drinki, ale to był bar topless, więc klientów nie interesowało, czy stawiam drinki po prawej czy po lewej stronie, dopóki dobrze mogli przyjrzeć się moim cyckom.

Po Samancie Heinichen przysłała pora na Clayтона Birda, Andrieja Busieka, Jerry'ego Whalina i Douga Powersa. Bird był Indianinem i chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Eve widziała. Od opuszczenia Czarnych Beretów pracował jako ochroniarz Madonny. Tak mówił. Andriej Busiek i Jerry Whalin także byli kiedyś w Czarnych Beretach i - jak się wydawało - w więzieniu. Jerry Whalin pracował jako taksówkarz w Nowym Jorku i ubierał się jak Travis Bickle: w czarne levisy, kraciastą koszulę traperską, kowbojki i znoszoną beżową kurtkę wojskową. Bird, Busiek, Whalin czy Powers nie mieli żadnego gastronomicznego doświadczenia.

Ostatni powstał Andrew Hogarth, który spędził wiele lat w Hollywood, gdzie pracował w przemyśle filmowym. Był o dziesięć lat starszy od reszty, miał siwe włosy i skórę jak wygarbowaną, a kiedy mówił, starał się wciągać brzuch, żeby koledzy się z niego nie nabijali.

- Jak szefowa powiedziała, moim zadaniem jest zrobić z was gwiazdy filmowe. Z tego, co widziałem, to nie będzie trudne. - Klepnął się po brzuchu. - Wygląda na to, że oprócz mnie wszyscy są w formie. Ja... zawsze lubiłem jedzenie. A jeszcze bardziej wino. Zanim zbankrutowałem, miałem piwnicę z ponad tysiącem butelek. W tym dobre gatunki. Dlatego, jeśli szukacie kelnera podającego wina, polecam swoją skromną osobę.

Eve popatrzyła po tej zróżnicowanej grupie. Pomyślała, że to drużyna prawie jak ze statku *Pequod*, wyruszająca na poszukiwania białego kaszalota. A jednak gdy tylko poczuła się niczym Ahab, jej autorytet został zakwestionowany.

- Z całym szacunkiem - odezwał się Andriej Busiek. - Nie wygląda pani na kogoś, kto przyłożyłby człowiekowi broń do głowy i miał dość ikry, żeby pociągnąć za spust.

Busiek uśmiechnął się przyjaźnie, a potem spojrzał na kolegę, Jerry'ego Whalina, który chyba podzielał jego opinię, bo kiwał potakująco głową.

- Chciałbym pani wierzyć, naprawdę, ale nie wygląda pani na sukę ziejącą ogniem, którą stać na taki wyczyn.

Skinęła głową, rozumiejąc, że będzie musiała zdusić to w zarodku. Dobrotliwość w uśmiechu Busieka przeradzała się w pogardę.

- Pozory mogą mylić - odparła. - Powinniście o tym wiedzieć, żołnierzu.

- Nie wygląda, żeby nosiła pani kamuflaż, ma'am - powiedział. To „ma'am” zabrzmiało sarkastycznie. Wzruszył ramionami. - Może była pani oficerem, ale to nie robi z pani wojownika. Właśnie to chciałem powiedzieć. Bez urazy.

- Może przejdziemy się do sali gimnastycznej - zaproponowała. - Spróbujemy rozwiązać parę twoich problemów.

Przesła pierwszą lodżię wyłożoną wapieniem, wychodzącą na wewnętrzne podwórko, i ruszyła do kompleksu sportowego na tyłach domu.

- Chłopie, widziałeś to? - wyrzucił z siebie Bill King, połykając wzrokiem sprzęt cybex.

Woda w basenie długości Park Avenue wyglądała na tak spokojną i niebieską jak oczy Eve - nawet kiedy zrzuciła buty na szpilkach, odłożyła zegarek i pierścionki na ławkę i wyszła na zieloną jak trawa gumową matę.

- Zatem, panie Busiek - odezwała się chłodno. - Zobaczmy, co czyni z człowieka wojownika, dobrze?

- Żartuje pani.

Eve zdjęła białą bluzkę i skórzane spodnie, stając naprzeciw niego w podkoszulku i majtkach. Ktoś gwizdnął z uznaniem. To jej nie przeszkadzało. Nie miała się czego wstydzić. Poza tym teraz musiała skupić się na Busieku.

- Wyglądam, jakbym żartowała?

- Chyba nie - odpowiedział ironicznie Busiek.

Teraz, kiedy zobaczył ją w białym, zrozumiał, że jest silniejsza i bardziej wysportowana, niż przypuszczał, może nie jak zapaśniczka, ale żyłasta i twarda jak tancerka. Zmierzyła go wzrokiem, wytrzymała jego spojrzenie i przez sekundę Busiek stracił trochę pewności siebie. Usiadł na ławce, zdjął timberlandy i wyszedł na matę. Ku jego zdziwieniu Eve skłoniła się lekko w jego stronę i zaczęło świtać mu w głowie, że ta kobieta została wyszkolona w walce. Był pewien, że ją pokona. Czarne Berety uczono wiary we własne siły, a teraz na dodatek miał za przeciwnika kobietę.

Pozostali zgromadzili się wokół maty, wyczuwając, że jest to pokaz dla nich wszystkich. Whalin i Powers już głośno dopingowali kumpla. Żaden z nich nie przepadał za oficerami... bez względu na płć, ale wszyscy inni mieli nadzieję, że Eve dowiedzie swojej odwagi, chociaż nikt nie dawał jej zbyt wielu szans na wygraną potyczki.

Busiek był niższy od Eve, ale pierś i ramiona miał bardzo mocne... do tego stopnia, że w porównaniu z nimi jego nogi wydawały się chude. Miał krótkie, czarne włosy, a do tego wąsy jak Dzikie Bill Hichcock i przemknęło jej przez głowę, że może jest gejem. Nie miała pewności, czy da mu radę, ale ważniejsze było udowodnienie, że

poradzi sobie sama z sobą, a jeżeli przy tym dostanie lanie, to cóż, trudno. Eve nie przypuszczała, by bez problemów poradziła sobie z ekskomandosem.

Busiek trochę podskakiwał na palcach dla rozgrzewki i zastanawiał się, czy ona zaatakuje pierwsza. Doszedł do wniosku, że jeżeli powali ją na matę, założy dźwignię albo duszenie, to zmusi ją do kapitulacji. Dzięki temu wygrałby, nie uszkadzając jej za bardzo.

Eve nie miała takich skrupułów. Już kiedy Busiek się rozgrzewał, planowała prosty rzut aikido. Wyciągnęła do niego rękę, jakby chciała podać mu dłoń na powitanie, ale miała nadzieję, że złapie ją za nadgarstek. Ku jej zdziwieniu tak zrobił, a reszta trwała zaledwie kilka sekund. Gdy Busiek przyciągał ją do siebie, szybko położyła lewą dłoń na jego dłoni i trzymając ją mocno w tym miejscu, przekreśliła prawą dłoń zgodnie z ruchem wskazówek zegara ponad jego dłonią, a potem pchnęła ku niemu. Wiedziała, że to bardzo bolesna dźwignia na nadgarstek, która natychmiast przeniosła się na jego kolana. Busiek zaskomlał jak pies, któremu nadepnięto na ogon. Eve, nadal przekreślając nadgarstek, wykręciła mu całe ramię i zaczęła je ściągać do ziemi, a kiedy - co było nie do uniknięcia - Busiek się schylił, uderzyła górną częścią stopy w jego pierś, bardziej, żeby go rozzłościć niż zranić. Mogła z łatwością uderzyć go powtórnie w gardło, wybić mu ramię ze stawu albo złamać nadgarstek, ale zamiast tego puściła go i ignorując entuzjastyczny aplauz i pohukiwania zespołu, odskoczyła i czekała na jego następny ruch.

- Jak mi idzie do tej pory? - zapytała go niemal radośnie.

- Zapytaj jeszcze raz za minutę. - Busiek, rozzłoszczony jej kopnięciem, rozcierał obojczyk, wreszcie wstał.

To, że przeciwniczka odwróciła się do niego plecami, wziął za pewność siebie, a nie za pułapkę. Chwycił ją więc za lewe ramię prawą ręką, a lewą zamierzał wyprowadzić uderzenie. Gdyby do tego doszło, z pewnością wyrządziłoby Eve krzywdę. Lecz ona schwyciła go za prawy rękaw i uderzyła lekko w nos - choć równie dobrze mogła wydłubać mu oczy. Potem przyklęła na kolano i mocno przez sekundę ścisnęła mu jądra, zanim ściągnęła do dołu jego prawą rękę, a prawą pięścią uderzyła mocno w zgięcie kolanowe. Busiek, nagle z prawą nogą znacznie wyżej od prawego ramienia, głośno uderzył o matę, a ona jedynie wykonała pantomimę śmiertelnego ciosu kantem dłoni w kiepsko ogolone gardło przeciwnika. Jeszcze raz Eve odstała od niego, a tym razem wiedziała, że ma czas, aby odebrać ponowne wiwaty.

Busiek dotknął koniuszka nosa i zobaczywszy, że ma na palcach krew, wyprowadził serię szybkich kopnięć wycelowanych w głowę Eve, z których każde mogło złamać jej szczękę.

Eve wykonywała uniki, aż zyskała pewność, że potrafi przewidzieć wysokość i szybkość ciosów.

Zablokowała ostatnie kopnięcie skrzyżowanymi dłońmi, uniosła wyżej nogę przeciwnika, kopnęła go w drugą i efektownie powaliła na matę, po czym wyprowadziła silne kiai w żebra Busieka. Gdyby włożyła w nie więcej siły, złamałaby mu kość. Busiek głośno jęknął i został na macie kilka sekund dłużej.

Kiedy doszedł do siebie na tyle, aby wstać, skłonił się Eve i uśmiechnął do niej.

- Ma'am - powiedział. - Jeżeli umie pani tak dobrze gotować jak walczyć, to nie mogę już się doczekać obiadu.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Bez urazy, mam nadzieję?

- Jasne - skrzywił się.

Bill King przyglądał się, jak Eve naciąga skórzane spodnie, a potem rzucił spojrzenie Nickowi Pennacowi.

- Ale z niej sztuka, co? Może mnie bić w każdej chwili. Cholera, gdybym wiedział, że spuści mu takie lanie, to sam bym ją wyzwał.

King zaśmiał się, ale Pennac widział, że nie do końca żartuje. Dla Pennaca przynależność do zespołu równała się jednemu milionowi dolarów, który mu obiecano, ale patrząc na Kinga, zrozumiał, że pozostali jednocześnie chcieli dobrze się zabawić.

- Ale z niej sztuka, co?

Pennac uśmiechnął się i skinął głową zadowolony, że Eve potrafi sobie poradzić z krnąbrnymi facetami. To dobrze... dzięki temu zbliżał się do dnia wypłaty miliona dolarów. Dla Pennaca tylko to się liczyło. Nie dlatego, że chciał być bogaty; w dzisiejszych czasach milion dolarów na to nie wystarczało. Po prostu nie będzie już więcej biedny. A teraz, kiedy czekało go popełnienie poważnej zbrodni, lepiej rozumiał psychologię przestępców, tak jak prawdopodobnie wszyscy pozostali. Nikt nie napadał na banki ani nie porywał ludzi, żeby się wzbogacić. Wszyscy pragnęli jedynie lepszego życia.

Naprawdę, to było takie proste.

Pod koniec dwóch tygodni w Wainscott Eve wraz z zespołem wróciła na Manhattan, aby ugotować obiad w biurach Clarenca przy Sześćdziesiątej Drugiej ulicy. W jadalni przylegającej do kuchni w stylu poggenpohl dominował olbrzymi stół i kilka ekstrawaganckich szklanych rzeźb, takich samych jak w jadalni w Wainscott. Clarenco musiał mieć słabość do Dale'a Chihuly. Stół nakryto dla dwudziestu pięciu osób - mniej więcej tylu spodziewano się w Cloudcroft - a Clarenco z niecierpliwością czekał, by zobaczyć, czy Eve udało się stworzyć firmę cateringową od podstaw. Eve, decydując się na jak najbezpieczniejsze rozwiązanie, wybrała włoskie menu składające się z potraw, które kiedyś podawała we własnej restauracji.

Wszystko szło dobrze, dopóki jeden z gości nie postanowił zamówić coś spoza menu.

- Nie chce zupy ani nie chce tagliatelle - obwieścił w kuchni Clayton Bird. - Chce jajka po benedyktyńsku, ale może dostać w ryj i ewentualnie nóż w serce.

- Pamiętacie, co powiedziałam? Klient ma zawsze rację, nawet jeśli to kutas. To moja wina. Powinnam wam powiedzieć, że są tacy, którzy zamawiają spoza menu - tłumaczyła Eve, dokonując inspekcji tacy z zupą. - To jak w polo. Nikt w zasadzie nie wie dlaczego, ale im są bogatsi, tym częściej w to grają. Powtarzają sobie, że są wyszkoleni w przeglądaniu arkuszy kalkulacyjnych, nie menu. - Spojrzała na Ann Choy, która przygotowywała dwadzieścia porcji dorsza do smażenia. - Może ty, Ann? Umiesz zrobić jajka po benedyktyńsku?

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy Ann zaczęła wbijać do miksera żółtka jaj na sos holenderski.

- Pewnie - odpowiedziała, włączając mikser. Potem podgrzała sok cytrynowy i biały ocet winny w małym miedzianym rondlu. - Nie mam nic innego do roboty.

- Teraz widzicie, dlaczego gotowanie to rzemiosło - mówiła Eve. - Potrzeba prawdziwych umiejętności, aby wziąć taką breję z jajek i masła i zamienić ją w coś, co nadaje się do zjedzenia. A to tylko z powodu zachcianki kogoś, kto sobie tego zażyczył.

Lecz niemal krzyknęła, kiedy odkryła, że nietypowe zamówienie złożył sam Bob Clarenco. Musiało minąć kilka minut, zanim uświadomiła sobie, że sprawdza ją i zespół. W końcu, pomyślała, miliarderzy mogą być jeszcze bardziej wybredni od niego. Więcej kłopotów nie było, a kiedy wyszli ostatni goście i zespół skończył sprzątać, pogratulowała im starań.

- Poszło wam naprawdę dobrze - oznajmiła wyczerpana. - Jestem z was dumna.

- Nie mogę uwierzyć, że nikt nic nie powiedział - burknął Bill King. - Ani jednego komplementu dla szefa kuchni.

- Dwa największe komplementy, jakimi mogą was uraczyć - mówiła Eve - to kiedy jedzą to, co ugotowaliście, a potem bez narzekań płacą rachunek. Chcesz w życiu komplementów, to lepiej zostań aktorem.

Dwa lub trzy dni później, kiedy Eve jeszcze raz spotkała się z Bobem w „Le Cirque”, aby omówić jej postępy, dowiedziała się, że jednym z gości na obiedzie był sam Calvin Wallenberg.

- A ty nic nie powiedziałeś?

Eve miała na sobie jeden z nowych strojów: biały kostium, spodnie i marynarkę od Ralphi Lauren i parę mokasynów od Toda.

- Naprawdę jestem pod wrażeniem tego, co osiągnęłaś zaledwie w kilka tygodni.

- To była ciężka praca - przyznała.

- Jajka po benedyktyńsku były równie dobre jak gdzie indziej.

- Dobrze, że ci smakowały. Przez moment na zapleczu chcieli cię ukatrupić.

- Przepraszam za tę prowokację, ale musiałem sprawdzić wasze umiejętności, a zamówienie czegoś spoza menu wydawało się równie dobrym sposobem jak każdy inny. Poza tym to ulubiona potrawa Wallenberga. Był chyba trochę zazdrosny, kiedy to zobaczył.

- Który to był Wallenberg?

- Siedział obok mnie. Łysy, około sześćdziesięciu pięciu lat. Wybredny, oszczędny w gestach... nie jadł zbyt wiele. Miał na sobie szary garnitur, klubowy krawat.

- Chyba go sobie przypominam. Taki mały, o nieco orientalnym wyglądzie.

- To on. Trzydzieści lat temu ten kurdupel umawiał się z najpiękniejszymi aktorkami i modelkami w Nowym Jorku; paskudne zajęcie, które teraz mnie zostawia. Wallenberg to surowy człowiek. Lubi uchodzić za Stare Nowojorskie Pieniądze, niezbyt związane z brudnymi interesami, które przynosiły zyski jego bankowi. Lecz prawda jest taka, że miał trochę więcej czasu, żeby zmyć krew z rąk. Jego ojciec, Harry, inwestował w każdy biznes, o jakim można pomyśleć... nafta, kino, bankowość, nieruchomości... a nawet kilka takich, których sobie nie wyobrażasz. Był dobrym przyjacielem Meyera Lansky'ego. Dzisiaj Cal Wallenberg jest jednym z największych brokerów. Ludzie na Wall Street nazywają go Swatem i jeżeli ma dojść do jakiegoś mariażu między dwiema gigantycznymi firmami, istnieje prawdopodobieństwo, że Cal Wallenberg miał z tym coś wspólnego. W każdym razie

jest jedynym doradcą inwestycyjnym George'a Shapiry i Murraya Drennana, i z tym się nie można spierać. W latach sześćdziesiątych był członkiem „Kolektywu”, grupy osób podziwiającej pisma i tak zwaną filozofię Ayn Rand.

- To autorka powieści *Źródło*, tak?

- Znał ją bardzo dobrze. Przez pewien okres traktowała go jak swojego protegowanego. Może to było coś więcej niż przyjaźń między starszą kobietą a młodszym mężczyzną. Kto wie? W każdym razie jej filozofia nadal w dużym stopniu pokrywa się z przekonaniem Wallenberga.

- Czytałam to. Było o wiele za długie.

- Nienawiść wobec komunizmu. Wiara w indywidualizm. Fundamentalizm rynku. Niechęć do centralnego systemu bankowego.

- To może być spory problem dla inwestora bankowego.

- Akurat nie dla centralnej bankowości. Wallenberg nie ma czasu. Jak na inwestora bankowego ma zdecydowanie złą opinię o własnej profesji. Szczególnie o nabywaniu i łączeniu firm, czyli sferze, w której lubi działać najbardziej. Raz powiedział w wywiadzie dla „Fortune”, że jego kot mógłby być inwestorem bankowym. Koty darzy dużym szacunkiem. Mam nadzieję, że nie masz alergii na te zwierzęta. W Cloudcroft jest ich pełno.

- Lubię koty.

- Czytałaś może drugą książkę Rand, *Atlas zbuntowany*?

- Nie, wydawała się dłuższa i jeszcze mniej strawna niż *Źródło*.

- Niestrawna. T- dobre określenie. Ale mimo to powinnaś spróbować ją przeczytać. Choćby dlatego, że to lepiej pozwoli ci zrozumieć Wallenberga. Pomagał jej w zbieraniu materiałów do książki. Jest w niej sporo o przemyśle ciężkim i twardej wrogości wobec związków zawodowych. To książka, którą Cal Wallenberg uważa za własną, chociaż wcale nie ze względu na głównego bohatera, Johna Gaita - pośrednika, wszechstronnego człowieka renesansu, czołowego ogiera - mimo że próbował być taki sam. W książce pojawia się dom poświęcony nieskalanemu kapitalizmowi, a nosi on nazwę Jar Gaita. Stanowił on inspirację dla domu Wallenberga w Nowym Meksyku i dla tych corocznych zjazdów najbogatszych ludzi świata. Większość miliarderów, którzy jeżdżą do Cloudcroft, aby zawierać umowy i grać w golfa, nie ma pojęcia, że odtwarzają osobistą fantazję Ayn Rand według Wallenberga.

- W jakim celu? - zapytała Eve. - Co on z tego ma? Więcej pieniędzy?

- Wallenberga bardziej interesuje władza i wpływy niż pieniądze - wyjaśnił Clarenco. - Pieniądzy ma dużo. Co nie znaczy, że nie lubi ich robić, ale chce być w samym środku tego, co się dzieje. Chce być na bieżąco. A poza tym jest dom w Cloudcroft. Przez trzydzieści lat stanowił największą rzecz w jego życiu. Poczekaj, aż zobaczysz to miejsce. Przysięgam, że zrobi na tobie wrażenia. To nowomeksykańska odpowiedź na San Simeon.

Przerwał i popił wina, a na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech. Ten uśmiech Eve rozpoznała.

Clarenco zerknął na zegarek. Wiedziała już, co powie, zanim jeszcze się odezwał. - Wiesz, mam wolne popołudnie, jeżeli masz ochotę, to...

- Nie sądzę, Bob. Moja mama źle się czuje. Chyba po prostu pójdę do domu.

- Nie ma sprawy - odparł Clarenco, przywołując kelnera.

- Myślałam nad tym. Może od tej pory nasze stosunki powinny pozostawać czysto zawodowe. Nie chciałabym, żeby cokolwiek nam przeszkadzało, jak będziemy w Cloudcroft.

- Pewnie masz rację. - Wzruszył ramionami. - Co mogę powiedzieć? Było miło, ale się skończyło.

W duchu żałował jednak, że się skończyło.

*

Eve nigdy nie wdziała Hearst Castle w San Simeon w północnej Kalifornii, który - prawnie przekazany stanowi Kalifornia po śmierci legendarnego wydawcy w 1951 - jest teraz zabytkiem i główną atrakcją turystyczną w okolicy. Lecz oczywiście widziała *Obywatela Kane'a* i *Xanadu*. Fikcyjny dom na Gulf Coast na Florydzie Orson Welles stworzył na wzór prawdziwego domu Hearsta. Minęło już sporo czasu, odkąd Eve widziała ten film i trudno jej było sobie przypomnieć cokolwiek, może z wyjątkiem gotyckiego nastroju; *Xanadu* był wielki, majestatyczny, przepiękny luksusowymi rzeczami, a jednocześnie w jakimś sensie smutny...

Kiedy Eve zobaczyła Cloudcroft otoczone sosnami, zbudowane w jednym z najwyższych punktów gór Sacramento, nie pomyślała o *Xanadu* ani o San Simeon, jak przepowiadał Bob Clarenco, ale o Hotelu Overlook ze *Lśnienia* Stanleya Kubricka. Miejsce było odosobnione, zbyt duże jak dla jednego człowieka, a na pierwszy rzut oka

sprawiło wrażenie nieco wrogiego. Dopiero kiedy Eve bliżej poznała dom, naprawdę zaczęła go podziwiać.

Na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza z domu w Cloudcroft, otoczonego stu dwudziestoma trzema akrami i największa parcela w Lincoln National Forest w prywatnych rękach - rozciągał się wspaniały widok na dolinę Tularosa. W przejrzysty dzień z wieży obserwatorium, dominującej w środku budynków tworzących kąć rozwarty, Eve sięgała wzrokiem sto kilometrów na północny zachód poprzez pustynię do Trinity Site, gdzie szesnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku eksplodowała pierwsza na świecie bomba atomowa. Sto dziesięć kilometrów na wschód, po drugiej stronie rezerwatu Apaczów Mescalero, leżało Roswell, będące mekką entuzjastów UFO i konspiracyjnie nastawionych wielbicieli Archiwum X. Piętnaście kilometrów w dół górską drogą na południowy zachód, po obu stronach zapyłonej szosy usypano, niczym z kartonowych pudeł, Alamogordo, niewiele różniące się od makiet budynków używanych przez pobliską Bazę Pocisków Raketowych White Sands i Bazę Sił Powietrznych Holloman jako cele do ćwiczeń.

Alamogordo wcale nie było takie, jak sobie wyobrażała Eve, która nigdy wcześniej nie była w Nowym Meksyku. Wyobrażała sobie coś bardziej przyjaznego, mniej więcej jak wielki McDonald's dla zmotoryzowanych. Nazwała je Armagedonem, ponieważ wyglądało jak miasto, które wybudowano po jakimś okropnym kataklizmie. Z kolei dom Cloudcroft, z marmurowymi podłogami, sufitami latilla, kominkami wielkości wiejskiej chałupy, z zamkowymi wrotami i pałacowymi oknami, był jej zdaniem największym, najpiękniejszym domem, jaki kiedykolwiek widziała; największym, najpiękniejszym, najlepiej wyposażonym i - w pewnym sensie - najdziwaczniejszym.

Dom Cloudcroft, zbudowany w 1899 jako lokum dla miejscowych górników srebra, został przebudowany w połowie lat trzydziestych dziewiętnastego wieku. W Cloudcroft, stworzonym z olbrzymich drzew i miejscowych kamieni, wszystko wykonano ręcznie. Fasadę uznawano za najdoskonalszy przykład rękodzieła artystycznego Ameryki Północnej, podczas gdy olbrzymie wnętrza w stylu art deco kończył ten sam architekt, który zaprojektował słynny Ahwanee Lodge w Parku Narodowym Yosemite. To wyjaśniało, dlaczego dom przypominał Eve Hotel Overlook Kubricka. Projektant Overlook wzorował się na Afawanee Lodge. Cloudcroft miał trzydzieści apartamentów sypialnych, każdy wykończony w indywidualnym, etnicznym stylu. W skład wyposażenia wchodziło centrum łączności satelitarnej i

biznesu; kino na pięćdziesiąt miejsc z systemem dźwięku THX; kręgielnia, cztery korty tenisowe, dwa baseny, kryty i odkryty; solarium i klub fitness; ogrzewany garaż z miejscem dla czterdziestu samochodów i skuterów śnieżnych; obserwatorium, prywatny wyciąg narciarski wzdłuż czerwonego szlaku; i pole golfowe - duma i radość Calvina Wallenberga oraz jedna z głównych atrakcji dla większości jego gości: na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza pole na sześćdziesiąt osiem uderzeń było najwyżej położonym polem golfowym na świecie.

Kolekcja sztuki i antyków Cala Wallenberga była urzekająca, ale wcale nie ekstrawagancka; w piwnicach Cloudcroft nie było żadnych zamkniętych skrzyń zawierających skarby świata. Ewa z zadowoleniem odkryła, że Wallenberg dzielił z nią entuzjazm do szkoły malarstwa Hudson River i miał kilka dzieł Thomasa Cole'a i Samuela R.B. Morse'a. Jego kolekcje brązów Fredericka Remingtona i obrazów Alberta Bierstadta, który malował raczej amerykański zachód niż północny wschód, należały do dwóch największych znajdujących się w prywatnych rękach.

Eve mniej ceniła wyraźny entuzjazm Wallenberga dla bomby atomowej. W całym domu wisiały w ramach fotografie grzyba po eksplozji jądrowej, wiele z nich wykonano w pobliskim Trinity. Podobnie nie interesowała jej srebrna patera wysadzana trynitem - ten unikatowy, zielony jadeit powstał, gdy żar pierwszej atomowej eksplozji stopił pustynny piasek - którą Wallenberg trzymał pośrodku ogromnego stołu w jadalni. To srebrne naczynie, jak powiedział jej Wallenberg, nie emitowało więcej promieniowania, niż można było otrzymać podczas długiego lotu, lecz Eve to nie uspokajało i pomimo że kwiaty, które często zdobiły patere, nie cierpiały w żaden widoczny sposób, wołała jej nie dotykać. W piwnicy znajdował się nawet schron przeciwoatomowy, zbudowany w szczytowym okresie zimnej wojny.

Wallenberg miał też ogromną słabość do kotów i w domu było ich kilka, a prawie zawsze jakiś siedział na kolanach gości Cloudcroft, więc Eve z łatwością przychodziła do głowy myśl o doktorze Strangelove lub jakimś złoczyńcy z filmów o Jamesie Bondzie, kiedy patrzyła na Wallenberga. Jednakże on był wobec niej nienagannie grzeczny i nie krył szczególnego zadowolenia, kiedy zorientował się, że czyta książkę *Atlas zbuntowany*. Zapytał nawet, co o niej sądzi.

Prawda była taka, że Eve czytała tę książkę z trudem i nie rozumiała, skąd tyle zamieszania wokół niej; jak dotąd miała wrażenie, że książka usiłuje przekonać czytelnika, by uwierzył, że jest lepszy od innych ludzi, ale Eve nie uważała, że jest lepsza od innych. Nawet nie od Brada. Mogła oskarżać Brada o wiele rzeczy, ale

choć wiedziała, że w stosunku do kobiet nie postępuje uczciwie, w głębi serca był przyzwoitym, przestrzegającym prawa obywatelem. Tego samego nie mogła powiedzieć o sobie.

- Ta książka chyba podoba się czytelnikom, którzy dużo myślą o sobie - powiedziała. - To oni są ważni, a nie rządy i inni ludzie, i takie tam rzeczy. - Wzruszyła ramionami. - Ja do nich nie należę. To nie ja. Nie wiem. Według mnie każdy robi to, co musi, ale wszyscy wiedzą, że żaden człowiek nawet w przybliżeniu nie jest tak ważny jak całe państwo.

- A jak myślisz, co się stanie - spytał Wallenberg, nawiązując do jednego z tematów książki - jeżeli zastrajkują ci, którzy pociągają za sznurki na świecie?

- A dlaczego mieliby strajkować?

Wallenberg powstrzymał się, zanim powiedział zbyt wiele. Ten temat ciągle go nurtował. W tej chwili wielu gości udawało się do Cloudcroft. Nie przyjeżdżali wyłącznie na golfa. Za zaproszeniami kryła się poważna polityczna kwestia.

- Aby na moment odciąć silnik tego świata. Zastanawiałaś się, co mogłoby się stać z rynkami światowymi, jeżeliby najbogatsi ludzie przestali pracować? Masz pojęcie, jak na takie coś zareagowałyby reszta świata?

Eve uśmiechnęła się do siebie i odpowiedziała, że nie ma pojęcia, ale pomyślała, że za niecałe siedemdziesiąt dwie godziny odpowiedzi na niektóre z dziwacznych pytań Ayn Rand nagle staną się dla wszystkich bardziej zrozumiałe.

2. Zbliża się weekend

Według magazynu „Forbes” („narzędzia biznesu kapitalistycznego”) na planecie było pięciuset trzydziestu ośmiu miliarderów. Ich łączny majątek wynosił 1,73 biliona dolarów - więcej niż wartość rocznego produktu narodowego brutto Francji. Średni wiek tych ludzi wynosił sześćdziesiąt dwa lata. Trzydziestu dwóch miliarderów miało lat czterdzieści lub mniej. Najmłodszy, zaledwie dwudziestodwuletni, odziedziczył fortunę po ojcu - wydawcy. Najstarszy, brazylijski potentat na rynku mediów, miał dziewięćdziesiąt sześć lat. Sześćdziesięciu ośmiu miliarderów było nieżonatych. Przynajmniej dwóch było homoseksualistami. Dwudziestu sześciu wyleciało ze studiów. Stu pięćdziesięciu dziewięciu samodzielnie dorobiło się majątku. Wśród nich było tylko trzydzieści siedem kobiet. Wszystkie odziedziczyły

fortunę po ojcach lub mężach. Najbogatsza kobieta na świecie była menedżerem funduszu na rynku sprzedaży terminowej, wartym dziewięć miliardów dolarów.

Jak w wielu innych dziedzinach Amerykanie zdominowali ekskluzywny klub najbogatszych ludzi świata. Należało do niego dwustu siedemdziesięciu jeden miliarderów, a do pierwszej dziesiątki ośmiu. Najbogatszy człowiek świata, John B. Allyn III, to amerykański rekin oprogramowania komputerowego, wart pięćdziesiąt osiem miliardów dolarów. Dla odzwierciedlenia amerykańskiej dominacji w świecie zamożnych co roku czasopismo „Forbes” publikowało oddzielną, tylko amerykańską listę czterystu najbogatszych ludzi w Ameryce. Z nich stu dwudziestu dziewięciu nie było w zasadzie miliarderami, chociaż nawet najbiedniejszy miał sporą szansę zarobić wystarczająco dużo, aby przekroczyć magiczną granicę w niespełna siedem lat. Pieniądz robi pieniądz.

*

- Cholera jasna.

George Shapira nie lubił, aby mu przypominano, że jest miliarderem. Miał siedemdziesiąt lat i postanowił, że zdecydowana część jego olbrzymiej fortuny trafi do Fundacji Shapira, kiedy on i jego żona Irina odejdą z tego świata. Jako prezes i naczelny strateg Superposition - wielopoziomowych funduszy inwestycyjnych, którymi zarządzał - Shapira nadal działał na rynkach finansowych, ale najbardziej interesował się filantropią oraz pisaniem. Rok wcześniej wydał książkę *A New Philosophy of Capital*. Omawiał w niej sprawę nowego oświecenia w kapitalizmie. Ostrzejsi krytycy przypominali historię o bogaczu i Łazarzu w Ewangelii świętego Łukasza. Bardziej łagodni komentatorzy dostrzegali pewne wartości w propozycjach Shapiry, ale uważali, że kapitaliści tacy jak on wkrótce przedstawiają jedyny, prawdziwie niezależny oraz iście reformujący bodziec dla biurokratycznie ograniczonych i ideologicznie zbankrutowanych polityków. Wszystko to - fundacja, filozofia, książka - na nic się zdało, teraz to widział, i to z ostrością zaskakującą nawet dla proroka Daniela.

George Shapira żył bowiem w przekonaniu, że wkrótce umrze. Stare porzekadło, według którego piorun nigdy nie uderza dwukrotnie w to samo miejsce, najwyraźniej nie dotyczyło Singapuru, szczególnie gdy startowało się podczas burzy

- Cholera jasna - powtórzył.

Kiedy dwaj piloci usiłowali zapanować nad odrzutowcem gulfstream V, Shapira wtulił się w fotel obity cielejącą skórą i zamknawszy oczy, ścisnął klonowy stolik przed sobą, ignorując laptop Sony Vaio, który przed kilkoma sekundami spadł na ręcznie tkany dywan. Dziewiętnaście minut po starcie z międzynarodowego lotniska Changi odrzutowiec właśnie osiągnął wysokość czternastu tysięcy metrów, kiedy trafił go piorun i to nie raz, ale dwukrotnie, niszcząc cztery systemy zasilania prądem zmiennym gulfstreama V i - co ważniejsze - statecznik poziomy, przez co nos samolotu przechylił się w dół. Po kilku minutach, gdy przepływ powietrza wokół skrzydeł został poważnie zakłócony, samolot znacznie zwolnił i stanął dęba niczym statek idący rufą pod wodę.

- Cholera jasna, zaraz zginiemy.

„Przywódca giełdowych spekulantów zginął w katastrofie lotniczej”, tak będą donosić gazety. To było sprawiedliwe: jego Superposition było najlepiej spisującym się funduszem inwestycyjnym w historii. Oczywiście, wspomną o pieniądzach, które zarobił, rywalizując ze światowymi walutami, co mu przyniosło złą sławę. Tylko czy wspomną o jego fundacji i myślach zawartych w książce, bo na pewno nie zapomną o prywatnej wyspie w archipelagu Andamanów u wybrzeży południowej Thajlandii, domu w Bel Air za sześćdziesiąt milionów dolarów, sześćdziesięciometrowym szkunerze Camper & Nicholson z pięćdziesięcioosobową załogą marynarzy i stewardów, i dwudziestu dziewięciu miliardach dolarów, które według „Forbesa” był wart. (Faktycznie był wart trzydzieści). To wydawało się nieprawdopodobne.

- Cholera jasna, szybciej - popędzał pilota. - Szybciej.

George Shapira, któremu serce i żołądek podchodziły do gardła, uświadomił sobie, że dla świata nic z tego, co dla niego było naprawdę cenne, nie miało dużego znaczenia poza faktem, że pewnego dnia w 1977 roku sprzedał z wyprzedzeniem tajski baht i malezyjski ringgit z wyznaczonymi terminami płatniczymi od pół roku do roku, co przyniosło mu na czysto miliard dolarów, kiedy nie można było utrzymać stosunku dolara do południowo-wschodnioazjatyckich walut. Fakt, że zarobił taką sumę w jeden dzień, był ważniejszy od samych pieniędzy. Ludzie lubili historie o łatwych pieniądzach. Jak wielka wygrana na loterii. Nikt nie chciał słuchać o facecie, który pracował przez trzydzieści lat, żeby zarobić kolejne dwadzieścia dziewięć miliardów dolarów. To fakt, że zarobił miliard w jeden dzień, poruszał ludzką wyobraźnię.

Gdy samolotem zaczęło rzucać na boki, Shapira pochylił się i zwymiotował na kolana mężczyzny siedzącego naprzeciw, swojego kasjera, Dicka Stanleya. Ten prawie

tego nie zauważył. Był zbyt zajęty wykrzykiwaniem modlitwy do jakiegoś boga, w którego wierzył. Shapira zrobił krótką przerwę i zwymiotował ponownie. Przypominał sobie rozmowę z psychoterapeutką z Park Avenue, z którą konsultował się przed kilku miesiącami.

- Jestem jak człowiek nakarmiony pieniędzmi - powiedział doktor Flusfeder. - I tryskam tą zieloną breją w każdej sali konferencyjnej przy Wall Street, jak ta dziewczyna z *Egzorcysty*.

- Masz na myśli Lindę Blair?

- Nie pamiętam, jak się nazywała.

- Grała Regan. Tak miała na imię ta postać.

- Obojętnie, efekt był ten sam. Zielony paw. Całe litry. Jak grochówką. Cóż, tak się czuję. Jestem tak pełen pieniędzy, że aż nimi rzygam.

- Ten film jest o opętaniu przez demona. Myślisz, że jesteś opętany przez pieniądze w podobny sposób, jak Regan była opętana przez diabła. Uważasz pieniądze za diabła? Za złego ducha?

- Uważam, że to możliwe - przyznał niechętnie.

- Co doprowadza nas do pytania o egzorcyzmy.

- Jakie to pytanie?

- Chciałbyś, aby opuścił cię duch pieniędzy?

- Chciałbym, aby w moim życiu coś liczyło się bardziej niż pieniądze. Czuję, że pieniądź spycha moje prawdziwe ja na margines życia. Chce mną zawładnąć. Tak, nawet dochodzi do opętania. Ale nie, pieniędzy nie chciałbym stracić. Nie chciałbym być biedny, jeżeli o to ci chodzi.

- Regan, czy raczej diabeł w niej, używa wymiocin jako broni, jako obelgi wobec księdza i Boga. Myślisz, że używasz pieniędzy w ten sposób? Myślisz, że jest to obraza Boga?

- Niewykluczone, że tak.

- To naprawdę fascynujące.

Fascynujące!

Ludzie zawsze zachowywali się dziwnie, gdy stawali oko w oko z pieniądzem. Zupełnie jakby spotkali gwiazdę filmową. Shapira nie miał złudzeń co do własnej osoby. W nim jako takim nie było nic ciekawego - nie, to z pieniądzem chcieli się spotykać; to pieniądza chcieli dotykać, zupełnie jakby go dotykając, mogli zaczerpnąć nieco siły z jego istoty, w ten sam sposób jak chorzy dotykali królów, aby wyzdrowieć.

A jeżeli pieniądź był jedynie wymiocinami, chcieli, aby na nich wymiotowano, i to porządnie, jak Dick Stanley w fotelu naprzeciw.

Fascynujące!

Pieniądź był nowym idolem, a im większy, łatwiejszy do zdobycia, tym większym cieszył się uznaniem. Opisywany w gazetach, szacowany w czasopismach biznesowych i wyszydzany w kolorowych magazynach; wielkie bogactwo i zachcianki - prywatne wyspy, olbrzymie domy, najlepsze samochody, luksusowe jachty - podziwiano z zapartym tchem, ze zmysłową fascynacją, jak najrzadszą pornografię.

- Słuchaj, o Izraelu, Pan twój, Bóg...

Kiedy bezbożnik Shapira niezdarnie usiłował sobie przypomnieć modlitwę, samolot ustabilizował lot, a kilka minut później drzwi od kabiny pilotów otworzyły się i jeden z nich zlany potem, jakby ujeżdżał mustanga, wszedł do przedziałów dla pasażerów, żeby sprawdzić, czy jego pracodawca nie dostał zawału serca albo nie zginął od uderzenia w głowę, kiedy samolot obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni wokół własnej osi.

- Wszystko w porządku, panowie? - zapytał, łapiąc oddech.

Shapira skinął głową, a Stanley jedynie mruknął i zaczął wycierać się serwetką.

- Co się stało, do diabła? - zapytał Shapira.

- Dwa razy uderzył w nas piorun. Lądujemy natychmiast - powiedział, wracając do kokpitu. - Na Sepangu.

Shapira nic nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, gdzie jest Sepang. I nic go nie obchodziło, gdzie wylądują, byle tylko bezpiecznie dotarli na ziemię. Może obchodziłoby go trochę bardziej, gdyby wiedział, że Sepang to nowe międzynarodowe lotnisko w Malezji. Gdyż w przeciwieństwie do Tajlandii czy Singapuru Malezją rządził skorumpowany i bezwzględny reżim i jeszcze w 1997 rządząca partia, wówczas prowadzona przez doktora Mahathira, otwarcie oskarżyła kilku zachodnich menedżerów funduszy asekuracyjnych, w tym George'a Shapirę, o spowodowanie kryzysu malajskiej waluty i nazwała ich przestępcami.

Problemy Shapiry w powietrzu mogły się skończyć, ale problemy na ziemi właśnie się zaczynały.

Rupert Sterne uważał, że z kablami jest trochę tak jak z pieniędzmi - nigdy ich nie starcza. Nowe kable z włókna szklanego i przełączniki sygnalizacyjne, które opracowała jego firma, C-Kwadrat, mogły już przesyłać dane z prędkością światła, dziewięć tysięcy kilometrów przez sieć, bez żadnej elektrycznej regeneracji. Osobiście Sterne miał sześćdziesiąt pięć patentów w dziedzinie generacji sygnałów optycznych, a następne trzy czekały w kolejce na zatwierdzenie, co czyniło C-Kwadrat firmą numer jeden w walce o nieskończoną szerokość pasma, to, co Sterne nazwał w wywiadzie dla „Forbesa” „telekomunikacyjnym kontinuum”. Wizja świata Sterne’a z natychmiastową łącznością sugerowała, że w ciągu dziesięciu lat koncepcja czasu ulegnie zmianie. - TKK da nam możliwość przemawiania do ludzi z ekranu telewizora z taką łatwością, z jaką mówimy do nich w codziennym życiu - powiedział w wywiadzie dla „Forbesa”. - Większość komentatorów sugerowała, że wcale nie przeceniał możliwości współczesnej techniki, dalekowzroczni inwestorzy, szukając długoterminowych inwestycji, Ignęli do C-Kwadrat. Wall Street kochała Ruperta Sterne’a. W niecałe cztery lata po debiucie na giełdzie jego akcje z trzydziestu pięciu dolarów skoczyły na sto sześć - więcej niż najwyższe notowania General Motors - a i tak były bardzo poszukiwane przez NASDAQ. C-Kwadrat był najszybciej rozwijającą się firmą w Stanach, a czterdziestodwuletni Sterne jednym z najbogatszych ludzi na świecie, jego majątek szacowano na osiemnaście miliardów dolarów.

Rupert Sterne miał wszelkie powody ku temu, by być szczęśliwym. Nie tylko stawał się z każdą minutą bogatszy o tysiąc osiemset dolarów, lecz także wkrótce się żenił z cudowną dziewczyną, Sheryl, która przypadkiem była pracownicą firmy. Małżeństwo dla Ruperta Sterne’a, jak dla większości ludzi, było powodem do uctowania, więc zaplanowano duże przyjęcie w domu Sterne’a na Maui, kiedy wróci z czterodniowego wypadu do Calvina Wallenberga w Nowym Meksyku. Lecz małżeństwo wiązało się także z interesami, co wymagało spotkań z całym zespołem prawników i księgowych, ponieważ rozwód mógłby mieć poważne konsekwencje finansowe, których Sterne oczywiście chciał uniknąć. W tym celu sporządzono dziesięciostronicową przedmażeńską intercyzę, którą właśnie Sterne czytał wraz z doradcami prawnymi w sali narad zarządu C-Kwadrat w siedzibie firmy w Orlando na Florydzie.

Sterne, któremu ponížanie swoich prawników sprawiało przyjemność, dotarł do końca umowy, a potem odrzucił ją na bok, zniecierpliwiony, lawiną kruczków i

zależności zawartych w umowie. Nie widział nic złego w języku prawniczym, ale chciał dostać jasny i wyraźny dokument, który Sheryl bez trudu zrozumie.

- Nikt nie oszczędzi mi męki czytania tego gówna? - rzucił pytanie w powietrze, zupełnie jakby nie mógł dłużej patrzeć na tych ludzi w nienagannych garniturach. - Czy może mi ktoś po prostu powiedzieć, ile ten romantyczny gest będzie mnie kosztował?

Był wysokim i przystojnym mężczyzną - co według wielu innych obecnych tu mężczyzn było niesprawiedliwe. Samo posiadanie osiemnastu miliardów dolarów dawało wystarczająco wiele szczęścia, ale Pan Bóg i najlepszy chirurg plastyczny w Beverly Hills uznali za stosowne dodać twarz i posturę greckiego boga.

- Masz prawo zakończyć wypłaty, kiedy powstanie trust z dwoma milionami dolarów - powiedział Milo Warner. - W tym dom za górną cenę dziesięciu milionów dolarów.

- Dziesięć milionów, hm? - Sterne skinął głową, obliczając, że jest to zaledwie jedna dwutysięczna jego obecnej wartości, wziął pióro i podpisał. - W takim razie jest to błąd, który mogę popełnić.

Uśmiechnął się. A wszyscy odpowiedzieli uśmiechem, co czynili zawsze, kiedy ich najważniejszy klient żartował.

- Rupert? - zagadnął Milo Warner, jeden z partnerów z firmy prawniczej. - Mogę zapytać, kiedy planujesz poprosić Sheryl o podpisanie tego dokumentu?

- Tuż przed ślubem.

- Kiedy mówisz „tuż przed”, czy masz na myśli dzień przed, parę godzin czy minut?

- Godzinę albo dwie. Zdaje się, że nie na darmo to się nazywa intercyza przedślubna, racja? Ojciec Sheryl był kiedyś prawnikiem. Nie mam nic przeciw staremu skurczybykowi. Ale mogłaby dać mu to do przeczytania, gdyby chciała się kogoś poradzić. Nie chcę jej oszukać, lecz nie chcę też, żeby banda łajzowatych prawników wyciągnęła ze mnie więcej pieniędzy niż do tej pory.

Prawnicy Sterne'a uśmiechnęli się nerwowo w obliczu deklarowanej przez ich szefa pogardy dla ich profesji. Bez wątplenia wobec Sheryl pewnie też się tak zachowywał, ale ta sprawa nie była poruszana w dyskusji wśród jego doradców; w końcu wychodziła za człowieka wartego osiemnaście miliardów dolarów i nie było nikogo, kto by pomyślał, że Sheryl nie dostaje sporo, z intercyzą czy bez. Jak Rupert

chciał to przedstawić, zależało wyłącznie od niego. Pomimo to Milo Warner czuł się w obowiązku coś zasugerować.

- Przypuśćmy, że odmówi podpisu - powiedział, poprawiając poplamione palcami okulary. - Przypuśćmy, że spojrzy raz na dokument i odwoła wszystko.

Rupert Sterne zaśmiał się.

- Milo, posłuchaj. Pozwól, że coś ci powiem o Sheryl. Jest katoliczką. Natomiast ja nie wierzę w Boga bardziej niż w rządy akcji. Sheryl na pewno by nie chciała nieślubnego dziecka. - Po raz pierwszy zdradził komukolwiek z nich, że Sheryl jest w ciąży. Nie zaszokował ich fakt, że Rupert jest gotów wykorzystać swoje nienarodzone dziecko jako element w strategii negocjacyjnej. - Nie mówiłem? Tak. Jest w piątym miesiącu.

- No to gratulacje - odpowiedział Milo.

Sterne zignorował inne szmery wyrażające aprobatę i kontynuował.

- Toteż ona nie będzie niczego odwoływać. Ani ryzykować pójścia przed ołtarz z takim brzuchem, jakby wesele miało odbyć się na porodówce. Poza tym zaprosiła ponad pięciuset gości. Co oznacza, że podpisze. Może nie być tym zachwycona, ale wiesz co? Podpisze. Podpisze, ponieważ musi podpisać. Dobrze, przejdźmy do drugiej sprawy. Czy nasi hinduscy prawnicy sfinalizowali zakup budynku w Bombaju?

- Tak - odparł Milo Warner. - Dzwonili dzisiaj rano w tej sprawie.

- Wspaniale. To możemy wprowadzać do ruchu nasze hinduskie TTK na większą skalę. Do tej pory mieliśmy tylko sto pecetów na kontinuum. Teraz możemy eksperymentować z wprowadzeniem tysięcy.

Hinduskie kontinuum było najambitniejszym i najbardziej tajnym planem Ruperta Sterne'a. Pomysł polegał na tym, że gdy tylko zaistnieje łańcuch pięciu tysięcy pecetów między Stanami Zjednoczonymi a subkontynentem indyjskim, C-Kwadrat zamknie wydział księgowości w Jacksonville na Florydzie i przeniesie całą tę żmudną robotę biurową do Azji. Rachunek był prosty: pięć tysięcy amerykańskich pracowników biurowych pracujących czterdzieści godzin tygodniowo kosztowało C-Kwadrat około stu dwudziestu pięciu milionów dolarów rocznie, ale pięć tysięcy hinduskich pracowników zatrudnionych sześćdziesiąt godzin tygodniowo będzie kosztować firmę mniej niż jedną dziesiątą tego... zaledwie piętnaście milionów dolarów na rok. Te kolosalne oszczędności mówiły same za siebie. Stern jednak zdawał sobie sprawę, że pozbawienie pracy pięciu tysięcy Amerykanów było politycznie ryzykowne i wymaga wyjątkowego rozwiązania. Lecz co mógł zrobić?

Biznes to biznes, nie dobroczynność, chociaż ta też często okazywała się interesem. Postępu nie można było powstrzymać.

Pewnego dnia Rupert Sterne spodziewał się zostać najmniej popularnym człowiekiem w Ameryce, ale i najbogatszym.

*

Po wylądowaniu w Kuala Lumpur, na międzynarodowym lotnisku Sepangu George Shapira postanowił nie czekać na przyjazd inżynierów Gulfstreama z ośrodka w Singapurze, ale samemu lecieć prosto do Changi. Chciał jak najszybciej wydostać się z Malezji. Doktora Mahathira mógł zastąpić doktor Pasar, ale i tak ten sam nienawistny reżim nadal był u władzy.

Z Changi mógł złapać lot United Airlines do Los Angeles, skąd jego drugi firmowy gulfstream IV, głównie używany przez żonę i rodzinę, mógł zabrać go na weekend do Cabana Wallenberga w Nowym Meksyku.

Przez pewien czas plan przebiegał bez zakłóceń; jednak gdy wraz z Dickem Stanleyem - który zdążył się przebrać w inny garnitur - przechodził do sali odlotów, aresztowało ich dwóch oficerów Królewskiej Policji Malezyjskiej w cywilu i zawiozło pięćdziesiąt kilometrów na północ od Kuala Lumpur.

Tam, w starym, brytyjskim budynku kolonialnym w Dataran Merdeka, zostali przesłuchani przez kilku rządowych urzędników, zanim Shapirze postawiono oficjalny zarzut sprzedania poniżej wartości malajskich ringgitów w lipcu 1997, dzięki czemu uzyskał korzyść majątkową, co jest jednak przestępstwem według malezyjskiego prawa.

- Co to ma znaczyć po przełożeniu na prosty angielski? - zapytał Shapira głównego śledczego, doktora Aziza, który pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

- To defraudacja - wyjaśnił doktor Aziz z niedostrzegalnym śladem przeprosin.

- Absurd - odparł Shapira. - Jeżeli doszło do przestępstwa, to popełniły je zachodnie banki inwestycyjne, udzielając tak dużego kredytu waszemu rządowi. To doprowadziło do korupcji i kryzysu. Gdybym nie grał przeciw waszej walucie, kto inny by to zrobił.

- A wówczas kto inny siedziałby na pana miejscu, panie Shapira - podsumował doktor Aziz, zdejmując lekko przyciemniane okulary i czyszcząc je starannie krawatem.

Shapira zerknął na Dicka Stanleya, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Najbardziej niedorzeczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem - podsumował Stanley. - Ale czego można się spodziewać po kauczukowej republice?

- Co teraz będzie? - zapytał Shapira.

- Pański paszport zostanie skonfiskowany i zostanie pan zatrzymany w Malezji aż do procesu.

- Ile to potrwa?

Doktor Aziz westchnął.

- Przypuszczam, że prokuratura zamknie dochodzenie w rok.

- Rok? - Shapira wstał. Zaczynał dostrzegać powagę sytuacji. Mogli zrobić z nim, cokolwiek chcieli. Nawet jeżeli amerykański sekretarz stanu miałby się w to zaangażować, może tu spędzić kilka tygodni, może nawet miesięcy. - Nie mogę zostać tutaj tak długo. Domagam się widzenia z ambasadorem Stanów Zjednoczonych.

Doktor Aziz wzruszył ramionami.

- Wszystko w swoim czasie. Wpierw musi pan stanąć przed magistratem, gdzie określona zostanie wysokość kaucji.

- Co może pomóc w mojej sprawie? - zapytał spokojnie, siadając.

- Nie jestem pańskim prawnikiem, panie Shapira.

- Nie mówię o prawie. Mówię o tym, co jest pragmatyczne.

- Tak, rozumiem. Dobrze jest być pragmatycznym? Widzę sposób, w jaki całą sprawę można zgrabnie ominąć.

- A jakiż to sposób, doktorze Aziz?

- Powszechnie wiadomo, że prowadzi pan akcje dobroczynne, panie Shapira.

Czytałem w „Fortune” o tym, jak przekazuje pan czterysta milionów dolarów rocznie swojej słynnej fundacji. Bez wątpienia to wspaniały sposób uchylania się od płacenia podatków. A tak... sama chwała i dobra wola. Dostrzegam, co pan na tym zyskuje.

Minister, widząc, że Shapira chce zaprzeczyć, uniósł rękę i kontynuował:

- Nasz premier, doktor Pasar, tak jak pan, uwielbia działalność dobroczynną.

Między innymi to dlatego mieszkańcy Malezji kochają go tak bardzo. Może gdyby pan wsparł jedną z akcji charytatywnych premiera...

- Prowadzoną bez wątpienia przez któregoś z członków rodziny premiera - wtrącił Stanley.

- ...to na sprawę pańskiego przestępstwa można by przymknąć oko. Uważam, że gdyby tak pan postąpił, otrzymałby pan z powrotem paszport i mógłby wkrótce wyjechać z kraju.

- Ile? - warknął Shapira.

- Za dobroczynność doktora Pasara? Myślę, że pięćdziesiąt milionów dolarów to odpowiednia suma.

- Pięćdziesiąt milionów dolarów?

Shapira był oburzony. Łapówka to jedno, a mała fortuna to drugie.

- Och, panie Shapira. Dla kogoś takiego jak pan to dwu-, trzytygodniowe zarobki. I myślę, że to raczej mało w porównaniu z tym, co pan zarobił na ringgicie. Miliard dolarów, prawda? Lud Malezji nie jest mściwy. Nie nosi w sercu urazy. W każdym razie nie sądzę, aby przyjął mniej, niż to, co daje pan swoim szacownym fundacjom.

- Na podjęcie takich pieniędzy potrzebuję dzień lub dwa.

- George, nie zapłacisz chyba tego okupu - zaprotestował Stanley.

- Nie mam wyjścia - odrzekł Shapira. - Mogę z łatwością stracić pięćdziesiąt milionów, zanim stanę przed sądem pierwszej instancji.

- Rozumiem, dlaczego dotarł pan na sam szczyt, panie Shapira - powiedział doktor Aziz. - Jest pan realistą. To dobrze. Dla pana i dla nas. Apartament w hotelu Ritz Carlton już został zarezerwowany. Będzie pan naszym gościem.

- Bardzo przezerne z waszej strony - odrzekł Shapira.

- Proszę pozwiedzać. Odpocząć. Zrobić zakupy. Kupić żonie prezenty. Wydać trochę pieniędzy.

- Nie, dziękuję - odparł Shapira. - Ten wyjazd już stał się dość kosztowny.

*

Pod koniec 1999 roku i na początku 2000 giełda stała się nową religią. Od boomu lat dwudziestych dwudziestego wieku, który poprzedzał wielki kryzys 1929, tylu wierzących nie tłoczyło się w szklanych katedrach Wall Street, aby zapalić świeczkę łatwym pieniądzem. Niegdyś petenci wchodzili do konfesjonałów, aby anonimowo odebrać sakramenty od kapłana, przez kratkę; ale pod koniec milenium włączali komputery i ślali e-maile do swoich maklerów. Nawet po zapaści firm internetowych i ogólnego kryzysu rynku, do którego doszło po zniszczeniu World Trade Center, prywatni inwestorzy, długo ignorowani przez profesjonalną społeczność, nadal

codziennie handlowali, po prostu siedząc przed komputerem. Powab roztaczany przez łatwe pieniądze wciąż kusił. Dla większości wtajemniczonych wielka bitwa na procenty i zyski zasadniczo dobiegła końca, ale miliony Amerykanów nadal było przekonanych, że czekają na nich akcje firm nastawionych na szybki zysk, że są na wyciągnięcie ręki jak samородki złota na równinach Black Hills w Dakocie. Częściowo wynikało to z normalnej, ludzkiej chciwości, lecz był to też wyraz przekonania, że w tym kraju wciąż można łatwo zarobić. Teleturnieje obiecywały miliony dolarów każdemu, kto znał odpowiedź jedynie na piętnaście pytań. Jeszcze więcej milionów obiecywano każdemu, kto potrafił wybrać sześć numerów z czterdziestu dziewięciu. Książki opisywały, jak nawet sąsiad stawał się milionerem poprzez dokonanie zaledwie kilku finansowych operacji. Internet, gościł już niemal w każdym domu i chociaż na Stany Zjednoczone uderzyli muzułmańscy terroryści, na początku 2003 roku mało było inwestorów, którzy słuchaliby ostrzegawczych głosów analityków finansowych. Rządził rynek i on ustanawiał zasady. Rynkowy fundamentalizm triumfował, a kwestionowanie supremacji wartości rynkowych nad politycznymi i społecznymi zakrawało na herezję; produkty, nie idee; zyski, nie prorocy - to stanowiło klucz do odrodzenia się rynku.

Jednym z najbogatszych inwestorów w nowej Utopii Rynku był Scott Jordan. Absolwent Harvardu wart dwadzieścia jeden miliardów dolarów był drugi po Bogu dla wielu ludzi. Jego GENE-I-USA, firma mająca wiele patentów z zakresu genetyki i sporządzająca profile DNA, generowała dochód ośmiuset milionów dolarów rocznie, a przewidywano, że w następnych dwudziestu latach przekroczą piętnaście miliardów, co pchnęło akcje GENE-I-USA o ponad pięćset procent od czasów IPO. Z sześcioma domami, pięcioma jachtami, dwoma odrzutowcami, trzydziestoma jeden samochodami, łodzią podwodną, sześcioma współzamieszkującymi kochankami, sześcioma końmi wyścigowymi, ośmiorgiem dzieci i kilkoma ważnymi, naukowymi zaszczytami, Jordan powinien być bardziej zadowolony z siebie, a przynajmniej powinien nieco optymistyczniej spoglądać na pieniądze i rynek. Temu współczesnemu Sardanapalowi wszystko się układało.

Pieniądze i zobowiązania wobec giełdy zaczęły jednak mocno ciążyć Jordanowi. Zarządzanie majątkiem było zajęciem na cały etat. Prowadzenie interesów nie ograniczało się jedynie do bilansu na koniec roku i rocznych dochodów. On i jego firma musieli stawać na głowie, aby podołać zobowiązaniom co kwartał.

Scott Jordan był zmęczony. Nie mógł się doczekać czterodniowego wypadu do Calvina Wallenberga do Nowego Meksyku, nawet jeżeli miało to oznaczać przebywanie z mnóstwem nudnych miliarderów. Trudno było zorganizować te cztery dni w domu Wallenberga i Jordan zazdrościł tym starym miliarderom. Być ogromnie bogatym nie stanowiło już długo wyczekiwanego i pożądanego celu w życiu. W dwudziestym pierwszym wieku posiadanie pieniędzy wiązało się z zatrudnieniem na pełen etat.

Ostatnio zaczął myśleć o sobie jak o współczesnym Gatsbyem; nie w sensie powabu i blichtru, ale raczej w sensie wielkiego niespełnienia. Trudno o „amerykańskie marzenie”, kiedy mógł zaspokoić każdą swoją zachciankę albo najbardziej wyszukane pragnienie. Może ten dylemat dręczył także Gatsby’ego. Tej rzeczy ludzie nigdy tak naprawdę nie rozumieli w wielkim bogactwie... w pewnym sensie to w dziwny sposób zniechęcało. Jaki sens miało to wszystko? Jeżeli Scott Jordan osiągnął „amerykańskie marzenie”, nie miało ono nic wspólnego z przyszłością, co najwyżej stanowiło lament za tym, co utracone i nigdy nie zostanie odnalezione.

Było w tym coś więcej, niż uświadamiał sobie wcześniej. Stworzył jeden z jego najlepiej sprzedających się biotechnologicznych produktów - Sześć Stopni. Pierwotnie opracowany dla agencji strzegących prawa, otrzymał nazwę po przebojowej broadwayowskiej sztuce Johna Guare’a i był biokomputerowym programem, który pozwalał uczestnikowi na dostęp do światowej bazy danych DNA i w ciągu kilku minut wyśledzenie swoich przodków. Sześć Stopni odnajdywało kraj pochodzenia użytkownika, ilustrowało rodzinną diasporę, a nawet pokazywało, z jakimi słynnymi ludźmi, martwymi lub żywymi, użytkownik był spokrewniony. Za pięćset dolarów domowy genealog kupował prosty program do profilowania DNA, który generował profil użytkownika pod postacią kodu cyfrowego. Sześć Stopni był najlepiej sprzedającym się programem komputerowym wszechczasów. Lecz Scottowi Jordanowi jedynie przypominał, kim tak naprawdę jest. A raczej nie jest.

Najsłynniejszą osobą, z którą spokrewniony był Scott Jordan, okazał się Franz Stangl, komendant Treblinki, obozu zagłady w Polsce. Scott Jordan zbyt późno zrozumiał, że czasami lepiej jest nie wiedzieć, kim tak naprawdę jesteście. Pierwszy na roku na Harvardzie, z ilorazem inteligencji 174, wyższym niż u dziewięćdziesięciu czterech procent populacji, a tu okazuje się, że jest spokrewniony, co prawda daleko, ze zbrodniarzem wojennym. To był najciemniejszy sekret Scotta Jordana - nie

dlatego, że on sam był dawcą genu inteligencji, który firma opatentowała, a który jakieś pół miliona par na całym świecie już dodało embrionom swych dzieci za cenę dwóch tysięcy dolarów. Jordan uważał, że nie będą szczęśliwsi, kiedy odkryją, z kim dawca tak zwanego genu inteligencji był spokrewniony, tak samo jak sam się z tego nie cieszył.

Jordan skończył ćwiczyć w olbrzymiej firmowej sali gimnastycznej i wjechał windą na dziesiąte piętro budynku Cambridge, gdzie w swoim przeszklonym z trzech stron biurze, z niesamowitym widokiem na rzekę Chales i Massachusetts Institute of Technology, któremu Jordan sfinansował nowy, wart sto milionów dolarów, wydział badań genetycznych, czekał na spotkanie w cztery oczy Peter Godwin, jego dyrektor finansowy.

- Cześć, Peter - powiedział Jordan i wyjąwszy z lodówki butelkę wody z lodowca, usiadł w fotelu w stylu Henry'ego Millera. Wskazał palcem Godwina i dodał: - Ocena opcji - określając cel spotkania.

Godwin, który wiedział, jak bardzo jego szef miliarder nienawidzi liczb, starał się uprościć sprawę.

- Chciałbym zabezpieczyć przed inflacją opcje terminowe, które dajemy naszym pracownikom.

Jordan uśmiechnął się.

- Zabezpieczenie brzmi dobrze. Wiem wszystko o zabezpieczeniach. Co właściwie masz na myśli? Skobel? Łańcuch?

Godwin lekko się uśmiechnął.

- Nie, Scott, mam na myśli pochodną.

- W porządku, Peter. Wiem, co to zabezpieczenie funduszu. Przynajmniej teoretycznie. Tylko żartowałem.

Godwin skinął głową cierpliwie i postanowił przejść do sedna sprawy.

- Okay. Jesteś świadom, że wolno nam odjąć koszt opcji udziałowych dochodu do opodatkowania? Ale nie od dochodu, do którego przyznajemy się przed naszymi inwestorami.

Jordan skinął głową w odpowiedzi.

- Będziemy odkupywać własne udziały, gdy tylko opcje zostaną wprowadzone. Co oczywiście korzystnie wpłynie na cenę naszych udziałów. Większe zapotrzebowanie na akcje, sam wiesz. Jednak będziemy także kryć się, kupując opcje sprzedaży od First Boston Credit Suisse, dając bankowi prawo sprzedaży nam części udziałów w

konkretnym terminie i za konkretną cenę. Innymi słowy, dostarczą nam udziałów potrzebnych na zabezpieczenie tych opcji, ale w cenie, która będzie o wiele niższa od faktycznej ceny rynkowej.

- Zakładając oczywiście, że nasze udziały pójdą w górę - zauważył Jordan.

- Nawet przy niesprzyjających tendencjach rynkowych nie widzę, żeby nasze akcje mocno spadły. Nie jesteśmy jak ci komputerowcy. Oni nie mają nic nowego na sprzedaż. Ale Wall Street wie, że planujesz wypuścić nowy produkt. Dla tych gości jesteś wart w brylantach tyle, ile ważysz.

- Nadal uważam, że cena naszych udziałów jest za wysoka. Czuję się przez to jak pieprzona cebulka tulipana.

Godwin starał się przybrać pewną siebie minę.

- Wszystkie duże firmy tak robią. Pomyśl o tym w ten sposób. Załóżmy, że w przyszłym roku, kiedy opublikujemy, że nasz obrót wyniósł miliard, wszystkie te opcje zostaną wykorzystane przez naszych pracowników. Załóżmy też, że cena naszych akcji znacznie przewyższa wartość tych opcji sprzedaży. O dwadzieścia procent. Tak, założmy, że jesteśmy teraz na poziomie dwudziestu procent. Całkiem rozsądne założenie oparte na wzroście z poprzedniego roku. To zysk wysokości dwustu milionów dolarów na samych opcjach sprzedaży. - Godwin uśmiechnął się. - W zasadzie zbieramy gotówkę, rozdając akcje, i uszczęśliwiamy wszystkich pracujących dla firmy.

Jordan wypił trochę wody i podszedł do olbrzymiego okna. Rzeka wyglądała cudownie spokojnie w porannym słońcu... idealny dzień, żeby popływać łódką. Może firma mogłaby podarować przystań? To wyglądało na znacznie lepszy pomysł niż propozycja Godwina.

- Mówię ci, Peter, nie lubię derywatyw, ponieważ nie wierzę, że można zmierzyć ryzyko i wyznaczyć cenę ryzyka. Wiele firm wpada na takich rzeczach i kończy się tym, że golą je krócej, niż prosiły. Ale skoro uważasz, że to dobry pomysł...

- Oj, dobry.

- To zróbmy to. Tylko nie pomył się, Peter. Nie pomył.

*

George Shapira odziedziczył po ojcu dwie rzeczy: umiejętność przetrwania i instynktowną niechęć do totalitaryzmu. Malezja może i miała wybory i parlament, ale

jeśli chodziło o George'a Shapirę, niespecjalnie różniła się od Zimbabwe pod rządami Mugabe, Birmy albo Korei Północnej Kim Dzonga Ila. Mimo tego, co powiedział doktorowi Azizowi, Shapira pod żadnym pozorem nie miał zamiaru podarować reżimowi Muhammada Pasara pięćdziesięciu milionów dolarów.

Wkrótce po zameldowaniu się w hotelu Ritz Carlton Shapira zadzwonił do banku w Zurychu i zorganizował elektroniczny transfer pieniędzy. Proces ten powinien zająć co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Zrobił to, ponieważ był przekonany, że malezyjska tajna policja będzie podsłuchiwać wszelkie rozmowy w przydzielonym mu apartamencie. Miał nadzieję, że jego rozmowy z bankiem uspią ich czujność i doprowadzą do fałszywego przekonania, że spełnia ich życzenia. I gdy tylko się dowiedział, że inżynier z Gulfstream Service Center w Singapurze zakończył naprawiać system elektryczny w jego odrzutowcu, posadził obok siebie Dicka Stanleya i zaczął na laptopie wypisywać instrukcje.

NIC NIE MÓW. POKÓJ MOŻE BYĆ NA PODSŁUCHU. JEDŹ NA LOTNISKO I WRACAJ DO SINGAPURU BEZE MNIE. TY NIE JESTEŚ ARESZTOWANY. GDY TYLKO ZNAJDZIESZ SIĘ W POWIETRZU, ZADZWOŃ DO BANKU I POWSTRZYMAJ PRZELEW ELEKTRONICZNY. ZAMIERZAM WYJECHAĆ Z KRAJU MOSTEM NAD CIEŚNINĄ JAHORE. SPOTKAMY SIĘ W FOUR SEASONS.

Widząc, jak Stanley marszczy brwi, Shapira dodał:

NIE MARTW SIĘ. MAM PODWÓJNE OBYWATELSTWO. SKONFISKOWALI MI TYLKO AMERYKAŃSKI PASZPORT. NADAŁ MAM BRYTYJSKI.

Stanley przekręcił laptop do siebie i napisał odpowiedź.

WYGLĄDA NA NIEBEZPIECZNE. MOŻESZ SKOŃCZYĆ W WIĘZIENIU. NA PEWNO WIESZ, CO ROBISZ?

Shapira skinął głową i napisał.

CZYŻ DOKTOR AZIZ NIE SUGEROWAŁ, ABYŚMY POZWIEDZALI MIASTO? ZANIM ZORIENTUJĄ SIĘ, CO SIĘ STAŁO, BĘDĘ W SINGAPURZE. PRZECIEŻ NIE DAM TYM GNOJOM PIĘĆDZIESIĘCIU MILIONÓW DOLARÓW.

Dick Stanley znalazł Shapirę wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nic nie odwiedzie staruszka od tego planu. Kiedy George Shapira wpadał na jakiś pomysł, trudno go było od niego odwieść. Stanley napisał:

POWODZENIA, GEORGE.

Potem wyciągnął portfel i podał Shapirze wszystkie swoje pieniądze. Powiedział na głos:

- Jeżeli idziesz na zakupy, możesz potrzebować trochę więcej pieniędzy, gdybyś zobaczył coś, co ci się spodoba.

Shapira wziął pieniądze i wyciągnął rękę na pożegnanie, potem skinął głową.

- Bezpiecznej podróży, Dick - wyszeptał.

- Tobie też tego życzę, George.

Pół godziny później Shapira stał przed frontowymi drzwiami hotelu i czekał na taksówkę. Pojechał nią aż do nocnego sklepu przy Petaling Street, na wypadek gdyby go obserwowano. Będą go śledzić? Niewykluczone. Ale gdzie mógł się udać? W końcu malezyjska policja już skonfiskowała mu paszport. Mimo to Shapira nie zamierzał ryzykować i przygotował się na najgorsze. Poza tym przywykł do zacierania śladów. Tak więc przez pewien czas wędrował po sklepie, napawając się widokami i zapachami pomimo sytuacji, w jakiej się znalazł, oraz dużej wilgotności. Stopniowo próbował zagubić się w tłumie, wpierw pozbywając się marynarki, a potem koszuli marki Turnbull & Asser i krawata, które zamienił na T-shirt z Garfieldem.

Po wyjściu ze sklepu udał się na dworzec kolejowy - zielonkawy budynek, w stylu muzułmańskim, zbudowany przez Brytyjczyków. Tam przez moment rozkoszował się w poczekalni chłodem klimatyzacji. Miał zamiar wziąć taksówkę do Johor z postoju przed dworcem, ale gdy zobaczył, że właśnie ma odjechać pociąg do Johor, pomyślał, że to dobry omen, i kupił bilet. Zawsze dobrze mu szło, kiedy ufał instynktowi. Logiczne myślenie mogło cię zaprowadzić daleko, ale potem i tak trzeba było zdać się na instynkt. Był niezbędny, kiedy kupowało się i sprzedawało tyle co Shapira. Później kupił trochę jedzenia i wody, bo czekała go ośmiogodzinna podróż, a także przewodnik, żeby wyglądać na prawdziwego turystę, a nie uciekiniera. Następnie wsiadł do pociągu i starał się odprężyć. To ryzykowne przedsięwzięcie niemal sprawiało mu przyjemność.

*

Kiedy Charles Poynder, wspólnik Errola Laurensona, zmarł na raka w wieku czterdziestu sześciu lat, czterdziestoczteroletni miliarder postanowił zrobić, ile tylko zdoła, aby jego nie spotkał taki koniec. Laurenson miał wcześniej obsesję na tle własnego zdrowia, ale śmierć Poyndera nakłoniła go do wywindowania poziomu opieki zdrowotnej na zupełnie nowy poziom. Skonsultował się z całą rzeszą speców od medycyny niekonwencjonalnej i ostatecznie kupił szwajcarski biotechnologiczny

ośrodek badawczy w Zurychu o nazwie Dorian Forschung Gruppe. DFG było jedną z pierwszych firm używających systemu BTA - Biological Terrain Analysis - do diagnozowania chorób. BTA, już popularne w Hollywood wśród rozkapryszonych gwiazd filmowych martwiących się stanem zdrowia, przeprowadzało skomputeryzowaną analizę krwi, moczu i śliny, która miała na celu dobór programu żywieniowego, suplementów witaminowo-mineralnych, leków homeopatycznych i ziołowych.

Po zakupie DFG Laurenson wydawał miliony dolarów na rozwój firmy i uczynienie z niej przodującego w świecie ośrodka zapobiegawczego i dzięki jego wizji oraz pieniądзом, DFG wkrótce zaczęło oferować najbogatszym tego świata dwuletnią procedurę monitorującą zdrowie, którą niektórzy z komentatorów porównywali z rygorystycznym przeglądem, diagnostyką i procedurami naprawczymi używanymi w samochodach Formuły I lub prywatnych odrzutowcach.

Dwa razy w roku Laurenson leciał do Szwajcarii, aby przez cały weekend poddawać się testom i zabiegom, których większość oparta była na założeniu, że biochemia - aminokwasy, enzymy i płyny ustrojowe - jest kluczem do zdrowia i zdrowienia. I za każdym razem, kiedy Laurenson wracał z Zurychu, wiedział wszystko o swoim ciele, od pH krwi po wartość potencjału redoks moczu. Nic dziwnego, że kiedy brytyjski tabloid doniósł o weekendowych zabiegach leczniczych Laurensona za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, nazwał go „człowiekiem za sześć miliardów dolarów”.

Errol Laurenson przeciwstawił się tylko jednej rzeczy w tym opisie, mianowicie wycenie. Obliczył, że jest wart osiem razy więcej.

Gdy tylko boeing 737 wystartował z Zurychu, Laurenson wziął kąpiel i przygotował się do snu. Za niecałe dwanaście godzin będą lądować w Alamogordo, niedaleko bajecznego Cloudcroft Calvina Wallenberga.

Do jego bogactwa przyczynił się głównie program komputerowy Moneypenny. Moneypenny to wielki następca Windows Microsoftu. W ciągu niespełna dwu lat Moneypenny wyparł Windows i był teraz numerem jeden w oprogramowaniu komputerowym. Moneypenny, dostawszy nazwę po sekretarce z powieści o Jamesie Bondzie - wszystkie należały do ulubionych Errola Laurensona - był stuprocentowo dokładnym, aktywowanym głosem oprogramowaniem do biurowych pecetów: sam dzwonił i odbierał telefony, można mu było dyktować, wyznaczał spotkania, odpowiadał na korespondencję i prowadził finanse on-line. Używając głosu Sigoumey Weaver lub George'a Clooneya, można było przyuczyć Moneypenny do zamawiania

sprawunków, rezerwacji stolika w restauracji i nie tylko pamiętania o rocznicach, ale nawet zamawiania przez internet odpowiedniego prezentu na tę okazję. Istniała nawet funkcja ściągania niezapłaconych rachunków. Mówiąc krótko, Moneypenny był idealną sekretarką, nie mógł tylko człowiekowi siadać na kolanach i prosić o podwyżkę. Przy milionach zestawów sprzedanych na całym świecie - w samej Wielkiej Brytanii sprzedaż Moneypenny sięgnęła pięciu milionów - ten program stanowił podstawę bogactwa Errola Laurensa, na którą składały się fabryki w Szkocji, na Tajwanie, w Meksyku i Czechach, niezdolne sprostać zapotrzebowaniu na Moneypenny.

Z całego oprzyrządowania produkowanego przez Delphus żadne nie było ważniejsze dla przyszłości firmy niż Add-Visor, aktywowany głosem dodatek Moneypenny do laptopa i palmtopa. AV, przypominający daszek osłaniający przed słońcem oczy dealerów samochodowych, był plazmowym ekranem, na który komputer wielkości paczki papierosów, noszony w kieszonce na piersi, przekazywał dane za pomocą sygnału podczerwonego. Pierwotnie opracowana dla amerykańskiej armii, „ulepszona” wersja aktywowanego głosem AV została wypuszczona na rynek i - przynajmniej na początku - okazała się ogromnie popularna wśród osób, które poza obsługą komputera potrzebowały rąk do innych czynności. Korzystali z niej wszyscy, od policjantów po chirurgów. Ale AV nie był łatwy w obsłudze. Podobno AV nie sprawdził się w Afganistanie; jedna z publikacji komputerowych powoływała się na rzecznika armii, który twierdził, że Laurens sprzedał rządowi ideę, nie produkt i że Add-Visor obecnie używany przez żołnierzy na polu walki przeszedł trzydzieści siedem poprawek od zatwierdzenia przez wojsko. To przyczyniło się do załamania sprzedaży, gdy klienci postanowili poczekać na wersję AV wolną od robaków komputerowych, która według plotek miała zostać ukończona za sześć miesięcy. Wszystko to oznaczało, że obrót w pierwszym kwartale następnego roku fiskalnego wyniesie wiele milionów dolarów poniżej planu.

Laurens, usłyszawszy pisk swojego AV, oznaczający przyjście e-maila, podniósł wzrok na mały, niebieski ekran i zobaczył, że wiadomość przyszła od Jeffersona Burra, wiceprezesa Delphus Corporate Finance: były to liczby, nad którymi Burr spędził poprzedni weekend, przygotowując oświadczenie Laurensa zaplanowane na piątkowy wieczór.

Laurenson usiadł na łóżku i otwierając e-mail komendą głosową, przejrzał pospiesznie liczby. Kiedy czytał, odczuwał, jak ciepła poświata zdrowia znika z organizmu poddawanego BTA.

Według liczb Jeffersona Burra Delphus planował wzrost obrotów o czterdzieści procent, natomiast rzeczywistość była taka, że firma zwiększy potencjał o niecałe dwadzieścia procent. W konsekwencji Delphus miał ogłosić stratę ponad dwudziestu centów na akcji. Krótko mówiąc, firma stała w obliczu zagrożenia utraty środków i Burr radził Laurensonowi zainicjowanie natychmiastowej restrukturyzacji i programu obcinającego koszty.

Laurenson potrząsnął głową zmęczony i na moment zanikł obraz na AV. Nagły ruch powodował zanik obrazu, który mógł trwać nawet trzydzieści sekund; to nie taki znowu duży problem, chyba że było się chirurgiem albo żołnierzem podejmującym decyzję w ułamku sekundy. Uderzył się w bok głowy, aby zrestartować na nowo program AV, i znowu przeczytał liczby.

Nawet taki egocentryczny maniak jak Laurenson widział, że Burr nie przesadzał. Będą musieli zwolnić wielu ludzi w działach sprzedaży i marketingu - może nawet dziesięć procent wszystkich zatrudnionych... i to jak najszybciej. Prawdopodobnie tego popołudnia. Zaczął dyktować odpowiedź do mikrofonu wielkości dziesięciocentówki.

- Dyktuję. Temat, odpowiedź na e-mail od Jeffersona Burra. Tekst. Drogi Jeffie, dziękuję za liczby. Stop. Czyta się je jak horror Stephena Kinga. Stop. Przerazające. Stop. Nawet przy założeniu, że to są twoje najgorsze prognozy - myślnik - to twoja praca - myślnik - zgadzam się, przecinek, musimy natychmiast zacząć obcinać koszty. Stop. To oznacza obcięcie etatów w marketingu i sprzedaży, przecinek, ale nie w rozwoju produkcji. Musi zostać ktoś, kto wykopie nas z tej dziury. Stop. Dziesięć procent cięć, przecinek, dwutygodniowa odprawa, przecinek, począwszy od dzisiaj. Stop. Jeżeli wygląda to na twarde warunki, przecinek, pamiętaj, przecinek, że większość tych ludzi ma opcje giełdowe, które im dałem. Stop. Więc możesz równie dobrze powiedzieć, że jedynie chronię ich inwestycje w Delphus. Stop. Jeszcze jedno. Stop. Odwołaj wakacyjne przyjęcie. Stop. Koniec tekstu. Czytaj e-mail w odpowiedzi.

Money Penny odczytała tekst e-maila i kiedy Laurenson go zatwierdził, kazał wysłać. Nie lubił tracić pracowników. Minęło zaledwie kilka tygodni od dorocznej konferencji sprzedaży, kiedy powiedział wszystkim, że największym aktywem Delphus są ludzie zatrudniani przez firmę. Oczywiście on i wszyscy inni, którzy to słyszeli,

wiedzieli, że to kłamstwo. Wszyscy - rynki, pracownicy Delphus, banki, media i Errol Laersonson - wiedzieli, że największym aktywem firmy byli nie pracownicy, nawet nie produkty, ale raczej software'owy geniusz, którym był sam Laersonson.

Miliarder przełączył funkcję dyktowania na kreatywną i zaczął podawać stosowne zwroty do notki prasowej, którą będą musieli opublikować w poniedziałek: „nadal rozwija się szybciej od konkurencji” i „pierwsza strata kwartalna w naszej historii”. Skrzywił się. Pisanie programów komputerowych było niczym w porównaniu z pełnym pokory tłumaczeniem się w prasie.

*

Według przewodnika, który Shapira kupił na dworcu w Kuala Lumpur, istniało wiele powodów, aby odwiedzić Johor. Lasy Parku Narodowego Endau-Rompin zamieszkiwały najrozmaitsze rzadkie zwierzęta, w tym orangutan i tygrys sumatrzański, podczas gdy nadmorska wioska Descru cieszyła się popularnością wśród entuzjastów sportów wodnych. Shapira za najlepszą rzecz w Johor uważał most nad cieśniną prowadzący do Singapuru. I oczywiście perspektywa wyjazdu z Malezji stawała się jeszcze słodsza za sprawą faktu, że nie tylko zaoszczędzi pięćdziesiąt milionów dolarów, ale zagra na nosie doktorowi Pasarowi. Teraz żałował jedynie, że podczas sprzedaży malajskich ringgitów w 1997 ta mała spekulacja walutą nie przyczyniła się do upadku tego znieawidzonego reżimu.

Podczas ośmiogodzinnej nocnej podróży pociągiem z Kuala Lumpur położył się na kuzetce i przespał chwilę. Jednak przez większą część czasu tylko wyglądał przez okno, był za bardzo zdenerwowany, by robić cokolwiek innego. W którym momencie władze zmęczą się słuchaniem jego nagranych głosów i zajrzą do apartamentu? Jak długo będą ignorować wywieszoną na klamce kartkę „nie przeszkadzać”? Wejdą do pokoju, w którym go nie zastaną. Z pewnością był bezpieczny do rana, a wtedy powinien już przekroczyć most.

W końcu pociąg wtoczył się do Johor Baharu i Shapira wysiadł. Wyszedł z dworca, żeby złapać taksówkę, starając się nie patrzeć na grupę funkcjonariuszy Królewskiej Policji Malezyjskiej, którzy opierali się o ścianę przy drzwiach. Mieli nienagannie wyprasowane garnitury i twarde, baczne spojrzenia. Było w nich coś, w sposobie, w jaki kręcili się przy wyjściu, co przypominało mu o niemieckiej SA. Miał zaledwie sześć lat, kiedy ojciec wywiózł rodzinę z Wiednia, i niewiele pamiętał z kilku

ucieczek przed faszystami. Samodzielna ucieczka była wystarczająco nerwowa, a co dopiero kiedy musiałeś uciekać z żoną i czworgiem dzieci.

Shapira znalazł taksówkę prowadzoną przez uśmiechniętego, muskularnego Chińczyka i machając garścią amerykańskich dolarów, kazał mu jechać do Singapuru.

W zasadzie nad cieśniną Johor przerzucono dwa mosty i oba były wypełnione długimi kolejkami tubylców kierujących się po wyższe zarobki i do lepszych sklepów w Singapurze. Przy bramie Shapira wytrzymał z pozoru niekończącą się lustrację; nawet ze spokojem zdjął okulary przeciwsłoneczne - zupełnie bez nakazu - żeby urzędnik mógł lepiej mu się przyjrzeć, zanim otrzymał z powrotem paszport. Samochód ruszył do przodu. Musiał jeszcze przejść przez singapurskie biuro imigracyjne po drugiej stronie zatłoczonego mostu, ale główna przeszkoda została pokonana. Był wolny.

Pół godziny później Shapira znalazł się w apartamencie hotelu Four Seasons i opisywał podróż Dickowi Stanleyowi. Najzabawniejsze było to, że na godzinę lub dwie przed przyjazdem Shapira do Singapuru, władze malezyjskie powiadomiły lokalne media, że go aresztowały. W normalnych okolicznościach Shapira był człowiekiem bardzo skrytym, który rzadko rozmawiał z prasą, ale okazji zawstydzenia rządu doktora Pasara nie można było sobie odpuścić. Kiedy tylko się ogolił; wziął prysznic i zmienił ubranie, zwołał konferencję prasową, aby wyjaśnić okoliczności swojego zatrzymania, a następnie uciezki, oraz potępić malezyjski reżim. Zadeklarował również, że przekaze dziesięć milionów dolarów opozycji, Malezyjskiej Partii Ludowej, największej z osiemnastu partii domagających się zmian w Malezji.

Po południu, po ponadgodzinnym przemówieniu do dziennikarzy, George Shapira wsiadł do swojego odrzutowca i podjął przerwana podróż do Nowego Meksyku.

*

Calvin Wallenberg trzymał swoje najbardziej drogie nuklearne twory ustawione na podwójnym biurku z orzecha w gabinecie wielkości muzeum. Były tam kawałki żółtego uranu - surowe i oczyszczone - i grafitu, niektóre z nich zamknięte w wielkich bryłach grubego perspexu, filtry do rozdzielania izotopów i modele w skali bomb Fat Man i Little Boy; pióro wieczne i okulary, niegdyś własność Alberta Einsteina leżały obok podstawy do fajki Roberta Oppenheimera i egzemplarza

Bhagavadgity, którą osobiście opatrzył dedykacją; okulary, które Edward Teller nosił podczas eksplozji w Trinity, leżały obok szybki spawacza używanej przez Richarda Feynmana do osłony oczu przed jaskrawym jak słońce błyskiem wybuchu atomowego; ciężarek pionu z Enoli Gay i parę zielonych wtyczek z bomby Little Boy, które zabezpieczały przed przypadkową detonacją podczas transportu na pokładzie Enoli Gay, leżały ułożone obok celownika bombowego i fotografii Enoli Gay podpisanej przez dwunastu członków załogi. Najbardziej poruszająca ze wszystkiego była poczerniała książka z japońskimi rymowankami, na której widać było jaśniejszy cień dziecięcej ręki.

Wallenberg miał sporo antyków i dzieł sztuki, ale żadna z tych rzeczy nie interesowała go tak, jak pamiątki związane z bombą atomową. Ludzie często go pytali, dlaczego tak bardzo interesuje się ich kolekcjonowaniem, ale Wallenberg, nad wyraz skryty człowiek, rzadko odpowiadał zgodnie z prawdą. Lecz teraz, kiedy jego asystentka, Fiona Lovatt, spytała o to, okazało się, że chce jej szczerze odpowiedzieć, może nawet wyrzucić na niej wrażenie, i w tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo ją polubił. To prawda, pożałował jej od dawna; ale teraz to było coś innego, coś silniejszego. Spotkali się, żeby omówić ostatnie ustalenia dotyczące rychłego przyjazdu jego gości - miliardarów.

- Przez cały czas, kiedy pracowałeś dla mnie, nie pytałaś - rzekł Wallenberg. - Dlaczego teraz?

- Nigdy nie uważałam, że mam prawo pytać - odparła Fiona.

- To mi się podoba - powiedział Wallenberg. - Tak samo jak fakt, że teraz doszłaś do wniosku, że pora zapytać. Chyba jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Mam nadzieję - odparła Fiona, chociaż przez prawie dwa lata liczyła, że może zostanie kolejną panią Wallenberg, tak samo jak aktorka liczy na to, że dostanie pierwszoplanową rolę w filmie albo sztuce.

Ale jej uczucia do Wallenberga uległy zmianie. Jeżeli wcześniej pragnęła go, ponieważ był bogaty, teraz pragnęła go, bo się w nim zakochała. A przynajmniej tak sobie mówiła. Fiona, urodzona w Anglii, studiowała w szkole dramatycznej w Bristolu i zawsze z pewnym trudem przychodziło jej określić, gdzie kończyła się rola, a zaczynało prawdziwe życie.

- Dobrze, powiem ci, dlaczego zbieram te rzeczy. Nikomu tego nie mówiłem. - Wallenberg wstał z fotela wielkości tronu i obszedł biurko, aby usiąść na jego brzegu i wziąć w ręce niektóre ze skarbów ery atomowej. - Miałem siedem lat, kiedy w Trinity

ekspłodowała pierwsza bomba. Byliśmy tu wtedy, szesnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Mój tata, który miał dużo przyjaciół w wojsku, został ostrzeżony, że coś ma się wydarzyć, więc siedzieliśmy do późna i wpatrywaliśmy się w pustynię z wieży obserwatorium. I tak byśmy nie spali. Tamtej nocy w całym Nowym Meksyku lało jak z cebra. Prawdziwa burza z piorunami.

Około czwartej nad ranem do taty zadzwonił gubernator stanu, który powiedział mu, że strzał... tak nazywali test... wyznaczono na wpół do szóstej, więc mamy się upewnić, że dom jest całkowicie zabezpieczony. Martwili się, że kiedy ludzie uświadomią sobie, co się stało, dojdzie do rozruchów i trzeba będzie wprowadzić stan wojenny. Tata poszedł pozamykać drzwi, a mama obudziła służbę... mieliśmy tutaj o wiele więcej ludzi niż dzisiaj... i kazała zaparzyć kawę. Na pewno mama się bała, że wydarzy się coś złego. Jednak ojciec był podekscytowany. Powtarzał mi, że chociaż świat zawsze się zmienia, to jest coś wyjątkowego w zobaczeniu na własne oczy, jak to się dzieje. Zapamiętałem to na zawsze.

Wallenberg wskazał na sufit.

- O piątej weszliśmy na wieżę i spojrzeliśmy na północny zachód, gdzie dokładnie o piątej trzydzieści zobaczyliśmy jaskrawy błysk, który trwał około dwóch sekund. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, wyglądało to, jakby zadziałała potężna lampa błyskowa. To było sto dziesięć kilometrów stąd. Mówię ci, Fiono, to zmieniło moje życie. Wydawało mi się, że kiedy nauczyliśmy się unicestwiać siebie, pozbawiliśmy Boga pracy. W Biblii Szawel widział oślepiające światło na drodze do Damaszku i został nawrócony na chrześcijaństwo. To samo przytrafiło mi się na pustyni w Nowym Meksyku.

Wziął do ręki przyciemnianą szybkę, którą zasłaniał oczy Feynman przed oślepiającym wybuchem.

- Można by rzec, że są to moje ikony. Święte relikwie nowego wieku.

- To ciekawa historia - powiedziała Fiona i czule ścisnęła szorstką dłoń Wallenberga. - Dziękuję, że się nią ze mną podzieliłeś.

Był ponaddwukrotnie od niej starszy, ale Fiona nabrała przekonania, że przyciągają ją nie tylko jego pieniądze. Poza tym starsi panowie zawsze jej się podobali. Lubiała ich rozważność i maniery, także błyskotliwą rozmowę, ale szczególnie podobała jej się siła Wallenberga. Siedząc w olbrzymim gabinecie w Cloudcroft, często myślała, że Wallenberg przypomina prezydenta. Jeśli już, to był potężniejszy niż prezydent. Najwyraźniej znał wszystkich, którzy coś znaczyli: jego

terminarz czytało się jak międzynarodowe *Who's Who* i co ważniejsze, przez wszystkich odwiedzających Cloudcroft, bez względu na ich bogactwo czy władzę, był traktowany z nieodmiennym respektem. Czasami „respekt” nie był odpowiednim słowem, by opisać to, jak traktowano Wallenberga, a zdarzały się sytuacje, kiedy stawał się arbitrem wśród potężnych korporacji na Wall Street niczym - nie przychodził jej do głowy żaden współczesny człowiek, z którym mogła porównać swojego pracodawcę - niczym jakiś Howard Hughes.

Wallenberg poczuł dotyk smukłej dłoni Fiony i z satysfakcją zauważył, że mimo wszystko on jej się podoba, ale nie chcąc popsuć ich relacji pracodawca-pracownik poprzez niezdarne zaloty, wrócił na przeciwną stronę biurka i podniósł listę gości, którą mieli omawiać, kiedy ona zapytała go o pamiątki związane z bombą atomową.

- Dobrze - powiedział. - Dzwoniłaś rano na lotnisko? Zabezpieczyli większą ilość paliwa do odrzutowców?

- Rozmawiałam z Edem przed godziną i wszystko jest gotowe: paliwo, namiot na przyjęcie, schody do samolotów, wszystko.

Wallenberg skinął głową.

- A czy wszyscy otrzymali namiary lotniska i inne dane?

- Razem z zaproszeniem - odparta Fiona. - Eliot Massinger sam będzie pilotował.

- F15?

Fiona skinęła głową.

- Jezu, chciałbym to widzieć.

- Możesz prawdopodobnie obejrzyć jego przylot w telewizji. Ekipy już tam są.

- Nie tracą czasu, co? Jak z bezpieczeństwem?

- Na miejscu są ludzie pana Clarenca. Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do biura szeryfa okręgu Otero. Wyślą dzisiaj po południu wóz patrolowy na lotnisko. Ale jak w zeszłym roku, nikt się nie spodziewa zbyt wielu gapiów.

- To i lepiej - powiedział Wallenberg. - Ta historia z George'em Shapirą... cóż, udowadnia, że wszystko może się wydarzyć. Przypomnij mi, żeby nigdy nie leciał do Malezji.

- Rozmawiałam z jego ludźmi w Kalifornii. Pan Shapira czuje się dobrze.. Już jest w drodze do nas. Ale przybędzie ostatni.

- Tylko nie ulokujmy go w tajskim apartamencie. Chyba jak na razie ma dosyć Dalekiego Wschodu.

Fiona popatrzyła na ekran swego laptopa.

- Nie, pan Shapira dostał apartament angielski. W tajskim jest pan Volovsky. Pamiętasz? Chciałeś, żeby był jak najdalej od Errola Laurensa.

- Jest w apartamencie afrykańskim, tak?

Fiona skinęła głową.

- Obok Eliota Massingera, który zajmuje apartament japoński.

- Racja, racja. On zawsze dostaje ten apartament. Facet, który projektował ten pokój, potem urządził mu cały dom w Kalifornii.

Fiona uśmiechnęła się uprzejmie. Wallenberg nigdy nie omieszkiał wspomnieć tego faktu. Czyżby zapominał, że zawsze o tym wspomina? A może oczekiwał, że ona pochwali ten pokój i jego wystrój. Lecz ona jedynie się uśmiechnęła i odparła:

- To bardzo ładny pokój.

Trudno będzie jej zapomnieć Eliota Massingera i japoński apartament. Podczas zeszłorocznego spotkania w weekend znalazła się tam z nim i musiała walczyć. Massinger był olbrzymi i tym samym tak łatwy do pokonania jak głodna anakonda. Należał do tych miliarderów, którzy przywykli do tego, że dostają to, czego chcą, dokładnie wtedy, kiedy chcą. Fiona opanowała ziewnięcie. Wallenberg nadal mówił o apartamencie japońskim.

Fiona skinęła grzecznie głową, poczekała, aż skończy się w rozmowie wątek japoński, a potem zapytała o przemówienie, które planował wygłosić przed gośćmi jutro wieczorem. Zamierzał im powiedzieć nie tylko, jak demokracja zawiodła w Ameryce, ale także, że Ojcowie Założyciele w ogóle nie chcieli, aby zaistniała. Wierzył w oligarchię, chociaż człowiek z ulicy prawdopodobnie opisałby go jako faszystę. To nie miało znaczenia dla Fiony. Kiedy kobieta szuka bogatego męża, może przymknąć oko na każdą jego wadę z wyjątkiem jednej: braku pieniędzy.

Wallenberg przemówił do swojego peceta na biurku i przywołał przemówienie na płaskim ekranie monitora.

- Przemówienie jest w porządku - powiedział. Podniósł kota, który wszedł do gabinetu, i posadził go sobie na kolanach. - Chociaż oczywiście nadal coś tam poprawiam. - Poleciał Money Penny, aby wydrukowała kopię jego mowy, a potem podszedł do drukarki, by wyjąć kartkę z przemówieniem. - Ale przeczytaj je i powiedz, co o nim sądzisz.

- Oczywiście - odrzekła Fiona, nie zdradzając, że już je kilkakrotnie czytała. - Z przyjemnością. - Zdjęła nogę z nogi, gdy Wallenberg obszedł biurko, aby podać jej wydrukowane strony, a potem wstała. - Chyba już skończyliśmy, prawda?

Wallenberg podał jej przemówienie, ale nadal stał przed nią, drżąc z niepewności i zastanawiając się, czy powinien spróbować ją pocałować, czego bardzo chciał, bardziej niż cegokolwiek, czy raczej powinien skupić się na sprawach zawodowych i zapomnieć, że co noc przed zaśnięciem myślał o Fionie. Był dwa razy od niej starszy i czuł, że powinien dobrze się nad tym zastanowić; powinien znaleźć kogoś w swoim wieku. Mówiąc krótko, nie chciał robić z siebie głupca.

Fiona wzięła od niego przemówienie, pozwalając, by dotknął jej dłoni; zastanawiała się, czy musi runąć mur, aby zrozumiał, że jej się podoba. Następnie wyszła z gabinetu, czując, że sama musi w jakiś sposób uporać się z jego nieśmiałością. Kiedy już go zachęci do wykonania pierwszego ruchu, będzie mogła zająć się jego oporami przed małżeństwem. Nie miała mu za złe tej ostrożności. Druga żona Wallenberga, Susan, która rozwiodła się z nim w 1987, odeszła z dwoma miliardami dolarów i według „Forbesa” stała w kolejce do odziedziczenia reszty, jeżeli przeżyje swojego byłego.

- Może i jestem miliardерem - lubił powtarzać Wallenberg - ale jest jedna rzecz, na którą nawet mnie nie stać - następna żona.

3. Piątek

Eve Merlini nigdy wcześniej nie spotkała miliardera. Kiedyś stałym bywalcem „La Lanterna”, włoskiej restauracji, którą razem z mężem prowadziła w nowojorskiej SoHo, był Robert De Niro; ale chociaż do biednych nie należał, Eve nie wydawało się, żeby był miliardерem. Co innego bogactwo gwiazdora filmowego, a co innego - Rockefellera. Może, gdyby Brad bardziej interesował się biznesem niż tanimi sztuczkami - zwracał większą uwagę na gwiazdy filmowe niż kelnerki - restauracja nadal by istniała, a co za tym idzie, Eve nadal byłaby jego żoną. Bardziej niż Brada brakowało jej tego, co się wiązało z małżeństwem: domu, męża i możliwości posiadania dzieci. Bardzo pragnęła dzieci, ale biorąc pod uwagę to, czego się podjęła, szanse, że będzie wychowywać dzieci, bardzo zmały. Nie czuła się dobrze w Cloudcroft, niemal legendarnym domu Calvina Wallenberga w Nowym Meksyku, przygotowując się do gotowania dla dwudziestu jeden członków spośród czterystu najbogatszych ludzi świata. Kiedyś zakopywała się w kuchni i próbowała ignorować

to, co Brad wyprawia z jedną czy drugą kelnerką, teraz starała się wyrzucić z głowy resztę planu Clarenca i skoncentrować na swych umiejętnościach kulinarnych.

Wallenberg miał już szefa kuchni w Cloudcroft, ale według jego osobistej asystentki, Fiony Lovatt, kucharz przyrządzał niewiele potraw, ponieważ jego bajecznie bogaty pracodawca miał dość proste upodobania. Tak więc na te słynne „zjazdy” miliarder prawie zawsze wolał dać całej służbie domowej wolne i sprowadzić nowojorską lub kalifornijską firmę, przyzwyczajoną do wyrafinowanych podniebień i specjalnych wymagań dietetycznych poszczególnych gości.

Fiona, która do tej pory zorganizowała kilka z dorocznych długich weekendów Wallenberga, zawsze z radością widziała idącego na krótki urlop Benita Canovę, którego uznawała za najgorszego kucharza, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Podobnie jak reszta nielicznej służby w Cloudcroft, Benito i jego żona Anna - gospodyni - wzięli pięć dni wolnego i jak zwykle pojechali odwiedzić jej siostrę w pobliskiej Truth of Consequences. Lecz przed wyjazdem z Cloudcroft pokazał Eve i jej zespołowi kuchni i przestrzegł ich przed miejscową fauną i florą.

- Uważajcie, żeby nie zostawić śmieci luzem na dworze - mówił Benito, przesadzając przed tymi najwyraźniej łatwowiernymi nowojorczykami. - I upewnijcie się, że starannie zamykacie pojemniki, bo inaczej zjawią się tu niedźwiedzie i będą wam się naprzykrzać.

Minęły kolejne dwadzieścia cztery godziny, zanim Eve odkryła, że te niedźwiedzie, którymi, jak sobie wyobrażała, miały być wielkie grizzly, to niewiele większe od psów baribale. Temperamentem przypominały kilku miliarderów, których miała poznać w Cloudcroft - wtrącił Wallenberg - nieśmiało, otwarcie uległe i prowadzące w zasadzie nocny tryb życia. Niemal polubiła te niedźwiedzie.

W piątek rano Eve wyruszyła na lotnisko, aby podrzucić ludziom kanapki i odebrać skrzynię z homarami i barwenami, specjalną przesyłkę z Nowego Orleanu.

Około półtora kilometra od szosy 54, pod koniec pustynnej drogi, na skraju płaskiej i jałowej równiny ciągnącej się aż do podnóża gór Sacramento, dominujących w krajobrazie niczym nieubłagane tsunami, leżało lotnisko Alamogordo. Budynek portu lotniczego wykonano z prefabrykatów i nic w nim nie sugerowało, że ma jakikolwiek związek z awiacją. Z trzech znaków, które niegdyś widniały nad wejściem i oznajmiały „ALAMOGORDO”, „REGIONALNE”, „LOTNISKO”, trzeciego brakowało: prawdopodobnie został porwany przez wichurę, chociaż żaden z trzech pracowników nic o tym nie wiedział. W zwykły dzień panował mały ruch - głównie

latały cessny do El Paso lub Albuquerque - i nie było żadnej kontroli lotów. Na co dzień lotnisko było najspokojniejszym miejscem w Alamogordo, wyludnionym miasteczku z nielicznymi udogodnieniami i bazą lotniczą Holloman. Jednak to nie był zwykły dzień. Przeważnie opustoszały parking był pełen gapiów i ekip telewizyjnych z KOB, KASA, KOAT i KRQE; a na bezchmurnym, szafirowoniebieskim niebie słychać było pierwsze odgłosy zbliżających się odrzutowców.

Po dostawie Eve została jeszcze chwilę i widziała, jak Fiona wita pierwszych gości Wallenberga. Obie kobiety czekały razem w strzeżonym, klimatyzowanym namiocie postawionym w pobliżu pasa startowego, aby ochronić Fionę i limuzynę przed prażącym słońcem i ekipami telewizyjnymi. Eve poprawiła okulary przeciwsłoneczne na nosie i spojrzała w górę na boeinga 737, który zaczął podchodzić do lądowania.

- Kto jest? - zapytała.

- Murray Drennan. Spekulacje giełdowe, zarządzanie funduszami wysokiego ryzyka. Wart siedemnaście miliardów dolarów,

- Siedemnaście miliardów. - Eve się uśmiechnęła. - No, no.

- Jednego nauczyłam się od pana Wallenberga: pieniądze są jak seks. Jeżeli ci go brak, myślisz o nim przez cały czas. Przestaje być taki ważny, jeśli jest obecny w twoim życiu. Większość tych facetów tak naprawdę nie myśli, ile są warti. Wygląda na to, że jeżeli wiesz dokładnie, ile jesteś wart, to przeważnie nie jesteś wart wiele.

Eve skinęła głową: wiedziała dokładnie, ile jest warta, co do ostatniego centa.

Boeing usiadł i sunął pasem ograniczonym pustynią w rozgrzanym i rozedrganym powietrzu. Biały odrzutowiec bez jakichkolwiek oznaczeń wyglądał jak zbłąkany pocisk z White Sands albo jak pojazd bijący lądowy rekord prędkości. Gdy tylko stanął, Fiona wsiadła do czarnego przedłużonego lincolna i wolno pojechała za ruchomymi schodami kierującymi się w stronę odrzutowca.

Chwilę później przy namiocie zjawił się czarny hummvee, luksusowa wersja za osiemdziesiąt tysięcy dolarów tego samego pojazdu, w którym Eve tyle czasu spędziła w Kuwejcie. Wsiadł z niego mężczyzna średniego wzrostu w czarnym garniturze, czarnym krawacie i białej koszuli. Skłonił się krótko dwóm strażnikom, zanim zwrócił się do Eve, ujął identyfikator, który nosiła na szyi, bacznie przyjrzał się fotografii, a potem twarzy, aż Eve chciało się śmiać. Ona natomiast wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się uprzejmie.

- Cześć. Eve Merlini. Prowadzę Top Table, firmę cateringową.

Mężczyzna wytrzymał jej spojrzenie. Jego twarz była żywa i zarazem podobna do maski, a dominował w niej nos, tak szeroki jak długi, przypominający pokazną rzepę. Na jego policzkach i czole znajdowało się kilka fałd i wypukłości, natomiast usta nadawały twarzy wojowniczy wyraz, ponieważ górna warga była prawie niewidzialna przy olbrzymiej dolnej, która wyglądała jak po użądleniu pszczoły. Miał wygoloną do gołej skóry głowę i odstające uszy. Stłumiony i chropawy głos brzmiał niemal obco, wyrażał wrogość.

- Ferguson - przedstawił się w taki sposób, jakby mówił jakiś wulgaryzm, aż uświadomiła sobie, że mężczyzna jest Szkotem. Uścisk dłoni był machinalny i kleisty.

- Szef ochrony. Słyszałem o pani od pana Clarenca. Ma wysokie mniemanie o pani umiejętnościach kulinarnych. Dlatego zastanawiam się, co pani tu robi?

- To znaczy na lotnisku? Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Przyjechałam odebrać ryby, które przyleciały z Nowego Orleanu. - Wskazała polistyrenowe pudełka, stojące obok klimatyzatora. - Niestety, z powodu braku dostępu do morza w Nowym Meksyku nie ma zbyt wielu ryb.

Twarz Fergusona przybrała jeszcze groźniejszy wyraz.

- Jezu, nie znoszę tego dziwnego żarcia dla wyższych sfer. W wojsku dobre jest wszystko z patelni. Dużo frytek. Dużo węglowodanów.

- Przywiozłam też trochę kanapek dla pana i pańskich ludzi - dodała Eve; którego niższy Szkot zupełnie nie przerażał. - Jadacie kanapki, co?

Ferguson rozejrzał się po namiocie i dostrzegł olbrzymi talerz kanapek, który Eve wcześniej ustawiła na stole.

- Jadam kanapki, pewnie.

- Są wyśmienite, proszę pani - odezwał się inny z ochraniarzy, Ballard. - Dzięki, że pani o nas pomyślała.

- Smacznego - odpowiedziała Eve i zabrała kolejną skrzynkę z rybami.

Starła się o tym nie myśleć, ale nie mogła się pozbyć wrażenia. Jakie zrobił na niej Ferguson: jeżeli istniała jedna osoba, która nie odda Cloudcroft bez walki, to był nią Graham Ferguson. Sam jego widok budził w niej obawy.

*

Ekipa z KOBTW, oddziału NBC, przyjechała aż z Albuquerque tego samego ranka - trzysta pięćdziesiąt kilometrów na południe drogą międzystanową 25, a potem na

zachód szosą 580, na północ od White Sands. John Elder, producent telewizyjny pochodzący z Miami, zawsze gdy przejeżdżał przez dolinę Tularosa, kierując się do Alamogordo albo Roswell, myślał o bombie. Trinity, na zachodnim zboczu Sierra Oscura, było niedostępne dla cywilów. Lecz tuż przed pięćdziesiątą rocznicą wybuchu bomby atomowej, w 1995 roku Elder odwiedził to miejsce, aby nakręcić materiał dla biblioteki o małym pomniku ze stopionej skały, który upamiętnia tamtą pierwszą eksplozję. Sam pobyt w bezpośredniej bliskości tego miejsca wywoływał w nim mieszane uczucia, a za każdym razem, kiedy spoglądał na horyzont w drodze na lotnisko Alamogordo, spodziewał się, że zobaczy, jak któraś z chmur nad Sierra Oscura zamienia się w grzyb.

W Carrizozo, zabitej dechami dziurze, gdzie zatrzymali się na kawę i tankowanie, przyznał się do swojej paranoi na punkcie bomby i tego miejsca.

- Wiecie, że jeden z naukowców biorących udział w projekcie Manhattan, Enrico Fermi, zakładał się z innymi naukowcami o to, czy pierwsza bomba zapali atmosferę? - odezwał się, nie spodziewając się odpowiedzi, gdyż po cichu był przekonany, że Maria Montoya nie należy do najbystrzejszych w ekipie.

Trzeba jej było jednak przyznać, że przyciągała spojrzenia.

Maria Montoya, jedynie w połowie tak tępa, jak myślał John Elder, spojrzała przez okno restauracji na pompę, gdzie trzeci członek ekipy, Warren Meisler, tankował wóz transmisyjny, i skinęła bezwiednie głową, obojętna na to, co wydarzyło się trzydzieści lat przed jej urodzeniem. Eldera uznawała za dziwaka i gdyby nie jego znajomość samolotów - uwielbiał wypatrywać samolotów, co Maria uznawała za zachowanie graniczące z autyzmem - wolałaby realizować to zlecenie z innym producentem telewizyjnym. Ale na to nie mogła liczyć. Zjazd miliarderów zapraszanych przez Calvina Wallenberga zawsze zlecano Elderowi. Dzięki wyspecjalizowanej wiedzy był ekspertem awiacji w stacji telewizyjnej, co znaczyło, że relacjonował wszystko, począwszy od wypadków lotniczych po transporty wojskowe.

Wypili kawę i wyszli przed budynek, gdzie Warren Meisler palił papierosa, wsiedli do wozu transmisyjnego i na lotnisku w Alamogordo znaleźli się tuż przed dziewiątą rano.

Lecz pierwszy odrzutowiec pojawił się na horyzoncie dopiero przed południem. Dzięki odbiornikowi fal radiowych i dyskowi CD JP Airline Fleet w laptopie Elder szybko zidentyfikował odrzutowiec jako boeinga 737 należącego do Murraya Drennana.

- Co my tu mamy? - zapytała Maria.

- To najlepiej sprzedawany na świecie komercyjny odrzutowiec.

- Nie samolot. Drennan.

Elder przewertował egzemplarz „Forbesa” - Drennan został sklasyfikowany na siódmym miejscu w dziale „obracających pieniędzmi”.

- Obraca funduszami wysokiego ryzyka - powiedział, przebiegając wzrokiem biografie Drennana. - Król dźwigni finansowej. Od maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego akcje na najniższym poziomie. W zeszłym roku przekazał sto pięćdziesiąt milionów dolarów trzem organizacjom charytatywnym. Trzy miliardy dolarów w aktywach, kontrolowane przez ponad pięćset funduszy. Rozwiedziony od dziewięćdziesiątego drugiego. Prasa brukowa interesuje się nim, od kiedy widziano go w Beverly Hills z Courtney Love.

- No, teraz jest czego posłuchać - oceniła Maria. - Murray, sprawdź, czy uda ci się zrobić zdjęcie drzwi samolotu, na wypadek gdyby Courtney była na pokładzie.

- Siódmy najbogatszy facet na świecie - powiedział Elder - a ona interesuje się jakąś głupią aktorką.

- Jest tak, jak mówiłem w wozie - odezwał się Warren. - To całkiem normalne. Kilku miliardów zjawia się na weekend u innego miliardera w domu. Wielka sprawa. I co z tego?

- To, że przy takiej koncentracji bogactwa wygląda to na nieoficjalne G7 - odparła Maria i po tej uwadze John Elder popatrzył na nią dłużej.

Może nie jest taka tępa, na jaką wygląda, pomyślał, nawet jeżeli obecnie było to G8, nie G7.

Maria chciała coś dodać na temat globalizacji i elit władzy, kiedy kątem oka zauważyła przybycie na parking kilku vanów, z których wysypało się kilkunastu młodzieńców z transparentami. Zaraz zaczęli protestować hałaśliwie. Nie jest to Seattle ani Göteborg, pomyślała, ale nada się.

- Świetnie - powiedziała. - Wygląda na to, że trafiliśmy na odpowiedni temat.

Jednak John Elder bardziej interesował się obserwacją następnej maszyny podchodzącej do lądowania - myśliwca F15 Eagle, pomalowanego na czarno, z amerykańską flagą na kadłubie i domalowanym pod spodem sloganem: „Te kolory nie plamią”.

- To musi być zabawka faceta, który ma wszystko - zauważył Elder.

- Chcesz powiedzieć, że to prywatny samolot? - wykrzyknęła Maria.

Podnosząc charakterystyczną klapę hamulca aerodynamicznego, F15 zjechał z głównego pasa i kołował w stronę boeinga 737. Z wyjątkiem demonstrantów, zgrupowanych teraz na chodniku przy bramie i czujnie obserwowanych przez dwóch ludzi z Biura Szeryfa okręgu Otero, wszyscy pozostali stali za siatką ogrodzenia, klaszcząc i pogwizdując entuzjastycznie, zupełnie jakby sam Tom Cruise wylądował po udanych ćwiczeniach *Top Gun*.

- To Eliot Massinger - wyjaśnił Elder, kiedy w końcu umilkł ryk silników. - Magnat medialny.

Maria skinęła głową. Wszyscy słyszeli o Eliocie Massingerze - głównym dyrektorze i posiadaczu większościowego pakietu Vistacom, właścicielu sieci hoteli-kasyn w Las Vegas, kilku drużyn sportowych, kanału telewizyjnego, firmy płytowej i tuzina gazet, najbardziej chyba był znany z telewizyjnych reality-show, takich jak *B-Girl* i *Death Row*.

- Człowieku, to musi być odjazd - mówił Elder. - Przylecieć z północnej Kalifornii własnym myśliwcem. I gadaj tu z innymi facetami o zdobyciu pozycji i wybicciu się.

Maria pogardliwie parsknęła.

- Jak ma się tyle pieniędzy - powiedziała - to chyba trudno utrzymać nogi na ziemi.

Maria doszła do wniosku, że kamerzysta prawdopodobnie nakręcił dosyć materiału z kosztowną zabawką Massingera, i wzięła go pod ramię.

- Chodź - poleciła. - Porozmawiajmy teraz z demonstrantami.

Mała grupka protestujących, uważnie obserwowana przez dwóch zastępców szeryfa, z początku nieco ucichła, gdy zauważyła zbliżającą się ekipę telewizyjną, a potem już całkowicie zamilkła, gdy rozpoznała Marię Montoyę. Na pytania Marii odpowiadała dziewczyna o imieniu Cele. Nie rumieniła się ani nie jąkała, jak często reagowali mężczyźni, gdy stawali oko w oko z piękną Marią.

- Cześć - przywitała się Maria. - Jesteście stąd?

- Nieważne, skąd jesteśmy - odparła Cele z wojowniczością, która zaskoczyła wielu jej towarzyszy. - Ważne jedynie, dokąd zmierzamy. Czyli do katastrofy, chyba że możemy zmienić na przykład kierowcę tego autobusu, rozumiesz? Ponieważ globalizacja i ten rodzaj nadmiernej i obscenicznej konsumpcji, która tu się objawia, stanowi największe zagrożenie dla przyszłości tej planety.

- Zamierzacie zakłócić przyjęcie Calvina Wallenberga? - zapytała Maria.

- Jesteśmy tu, ponieważ ci wszyscy źli ludzie zbierają się tutaj. Nie było czasu, żeby zorganizować bardziej bezpośrednią akcję, jakie widzieliśmy w innych częściach świata, na przykład w Seattle i w Szwecji. Lecz nadal twierdzimy, że ważne jest, że dzisiaj tu przyszliśmy i demonstrujemy.

- Dlaczego uważacie ich za złych ludzi?

- To niesprawiedliwe, że tyle pieniędzy znajduje się w rękach tak nielicznych. To oburzające, że ktoś taki jak Eliot Massinger jest wart więcej niż produkt krajowy brutto Rumunii.

- Ale wielu z tych ludzi to filantropi. W zeszłym roku John Bielby Porteus dał miliard dolarów na sfinansowanie leczenia AIDS w Afryce. George Shapira przekazuje na różne cele setki milionów co roku. Co wy na to?

- Robią to, żeby oczyścić sumienie. Dla poprawy własnego samopoczucia. Albo, co ważniejsze, żebyśmy my o nich lepiej myśleli. W połowie przypadków te datki to ucieczka przed podatkami. John Bielby Porteus wydał miliard dolarów? To co? To jedna trzecia z odsetek bankowych, które zarabia na pięćdziesięciu sześciu miliardach dolarów. Darowizna miliarda dolarów wygląda na olbrzymią, dopóki nie przypomnisz sobie, ile ten facet tak naprawdę ma. Porteus mógłby przekazywać milion dolarów dziennie przez następne sto lat, a i tak zostałyby mu dwa miliardy.

Maria wykrzyknęła zdziwiona.

- Milion dolarów dziennie - powtórzyła do kamery. -Przez następne sto lat, a nadal zostaną mu dwa miliardy. Te obliczenia robią wrażenie.

- Więc nie mów, że ci faceci to wielcy filantropi. To kapitaliści, którzy oddają to, co najpierw sami zarobili na naszej krzywdzie.

Nad lotniskiem przetoczył się grzmot, jakby z gór runęła gigantyczna, metalowa beczka, odbiła się od horyzontu i spadła na pustynię. Cele i Maria podniosły głowy i zobaczyły, jak kolejny odrzutowiec schodzi do lądowania w Alamogordo.

- Podobnie było - kontynuowała Cele - w przedrewolucyjnej Rosji, kiedy to cały majątek koncentrował się w kilku rękach. Jeden procent ludności posiada ponad trzydzieści procent bogactw Stanów Zjednoczonych. Pytacie mnie, czy powinniśmy postawić tych najbogatszych pod ścianą i... nie wiem... rozstrzelać ich czy co?

Za kilka dni te słowa będą prześladować Cele MacBrazel.

- Wspaniale - powiedziała Maria. - Dzięki. Jesteście cudowni.

Eve opóźniała wyjazd z lotniska tak długo, żeby zobaczyć, jak ląduje F15, i miała właśnie skierować się do samochodu, kiedy Fiona, ciągle tuląc do piersi podkładkę niczym drewniany napierśnik, zapytała ją, czy mogłaby wrócić do domu limuzyną z Eliotem Massingerem.

- A dlaczego nie może jechać sam?

- Eve, to multimiliarder. Nawet nie potrafi sobie zrobić kawy.

- Ale tutaj sam przyleciał. Niech rozmawia z kierowcą, jeżeli potrzebuje towarzystwa.

- Poprosił mnie, abym jechała z nim. Chce towarzystwa. Przywykł, że dostaje to, czego chce. Zrób mi tę przysługę.

- Właśnie załadowałam ryby do wozu. Muszę je jak najszybciej przewieźć w chłodne miejsce. Poza tym nie jestem stosownie ubrana, aby nadszokiwać miliarderowi.

- Nonsens. Wyglądasz świetnie. Poza tym on sam nie jest ubrany wyjściowo. Ma na sobie strój pilota. Proszę, Eve.

- A nie mogę zawieźć go explorerem?

- Ferguson by mi na to nie pozwolił. Szyby w explorerze nie są kuloodporne. Limuzyna jest opancerzona.

- Żartujesz.

- Raczej nie. W dzisiejszych czasach nadmiar ostrożności nie zawadzi. A teraz kiedy zjawili się ci demonstrowanci, lepiej dmuchać na zimne. Słuchaj, Massinger ma tylko bagaż podręczny. Każę Ballardowi przeładować ryby do bagażnika limuzyny. Nie czuć ich, co?

- Jeszcze nie.

- Dobrze. Któryś z ochroniarzy może przyprowadzić explorera później.

- Dobra, niech ci będzie, wrobiłaś mnie.

- Dzięki, Eve. Doceniam to. Jeszcze jedno. Uważaj na niego. Ten człowiek ma więcej rąk niż bogini Kali i jest równie niebezpieczny.

- Och, teraz rozumiem. Ten facet będzie się do mnie przystawiał, co?

- Nie mówię, że nie.

- Piękne dzięki, Fiono.

- Jak sobie z tym poradzisz, zależy od ciebie. Ale pamiętaj, on nie szuka żony.

- To dobrze. Ponieważ ja na pewno nie szukam męża.

Eve podeszła do explorera i wzięła zakupy zrobione w miejscowym supermarkecie, podczas gdy Ballard, który miał prowadzić limuzynę, przeniósł ryby do bagażnika lincolna. Przy asfalcie było trzydzieści pięć stopni, więc z ulgą wślizgnęła się na tylne siedzenie obok Massingera, który okazał się wysoki jak koszykarz i równie pewien siebie.

- Cześć - powiedział, wyciągając rękę wielkości rakiety tenisowej. - Jestem Eliot Massinger, ale to chyba już wiesz.

Eve uznała go za wystarczająco atrakcyjnego, ale nie zamierzała okazywać, że to zauważyła.

- Eve Merlini - przedstawiła się, ujmując na moment jego dłoń, ale w ogóle na niego nie patrząc, gdy Ballard wyprowadzał lincolna przez lotniskową bramę. - Co to? Twój fanklub?

Demonstranci, widząc długi, czarny wóz, przepchnęli się obok dwóch policjantów i rzucili się na limuzynę, wyjąc ze złością. Jajko trafiło w okno, potem plansza uderzyła o dach, chociaż bystre oko Massingera zdążyło odczytać: „Bogaci są inni. Nie mają sumienia”.

- Chyba go nie potrzebują - zauważyła Eve. - Nie, kiedy mają platynowe karty i opancerzone samochody.

- Och, to tylko bzdury - odpowiedział, gdy limuzyna przyspieszała, oddalając się od hałaśliwego tłumu. Lecz widziała, że to go rozbawiło.

- Co, nie sądzi pan, że jest nieco inny?

- Nie, chodziło mi o to...

- Wiem, o co panu chodziło. Droczyłam się tylko. Przepraszam. I przepraszam, że spotkało pana takie niemiłe powitanie. Fiona będzie niezadowolona, że przytrafiło się to akurat panu.

Massinger zmarszczył brwi, gdy wyczuł w jej głosie cień sarkazmu. Uśmiechnął się rozbawiony.

- Mówiła coś o mnie?

- Tylko że mam traktować pana jak głodnego wilka - odparła z uśmiechem. To dziwne, pomyślała, jak ta jej niezdarna gadka przerodziła się w serię uszczypliwości. Nie martwiła się tym, że może się do niej dobierać. Z tym potrafiła sobie poradzić. Ale co się mówi człowiekowi, kiedy jednocześnie planuje się przyłożyć mu broń do głowy za niecałe czterdzieści osiem godzin?

- Oczywiście, ona ma rację. A po tym, co wydarzyło się rok temu, winien jej jestem przeprosiny. Trochę się upiłem. Wiesz, jak dochodzi do takich rzeczy.

- Proszę opowiedzieć.

- Cóż, Fiona jest bardzo atrakcyjna. Cudowna osoba. Fantastyczna asystentka. Ze wszystkim sobie radzi bez problemów. Czy mogę zrobić to? Czy mogę zrobić tamto? Czy wszystko w porządku? Musisz wiedzieć, jaka ona jest. To osoba, która wyczuwa każdą twoją potrzebę.

- Z wyjątkiem tej najbardziej podstawowej.

Massinger zachichotał.

- To głupie z mojej strony, wiem. Chyba źle odczytałem sygnały.

- Dla pilota F15 to może być niebezpieczne. Prawie tak samo niebezpieczne jak podróżowanie bez ochrony - dodała. - Dziwię się, że jest pan sam.

- Proszę mi wierzyć, nie ma specjalnej szansy na porwanie F15. Chyba że jest się gdzieś nad Irakiem. To jeden z powodów, dla których nim latam. To plus fakt, że jestem jednym z najlepszych pilotów, których znam. Poza tym Cal Wallenberg zawsze zapewnia dobrą ochronę podczas tych zjazdów. Nasz przyjaciel z przodu opiekuje się mną. - Wskazał głową Ballarda. - No i jesteś ty.

- Ja będę się opiekować tylko żołądkiem. Jestem kucharzem.

- Wspaniale. Możesz powiedzieć mi, co jest na obiad. Zgłodniałem.

Limuzyna skręciła na północ z drogi prowadzącej na lotnisko, na szosę numer 54. Dla kogoś, kto nigdy nie był w Cloudcroft, nie była to zachęcająca wizytówka tego regionu. Alamogordo to wzór tandetnego komercjalizmu: niekończący się ciąg stacji benzynowych, salony z tanimi meblami, zakurzone motele, zapuszczone kościoły, wypożyczalnie samochodów, bary szybkiej obsługi, warsztaty, lichwiarze, minimarkety i centra handlowe. Ta z pozoru niekończąca się parada niskiej zabudowy z betonu zwieńczonej brudnymi neonami obrzydliwie kontrastuje z wyjątkowo pięknym krajobrazem. Te prowizoryczne, jaskrawe budowle otaczają góry tak urzekające, że w każdym innym kraju byłyby świętością, a tak wyglądają jak McDonald's obok Tadź Mahal czy Wal Mart przy świątyni Amon Re w Karnaku.

Sunęli coraz bardziej stromą i krętą drogą, w końcu miasto znikło całkowicie, a kiedy minęli tunel wykuty w litej skale, wspomnienie o nim wyparł widok doliny Tularosa, który Eve, często chodzącej do kina, przypominał kadr z filmu Johna Forda: brakowało jedynie płaskich jak stół płaskowyżów i zwiadowcy Indianina wysyłającego sygnały dymne.

- Nie wyglądasz na kucharza - zauważył Massinger.

- A jak kucharz powinien wyglądać?

- Nie wiem. Chyba powinien być gruby, z poparzonymi ramionami i z kiepską cerą. Założę się, że nie zawsze byłaś kucharką. Jeśli naprawdę nią jesteś, a nie ochroniarzem. Miałem już takie, wiesz?

- Nie wątpię - odparła oschle Eve, starając się zachować spokój... co to było? Podejrzenia? Kolejne zaloty?

- W dzisiejszych czasach nic w tym niezwykłego. W końcu jesteś w całkiem dobrej formie.

Pokazała mu oparzenie od pieca na przedramieniu, a potem jeszcze jedno.

- Może muszę utrzymywać formę przez to dobre jedzenie, którego sobie nie żałuję.

Massinger potrząsnął głową.

- Nie, to coś więcej. Jest w tobie jakaś sprężystość. Twardość...

- Proszę uwierzyć, kucharze muszą być twardzi...

Postukał się w głowę.

- Nie, to coś jeszcze, tu, na górze.

Eve starała się zachować spokój. Jeżeli Massinger uważał, że ona nie wygląda na kucharza, to co sobie pomyśli o Billu Kingu, Samancie Heinichen i innych?

Zastanawiała się, czy pozostali goście Wallenberga są równie bystrzy jak Massinger. Aż do tej chwili nie przyszło jej do głowy, że ten miliarder sam zarobił fortunę, ponieważ był bardzo bystry. Żeby więc się od niej odczepił, postanowiła być z nim szczerą... przynajmniej w pewnym stopniu.

- Ćwiczę sztuki walki - powiedziała. — Może to dlatego.

- Wiedziałem - rzekł Massinger triumfalnie. - Trzeba się na tym znać. No to wspaniale. Jestem shodan... czarny pas, pierwszy stopień. Może zrobimy sobie sparing podczas mojego pobytu?

- Raczej nie, będę zajęta w kuchni. Chyba nie skorzystam z czasu wolnego podczas mojego pobytu.

- Nonsens. Zawsze jest czas, żeby przeciwzyć kata. Poza tym wyszedłem z wprawy. Chybabyś mnie pokonała.

Nie był to wyszukany blef, pomyślała. Massinger był okazem zdrowia i sprawności. Zęby kontrastujące z opalenizną gładkiej twarzy lśniły jak halogeny; paznokcie błyszcząły jak wypolerowana skorupa żółwia; nawet ciemne włosy na

muskularnej piersi, którą widziała pod zamkiem błyskawicznym kombinezonu lotniczego, sprawiały wrażenie starannie wyczesanych; i chociaż nagle nie wydawało się to tak dużą sumą, mogłaby rzec, że wyglądał jak milion dolarów. Massinger musiał mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat, a jednak z łatwością mógłby uchodzić za znacznie młodszego. Eve pomyślała o obrazie na strychu, Dorian Gray to jedno, a posiadanie trzydziestu sześciu miliardów dolarów to COŚ całkiem innego.

Poczuła ciśnienie w uszach, gdy zbliżali się do Cloudcroft, i zastanawiała się, czy to od wysokości.

Kopalnia złota i burdel równie dobrze pasowałyby do tego miasteczka jak z planu westernu. Z wyjątkiem niepozornej Biblioteki Nivison i miejscowej szkoły wszystkie budynki zbudowane były z drewna. Był nawet drewniany chodnik i gdyby nie wszędochyłskie wozy z napędem na cztery koła, a może także brak korralu i stajni, Eve pomyślałaby, że główna ulica znakomicie się nadaje na popisowy pojedynek rewolwerowców.

Zimą teren stawał się popularny wśród narciarzy biegowych i w mieście było kilka hotelików, z których Lodge był najlepszy. Tam właśnie ulokowano dodatkowych ochroniarzy oraz ekipę Top Table. Wszystkich z wyjątkiem Eve. Zgodnie z sugestią Boba Clarenca Wallenberga dał jej pokój w części dla służby w swoim domu. Nie żeby swoją przepastną kwaterę - Eve miała sypialnię, łazienkę, salonik i kuchenkę - uważała za gorszą. Wręcz przeciwnie. Według Eve ta kwatera była lepsza od apartamentu, który dzieliła z Bradem w Nowym Jorku, a który teraz on zamieszkiwał wraz z Lorraine. Czy był z nią szczęśliwy? Czy ona znudziła się jego głupimi sztuczkami magicznymi? Eve miała taką nadzieję.

W połowie wioski Ballard skręcił w prawo i podjechał do linii drzew. Na końcu długiej leśnej drogi brama w ogrodzeniu wysokim na pięć metrów, otaczającym rozległą posiadłość Wallenberga, otworzyła się gładko przed lincolnem, którym Ballard podjechał nieco do przodu, w zasięg kamer telewizji przemysłowej, by poczekać na zezwolenie wjazdu przez drugi, jeszcze wyższy zestaw bram w ogrodzeniu pod napięciem. Bliżej domu ochrona, sterowana z nowoczesnego centrum zarządzania w zachodnim skrzydle domu, była całkowicie niewidzialna. Przejeżdżając przez podwójne bramy, Eve czuła się jak Dorotka chcąc dostać się na zamek czarnoksiężnika z krainy Oz.

- Masz paszport? - zażartował Massinger, jakby sam nigdy nie zatrudniał tuzina goryli w swoim domu w japońskim stylu za osiemdziesiąt milionów dolarów,

stojącym w pobliżu ekskluzywnej dzielnicy San Francisco, Hillsborough, albo nie nosił w skórzanej torbie naładowanego glocka.

*

Z wyjątkiem George'a Shapiry, który po szeroko opisywanej ucieczce z Malezji, nadal znajdował się w drodze z Singapuru, ostatni z dwudziestu gości miliarderów przybył do domu w Cloudcroft przed czwartą po południu w piątek. Sześciu, którzy zjawili się wcześniej - Rupert Sterne, Scott Jordan, Errol Laursen, Nash Paine, Jimmy Gatz i Tom Liebennann - poszło prosto na pole golfowe i przed podwieczorkiem udało im się zaliczyć osiemnaście dołków. Pozostali - Jim Hysek, Eliot Massinger, Rudolph Miller, Ford Sarmenington i Don Volovsky spędzili popołudnie z Calem Wallenbergiem w piwnicy win, paląc cygara i kosztując wyborne trunki, głównie zinfandel i cabernet sauvignon, wyprodukowane w winnicy Wallenberga w dolinie Tularosa, około dwudziestu pięciu kilometrów na północ od Alamogordo. Steve Vassall Fox i Gurmit Mehta rozegrali trzy sety tenisa, a potem poszli do łaźni parowej inspirowanej stylem klasycznym, w którym zmieścił się cały kamieniołom białego marmuru. Tymczasem w przestronnej bibliotece John Bielby Porteus III, Henry Martin, Allan Scott i Bob Clarence grali w brydża na bardzo wysokie stawki.

Natomiast Joe Jacobson i Murray Drennan spędzali popołudnie w mniej przyjemny sposób, każdy w luksusowo wyposażonym apartamencie, zastygli nad telefonem, skupieni nad laptopem, na którego ekranie na bieżąco transmitowane przez internet różnorodne indeksy Chicago Board Options Exchange, przesuujące się na czerwono u dołu, niczym powiększone obrazy jakiegoś wirusa siejącego spustoszenie w ludzkim układzie krążenia.

CBOT to druga co do wielkości giełda papierów wartościowych i największa giełda opcji, obejmująca ponad pięćdziesiąt jeden procent amerykańskiego handlu opcjami oraz dziewięćdziesiąt jeden procent wszystkich transakcji opcjami w indeksie.

Jacobson i Drennan, obaj menedżerowie funduszy asekuracyjnych, reagowali na wiadomość, że cztery największe banki inwestycyjne - Saloman, Lehman, Morgan Stanley Dean Witter oraz Credit Suisse First Boston - kupowały za miliony dolarów jednotygodniowe opcje sprzedaży, które w zasadzie były zakładami, oraz że S&P 100

Index, Eurodollar Options, Bond Indices, jak również indywidualne opcje udziałowe, wykazywały tendencje spadkowe. Tyle malejących wskaźników po pierwszym umiarkowanie wzrostowym okresie od czasu krachu w 2001 roku po katastrofie World Trade Center, trwającym przez dwa lub trzy miesiące, było niemal niewytłumaczalne dla większości analityków, a wśród maklerów panowało przekonanie, jak dowiadywali się Jacobson i Drennan, że jest to nic więcej niż „irracjonalna perturbacja” i że giełda z pewnością odzyska siły w następnym poniedziałek. Jeżeli tak się nie stanie, fundusze wysokiego ryzyka, którymi obracali obaj mężczyźni, stały w obliczu utraty dziesiątków milionów dolarów.

Próby dojścia przyczyn tendencji spadkowych na giełdzie, i to na taką skalę, czynione przez obu menedżerów, okazały się bezowocne. Ich ludzie w czterech bankach donosili, że „wina” leży po stronie Goldmana Sachsa. To oznaczało, iż Goldman wypłaca premie za opcje, i sugerowało, że może być tylko jeden klient grający na giełdzie. Ale kto taki?

Kiedy Chicago się zamknęło i Jacobson z Drennanem w końcu mogli przyłączyć się do innych formalnie ubranych gości na przedobiadowym drinku we wspaniałej bibliotece, dwaj menedżerowie zatrzymali się przy kominku w stylu Jerzego III, by omówić sytuację.

Jeszcze na początku lat osiemdziesiątych Drennan, przystojny sześćdziesięciolatek, bardzo podobny do Anthony’ego Quinna, był bliskim przyjacielem Michaela Milkena oraz Ivana Boesky’ego, i mówiło się skrycie, że ledwo uszedł przed sądem za defraudację akcji i zdradę informacji, kiedy dwaj pozostali spekulanci trafili do więzienia. Jacobson był starszy od Drennana, ale wyglądał na młodszego, chociaż był kompletnie łysy. Jacobson, słynny amator cygar i golfa, był niegdyś partnerem George’a Shapiry, do którego obecnie odnosił się podejrzliwie. Ciągłe nieobecne Shapirę podejrzewał o autorstwo tendencji spadkowych na giełdzie w Chicago.

- To dlaczego tego gnoja tu jeszcze nie ma? - Jacobson zapytał Drennana. - Ciekawe. Wiedział, że tu się zbierzemy. A jeżeli chcesz znać moje zdanie, to zaplanował to specjalnie na ten weekend, bo przecież orientował się, że nie będzie nas w biurach. Mówię ci, Murray, zamiast grać sobie w golfa, miałem cholerne popołudnie.

Drennan, który był mniej przekonany o udziale Shapiry, pocierał szczękę w zamyśleniu.

- Chwileczkę, Joe - powiedział cicho, jednym okiem spoglądając na Wallenberga, który spacerował z Fioną wśród gości. - Wiemy, dlaczego nie ma tu George'a. Widziałeś wiadomości w telewizji? Malezyjczycy go aresztowali. Usiłowali wyłudzić od niego sporą sumę. Wtedy pomyślałem, że wielu z nas będzie musiało bardziej uważać od tej pory. To niedobrze, że spotyka nas takie poniżenie ze strony tych antyglobalistów, jak dzisiaj na lotnisku, jakbyśmy nie musieli martwić się legalnymi problemami, które się czasami przytrafiają. Malezyjczycy powiedzieli, że przyszło im to do głowy po tym, co wydarzyło się generałowi Pinochetowi. Pamiętasz? Brytyjczycy trzymali Pinocheta w niewoli przez ponad rok, rozpatrując żądanie ekstradycji wystosowane przez Hiszpanów. Nie wiem, co powstrzyma azjatyckie albo choćby wschodnioeuropejskie kraje przed takim samym ruchem. George miał fart, że udało mu się zwinąć. -Następnym razem jednemu z nas, tobie albo mnie, może nie dopisać tyle szczęścia.

- Nie uderzyło cię, że z taką łatwością uciekł malezyjskim władzom? Ale nawet jeżeli to wszystko prawda, to nie znaczy, że nie planował tego małego puczu od jakiegoś czasu.

- Poza tym od czasu interesów z LTCM Shapira nienawidzi Goldmana Sachsa. Ale dlaczego chciałby zaatakować giełdę?

- Może wie coś, czego my nie wiemy.

- Na przykład?

- Nie mam pojęcia.

Murray Drennan po raz kolejny zlokalizował Wallenberga. Rozmawiał z Errolem Laurensonem i śmiał się tak, jakby nic na świecie go nie obchodziło. Tylko że miał stracić tyle pieniędzy co wszyscy.

- Za to lubię Wallenberga - rzekł Drennan.

- Cala?

- Kto lepiej od niego gra na giełdzie? Nikt nie zna tylu ludzi z Departamentu Skarbu co Cal Wallenberg. Może coś słyszał. A czy to nie Cal zawsze krytykuje nową ekonomię? Kto mówi o „fantazjach lat dwudziestych” i podobnych sprawach? Zawsze zrządził. Nawet kiedy podczas hossy na giełdzie w latach dziewięćdziesiątych nakazywał ostrożność, jakby kontrolował eksplozję bomby. Każdy może wykorzystać ten piknik jako okazję do finansowego puczu. Wtedy powiedziałbym, że lepiej stawiać na Wallenberga niż George'a Shapirę. To weekend Cala, prawda? A taka rzecz także

by go rozbawiła. Pomyśl o tym, Joe. Zaprasza nas tu wszystkich, zabawia, a jednocześnie chce przeciw nam skierować giełdę.

- Nie twierdzę, że jesteś w błędzie - przyznał Jacobson. - Jeżeli masz rację, to ten facet ma piekielne poczucie humoru. Ale zawsze myślałem, że Cala bardziej interesuje władza niż pieniądze.

- Władza i pieniądze? To dwa sutki na brzuchu tej samej lochy, Joe. Nie, Cal chce, by ludzie myśleli, że jego pieniądze nie interesują. Wiesz, że co roku powtarza to samo, że jest gospodarzem dlatego, by mógł znaleźć kogoś, kto chciałby go pokonać w golfa. Ale to tylko stek bzdur. Prawda jest taka, że uważa się za Dolly Levi. Jest swatem. A w zeszłym roku? Ta dwudziestomiliardowa fuzja między Chicago PSS a Minnesota Bruin? Wallenberg ubił ten interes, gdy Nash Paine i Jim Hysek byli tutaj. Ich bank nic na ten temat nie wiedział. Starczyło mu czasu, żeby zarobić na tym interesie. A teraz robi to ponownie, właśnie teraz. Miałem przeczucie, że coś wisi w powietrzu w ten weekend.

Jacobson zapalił cohibę i słuchał cierpliwie, co ma do powiedzenia Murray Drennan. Nie było w tym dla niego nic nowego, ale jego zdaniem Murray Drennan osądzał Wallenberga według własnych apolitycznych standardów. Pieniądze były zaledwie produktem ubocznym działalności Wallenberga i w tej mierze przypominał Jacobsonowi dziewiętnastowiecznego europejskiego męża stanu, zawierającego pakt o nieagresji. Co więcej, Jacobson był pewien, że Wallenberg ma własny polityczny plan, którym w jakimś momencie najbliższej przyszłości, może już w ten weekend, chce się podzielić ze swoimi gośćmi. Wydawało się zatem mało prawdopodobne, że Wallenberg próbuje wstrząsnąć giełdami.

- Postanowiłem wrócić do Nowego Jorku w niedzielę zamiast w poniedziałek.

- Ja też.

Zarządzanie funduszami na taką skalę, jak robili to Drennan i Jacobson, wymagało całkowitego skoncentrowania się na zadaniu. Jeżeli spuszczałeś wzrok z piłki, to na własne ryzyko.

*

Ostatni gość przybył do Cloudcroft - właśnie teraz Fiona Lovatt wprowadzała George'a Shapirę do eleganckiego, wyłożonego mahoniem apartamentu w stylu angielskim - i dom spowił czar, którego siła była tak wielka, jakby doszło do jakiejś

reakcji łańcuchowej, wyniku połączenia się krytycznej masy wpływów, przywilejów, przepychu, dominacji; szczególnie dominacji. Oznaki bogactwa tych, którzy wspięli się na szczyt, rzucały się w oczy. Cicho szeleściły idealnie skrojone stroje z Savile Row. Trudno było sobie wyobrazić urządzenie, tworzące tych supermanów z tych samych pierwiastków, z których powstawali inni ludzie. Mieli głębokie głosy i pełne oblicza, a na nich, na każdym czole pozbawionym zmarszczek, wygładzonym i opalonym, bezbłędnie odbijał się znak Wielkiego Bogactwa. W Cloudcroft unosiło się ono w powietrzu. Bogactwo widać było w delikatnych, nienawykłych do fizycznej pracy dłoniach, które wystawały z jedwabnych mankietów koszul i podtrzymywały wiktoriańskie, strzeliste szampanki wypełnione wyłącznie najprzedniejszym krugiem. Lśniły satynowe klapy smokingów, złote zegarki, wysadzone diamentami spinki do mankietów i ręcznie robione buty od Johna Lobba; bogactwo było obecne w każdym dymku z kubańskiego cygara, który unosił się ku sufitowi niczym tuzin dżinnów gotowych spełniać rozkazy panów. Bogactwo było wypisane na każdej butelce burgunda i każdej butelce bordeaux; na każdym nożu i widelcu, na każdym talerzu. Bogactwo napinało swe mięśnie, odrzucało głowę z perfumowanymi włosami, otwierało łakome usta i ryczało ze śmiechu niczym kosztowny samochód. Bogactwo oblizywało gładkie, niespękane usta i czekało na wyśmienity obiad w jadalni, która oszołomiłaby niejednego dyktatora.

Z wszystkich pomieszczeń Cloudcroft pokój stołowy wywierał największe wrażenie i wyglądał, jakby został przeniesiony z pałacu cesarza Meksyku. Dwa długie stoły ustawiono równolegle na wyłożonej wapieniem podłodze. Jeden stół był zastawiony dla dwudziestu trzech osób, chociaż z łatwością mogło usiąść przy nim trzydzieści; drugi, używany do podawania dań, ustawiono pod wielką ścianą, na której fresk namalował Diego Rivera.

George Shapira jako ostatni zajął miejsce wśród tej szachownicy czarnych marynarek i białych koszul, a jego wejście przywitano przeciągłą owacją, którą przyjął z szerokim uśmiechem, pokazując jednocześnie palcami V.

- Na lotnisku był dzieciak z afiszem „Bogaci są inni” i pomyślałem, że ma rację. Zamiast być na dole, gdzie cię depczą, jesteś na górze, gdzie mogą do ciebie strzelić.

Eve zrobiło się go żal. Pomyślała, że Shapira ma miłą twarz, która przypomina jej dziadka; wielka szkoda, że coś niemiłego znowu mu się przydarzy, i to wkrótce.

Z jej punktu widzenia obiad szedł dobrze, chociaż risotto jak na jej gust było nieco za bardzo *al dente*. Dobre risotto potrzebowało czasu i dużo powietrza. Ann po

prostu nie wymieszała go wystarczająco. Lecz co najważniejsze, przeprowadziła swój zespół przez obiad i brak doświadczenia jej ludzi nie został wykryty przez Wallenberga ani nikogo z gości. Skinienie głową Boba Clarenco, nadal siedzącego przy olbrzymim stole z cygarem i pękata lampką dobrego koniaku w dłoni, powiedziało jej wystarczająco dużo, kiedy weszła do jadalni po raz ostatni. Podobnie uczynił Eliot Massinger, który zauważywszy Eve, uśmiechnął się i uniósł w jej stronę kieliszek sautemes, jakby wznosił toast za jej kulinarny talent. Wallenberg, który akurat wstał i stuknął łyżeczką w kieliszek jakby zamierzał wygłosić przemówienie, zignorował ją. Eve ustaliwszy ku własnemu zadowoleniu, że oczekiwania wszystkich innych również zostały spełnione, wyszła wyczerpana tymi wszystkimi staraniami. Dwadzieścia trzy nakrycia to nic w porównaniu z pięćdziesięcioma czy sześćdziesięcioma, którym czasami musiała sprostać wraz z Bradem w restauracji. Wyczerpywała ją adrenalina pompowana do organizmu ze strachu przed tym, co ma się wydarzyć. Najchętniej osunęłaby się na łóżko. Lecz coś, co powiedział Wallenberg, powstrzymało ją przed zamknięciem drzwi i zamiast wrócić natychmiast do kuchni, żeby sprawdzić, czy wszystko zostało posprzątane i odłożone na miejsce, została, by podsłuchiwać.

- Panowie - mówił Wallenberg - jeżeli wybory prezydenckie w roku milenijnymi cokolwiek udowodniły, to to, że ludzie nie potrafią dokonywać wyborów. Ale także że sama demokracja zawiodła kraj. Jak inaczej można to osądzić, kiedy świat patrzył w zdziwieniu, jak dwóch kandydatów rywalizujących o fotel prezydenta okładało się jak jacyś debile w sitcomie? Dlatego chcę wam dzisiaj powiedzieć, że w Ameryce demokracja się skończyła. I to szczególnie dziś, kiedy Stany Zjednoczone zaatakowali muzułmańscy fundamentaliści. W zasadzie demokracja nigdy się nie zaczęła. Zanim zawołacie, że polujecie na czarownice, pozwólcie, że wyjaśnię wam dokładnie, o co mi chodzi.

Powszechnie zakłada się, że wojnę o niepodległość stoczyli z dyktaturą brytyjskich kolonialistów ludzie o liberalnych i demokratycznych orientacjach. Lecz to dalekie jest od prawdy. Sześć lat po poddaniu się generała Cornwallisa, kiedy założyciele Republiki Amerykańskiej spotkali się, aby omówić konstytucję, jednomyślnie przyznali, że jedyną formą rządów, której chcieli uniknąć, była demokracja.

Waszyngton może i odrzucił szansę, by zostać pierwszym amerykańskim królem, ale nie znaczy to, że pragnął, by władza królewska została przekazana narodowi jako

całości. Rzeczywiście, Waszyngton uznał państwo demokratyczne, w którym władza spoczywa w rękach ludu, cytując: „za najgorszą i najpaskudniejszą formę rządów”, zupełnie nienadającą się dla typu społeczeństwa, jakie sobie wyobrażał.

Waszyngton chciał, aby ludzie mieli prawo głosu, ale nie żeby wybierali prezydenta. Tak więc Madison i Hamilton opracowali system, który zapewniał, że ostateczny wybór pozostanie w rękach oligarchii, czyli innymi słowy partii. Do tej partii mieli należeć niezależni ludzie, jak zalecał Hamilton, zacni i cnotliwi, którzy nie piastowali żadnych urzędów publicznych oraz byli wystarczająco zamożni, żeby nie brać łapówek.

Każdemu stanowi miano przydzielić liczbę elektorów, jak mieli się nazywać, równą liczbie senatorów. I owo kolegium elektorskie miało wybierać prezydenta, bez partii politycznych i bez kampanii narodowych. Ludzie mogli głosować na partię, ale to elektorzy wybieraliby prezydenta. Rzeczywiście mogli nawet zignorować powszechny głos, gdyby tak postanowili, i wybrać człowieka, którego uznali za najbardziej stosownego na to stanowisko.

Oczywiście nie zadziałało to dokładnie w ten sposób. Obecnie nic nie przypomina pierwotnego celu kolegium elektorskiego, którym było poszukiwanie człowieka. Teraz człowiek poszukuje urzędu. W wyniku tego, z czym można się spierać, zawsze dostajemy prezydenta, na którego zasługujemy, a nie prezydenta, którego potrzebujemy.

Dlaczego robię wam tę lekcję historii? Ponieważ teraz stanowczo wierzę, że ludzie siedzący w tym pokoju, jak również kilkudziesięciu na zewnątrz, którzy nie mogą tu być, reprezentują nową oligarchię, która mogłaby zdobyć uznanie Platona. Nasze bogactwo, nasze wpływy, firmy, które prowadzimy, ludzie, których zatrudniamy, sprawiają, że temu nie da się zaprzeczyć. Nie szukajcie polityki wśród partii. Dzisiaj politykę tworzą rynki. A rynki zdominowaliśmy my.

Było tak, że kiedy grupa ludzi uświadomiła sobie fakt, iż potrafi zapanować nad pewną zbiorową siłą dzięki swej pracy, stawała się organizacją. Oczywiście ani przez chwilę nie proponuję stworzenia związku zawodowego miliarderów. Proponuję jednak, abyśmy się zorganizowali. Może powinniśmy nawet stać się nieoficjalnym ciałem elektorów, tak jak to pojmowali Hamilton, Madison, a nawet Waszyngton. I nie ma w tym nic nieamerykańskiego, panowie. Widzę jednak, że niektórzy z was już mają pytania. George Shapira.

- Cal, istnieją prawa przeciw temu, co proponujesz. Kartele i monopole są nielegalne. Na miłość boską, to może nawet być uznane za zdradę stanu.

- Mam prawników, George. Mamy opinie twórców... gazety, stacje telewizyjne. Zsumujcie majątek w tym pokoju, a otrzymacie produkt narodowy brutto przyzwoitej wielkości kraju europejskiego - Włoch lub Grecji. Czy ludzie chcą rozwiązać własne kraje, tak jak rozwiązują niektóre z naszych większych firm? Do diabła, nie. Kraje mają głos na forum międzynarodowym i armię. Dzierżą prawdziwą władzę. My moglibyśmy mieć tyle samo władzy. Może nawet więcej.

Zobacz, co przed kilkoma laty zrobił Ross Perot. Powstrzymał reelekcję George'a Busha seniora. Tyle potrafił osiągnąć jeden człowiek. W tamtym czasie Ross był wart trzy i pół miliarda dolarów. A my razem jesteśmy warci pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt razy tyle. Czego byśmy nie mogli osiągnąć, gdybyśmy współpracowali? Don, chyba chciałbyś coś powiedzieć.

Eve zerknęła przez szparę w drzwiach i zobaczyła, jak wstaje mały, żwawy mężczyzna, podobny do Paula Simona. Jedyne geje w Cloudcroft, Don Volovsky, był bezwzględny impresario, który zaczął karierę jako młodszy agent, zanim założył Volo Records w roku 1980. Dorobiwszy się fortuny, kiedy sprzedał firmę CBS, przyłączył się do Paramount Pictures, gdzie odniósł spory sukces jako producent, następnie zainwestował wszystkie pieniądze w akcje internetowe w 1990 roku i był tak przewidujący, że sprzedał je tuż przed krachem na rynku technologicznym w roku 2000. Od tamtej pory założył Studio Filmowe CarCharoDon wraz z producentem Carym Daviesem i legendarnym reżyserem, Charlesem Chappellem.

- Przede wszystkim - powiedział z uśmiechem - czy tylko ja uważam, że to przypomina scenę z Ojca chrzestnego, w której spotykają się głowy wszystkich rodzin? Ale żarty na bok. Jak możemy się zorganizować? Wielu z nas jest rywalami w biznesie. Weźmy Errola i mnie. Bez urazy, Errol. Wybacz, że w tym kontekście wymieniam twoje nazwisko. Uważam, że Errol to dupek. A Errol to samo myśli o mnie.

- Amen - powiedział Laurensen.

- Trzeba by czegoś naprawdę niezwykłego, żeby nas połączyć w taki sposób, jak to opisujesz, Cal.

- Cholerna racja - przytaknął Laurensen.

- A my nie jesteśmy wyjątkiem. Joe i George też się nie znoszą.

Jacobson i Shapira popatrzyli na siebie z minami, jakby takie przyziemne uczucia były im obce.

- Chciałbym, abyśmy właśnie takie sprawy omówili w naszym gronie w ciągu tego weekendu - powiedział Wallenberg.

- Ale czego się spodziewasz po naszym związku? - zapytał Shapira.

- Tak jak mówiłem - odparł cierpliwie Wallenberg. - Gdybyśmy to my wybierali prezydenta, to może mielibyśmy prezydenta bardziej godnego tego stanowiska.

- Ale jak mielibyśmy to przeprowadzić? - kontynuował Shapira. - Sugerujesz, żebyśmy po prostu dyktowali nasze warunki wszystkim politykom?

- Powinniśmy wybierać prezydenta spośród nas samych.

- Na przykład ciebie? - zapytał Shapira.

- Niekoniecznie. W zasadzie, gdybym miał kogoś wskazać, powiedziałbym, że John Porteus ma wszelkie cechy dobrego prezydenta. Co ty na to, John?

John Bielby Porteus III pochylił się do przodu w krzesło i odłożył cygaro. Ostatnio bardzo mało miał do powiedzenia na dowolny temat, gdyż zajęty był zarzutem postawionym przez oskarżyciela publicznego, który groził rozwiązaniem jego firmy software'owej, White Sphinx. Słuchając Wallenberga, pomyślał, że z pewnością coś złego dzieje się z krajem, gotowym tolerować zniszczenie firmy wytwarzającej produkt, którego najwięcej eksportowano, w imię jakiejś staromodnej koncepcji biznesowego fair play. Celem współzawodników nie było zachowanie współzawodnictwa, ale przetrwanie; jeśli zobaczyłeś, że współzawodnik stanął w ogniu, nie podawałeś mu gaśnicy, polewałeś mu głowę wiadrem nafty. Politycy nie mieli zielonego pojęcia o tym, jak funkcjonuje nowoczesny biznes. Zatem może Wallenberg miał rację, może nadszedł czas, aby spróbować czegoś innego. Na moment zerknął na Errola Laurensa. Był przekonany, że Errol uważa, iż on nie nadaje się na fotel prezydencki... Gorszym kandydatem był tylko Volovsky. Volovsky był zwierzęciem.

- Dzięki, Cal - powiedział. - Nie wiem, czy byłby ze mnie dobry prezydent, ale sądzę, że masz rację. Już czas, abyśmy wybrali kogoś, kto rozumie biznes, kogoś, kto jest zbyt bogaty, żeby dać się przekupić, i zbyt bystry, żeby dać się złapać. Człowieka, który potrafi wygłosić przemówienie i nie mówi, jakby robił to pierwszy raz, i który trzyma wacka w spodniach, kiedy w pokoju jest dama. Człowieka, który wie, że to, jak sprawy wyglądają, jest prawie tak samo ważne jak to, jak naprawdę stoją,...

W tym momencie Eve uznała, że usłyszała dosyć, opuściła posterunek za drzwiami i wróciła do kuchni. Po raz pierwszy od przyjazdu do Cloudcroft pomyślała, że w tym, co ma się wydarzyć, może być pewna sprawiedliwość. Przynajmniej na krótką metę. Dobrze będzie zobaczyć miny na tych gładkich, odkarmionych, zadowolonych twarzach. Co innego zagrażać życiu najbogatszych biznesmenów Ameryki, a co innego grozić bandzie omawiającej plusy i minusy obalenia konstytucji.

W kuchni Busiek i Bird skończyli zapełniać zmywarki i ścierali blaty. Tylne drzwi były otwarte i niektórzy z pozostałych wyszli na zewnątrz na papierosa lub odetchnąć świeżym powietrzem po żarze bijącym od piecyków i kuchenek. Świeżego powietrza potrzebowała i Eve po dymie cygar i konspiracji mężczyzn na górze. Wyszła na dwór i spojrzała na gwiazdy, przeciągając się ze zmęczenia.

- Poszło nie najgorzej - powiedziała, ale była zbyt wyczerpana, żeby dodać więcej, więc przeprosiła i wycofała się do swojego małego mieszkania.

Nalała sobie kieliszek wyśmienitego tularosa valley zinfandel z winnic Wallenberga - jakoś nie potrafiła się zmusić, żeby ukraść coś dobrego - i przygotowała sobie kąpiel. Już się rozebrała i miała wchodzić do wanny, kiedy rozległo się stukanie do drzwi. Eve zakląła głośno, zakręciła krany i nałożyła szlafrok. Na korytarzu stał Bob Clarenco i oglądał się przez ramię. Pospiesznie wszedł do środka, a ona zamknęła za nim drzwi.

- Poszło całkiem dobrze - pochwalił. - Wallenberg nic nie mówił o jedzeniu, a to dobry znak. A Laurensen mówił, a to też dobrze.

Eve skinęła głową.

- Wiesz, słyszałam, co mówił - powiedziała. - O przejęciu rządu.

- Słyszałaś?

- Słuchałam za drzwiami. Volovsky nie miał racji. To bardziej przypominało czarno-biały film z lat sześćdziesiątych, *Siedem dni w maju* niż *Ojca chrzestnego*.

- Wiem. Staralem się zapamiętać, żeby sprawdzić w internecie, ale to na razie nieważne. Nie przyszedłem też, żeby gratulować ci gotowania.

- Więc po co przyszedłeś?

- Wszystko gotowe?

Odgarnął z czoła przydługie jasne włosy, a Eve zauważyła, że mocno się poci.

- Tak. Bob, coś się stało? Jesteś zdenerwowany.

- Wypiłem za dużo, to wszystko. Coś się wydarzyło. Widzisz, nie przewidziałem wczesnego spadku na giełdzie. Niektórzy goście... Drennan, Jacobson, Shapira i

Mehta planują wcześniejszy wyjazd. Zaraz w niedzielę rano. Chciałbym przyspieszyć plan... o dwadzieścia cztery godziny.

- Na jutro w nocy?

Clarenco skinął głową.

- Masz z tym problem?

- Raczej nie. W zasadzie myślę, że to dobry pomysł. Szybciej będziemy tu mieli z głowy. Nerwy mam w strzępach. A na dodatek to całe gotowanie mnie męczy.

Do drzwi znowu rozległo się stukanie... ciche, nieomal ukradkowe.

- Spodziewasz się kogoś? - wyszeptał Clarenco.

Eve potrząsnęła przecząco głową i wepchnęła Clarenca do łazienki, potem, rozejrzawszy się po mieszkaniu, otworzyła drzwi.

To był Eliot Massinger, nadal ubrany w smoking i z tym samym drapieżnym uśmiechem co w samochodzie.

- Czy coś przerwałem? - zapytał, spoglądając ponad jej ramieniem. -

Przysiągłbym, że słyszałem głosy.

- Słuchałam radia - odparła. - A teraz zamierzam wziąć kąpiel.

Massinger zza pleców wyciągnął butelkę szampana Cristal i dwa kieliszki niczym magik wyciągający królika z cylindra. Przepchnąwszy się obok niej, wszedł do małego salonu.

- Wspaniale - powiedział. - Popatrzę.

- Jasne - odparła Eve, pchając go na próżno do drzwi. - Panie Massinger, proszę nie myśleć, że to mi nie schlebia. Schlebia. Naprawdę. Ale jestem na nogach od szóstej rano i padam ze zmęczenia.

To była prawda. Schlebiało jej. Jedyłą osobą, która czyniła jej awanse od czasu Beacon, był Clarenco. A to specjalnie nic musiało jej schlebiać. Kochał się z nią tylko dlatego, że była pijana i nieco zdesperowana. Po kilku miesiącach w więzieniu pożądał jej ktoś inny niż druga kobieta, toteż poszła z Bobem do łóżka. To nie powinno się wydarzyć. Clarenco był zbyt samolubny, zbyt zafrasowany własnymi planami, aby być czułym kochankiem. W przeciwieństwie do Boba Clarenca Massinger rzeczywiście ją lubił, i to bardzo. Co więcej, Massinger jej się podobał. Od czasu jazdy z Alamo gordo przechowywała jego obraz obok obrazu Brada. W każdych innych okolicznościach, które nie obejmowały planu wielkiego przestępstwa - nie wspominając o absurdalnym szczególe niczym z burleski, czyli drugim mężczyźnie w łazience - pozwoliłaby mu zostać i wykorzystała sytuację.

- Gdyby mógł pan wyjść...?

- Ale nie mogę. W zasadzie bardzo chciałbym zostać. Wiesz, nie spotykam takich kobiet jak ty. Przeważnie kiedy zbliżę się wystarczająco blisko, żeby spojrzeć im w oczy, nie widzę w nich swojego odbicia, tylko dolary, jak na filmie rysunkowym. Ale ty jesteś inna. Patrzę w twoje oczy i widzę tylko ciebie.

Uznała, że może łatwiej mu to wyperswadować, składając obietnicę - tak samo jak w swojej restauracji na Manhattanie zwiódła miejscowego kupca win obietnicą zapłaty pod koniec miesiąca.

- Jutro. Przyjdę do ciebie o północy - powiedziała.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Już nie mogę się doczekać - dodał.

- Tylko włóż kombinezon lotniczy - zasugerowała, ponownie go odpychając. - Lepiej wyglądasz w stroju lotnika.

Potem zamknęła drzwi i odetchnęła z ulgą.

- Kto to był? - zapytał Clarenco, wychodząc z łazienki.

- Eliot Massinger - odparła Eve, jakby nic jej to nie obchodziło. - Przystawia się do mnie.

Clarenco zrobił oburzoną minę, a Eve zorientowała się, że będzie jej czynić wymówki, i dodała:

- Wiem, wiem, ale nic na to nie mogę poradzić, zbywam go. I zanim zapytasz, absolutnie go nie zachęcałam. W zeszłym roku dobierał się do Fiony Lovatt, a w tym roku do mnie. Nadal chce być królem strzelców, to wszystko.

- Na czym skończyliśmy?

- Chciałam wziąć kąpiel.

- Jeżeli nie masz nic przeciw temu - westchnął, zdejmując kocią sierść z garnituru - chciałbym jeszcze raz omówić plan. Żeby mieć pewność, że wszyscy wiedzą, co robić.

- Pewnie, Bob. Jak sobie życzysz.

Eve obdarzyła Clarenca stoickim uśmiechem i usiadła obok niego, zdejmując więcej kocich włosów ze smokingu od Armaniego, gdy on z niedostrzegalnym niezadowoleniem zaprezentował główne punkty planu. Eve wyraźnie widziała, że Clarenco zaczyna odczuwać stres.

- Bob - powiedziała w końcu, biorąc go za rękę i ściskając zachęcająco. - Oto co powinieneś według mnie zrobić. Jutro zagraj w golfa. Przestań o tym myśleć. To dobry plan. Zebrałeś znakomity zespół. Wszystko pójdzie dobrze.

Clarence pokiwał głową.

- Masz rację. Za dużo się martwię. Chodzi o to, że wszystko, co mam, zainwestowałem w ten skok. Jeżeli coś się nie powiedzie, jestem skończony, Eve. Pójdę z torbami.

Zamknęła za nim drzwi i doszła do wniosku, że jest zbyt zmęczona, by brać kąpiel. Poszła do kuchni, w której teraz bez załogi panowały ciemności, i zadzwoniła do Billa Kinga w Lodge. Powiedziała mu, że plan został przesunięty o dwadzieścia cztery godziny i żeby zespół wymeldował się rano. Rzuciła się na łóżko, zgasła światło i głęboko odetchnęła. Tuż przed zaśnięciem pomyślała, że jeżeli nic z tego nie wyjdzie, to koniec, a ona i inni prawdopodobnie zginą. Gorzej już być nie mogło.

4. Sobota

Eve oderwała łopatką jajka od powierzchni miedzianej patelni, a potem starannie zebrała je z gorącego metalu niczym wielki znaczek pocztowy, który zamierzała zachować dla ulubionego siostrzeńca.

Cały zespół był na nogach od piątej trzydziści, wymeldował się z Lodge dzień wcześniej, a potem przygotowywał śniadanie dla golfistów, z których pierwsi zaczęli wymachiwać kijami o ósmej. Poranek na golfa był cudowny i przez okno kuchenne Eve widziała dolinę ciągnącą się ku górskim łąkom, jeszcze mieniącym się wczesną, poranną rosą.

Okolo dziewiątej piętnaście, na długo po przyrządzeniu ostatniego śniadania, Eve weszła do przestronnej jadalni, by pomóc w sprzątanii. Ostatnich czterech graczy, wśród których znajdował się Eliot Massinger, kończyło kawę, a ona, udając, że ignoruje ich rozmowę oraz oko, które puszczał do niej Massinger, zaczęła ustawiać na srebrnej tacy wiktoriańskie szklanki do wody, których Wallenberg używał do soku pomarańczowego. Podzwaniały niczym kuranty, gdy je zbierała, a ciche, srebrzyste nuty przynosiły echo moralnych przemyśleń przy stole.

- Postanowiłem dać miliard dolarów ONZ - oznajmił magnat medialny, Jim Hysek. - Obwieszczę to prasie, kiedy wrócę do Atlanty.

- Wydaje mi się, że chcesz ulżyć swemu sumieniu - zauważył Massinger. - Powinieneś zatrzymać pieniądze. Nie wiemy, kiedy bessa na giełdzie się skończy. Lepiej trzymaj to co masz. Wytrwaj. Jak chcesz lepiej się poczuć, to idź do fryzjera. do kościoła, rzuć palenie. A najlepiej zainwestuj we własną firmę, stwórz miejsca pracy i daj ludziom zarobić.

- Nie. Jim ma rację - powiedział Ford Sarmenington. - Myślałem, żeby samemu coś oddać. Co w tym złego?

- Cholera, czemu ludzie tacy jak wy nie przestaną używać tego zwrotu. Nienawidzę go. Nienawidzę, ponieważ sugeruje przyznanie się, że zabieraliśmy coś społeczeństwu. A to nieprawda. Myśl o oddawaniu to nic innego jak narzucony sobie marksizm. Dobrowolne rozdawnictwo majątku.

- Eliot, na pewno wierzysz w filantropię - sprzeciwił się Sarmenington.

- Do diabła, nie. Jeżeli chcecie wiedzieć, filantropia to współczesny odpowiednik odpustów, które bogaci kupowali od księży rzymskokatolickich, aby złagodzić poczucie winy. Kupić odpust i spędzić kilkaset lat mniej w czyśćcu.

- Jeżeli chodzi o mnie, lubię rozdawać pieniądze - wyznał Don Volovsky. - Ale nie mam iluzji, dlaczego to robię. To kwestia public relations. Kiedy ludzie widzą, jak daję milion dolarów na badania nad AIDS, to myślą, że w końcu nie jestem takim wrednym gnojkiem.

- Wiesz co, mocno w to wątpię. - Massinger się zaśmiał. - Twierdzą jedynie, że twoje nadwyżki lepiej spożytkować na budowanie fabryk niż na cele charytatywne. Fabryka to najlepszy rodzaj dobroczynności, jaki mogę sobie wyobrazić. Masz ochotę zrobić coś dla Trzeciego Świata, zbuduj fabrykę w kraju, gdzie potrzebują fabryk. Gdzie ludzie potrzebują pracy. W Ameryce Południowej, RPA, Indiach. Daj człowiekowi pracę, a dasz mu szacunek do samego siebie. ONZ tego nie zapewnia.

- Powiedz to Jimmy'emu Gatzowi - odparł Volovsky. - Zbudował fabrykę w Kolumbii, żeby produkować tekstylia, buty i ubrania sportowe, a teraz jego sklepy pikietują przeciwnicy niewolniczej pracy. Jego okna wybijają w pierwszej kolejności, gdy tylko dochodzi do protestów, jak w Genui. Biedaczysko musiał pojawić się we „Frasier” w żalosalnej próbie odbudowania swojego wizerunku. Jest czuły na tym punkcie. Myśli, że prasa chce go dopaść.

- Czy Cal nie mówił, że prasa to my? - wtrącił Sarmenington.

- Dlatego właśnie prasa chce go dostać. - Massinger ponownie się zaśmiał.

Eve podniosła tacę ze szklankami i skierowała się do kuchni. Jej wyjście najwyraźniej pchnęło do działania ostatnią grupę amatorów golfa i po dwóch minutach zobaczyła, jak wózki golfowe mkną ścieżką z warkotem do pierwszego słupka, niczym elektryczne urządzenia, które uciekły z kuchni.

Bill King i Ann Choy już przygotowywali lunch. Andriej Busiek i Clayton Bird obierali warzywa. Andy Hogarth był w piwnicy, wybierał i przelewał wina. A skoro Eve wykonała lwią część pracy przy śniadaniu, postanowiła przyłączyć się do Nicka Pennaca i Douga Powersa i pójść na krótki spacer.

Po jadalni z freskiem Diega Rivery ogród podobał się jej najbardziej i bez względu na to, ile razy widziała trawniki, wysokie cyprysy i rzędy goździków, nigdy nie mogła się nadziwić, że są w Nowym Meksyku, a nie Watykanie czy Alhambrze.

Eve, Pennac i Powers nie zaszli daleko, kiedy przy drzewach zobaczyli mężczyznę rozsypującego na ziemi sztuczny śnieg, drugi facet opierał się o stos sanek i przyglądał się cierpliwie. Nieco dalej stała wysoka, ładna kobieta w okularach, dzinsach i znoszonym swetrze, i przyglądała się tej scenie krytycznie. Twarz miała bladą, natomiast włosy, długie i nieuczesane, nadawały jej wygląd kogoś, kto miał mało czasu na poranną toaletę. Eve, studentka Conde Nast, poczuła, jak jej serce zabiło z podniecenia, kiedy rozpoznała w kobiecie Cadence Kiam, fotografika z „Vanity Fair”.

- Przyjrzymy się z bliska - zaproponowała Eve i podeszła do Kiam i jej asystentów.

Kiedy znalazła się obok planu zdjęciowego, zrozumiała jakie fotograficzne założenia są realizowane.

- Och, teraz rozumiem - powiedział nieco cierpko Nick Pennac. - Dobry pomysł, jak się nad tym zastanowić.

- Możemy trochę popatrzeć? - Eve zapytała Kiam, która trzymała dużego, ciężkiego nikona.

Kiam zerknęła na Eve i innych.

- Oczywiście - odpowiedziała jakby po namyśle.

- Na wszystkich sankach namalowane jest imię Rose -Pennac mówił do Powersa. - Tak nazywały się sanki, będące własnością Charlesa Fostera Kane'a w filmie *Obywatel Kane*. Z Orsonem Wellesem. Najlepszy film wszechczasów. Sanki to klucz do całego obrazu.

- Pracuje pani dla pana Wallenberga? - Kiam zapytała Eve.

- W pewnym sensie. Prowadzę firmę cateringową. Ci ludzie pracują dla mnie. Jako kelnerzy. Przyjdzie pani do nas na lunch? Albo na obiad? - Jej udawana uprzejmość kryła w sobie inny cel: chciała odkryć, czy Kiam i jej dwóch asystentów odegrają rolę w tym, co ma się wkrótce wydarzyć.

- Dzięki, że pani zapytała. Chyba będziemy zbyt zajęci ustawianiem sceny, żeby robić przerwę na lunch. A po zdjęciach panowie wracają do hotelu. Ale ja zostanę na obiad. Może uda mi się zrobić kilka nieformalnych ujęć.

Pennac nadal opowiadał Powersowi o filmie.

- Sanki były jakby alegorią, czy raczej przesadzoną metaforą - mówił. - Na jednym poziomie było to dość dosłowne prowadzenie akcji. Kim była Rose? Jest dziennikarz, który myśli, że gdy tylko pozna na to odpowiedź, wówczas, zrozumie, o co chodzi w filmie. Na innym poziomie sanie są symbolem utraconej młodości, utraconej niewinności. Potem Kane robi wielkie pieniądze. I jest skorumpowany. To jakby jego sanie przestały się poruszać. Zostają zapomniane. A na końcu zostają wrzucone do ognia, co wygląda jak piekło. Prawdopodobnie Charlie Kane tam skończy. Jak chyba ci wszyscy bogaci.

Powers wyglądał nijako, ale Cadence Kiam uśmiechała się.

- Hej, wie pan więcej o tym filmie niż ja.

- Chodziłem na zajęcia ze scenopisu - wyjaśnił. - Hej, czym pani robi zdjęcia? Cyfrówką?

Kiam skinęła głową.

- Planujemy dodać z tyłu szklaną kulę w laboratorium, żeby cała scena na końcu filmu wyglądała jak zimowa sceneria w szklanej bańce - wyjaśniła.

Pennac skinął głową.

- Świetny pomysł.

Eve i dwaj mężczyźni wrócili do domu.

- Może wykorzystamy to zdjęcie, które ona chce zrobić? - zaproponował Pennac. - Team Miliarderów?

- Chcesz umieścić je na stronie internetowej? - zapytała Eve.

- Czemu nie? Szkoda by było nie wykorzystać zdjęcia Cadence Kiam. Szczególnie tego. Będzie przebojowe. Mediom się spodoba.

- Dobry pomysł.

*

Jadalnia dla personelu była duża, pozbawiona okien i przylegała do kuchni w piwnicy. Grube drzwi z dębiny można było zamknąć z zewnątrz, a w przeciwległej ścianie znajdowało się wejście do łazienki i toalety. W tych spartańskich warunkach większość z tuzina ochroniarzy zatrudnionych w Cloudercroft jadła obiad razem z Eve i jej zespołem o szóstej, czyli dwie godziny przedtem, nim Wallenberg i jego goście zostaną obsłużeni. Stosunki między ochroną a cateringiem były wystarczająco serdeczne, przynajmniej kiedy Ferguson nie kręcił się w pobliżu, ale Szkot był tylko jednym z powodów, dla których Eve starała się posadzić strażników przy osobnym stole. Niechęć i brak zaufania do Fergusona były mało istotne; usadzenie ochrony przy jednym stoliku ułatwi podanie odpowiednich środków.

Sam Heinichen, ekswojskowa pielęgniarka anestezjologiczna, miała gruntowną wiedzę na temat środków uśmierzających ból i uspokajających; zamierzała użyć difenhydraminy, leku przeciwhistaminowego. Wielokrotnie posługiwała się jego handlowym odpowiednikiem - benadrylem.

Odmierzywszy czerwony eliksir do trzech dzbanków z sokiem winogronowym, przeznaczonych dla stolika ochrony, Sam powiedziała Eve, jak będzie wyglądała reakcja na lek.

- Sok na moment pozbawi ich przytomności. Nie na długo. Działanie będzie słabsze, niż gdyby lek podano dożylnie. Gdy tylko stracą przytomność, podam każdemu w zastrzyku dawkę pięćdziesięciu miligramów, co powinno działać przez

sześć godzin. Później to już tylko kwestia utrzymania ich w tym stanie. Jedyny kłopot w tym, że bezpiecznie mogą przyjąć nie więcej niż około czterystu gramów, więc po ośmiu zastrzykach koniec. Cała nadzieja w tym, że drzwi do jadalni wystarczą, aby się do nas nie dobrali.

Eve skinęła głową, dokonując obliczeń w pamięci.

- Osiem dawek. To czterdzieści osiem godzin.

W tym samym czasie kiedy Pennac i Powers podawali ochroniarzom sok z dodatkiem leku, Eve zniosła tacę do centrum kontroli ochrony w zachodnim skrzydle, gdzie Ferguson i jeszcze jeden mężczyzna, Reed, spędzali większość czasu. Eve przygotowała rybę z frytkami w nadziei, że Szkot się na nią połakomi.

Centrum było pomniejszoną wersją sali Kontroli Misji NASA na Przylądku Kennedy'ego z tuzinem albo więcej monitorów zajmujących całą jedną ścianę, niczym oko złożone muchy, i ogromnym komputerem IBM połączonym z systemem monitorów, joysticków, dźwigni, klawiatur i telefonów. Z notatek, które Eve dostała od Boba Clarenca, dowiedziała się, że każda ikona na ekranie komputera odpowiadała kamerze telewizji przemysłowej, czujnikowi ruchu, mikrofonowi z przedwzmacniaczem, drutom, detektorowi wstrząsów, detektorowi termicznemu, włącznikowi hydraulicznemu, psu obrończemu, fotokomórce, sektorowi ogrodzenia pod napięciem, elektronicznym bramkom, folii okiennej albo czujnikowi nacisku. Cloudcroft mogło być lepiej strzeżone, ale tylko wtedy, gdyby otoczyły je oddziały Gwardii Narodowej.

Eve udawała, że nie widzi filmu porno z internetu na jednym z ekranów plazmowych, i postawiła tacę na stole obok pistoletu maszynowego Heckler & Koch M5, który przypomniał jej, czego ona, Clarence i inni się podjęli.

- Co to jest? - spytał Ferguson.

- Obiad - odparła obojętnie.

- Jedzenia nie wolno tutaj wnosić - rzekł Ferguson, przyglądając się smakowicie pachnącej rybie i frytkom niczym głodny pies. - Ze względu na komputer.

Eve zauważyła rosnący apetyt szefa ochrony.

- To już nie moja sprawa.

Wzruszyła ramionami i podniosła tacę.

- Ale w tych okolicznościach - kontynuował Ferguson. - Skoro zadałaś sobie tyle trudu. Może tym razem powinniśmy pominąć zasady.

- Święta prawda - zgodził się Reed. - Człowieku, to wspaniale wygląda. Dzięki, Eve.

- Fakt - dodał Ferguson, w końcu przypomniał sobie o manierach. -
Dziękujemy.

Eve uśmiechnęła się oschle i nalała dwie szklanki soku. Nie mogła doczekać się, kiedy zobaczy Szkota uśpionego.

- Wróć po tacę - powiedziała i zostawiła ich z jedzeniem.

Zanim dziesięć minut później wróciła do jadalni dla pracowników, benadryl zaczął działać. Ludzie reagowali na niego różnie - jedni byli nieprzytomni, inni siedzieli sennie na podłodze wśród rozbitych talerzy i kawałków jedzenia, jeszcze inni trzymali się krzesel albo krawędzi stołu, a jeden stał niepewnie przed resztą kolegów, rozebrany do pasa, bo w zamroczeniu zdjął koszulę, którą teraz wycierał czoło. Przez moment chwiało się lekko, jak drzewo tuż przed runięciem.

- Może powinnam użyć temazepanu - doszła do wniosku Sam. - Benadryl może być nieco nieprzewidywalny. - Wbiegła do jadalni i schwyciła mężczyznę, który już zaczynał osuwać się na podłogę.

King i Busiek podążyli za nią i zaczęli rozdzielać nieprzytomne ciała.

- Jak ich ułożyć? - zapytał King.

- W pozycji bocznej bezpiecznie - odrzekła Sam, otwierając torbę lekarską. - Na wypadek gdyby wymiotowali przez sen.

Eve stała w drzwiach i jednym okiem obserwowała korytarz, na wypadek gdyby zaplątał się tu któryś z gości, co było mało prawdopodobne. Obserwowała, jak Sam przystępuje do pracy i podaje dożylnie benadryl. Od czasu do czasu Eve spoglądała na zegarek. Sam najwyraźniej czytała w jej myślach.

- Tamci dwaj w centrum kontroli też już powinni dojść - powiedziała. - Weź parę strzykawkę i sama zrób im zastrzyki, jeżeli chcesz oszczędzić na czasie. Przyjdę, gdy tylko tu skończę.

- Mam iść z panią? - zapytał Busiek.

Eve wsunęła dwie strzykawki do kieszeni koszuli i rozejrzała się.

- Gdzie Nick?

- Na górze, w bibliotece - odparł Busiek. - Podaje drinki z Hogarthem.

- Powiedz mu, żeby dołączył do mnie w centrum kontroli - poleciła. - A potem zastąp go przy drinkach.

- Tak jest.

Ruszyła do zachodniego skrzydła. Wiedziała, że tam znajduje się apartament japoński, ale zapomniała, że zajmuje go Eliot Massinger. W połowie drogi natrafiła na miliardera, który wychodził ze swojego pokoju. Na widok Eve jego twarz rozświetliła się, jakby znalazł diament na podłodze. Jęknęła bezgłośnie, ale starała się zachować tak, jakby ucieszyła się ze spotkania. W płóciennej marynarce, koszulce polo, džinsach i tenisówkach Massinger nie wyglądał na bogacza, zdradzał go tylko zegarek i uśmiech.

- Właśnie o tobie myślałem - powiedział, ukazując w uśmiechu nieskazitelną uzębiecie, które musiało kosztować fortunę.

- Naprawdę? A ja myślałam o tobie. Zastanawiałam się, jak udało ci się tutaj przylecieć jedynie z torbą sportową, a za każdym razem masz na sobie inne ubranie, a do tego nawet kije golfowe.

- Wysłałem bagaż kilka dni wcześniej - wyjaśnił z uśmiechem.

Eve pokiwała głową. Zdziwiła się, że od razu na to nie wpadła.

- W pokoju mam mnóstwo rozmaitych rzeczy. Lubię być przygotowany na każdą sytuację.

- To dobrze.

- Nie zapomniałem o twojej obietnicy - dodał.

- To właśnie miałam na myśli.

- Czy obrazisz się, jeżeli powiem, że nie mogę się doczekać, kiedy ten konkretny obiad dobiegnie końca.

- W tych okolicznościach, nie.

Massinger skinął głową.

- Co jest na obiad?

Zacytowała menu.

- Niech mnie diabli, jeżeli wiem, co to za składniki - wyznał.

- Właśnie po to one tutaj są. Przynajmniej istnieje jeden sposób, żeby ludzie tacy jak ja sprawili, żeby ludzie tacy jak ty poczuli się ignorantami.

- Fakt.

Poszła dalej w głąb korytarza. On ruszył za nią nieco markotny.

- Nie bądź taki ponury - powiedziała. - Zobaczymy się o północy.

Stał w miejscu.

- Idź - dodała. - Czekają na ciebie w bibliotece.

Eve wzięła głęboki oddech i ruszyła w stronę centrum kontroli.

Zatrzymała się przed drzwiami i otworzyła je ostrożnie. Z ulgą zobaczyła, że Ferguson leży na podłodze. Jego głowa wyglądała, jakby została odcięta i nadziana na pikę, usta miał lekko rozchylone i nieco wysunięty język. Jej obawy znikły, gdy weszła dalej do pomieszczenia, zbyt późno jednak się zorientowała, że opróżniono tylko jedną szklankę z sokiem. Usłyszała trzask odciąganej iglicy pistoletu automatycznego.

Gdyby zamarła w bezruchu, usłyszałyby, co chce powiedzieć w pełni świadomy Reed, który jak na diabetyka przystało, unikał słodzonych napojów i preferował wodę mineralną do posiłku. Ale Eve zareagowała instynktownie i błyskawicznie prawą nogą uderzyła Reeda w genitalia. Jako że mężczyzna był niższy od niej o głowę, obcas Eve miał do pokonania krótki dystans i uderzył w cel z maksymalną siłą. Była to standardowa, instynktowna reakcja na atak od tyłu, a to kata Eve ćwiczyła wystarczająco wiele razy w dojo, aby włożyć w nie całą siłę.

Odwróciła się do Reeda, skrzyżowanymi dłońmi zablokowała broń nad głową, a następnie określonym ruchem wykręciła rękę trzymającą pistolet w prawo, w dół. Przy tym nie trzeba było myśleć. Działała automatycznie. Kiedy broniła się, była spokojna, gdyż napięty mięsień nie reaguje tak szybko jak mięsień rozluźniony. Eve, obracając się szybko w lewo, podciągnęła ramię Reeda w górę jego pleców i zanurkowała pod jego lewą ręką, kiedy próbował zadać cios za siebie. Nadał rozluźniona, trzymając dłoń z pistoletem, napała mocno na staw. Reed z jękiem wypuścił broń i gdy pistolet upadł, jeszcze raz wymierzył cios do tyłu. Eve objęła prawą ręką jego klatkę piersiową, przeginając go do tyłu i jednocześnie wbijając mu kolano w krzyż. Znieruchomiała na chwilę, a następnie z całej siły uderzyła go pięścią w krocze.

Reed spazmatycznie chwycił powietrze, a kiedy go puściła, upadł na podłogę, zgięty wpół, wijąc się w bólu.

Eve odsunęła się, głęboko odetchnęła, odgarnęła włosy z twarzy i pochyliła się, aby lepiej mu się przyjrzeć, ewentualnie spróbować pomóc. Zamknęła drzwi centrum kontroli, żywiąc nadzieję, że nikt niczego nie słyszał. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wbić igły w ramię Reeda, żeby go uspić i w ten sposób uśmierzyć jego ból, ale nadal za bardzo się rzucał. Z ulgą przyjęła pojawienie się Sam w drzwiach.

- Co mu się stało? - zapytała Sam.

- Miał broń - wyjaśniła Eve. - Musiałam go całkiem mocno uderzyć.

- Właśnie widzę. Masz jeszcze ten zastrzyk?

Eve skinęła głową.

- Dobra, spróbuję go przytrzymać, a ty rób zastrzyk. Sądząc po jego wyglądzie, oddamy mu przysługę.

Kilka sekund później, gdy tłok strzykawki wciskał dawkę benadrylu wprost w krwiobieg Reeda, mężczyzna w końcu znieruchomiał, jakby ktoś wyłączył jego zasilanie.

- Przypomnij mi, żebyś nie zapomniała o twoich urodzinach - zauważyła Sam, gdy bliżej przyjrzała się Reedowi. - Nie odpowiadam za jądra, ale chyba nic mu nie będzie.

Eve skinęła głową z ulgą, że poważniej nie uszkodziła Reeda.

- Po obiedzie przeniesiemy tych dwóch na dół, do reszty ochroniarzy - powiedziała.

Do pokoju wszedł Pennac, nadal ubrany w strój kelnera. W ogóle nie patrzył na mężczyzn leżących na podłodze. Zacierając dłonie z entuzjazmem, usiadł przy stole z przyrządami i obrzucił wzrokiem monitory.

- Jak widzę ten sprzęt, to od razu mi lepiej. - Uśmiechnął się, gdy jego palce zaczęły biegać po klawiaturze.

Sam wstała i zerknęła Pennacowi przez ramię na monitor.

- Są tu jakieś karabiny maszynowe? - zainteresowała się. - Gdyby zdecydowali się na desant z powietrza.

- Tu jest za dużo drzew, żeby dobrze poprowadzić atak z góry - odpowiedziała Eve.

- Mamy zdalnie sterowane gniazda karabinów maszynowych, psy obrończe, kamery na podczerwień, detektory wstrząsów, przedwzmacniacze. - Pennac zaczął przełączać kontrolki na próbę.

- Potrafisz tym się zająć? - zapytała Eve.

- Potrwa kilka godzin, zanim zaznajomię się ze wszystkim - odparł, umieszczając obraz głównej bramy na jednym z większych płaskich ekranów na ścianie. - Ale pewnie, zajmę się tym. Będzie tak, jak mówił Clarenc. Człowiek na tym fotelu widzi i słyszy wszystko, co dzieje się na zewnątrz. Można tak podzielać, że ktoś, kto wejdzie na teren posiadłości niezaproszony, nie wyłączając samego Pana Boga, będzie bardzo zaskoczony. Brakuje mi tylko krzewu gorejącego i plagi szarańczy.

Eve zerknęła na zegarek.

- Niewiele czasu zostało - powiedziała. - Zajrzę do biblioteki.

- Jest tu kamera telewizyjna? - zapytała Sam.

- Nie - odparł Pennac. - Wnętrze domu nie jest monitorowane. Najwyraźniej pan Wallenberg nie chciał, aby jego ochroniarze przyglądali się, jak czyta książkę. Zdaje się, że zawsze uważali, że zagrożenie przyjdzie z zewnątrz, nie od środka. - Stuknęła jeszcze w kilka klawiszy i zachichotała. - Ale jak mawiał Gordon Gekko, jak nie jesteś w środku, to nie jesteś nigdzie.

*

Cadence Kiam odłożyła aparat i wypła łyk wody ze szklanki, którą podała jej Fiona Lovatt. Fotografia grupowa wyszła dobrze, chociaż przez moment sprawa była delikatna, gdyż niektórzy z gości Wallenberga nieco się zaniepokoiili pomysłem porównania ich do demagogicznego, makiawelicznego, chociaż fikcyjnego milionera wymyślonego przez Orsona Wellesa jako symbol amerykańskiego faszyzmu.

Ostatecznie Kiam zrobiła zdjęcie takie, jakie chciała, i jej jedynym zmartwieniem było to, że redaktor „Vanity Fair” będzie miał obiekcje, iż miliarderzy na zdjęciu są ubrani w stroje do golfa zamiast do jazdy na sankach. Lecz ten dzień wyczerpał ją bardziej, niż sobie wyobrażała. Wyczekiwała z aparatem w nadziei, że zrobi kilka ciekawych ujęć, ale pragnęła znaleźć się z powrotem w hotelu ze swoimi dwoma asystentami, zjeść szybki obiad, wziąć kąpiel i iść wcześniej spać.

Kiam ziewnęła niczym goryl ukazujący rywalowi zęby i wściekle zamrugła. Jej charakterystyczny styl fotografowania - prześwietlenie i mieszanie światła stroboskopowego z naturalnym - przeważnie kończył się przecieraniem oczu pod koniec długiego dnia pracy. Ale teraz było inaczej... gdyby nie wiedziała, co robiła, mogłaby powiedzieć, że jest pijana jak Joe Jacobson, spekulujący funduszami, który już klęczał na dywanie.

- Teraz nie powinnaś robić zdjęć - powiedziała Fiona. - Niektórzy z gości wyglądają, jakby już wypili za dużo szampana.

- W porządku - odparła Kiam, odkładając aparat, i oparła się o kanapę, zamykając oczy.

Fiona rozejrzała się za Wallenbergiem i dostrzegłszy go po drugiej stronie biblioteki ze Steve'em Vassallem Foxem, Massingerem i Laurensonem, podeszła trochę niepewnie na szpilkach, aby dotrzymać mu towarzystwa.

- Chcemy dobrze - mówił Massinger. - Ale chcemy czuć się moralnie usprawiedliwieni, żądając wynagrodzenia. Patrzcie na nas. Szukamy olbrzymiego

bogactwa, a jednocześnie ubieramy się jak wszyscy Amerykanie, jakbyśmy chcieli samym sobie i wszystkim innym udowodnić, że nie ogarnęła nas chciwość.

- Zgadzam się. - Laurenson ziewnął. - Wiesz, Cal, niezłe to twoje pole golfowe. Nic dziwnego, że masz wózki elektryczne. Nie wyobrażam sobie, jak byłbym zmęczony, gdybym musiał faktycznie przejść całą trasę.

Wallenberg usiadł śpiący.

- Nie możemy jednak wszyscy być tacy zmęczeni - wymamrotał.

Laurenson usiadł na podłodze obok niego, jakby nadal znajdował się na fotografii Teamu Miliarderów. Przez chwilę myślał, że podąża za swoim zmarłym partnerem, Charlesem Poynderem, i niemal się zaśmiał. Dostał ataku serca, choć wydał tyle pieniędzy na zdrowie. Jeżeli przejdzie przez to, cokolwiek to było, wyrzuci Thorstena Danne'a z kliniki DGF w Szwajcarii. Takie coś nie mogło przytrafić się jemu. Nawet kiedy Laurenson kładł się na jedwabnym dywanie i w końcu zamknął oczy, zastanawiał się, kogo uczynić odpowiedzialnym za ten obecny niemiły stan.

*

Eve ogarnęła wzrokiem bibliotekę, która wyglądała niczym scena z tego samego filmu science fiction, który rozegrał się przed półgodziną w jadalni dla personelu. Większość miliarderów zasnęła w fotelach lub na kanapach, ale jeden czy dwóch leżało na podłodze, a przy nich naturalnych rozmiarów statua z brązu Stewarda Johnsona wybierającego książkę z półki wydawała się tym bardziej niesamowita, zupełnie jakby jakaś choroba przemknęła przez pokój i jedynie go sparaliżowała, zamiast pozbawić przytomności.

Rozpoczęła się faza pierwsza operacji. Wykorzystując nosze z dobrze wyposażonej kliniki Wallenberga, Bird i Whalin transportowali jednego z miliarderów z powrotem do jego apartamentu. Tom Lieberman był dużym człowiekiem, ważącym ponad sto kilogramów, i Bird głośno się zastanawiał, dlaczego miliarderów nie uśpili po obiedzie, kiedy sami wróciliby do swoich pokojów.

- Wtedy nie bylibyśmy pewni, czy wszystkim podaliśmy środek nasenny - wyjaśniła Sam, niosąc nieprzytomną Fionę Lovatt. - Poza tym na ogół nie należy usypiać ludzi, gdy mają pełny żołądek, gdyż mogliby wymiotować. Więc rób, co trzeba, i przestań narzekać.

- Mój Boże - Clarenco szepnął do Sam. - Wyglądają, jakby nie żyli.

- Są nieprzytomni - odparła szorstko. - Widzę różnicę, więc się uspokój. Poza tym niby jak mieli wyglądać?

- Powiedz mi tylko, że nic im nie będzie.

Sam mocno klepnęła Fionę w pośladek.

- Pewnie, że nic im nie jest. Co, kochanie?

- Nie mówię o niej - dodał Clarenco. - Ona mnie specjalnie nie interesuje.

- Ale mnie tak. Ta mała to prawdziwa brzoskwinka.

Gdy Sam wyniosła Fionę z pokoju, Clarenco spojrział na Eve.

- Czy to znaczy to, co myślę? - zapytał.

- Ty mi powiedz. Sam ją wybrałeś. Słuchaj, Bob. Do tej pory wyglądało na to, że wie, co robi. - Eve wskazała ręką mężczyzn leżących na podłodze biblioteki. - Nic im nie będzie. Taki mieliśmy plan. Jak usypiasz dwudziestu trzech ludzi, zawsze będą wyglądać jak ofiary Jima Jonesa. A teraz albo pomagasz nosić ciała, albo idź, zrób sobie drinka i przestań się martwić. Tylko uważaj i nie bierz nic z dolnej półki w szafce, bo tam są same zatrute butelki. Bez ciebie fazę pierwszą diabli wezmą.

Clarenco skinął głową, jakby pojmował sens tego, co do niego mówiła.

- Masz rację - powiedział, próbując się uśmiechnąć. - Muszę się napić.

Trzeba było prawie trzech godzin, aby przenieść wszystkich do pokoiów i prywatnych apartamentów, bo były tylko jedne nosze. Bird i Whalin, Busiek i Powers pracowali po pół godziny, na zmiany, a Pennac i Ann Choy zaznajamiali się z systemem zabezpieczeń w centrum kontroli, jak również systemami filtrującymi wodę i powietrze, systemami satelitarnymi i telekomunikacyjnymi oraz generatorem prądu. King i Hogarth podali około dziesiątej obiad składający się z piwa i kanapek.

Clarenco pozostał z Eve i Sam, przeprowadzając następny punkt fazy pierwszej, który zawsze żartobliwie nazywał „kopalnią odkrywkową”.

Z każdym miliarderem postępowało identycznie. Sam wprowadzała pacjentowi wenflon do żyły i podłączała go do urządzenia wielkości osobistego organizera. Maszyna, połączona z butelką środka uspokajającego, była pompą infuzyjną sterowaną komputerowo. Dzięki tej pompie anestezjolog mógł dokładnie odmierzyć podawany środek, by osiągnąć zamierzony kliniczny efekt u każdego pacjenta, jednocześnie minimalizując niepożądane i toksyczne efekty uboczne. Sam w trakcie pracy wyjaśniała procedurę Eve.

- Zaprogramowałam już każdą z pomp w zależności od wieku, masy ciała i oznak życiowych każdego pacjenta. Program komputerowy odpowiada za to, aby

odpowiednią ilość propofolu - środka uspokajającego, który stosujemy u naszych miliarderów - podać automatycznie dla osiągnięcia i utrzymania odpowiedniego stężenia we krwi.

Zaczęli od Johna Bielby Porteusy w apartamencie perskim, który przypominał Eve stary film o Sindbadzie Żeglarzu. Mężczyzna spał spokojnie na olbrzymim żelaznym łóżku z białą, perską, podwójną kołdrą. Sam zdjęła mu okulary i odłożyła na stolik. Porteus mógł nie chcieć urzędu, który Wallenberg chciał kontrolować wraz ze swoją lożą miliarderów, ale z pewnością z wyglądu się nadawał. Z wysokim czołem, siwymi, falistymi włosami, przyprószonymi siwizną brwiami i dość surowymi ustami zawsze przypominał ludziom wizerunek Andrew Jacksona na banknocie dwudziestodolarowym.

- Możemy ich zostawić w zasadzie bez opieki - kontynuowała Samantha - wiedząc, że anestezją zajmie się pompa. Nie stanowią dla nas ryzyka, a co równie ważne, dla samych siebie. Propofol to najlepszy środek chemiczny. Stan uspokojenia można utrzymywać dopóty, dopóki w pompie znajduje się lek

Sam spojrzała na zegarek i ustawiła godzinę na diprifuzorze.

- Ale nie rozumiem - wyznała Eve - jak zmusisz ich do mówienia, skoro będą pod wpływem leków?

- Ogólna anestezja to dynamiczna równowaga między poziomem efektów hipnotycznych i znieczulających. Nie używamy żadnych środków znieczulających. Tylko propofol. A diprifuzor umożliwi nam, za naciśnięciem guzika, wprowadzenie pacjenta w jeden z pięciu poziomów anestezji. Najważniejsza z tego dla naszych celów jest faza hipnotyczna, czyli amnestyczna. To najłżejszy poziom anestezji, w którym pacjent może usiąść i odpowiadać na pytania zgodnie z prawdą, ale zupełnie nie będzie pamiętał, że to robił.

- Czy to nie piękne? - Clarencu się uśmiechnął. - To jak eliksir prawdy bez żadnych efektów ubocznych.

- Jako pielęgniarka anestezjologiczna dostałam przydział do wywiadu wojskowego - powiedziała Sam, zakładając cewnik. - Dzisiaj większość przesłuchań przechwyconych pilotów irackich odbywa się z użyciem diprifuzora.

- I nawet nie będą pamiętać, że to zrobili - wtrącił Clarencu, zacierając dłonie w podnieceniu.

Dwudziestu jeden najbogatszych ludzi świata zaraz wszystko nam powie. Zdradzi wszystkie tajemnice interesów. Wyznaczone cele, możliwe fuzje, nowe linie

produkcyjne. Wyobrażacie sobie, ile to może być warte? I nawet nie będą pamiętać, że to zrobili. Ten weekend przyniesie im koszmarnie straty.

*

Promienie księżycy wwiercały się westybulami w ciemne głębie Cloudcroft niczym snop światła z projektora kinowego w pustą salę, momentami oświetlając Eve na tle olbrzymich okien na parterze, która przemierzała dom kamiennymi korytarzami rozbrzmiewającymi echem jej kroków. Nienaturalna cisza domu podzwaniała jej w uszach, a poczucie sztucznego spokoju kazało jej zatrzymać się na moment i napawać się tym milczącym obrazem namalowanym na tafli okna. Nigdy nie żyła pełniej niż w tym momencie. Dokonała wyboru - lepszego bądź gorszego - i to ten wybór definiował teraz, kim jest i kim będzie; jakby wzięła jaskrawą szminkę i odrysowała własne odbicie w lustrze. Była północ i Eve szła do apartamentu Eliota Massingera. Zawsze dotrzymywała obietnic.

Otworzyła drzwi i zobaczyła coś na wzór sceny zbrodni z japońskiego filmu: meble z laki, reprodukcje Hokusai i - w ostrych światłach i ciemnych kontrastach Eliot Massinger na materacu cesarskiego rozmiaru. Obok niego klęczeli Clarenco i Sam Heinichen.

Eve, zbliżając się do puszystej i białej jak chmura pierzyny, która spowijała go niczym kokon, poczuła, jak Eliot rozbiera ją lubieżnym spojrzeniem.

- No, wreszcie przyszła - zacharczał Massinger, najwyraźniej wcale nie myśląc o tym, że znajduje się pod wpływem anestetyków. - Dziewczyna, którą dzisiaj będę miał. Umówiliśmy się. Powiedz im, Eve.

- Przecież jestem, prawda? - odparła Eve, starając się nie czuć zażenowania.

- Tak jest, najlepsza dupa, jaką widziałem poza lodowiskiem. - Uśmiechnął się sprośnie do Boba Clarenca. - Hej, Bob? Zauważyłeś, że kobiety, które uprawiają jazdę figurową na lodzie, mają najfajniejsze tyłki na świecie?

- Skoro tak twierdzisz - odparł Clarenco, kiwając głową, jakby dopatrywał się prawdy w twierdzeniu Massingera. - Chyba masz rację.

Sam zauważyła rozbawienie i zaskoczenie na twarzy Eve.

- Tendencja do czynienia seksualnych propozycji, a nawet umiarkowany syndrom Tourette'a to całkowicie normalny stan w fazie hipnotycznej po zastosowaniu propofolu.

- Tak. - Massinger zaśmiał się, kontynuując swój temat. - Nie bez powodu nazywa się to łyżwiarstwo figurowe, uwierz mi. Niektóre z tych dziewczyn zbudowane są jak porsche 911 turbo. Dużo mocy z tyłu. Powiedz mi, Eve, kochanie, jeździsz na łyżwach?

- Zdarzało się - odparła, a potem zwróciła się do Sam: - Trochę trudno uwierzyć, że on jest pod wpływem leków, bardziej przypomina osobę pijaną.

Sam spojrzała na diprifuzor.

- Obecnie ma półtora nanograma propofolu w mililitrze krwi. Jestem gotowa, panie Clarenco.

Clarenco w nogach łóżka ustawił na trójnogu cyfrową kamerę wideo. Włączył mały reflektor halogenowy i mikrofon stereofoniczny, który był podłączony do kamery, i sprawdzwszy obraz i dźwięk na ekranie wielkości paczki papierosów, wcisnął przycisk nagrywania.

Clarenco odchrząknął nerwowo kilkakrotnie, jakby w jego gardle ulokowała się cała sadzawka żab, a potem nagiął mikrofon w stronę ust.

- Wywiad pierwszy - powiedział. - Temat: Eliot Massinger. Dobrze, zacznijmy od łatwiejszych rzeczy. Zerknął na skoroszyt, który ułożył na krawędzi łóżka. Eliocie? Czy to prawda, że pracowałeś w wywiadzie wojskowym, zanim zająłeś się biznesem?

- Nie, to niezupełnie prawda. Służyłem w wywiadzie marynarki wojennej w stopniu kapitana. W Wietnamie. Tam nauczyłem się latać.

- A czy to prawda, że nadal współpracujesz z CIA?

- Owszem. Przy wielu okazjach, kiedy chcieli komuś zapłacić, ale tak żeby nie można tego było z nimi skojarzyć. Na przykład senatorowi Tennysonowi Travellowi. Pamiętasz go? W każdym razie działa to tak, że dla kogoś takiego jak senator Travell aranżuję wygraną w jednym z moich kasyn.

- A co dostajesz w zamian?

- Dużo rzeczy. Głównie wywiad gospodarczy.

- Masz na myśli szpiegostwo przemysłowe?

- Oczywiście, Bob. Weźmy zeszły rok. Przejęcie Cray Asta Cable. Miałem wtyczkę. A wszystko dzięki uprzejmości facetów z NSA. Wiesz, satelitarny podsłuch rozmów biznesowych, tego rodzaju rzeczy. To dzisiaj jedyny sposób, żeby nie wypaść z gry. Żeby zarabiać takie pieniądze, trzeba być w dobrych stosunkach z NSA.

- To miałyby sens. A teraz do rzeczy. Czy planujesz przejęcie jakichś firm w najbliższej przyszłości.

- Bob, to tajemnica.

- A może jednak mi powiesz?

- Dobrze. Może uda mi się ubić interes podczas pobytu tutaj. A potem oczywiście planuję kupić Super Visor. Między innymi.

- To produkt rywalizujący z Delphus Add Visor, prawda? Produkt Errola Laurensa. Więc planujesz przejąć czołową markę?

- Już długo nie będzie czołowa. Wojsko planuje zrezygnować z AV pod koniec roku. Wypróbowali już Super Visor i bardziej im się spodobał. Oczywiście Laurens o tym nie wie. Dlatego ja to kupuję. Masz moje słowo. AV jest skończony.

- Dobrze wiedzieć, Eliot - rzekł beznamyślnie Clarence. - Jak stoją teraz akcje Super Visor?

- Około dwudziestu dolarów. Obliczamy, że jak wieści się rozejdą, będą warte trzy, może cztery razy tyle. Sam powinieneś ich trochę kupić.

- Może. Czemu nie.

- Nie powinienem ci tego mówić, Bob, ale skoro przy tym jesteśmy, powinieneś kupić trochę Angelpin Incorporated. Robią hard drive'y, wykorzystując nanotechnologię. Opracowali wytwarzanie dysków twardych wielkości łebka od szpilki, wykorzystując muszle uchojca. Małe napędy dysków twardych to następny boom technologiczny. Angelpin w tej stawce prowadzi. Właśnie kupiłem sporo udziałów w tej firmie. Oczywiście w tajemnicy.

Clarence uśmiechnął się do Sam.

- To nie do wiary. Wszystko mówi. To jak żyła złota w Nevadzie.

Przez chwilę Eve przyglądała się i przysłuchiwała nieco zafascynowana, ale głównie zaniepokojona tym, czego była świadkiem. Gwałt to za słabe określenie, w tym wypadku ofiara była zredukowana do statusu kukielki i zmuszona do imitowania pantomimy zgody. Wszystko to zostawiało niemiły posmak. Widok człowieka podłączonego do maszyny przypominał jej o matce, która przez całe życie będzie musiała robić dializy, i żal jej się zrobiło Eliota Massingera. Może i był złodziejem, ale skoro Eve sama miała nim zostać, nie mogła go za to winić.

5. Niedziela

Z podziemnej pieczary, która służyła Wallenbergowi za garaż, wyłoniło się srebrne ferrari 550 barachetta. Na tle jasnoblękitnego horyzontu wyglądało niczym statek kosmiczny obcych, który zbłądził zbyt daleko na zachód od Roswell i reszty złowrogiej floty. Eve, przywołana nakazującymi porykiwaniami silnika V12, podeszła do kabrioletu i zobaczyła, że za kierownicą siedzi Bob Clarenco.

Oparła się o nadwozie i spojrzała na Clarenca oraz paczkę leżącą na kremowej skórze siedzenia.

- Możesz mi zdradzić, gdzie jedziesz, Bob?

- Do Alamogordo - odpowiedział, kładąc rękę na paczce. Wysłać to.

- Co to jest?

- Nasze ubezpieczenie. Wszystkie wywiady, które nagrałem wczoraj na kilku DVD. Dzięki temu, jeżeli faza druga się nie sprawdzi, nadal będziemy mieć gwarancję dużej wypłaty. Niektóre z tych rzeczy to kopalnia złota.

Eve skinęła głową.

- Odniosłam takie wrażenie - przyznała. - Toteż zaczynam się zastanawiać, co cię może powstrzymać, żeby nie opuścić nas właśnie teraz? Jeżeli przejedziesz przez bramę, możemy cię już nigdy nie zobaczyć. Mogłeś chcieć tylko informacji zawartych na tych dyskach. A faza druga to jedynie zasłona dymna.

Clarence zdjął okulary i pokiwał głową.

- Trafna uwaga. W takim razie jedź ze mną.

Eve otworzyła drzwi ferrari.

- Zamierzam.

- A ja myślałem, że mi ufasz.

- Zaufanie - powtórzyła, podnosząc paczkę, zanim wsiadła do wozu; przesyłka zaadresowana była do firmy na Kajmanach - to tylko słowo na banknocie dolarowym, podobnie jak Bóg i Waszyngton.

Clarence zatrzymał samochód przed bramą i spojrzał w kamerę, która odwracała się w jego stronę. Potem w głośniku rozległ się brzęczy nie ludzko głos Pennaca:

- Może powiecie, dokąd się wybieracie?

- Chcę coś wysłać - wyjaśnił Clarence. - To, nad czym Sam i ja pracowaliśmy przez pół nocy. Nasze ubezpieczenie.

Brama pozostawała zamknięta, a głośnik milczał, z czego Eve wniosowała, że Pennac i Ann Choy żywili takie same podejrzenia względem Clarence, jak ona wcześniej. Eve przechyliła się nad kolanami Clarence i zawołała do mikrofonu, chcąc zapewnić ich, że wszystko jest w porządku.

- Nick? Ann? Wszystko w porządku. Też jadę, żeby mieć na niego oko.

Krótsza cisza, a potem rozległ się głos Ann:

- Tak, a kto będzie miał oko na ciebie?

Clarence spojrzał na Eve.

- Ta pani ma rację. Powiem ci coś, Ann, wjadę z powrotem do garażu, możemy wziąć autobus i wszyscy pojedziemy do Alamogordo. Co wy na to?

Czekali przez moment, zanim - w końcu - otworzyła się pierwsza brama, a potem druga. Clarence przyspieszył ostro i srebrne ferrari przemknęło przez obie bramy i wypadło na leśną drogę, skręcając raz w jedną, raz w drugą stronę niczym nieokiełzany rumak na rodeo.

W osadzie Clarence zmniejszył prędkość, ale gdy tylko minął miejscowy szpital, pojechał stromą, krętą, górską drogą. Pędził sto trzydzieści kilometrów na godzinę, ignorując znaki drogowe i wyprzedzając nieliczne samochody. Eve pomyślała, że chce ją w ten sposób ukarać za to, że nie puściła go samego. Trasę, którą jechało się normalnie piętnaście minut, pokonał w mniej niż siedem, a Eve czuła się jak podczas przejażdżki kolejką górską w wesołym miasteczku na Coney Island, ale nie zamierzała okazywać strachu, który nie opuszczał jej nawet wtedy, gdy Bob zatrzymał ferrari na

skrzyżowaniu przed Alamogordo i wsadził paczkę do skrzynki pocztowej, gdyż była świadoma, że nadal czeka ją jazda powrotna pod górę.

- Ile warte są te dyski? - zapytała w nadziei, że zwróci jego uwagę.

- Są bezcenne - powiedział, uśmiechając się na samą myśl o nich. - Eve, te dyski są jak kamień z Rosetty na rynku tajnych informacji dotyczących papierów wartościowych. Klucz do wszystkiego.

Eve, która nie miała zbyt rozległej wiedzy na temat kamienia z Rosetty, skinęła od niechcenia głową. Coś egipskiego, pomyślała. Jak to wszystko się skończy, zamierzała poczytać więcej i jednocześnie zwiedzić trochę świata. To na pewno.

- Wiesz, Bob, jak na wrednego złodzieja, jesteś całkiem wykształconym facetem.

Clarence był tą uwagą najwyraźniej rozbawiony. Włączył silnik ferrari i wcisnął pedał gazu, rozpryskując piach olbrzymimi oponami, które szukały wystarczającej trakcji, aby poradzić sobie z momentem obrotowym narzuconym przez napęd.

- Nie wiedziałaś? - odkrzyknął do niej Clarence z wariackim uśmiechem. - Być złodziejem to największa frajda dla wykształconego faceta.

Zanim Eye i Clarence wrócili do Cloudcroft, zespół przygotowywał się do transmisji „na żywo”. Strona internetowa zawierająca liczne żądania zespołu, a także fotografię wszystkich miliarderów wykonaną przez Cadence Kiam, już chodziła online. Tekst napisał sam Clarence i Eve uważała go za bardzo mocno radykalny. Teraz trzeba było jedynie włączyć kamerę i połączyć się z różnymi agencjami pocztą elektroniczną. Szyby w dobrze chronionym domu Cala Wallenberga wykonane były z kuloodpornego armortexu i wydawało się mało prawdopodobne, żeby snajperzy mogli trafić kogoś, kto pojawił się w oknie; mimo to Eve poleciła, aby wszyscy nosili lekkie kamizelki kuloodporne, na wypadek gdyby policja postanowiła użyć karabinu snajperskiego kalibru pięćdziesiąt. Nie chciała, aby komukolwiek coś się stało.

Atmosfera pełnego podniecenia wyczekiwania, zmieszana z niepokojem o to, jak dwa lata po terrorystycznych atakach muzułmańskich fundamentalistów na Stany Zjednoczone i ich instytucje władze mogą zareagować na wzięcie zakładników spośród najbogatszych ludzi w kraju, przepełniała powietrze w Cloudcroft jak nadmiar płynów po goleniu. Wentylatory dobrze sobie radziły z lipcowym żarem, ale nie mogły powstrzymać pojawienia się potu na niespokojnych twarzach ani ułatwić oddychania.

Bill King, z cygarem Cohiba Esplendido z klimatyzowanego pojemnika Wallenberga, wykrzykiwał ostrzeżenia i wyszeptywał zachętę, jakby stał na końcowej linii boiska.

Andy Hogarth, który większość poranka i część poprzedniego wieczoru spędził w głównym salonie, ustawiając specjalną konstrukcję z krzesłem przed kamerą, sprawdzał w kadrze, czy materac ustawiony za krzesłem był widoczny na ekranie laptopa Sony Vaio. Obraz był płynny i gładki, i wystarczająco dobry dla efektu, który Hogarth zamierzał osiągnąć. Lecz kiedy zbliżała się pora wysłania e-maili do każdej gazety, stacji radiowej i sieci telewizyjnej w kraju, Hogarth coraz bardziej się niepokoił na myśl o tym, co się rozpęta. Oddychał głęboko albo zaciskał pięść, a kiedy siedział, noga podrygiwała mu, jakby miał Parkinsona. Eve położyła nfu rękę na ramieniu, chcąc go uspokoić.

- Odpręż się - powiedziała i zaczęła zapinać kamizelkę na rzepy.

- Jesteś gotów? - zapytał go Clarenco.

Hogarth uśmiechnął się dzielnie.

- Jak nigdy.

Wskazał Clarencowi miejsce przed kamerą.

Clarenco usiadł i pozwolił się związać.

- Daj znać, jeżeli lina jest za ciasno.

- Nie, jest dobrze, dzięki. Musi dobrze wyglądać.

Kiedy Hogarth skończył przywiązywać Clarenca do krzesła, wyciągnął zestaw do charakteryzacji i na prawej kości policzkowej domalował mu bardzo przekonujący siniak. Kiedy był usatysfakcjonowany jego wyglądem, cofnął się o krok, aby sprawdzić, jak ta scena wygląda na ekranie komputera. Po chwili potrząsnął głową.

- Nie, to się zupełnie nie nadaje - zauważył. - Nawet z tym siniakiem wyglądasz na zbyt zadowolonego.

Eve przyznała mu rację.

- Bob - odezwała się. - Może mógłbyś przybrać bardziej wystraszony wygląd?

Jakby coś zagrażało twojemu życiu? Teraz wyglądasz, jakby pierwsza klasa była zajęta, więc usiadłeś w turystycznej.

Clarenco bardziej zmarszczył brwi, co najwyraźniej stanowiło granicę jego aktorskich umiejętności.

Eve dołączyła do Hogartha stojącego przed laptopem i potrząsnęła głową.

- Jest zły, owszem, ale żeby bał się o życie? Nie.

Podeszła do Clarenca i zmierzwiła mu włosy, potem zastygła niczym jakiś awangardowy rzeźbiarz przyglądający się dziełu sztuki, a następnie chwyciła rękaw szytej na miarę koszuli Clarenca i rozdarła go aż do związanego liną nadgarstka.

- Hej! - milioner wydal okrzyk zdziwienia. - To była dobra koszula.

Eve już obserwowała jego twarz na ekranie laptopa.

- Tak, teraz dużo lepiej - powiedziała, nieomal śmiejąc się z oczywistego niezadowolenia Clarenca.

- Idealnie - dodał Hogarth.

Eve podniosła telefon bezprzewodowy i zadzwoniła do Pennaca w centrum ochrony.

- Odbieracie obraz pana Clarenca? - zapytała.

- Tak - odpowiedział Pennac. - Tak mi się bardziej podoba.

- No to jesteśmy gotowi. - Zerknęła na Clarenca, wiedząc, że słucha, i uniosła brwi w jego stronę. - Bob?

Nadal zły za podarcie koszuli, Clarence skinął głową rozdrażniony.

- To puść go przez internet - Eve poleciła Pennacowi. -I wyślij e-maile.

*

Od: Architekci Świata Internetowego

Do: Światowe media

cc: rząd Stanów Zjednoczonych

Temat: Porwanie w Cloudcroft, Nowy Meksyk

Pyt. Co jest lepsze od zainwestowania w firmę Fortune 500?

Odp. Porwanie ich wszystkich dla okupu

Cóż, może nie wszystkich, ale mamy coś równie dobrego: śmietankę z czterystu najbogatszych ludzi świata według „Forbesa”. Dwudziestu jeden, mówiąc dokładnie. Trzymamy ich jako zakładników w domu miliardera Calvina H. Wallenberga w Cloudcroft w pobliżu Alamogordo w Nowym Meksyku. Mówi się, że biznes to wojna. Cóż, ci wpływowi ludzie właśnie odkryli prawdziwe znaczenie tego konkretnego cytatu. Jesteśmy niezwykle dobrze uzbrojeni. Nie zawahamy się przed zabiciem wszystkich, jeżeli nasze żądania nie zostaną spełnione. Aby dowiedzieć się więcej o naszych żądaniach, wejdź na naszą stronę: www.leverage.net.

www.leverage.net

Ładny obrazek, co? Zaledwie wczoraj zrobiła je fotograf z „Vanity Fair”, Cadence Kiam, i zamieszczone jest na stronie zupełnie bezpłatnie. Lecz jeśli zdecydujecie się wykorzystać je w swojej gazecie lub magazynie, lub telewizji, wtedy, prosimy, pamiętajcie wesprzeć biedną Cadence, która miała tego pecha, że znalazła się w okolicy, kiedy my się zjawiliśmy, a teraz korzysta z gościnności pana Wallenberga razem z nami.

Fotografia przedstawia dwudziestu jeden najbogatszych ludzi w Ameryce, których trzymamy jako zakładników w górskiej samotni Calvina Wallenberga w Nowym Meksyku (Kliknij, aby uzyskać wskazówki, jak dotrzeć do domu Wallenberga w Cloudcroft niedaleko Alamogordo). Oto nazwiska dwudziestu jeden zakładników: Calvin Wallenberg, John Bielby Porteus III, Errol Laurensen, Eliot Massinger, Scott Jordan, Murray Drennan, George Shapira, Rupert Sterne, Nash Paine, Tom Liebermann, Jim Hysek, Rudolph Miller, Ford Sarmenington, Don Volovsky, Steve Vassall Fox, Gurmit Mehta, Allan Scott, Henry Martin, Joe Jacobson, Bob Clarenco i James Gatz. Razem warci są ponad trzysta miliardów dolarów.

Poza naszymi miliardami i Cadence Kiam przetrzymujemy także jako zakładników pewną liczbę innych osób. Wśród nich jest inny bogacz, niejaki Bob Clarenco. Według standardów osób wymienionych powyżej jest on w zasadzie płótką - zwykły multimilioner w porównaniu z multimiliardami. W rezultacie nie trafił na zbiorowe zdjęcie. Aby pan Clarenco poczuł się nieco bardziej dowartościowany, postanowiliśmy, że wystąpi przed kamerą na żywo. Pamiętajcie, to realna scena z uprowadzenia, nie symulacja, zatem radzimy kontrolować wiek osób oglądających. (Aby odbierać obraz z kamery, będziecie potrzebować wyszukiwarki tworzącej linki. Jeżeli używacie wyszukiwarki wspierającej linki, upewnijcie się, że są one aktywne. Kliknij na zakładnik.com, żeby zobaczyć Boba Clarenca. Strona odnawia się co sekundę).

Wszyscy zakładnicy są bezpieczni i dobrze traktowani z wyjątkiem pana Clarenca, ale to osądźcie sami. Jednakże zostaną zabici, jeżeli tylko dojdzie do próby szturmu na budynek. Jesteśmy dobrze uzbrojeni i dobrze chronieni dzięki środkom bezpieczeństwa, które przedsięwziął pan Wallenberg dla własnej ochrony.

Zanim jednak zaczniecie współczuć tym ludziom, rozważcie łaskawie następujące pytanie. Gdybyście zarabiali średnią płacę w Stanach, jak długo by trwało zdobycie fortuny Eliota Massingera, czyli trzydziestu dziewięciu miliardów dolarów? We wrześniu 1997 roku (nie jest przypadkiem, że nie ma świeższych danych - rząd nie chce, abyście wiedzieli, jak kiepsko opłacana jest większość ludzi w tym kraju) minimalna płaca w Stanach Zjednoczonych wynosiła 5,15 dolarów na godzinę. Nawet teraz, po sześciu latach, jest taka sama. Gdybyście pracowali bez przerwy dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu i odkładali każdego zarobionego centa (i nie płacili

podatków... tak jak pan Massinger; prowadzi działalność za granicą, więc podatków nie płaci), musielibyście pracować 872865 lat, aby zarobić to, co ma teraz. Gdybyście byli leniwi i pracowali tylko czterdzieści godzin w tygodniu, wówczas dojście do takiego majątku zajęłoby wam 3666035 lat. Na pewno teraz już tak wam go nie żal. A on nawet nie jest najbogatszym człowiekiem w Cloudcroft. John Porteus jest wart około pięćdziesięciu sześciu miliardów dolarów, ale rachunki zrobiliśmy dla Massingera, zanim to sobie uświadomiliśmy.

Co więc robią ci wszyscy miliarderzy w domu Calvina Wallenberga?

Coroczny czterodniowy zjazd u Wallenberga jest przeznaczony wyłącznie dla najbogatszych ludzi Ameryki. Wallenberg, zainspirowany przez Bohemian Grove, dwutygodniowe wakacje dla bogatych i wpływowych organizowane w okręgu Sonoma w północnej Kalifornii (kliknij, aby uzyskać więcej informacji na temat Bohemian Grove), gości własne, mniejsze i wyselekcjonowane towarzystwo od piętnastu lat. Mówi się, że nie lubi Bohemian Grove ze względu na różne homoseksualne podteksty, ale równie dobrze mógł dojść do wniosku, że Bohemian Grove, na które zjeżdżało się kilkuset najbogatszych ludzi Ameryki, nie było wystarczająco ekskluzywne. Może nawet uprzyjemniać sobie czas lekturą książki *Atlas zbuntowany* Ayn Rand (kliknij na link i dowiedz się więcej o tej powieści na Amazon.com), w której czterystu najbogatszych według „Forbesa” organizuje się i przeciwstawia demokratycznym wartościom USA. Wcale by to nas nie zdziwiło.

Bez względu na powody, kiedy bardzo bogaci i wpływowi biznesmeni spotykają się potajemnie, to z pewnością nie dla dobra przeciętnych ludzi pracy. Ludzie, którzy spotykali się w Cloudcroft, to najbogatsi w Ameryce, bogacący się z każdą minutą. Na przykład, John Porteus zarabia oszałamiające 5000 dolarów na minutę, co czyni godzinę jego pracy wartą ponad 300000 dolarów. No, teraz chyba wam go nie żal.

Nie popełnijcie błędu, ci ludzie na zdjęciu mogą wyglądać na członków miejscowego klubu golfowego, ale tak się nie zachowują. To tajne, zwarte bractwo obscenicznego bogactwa jest wystarczająco potężne, by samodzielnie regulować ceny, inflację, odsetki, rynek pracy, bez udziału normalnych instytucji demokratycznych. Jak? Ponieważ kontrolują system bankowy, przepływ pieniędzy i rynki. A kiedy bogacą się i zdobywają władzę, biedni robią się biedniejsi. Według ONZ przepaść między bogatymi a biednymi nieustannie się powiększa. Trzeba zacząć działać, aby to zmienić! Zanim będzie za późno! A krytyczne sytuacje wymagają desperackich środków naprawczych! Stąd nasza obecna akcja.

Co chcemy osiągnąć? Światowa Organizacja Handlu -WTO - składa się z niewybieralnych członków, którzy decydują o polityce wybieralnych rządów dotyczącej środowiska programów socjalnych, pracy, opieka zdrowotnej i długów Trzeciego Świata.

Jednakże umowy handlowe negocjowane przez WTO przypisują większe znaczenie międzynarodowym korporacjom, dla których ma znaczenie przede wszystkim zysk akcjonariusza. WTO może równie dobrze oznaczać Wealth's Tyrannical Order. Na każdego dolara wysłanego do Trzeciego Świata, wraca dziewięć w spłacie zadłużenia.

Poprzednio przyłączyliśmy się do innych aktywistów podczas Globalnych Dni Działania, których celem było zamknięcie WTO (czy też G8 czołowych krajów uprzemysłowionych) i upowszechnienie wiadomości o zagrożeniach, którymi WTO, globalizm i niekontrolowany kapitalizm są dla demokracji, społecznej sprawiedliwości i praw człowieka. W listopadzie 1999 roku pięćdziesiąt tysięcy aktywistów spotkało się w Seattle i przemaszerowało w wojowniczym, ale spokojnym proteście przez to miasto związkowców. I taki był początek! Po Seattle były inne antyglobalistyczne protesty w Londynie, Barcelonie, Göteborgu i Genui, gdzie jeden z protestujących uzbrojony w zwykłą gaśnicę został zastrzelony z bliska przez włoskiego policjanta. Z każdym protestem prawdziwa natura kapitalizmu ujawnia swoją brutalność i represyjność.

Biznes i kapitalizm już wypowiedziały wojnę demokracji, społecznej sprawiedliwości i opiekuńczości państwa. Wierzmy, że nadszedł czas, aby wypowiedzieć wojnę biznesowi i kapitalizmowi. Jak powiedział Thomas Jefferson: „Kiedy tylko wroga agresja... wymaga odwołania się do wojny, musimy sprostać naszym obowiązkom i przekonać świat, że jesteśmy przyjaciółmi i odważnymi wrogami”. Ta akcja w Cloudcroft jest zaledwie pierwszym strzałem w niechybnej walce. I niczym pancernik *Aurora* na początku rewolucji październikowej będzie to, cytując Emersona: „wystrzał, który usłyszał cały świat”.

Nie domagamy się niczego więcej, tylko rozwiązania WTO i umorzenia wszystkich długów Trzeciego Świata. Statutowego, czterdziestogodzinnego tygodnia pracy i minimalnej stawki dziesięciu dolarów na godzinę. Zakończenia blokady Kuby. Oznakowania wszystkich genetycznie zmodyfikowanych produktów żywnościowych. Przywrócenia roli Senatu i ratyfikacji protokołów z Kioto, dotyczących redukcji gazów cieplarnianych. Niespełnienie tych żądań będzie miało najpoważniejsze konsekwencje dla tych kapitanów kapitalizmu, podobnie jak każda próba uwolnienia ich żalonych tyłków przeprowadzona przez agentów amerykańskiego faszyzmu - policję, FBI, Gwardię Narodową. Zostaliście ostrzeżeni. Jeżeli te żądania pozostaną bez odzewu, pierwszy zakładnik zginie o ósmej jutro rano czasu lokalnego.

W biurach KOBTV w Albuquerque John Elder zbliżał się do końca -redagowania wiadomości. Kiedy skończył, sprawdził e-mail, na wypadek gdyby był jakiś materiał, który chciałby umieścić. Nie spodziewał się, że znajdzie coś w niedzielę. W Albuquerque nawet świerszcze siedziały cicho w niedzielę.

Z początku myślał, że e-mail od samozwańczych Architektów Świata Internetowego to żart. Ale kiedy zobaczył zdjęcie Cadence Kiam, a potem kliknął na obraz Boba Clarenco, zmienił zdanie. Zobaczył zdjęcie przypominające nieco zamazaną i niebieskawą fotografię, jaką jego żonie udawało się zrobić na wakacjach. Takie zdjęcie przekonałoby każdego gliniarza, że John Elder jest zbiegłym przestępcą. Starsi mieli małe doświadczenie w oglądaniu obrazów z kamery internetowej, które on kojarzył wyłącznie z przemysłem porno. Kiedy już znudziło go oglądanie na żywo kogoś przywiązanego do krzesła, kogo trzymali w niewoli jacyś niewidzialni i uzbrojeni bandyci, i przestał czytać resztę tekstu ze strony, uświadomił sobie, że z tego może być wielki materiał. Może największa sprawa w kraju od zniszczenia World Trade Center w 2001 roku. A teraz to był jego materiał. Kto lepiej od niego mógł o tym donieść? Czy nie robił reportażu z przybycia tych miliarderów na lotnisko White Sands w Alamogordo. Wpierw zadzwonił do redaktora działu wiadomości, Richarda Taita, i opowiedział mu o e-mailu; potem zadzwonił do domu i zostawił wiadomość na sekretarce dla żony, która uczestniczyła we mszy w kościele pod wezwaniem San Felipe de Neri - najstarszym w Albuquerque - żeby nie czekała na niego z niedzielnym lunchem. Godzinę później jechał z powrotem wozem transmisyjnym w stronę Alamogordo wraz z Warrenem Meislerem i Marią Montoyą.

Po drodze Elder słuchał w milczeniu, jak Maria Montoya opowiada, że jej zdaniem taką historię jak ta, z całym prawdopodobieństwem będą oglądać miliony w całej Ameryce i jaka to może być jej wielka szansa na wywarcie wrażenia na szefach sieci. Nie miał serca ani odwagi jej powiedzieć, że Tait zadzwonił do NBC w Nowym Jorku, a tam postanowili, że najlepszą osobą do poprowadzenia relacji, która może doprowadzić do pewnej paniki na giełdzie - przy założeniu, że sprawa się przeciągnie - jest Dolores Milliano, prowadząca uznany przez krytykę program *Long and The Short* (nadawany od dwudziestej pierwszej do dwudziestej drugiej czasu wschodniego), koncentrujący się na najświeższych wydarzeniach na Wall Street.

Poza pracą w CNBC Milliano prowadziła przebojową i dociekliwą audycję na temat spraw finansowych nadawaną w najlepszym czasie w NBC i regularnie pojawiała się w programach *Today* i *Oprah Winfrey Show*. Była także autorką kilku

bestsellerów na temat finansów dla wydawnictwa McGraw Hill, takich jak *Biznes to osobista sprawa* (1996), *Żądza od Boga* (1997), *Nie wzbogacisz się, wydając pieniądze* (1998), *Gra na giełdzie dla bezwzględnych* (1999), *Gordon Gekko z sąsiedztwa* (2000) oraz *Zrób dzieci milionerami* (2000). Dolores Milliano, znana także jako Milion Dolores, była najatrakcyjniejszą kobietą w dziennikarstwie finansowym, a połączenie dobrego wyglądu, ciepła antenowego, zawodowej docieklivosti i jasnego tłumaczenia uczyniły ją na tyle bogatą, że mogła kupić dużą rezydencję w Mount Kisco na obrzeżach Manhattanu.

Kiedy zadzwonili do Milliano ze studio NBC w Secaucus w New Jersey, pisała swoją kolumnę „Pieniądze są ważne” - publikowaną jednocześnie w kilku różnych gazetach - na temat tendencji zniżkowych na giełdzie w Chicago w poprzedni piątek i po obejrzeniu strony internetowej zgodziła się rzucić wszystko i polecieć do Nowego Meksyku. Lecz to nienasycony, pozbawiony zasad agent, Moses Bishop, wmówił jej, że z tego może wyjść ważna książka.

- Ta sprawa może się nieco przeciągnąć - powiedział. -A w tym wypadku z pewnością negatywnie wpłynie na rynki. Rozmawiałem z kilkoma ludźmi, którzy pracują dla Salomana Smitha Barneya i już trzęsą portkami.

- To się nazywa szokiem informacyjnym - odparła Milliano. - Wpływa na nastrój. Ale chyba za wcześnie mówić o książce, Moses.

- Grupa miliarderów z bronią przyłożoną do głowy? Uwierz mi, to jest książka. A z twoją twarzą, Dolores, jesteś jak as w rękawie. Jak w tym filmie z Kirkiem Douglasem.

- Przedwczesne sądy - odpowiedziała Milliano.

- Nieważne. Słuchaj, to może być szansa, jakiej szukaliśmy. Przełomowa książka. Nasz kontrakt z McGraw kończy się i chyba powinniśmy zobaczyć, co inni wydawcy sądzą o twojej książce na ten temat.

- Inni mogą o tym napisać, co?

- Pewnie, że mogą, ale oni nie sprzedają się tak jak ty, kochanie. Masz wyrobione nazwisko na tym polu i łatwo cię promować. Może uda ci się napisać zarys w trakcie lotu? Jak mówi mój przyjaciel u Salomana: jeżeli jutro rano zastrzelą tego gościa, to możemy się spodziewać szybkiego rozwoju wydarzeń.

- Może masz rację, Moses. Po piątkowym spadku na giełdzie w Chicago to może być duży temat.

- A jeżeli to duży temat, to musisz znaleźć się w epicentrum wstrząsu. Każdy głupi emerytowany profesor ekonomii z Harvardu może napisać książkę, jak to się skończy. Ale nie każdy może stać się częścią tej historii, kiedy ta jeszcze trwa. Telewizja daje ci taką przewagę. Musisz pokazać tam swoją piękną buzię, resztę zostaw mnie.

- W porządku, namówiłeś mnie. Złożę propozycję.

Wysłała e-mailem swoją kolumnę, a potem zadzwoniła do producenta w NBC z informacją, że jedzie. Następnie zadzwoniła do Acacia, swojego ulubionego stylisty w salonie fryzjerskim Louisa Licari przy Piątej Alei, i zapytała go, czy ma ochotę na wycieczkę do Nowego Meksyku na koszt firmy. Półtorej godziny później spotkała się z nim na lotnisku La Guardia, a przed drugą częścią czasu wschodniego ona i Acacio siedzieli w samolocie lecącym do Albuquerque.

*

Sierżant Thomas Zander z policji stanowej mieszkał w Albuquerque całe życie, a jego rodzina związana była z pracą w policji, od kiedy osiadła w Nowym Meksyku. Jego ojciec, Frank, wieloletni kapitan policji w Albuquerque wstąpił na służbę w 1948, a dziadek, Earl - uprzednio dealer Harleya-Davidsona - uczestniczył w pierwszym motocyklowym patrolu jeszcze w 1933 roku i pełnił funkcję szeryfa od roku 1945 aż do śmierci w wypadku drogowym w 1950. Żona Zandera pracowała jako urzędniczka w sądzie okręgowym w Bernalillo. Nie mieli dzieci i całe nadwyżki finansowe przeznaczali na wspólne hobby - oboje mieli motocykle Harleya-Davidsona - lub też inwestowali na giełdzie.

Zander bezgranicznie wierzył w giełdę, w czym był podobny do wielu ludzi z Albuquerque. Prawie wszyscy pamiętali, jak Bill Gates założył w Albuquerque Microsoft w 1975, i dwóch miejscowych przysięgało, że zarobili pieniądze, stawiając na Gatesa, zanim przeniósł firmę do Bellevue w stanie Waszyngton. Inni, wśród nich Zander, znali Jeffa Bezosa, mieszkańca Albuquerque, założyciela Amazon, ale tych, którzy naprawdę zarobili pieniądze na tych udziałach było niewielu. Sam Zander podwoił pierwotną inwestycję dziesięciu tysięcy dolarów, a potem sprzedał akcje tylko po to, żeby zobaczyć, jak udziały sięgnęły stu trzydziestu dziewięciu dolarów za akcję. Gdyby powstrzymał się i sprzedał je we właściwym czasie, zapewniłby sobie zysk wysokości ponad sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Następną firmą, w którą zainwestował, było przedsiębiorstwo software'owej bazy danych w mieście Truth or

Consequences, co przyniosło mu sporo pieniędzy, kiedy firmę przejęło Delphus. Nie wiedząc specjalnie, co robić dalej, Zander ponownie zainwestował sporą część zysków w Delphus. Mniej więcej w tym samym czasie kupił peceta, otworzył internetowe konto handlowe u Charlesa Schwaba i zaczął kupować jednorazowo po pięćdziesiąt lub sto akcji firm, które mu się spodobały. Nie tyle bogactwo uległo demokratyzacji, ile raczej sposoby bogacenia się. Dalej inwestował pieniądze przez lata w Delphus i w efekcie przedsiębiorstwo Errola Laurensona stanowiło teraz jego fundusz emerytalny. W pewnym momencie zainwestował w Delphus siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Oczywiście, od tamtej pory akcje spadły nieco przez krach na rynku technologicznym, a potem atak muzułmanów na WTC, ale większość ludzi w prasie finansowej i w CNBC najwyraźniej skłaniała się do długoterminowych inwestycji w Delphus. Zatem on też przy tym pozostał.

Sierżant Zander był detektywem, pełniącym regularne obowiązki policjanta, ale był także członkiem Zespołu Taktycznego Policji Stanu Nowy Meksyk. Jak wszyscy pozostali w zespole sierżant Zander cały sprzęt przechowywał w bagażniku samochodu i często znajdował się daleko od Albuquerque, kiedy pager zespołu taktycznego przyczepiony obok odznaki i glocka, sygnalizował konieczność stawienia się na wezwanie tam, gdzie potrzebna była reakcja uzbrojonych funkcjonariuszy.

Niekiedy pager milczał całe dni. Kiedy indziej rozbrzmiewał trzy lub cztery razy w tygodniu. Zander zachowywał dobrą formę, ale obowiązki zespołu taktycznego bywały wyczerpujące i w wieku czterdziestu dziewięciu lat, po dwudziestu ośmiu latach służby, zaczął myśleć o emeryturze. Nie wyglądał, jakby szykował się na fotel bujany. Nosił bujne czarne włosy i gdyby skrócił fryzurę, siwe miałby jedynie wąsy. Wiedział jednak, że sporo siwizny ma w środku, w kościach. W ciągu ostatnich kilku lat parę razy ledwo uszedł cało, a raz musiał zwrócić się po poradę do psychiatry. Przed kilkoma tygodniami inny oficer zespołu taktycznego, Bill Sanchez, dostał kulę przeznaczoną dla Zandera. Czasami w formie trzymały go jedynie środki przeciwdepresyjne, które przyjmował potajemnie, harley i myśl o gniazdku, które budował latami, oraz o tym, co on i Janine będą robić z pieniędzmi, kiedy w końcu przejdzie na emeryturę.

W ten niedzielny poranek Zander prowadził śledztwo w sprawie serii napadów na banki w Albuquerque - śledztwo, które zawiodło go aż do Ruidoso, około stu sześćdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Albuquerque - kiedy włączył się

pager. Zander poszedł do telefonu na tyłach sklepu i zadzwonił do porucznika Boba Everarda, dowodzącego operacjami specjalnymi.

Zanim Everard skończył opisywać sytuację, Zandera ścisnęło w dołku. Jadąc trzydzieści kilometrów na południe do Cloudcroft, myślał jedynie o tym, że Errol Laurensen powinien wyjść z tego cało. Jeżeli coś miałoby się przytrafić Laurensonowi, katastrofa Delphus była nieunikniona, a wraz z nią szlag by trafił portfel akcji Zandera. Kiedy giełdy otworzą się nazajutrz rano, na pewno kiepsko zareagują, gdy coś się przytrafi Laurensonowi. Przy założeniu, że to potrwa tak długo. Lecz gdy tylko sierżant Zander zobaczył dom Cala Wallenberga - a przynajmniej dwa olbrzymie ogrodzenia wokół niego, gdyż z drogi sam budynek był niewidoczny - zrozumiał, jak długo może trwać oblężenie tego miejsca. Zaparkował niedaleko bramy i pod okiem szeryfa z Cloudcroft wkładał strój kamuflujący.

Szeryf Baker uśmiechnęła się szeroko.

- Cholerny sposób na spędzenie niedzieli, co? - powiedziała radośnie. - Ale dzięki, że przyjechałeś. Tylko myślałam, że będzie was trochę więcej.

Zander nigdy nie myślał, że może być jeszcze więcej szeryf Baker. Wyglądała jak Cagney i Lacey wciśnięte razem w jeden mały, policyjny mundur.

- Reszta zespołu jest w drodze - wyjaśnił. - Byłem w pobliżu, kiedy dostałem wezwanie. - Zrzucił dzinsy i wbił się w spodnie maskujące. - Znasz plan miejsca?

- Pewnie. Ta posiadłość jest jak Fort Knox: uzbrojona ochrona, telewizja przemysłowa wszędzie i pewnie wiele innych rzeczy, o których nie wiem. Widzisz to wewnętrzne ogrodzenie? Jest pod napięciem. To główny powód, dla którego jest jeszcze jeden płot. Pan Wallenberg bardzo poważnie podchodzi do sprawy osobistego bezpieczeństwa.

- Najwyraźniej nie dość poważnie. Próbowalaś skontaktować się z porywaczami?

- Pewnie Dzwoniłam kilkakrotnie. Naciskałam domofon przy bramie. Ale nikt nie odpowiada. Widziałam, jak kamera obraca się w moją stronę.

Starając się skupić na pracy, a nie myśleć o portfelu akcji, Zander nałożył kamizelkę kuloodporną, wziął karabin M16, lornetkę i podszedł do bramy. Niewiele było widać... jedynie strome zbocze gęsto porośnięte drzewami, domu nie dostrzegali. Miejsce wyglądało tak nieprzyjaźnie jak murena i było równie niebezpieczne. Większość ludzi nie uświadamiała sobie, że główną funkcją zespołu taktycznego nie była agresja, ale ochrona. Trudno jednak byłoby Zanderowi wyobrazić sobie coś bliższego sejfowi bankowemu, coś bardziej niedostępnego.

- Zdaje się, że to ogrodzenie biegnie dookoła całej posiadłości - powiedział.

- Tak.

- Jak duży jest ten teren?

- Dokładnie nie wiem. Tam gdzieś w środku jest całe pole golfowe. A jeżeli wierzyć plotkom, także bunkier przeciwiatomowy.

Wozem z napędem na cztery koła podjechało jeszcze dwóch oficerów zespołu taktycznego, obaj z Las Cruces przy granicy z Teksasem, a minutę lub dwie później zjawiała się pierwsza ekipa wiadomości z KOBTV.

- Szybcy są - zauważyła Baker.

- Jak gdzieś w wodzie jest krew, to oni na pewno tam się zjawią. A jak już jest jedna ekipa, to niedaleko są następne. Będziemy musieli przesunąć ich w dół drogi. Proponuję ustawić zakaz wjazdu przy zjeździe z szosy.

Zander mówił sensownie, ale tak naprawdę myślał o tym, jak indeksy giełdowe zareagują na przekaz telewizyjny, na którym pojawi się zespół taktyczny otaczający dom Wallenberga. Im mniej widzieli w tej fazie, tym lepiej. Nikt jeszcze nie powiedział mu o przekazie internetowym z Bobem Clarencem.

- Naprawdę myślisz, że to będzie konieczne?

- Boję się, że tak. To zarówno dla ich, jak i naszego bezpieczeństwa, rozumiesz? W Waco stróże prawa nieomal zastrzelili niektórych dziennikarzy, bo myśleli, że to członkowie grupy Koresha.

- Waco? Przeczytałam parę książek o tym, co się tam wydarzyło. Coś strasznego. Myślisz, że będzie aż tak źle?

- Raczej nie - odparł Zander, żałując, że wspomniał o Waco. - To tylko ostrzeżenie, szeryfie. Musimy być ostrożni.

- Och, pewnie.

Na miejscu zjawiała się kolejna ekipa telewizyjna i szeryf Baker powędrowała od niechcienia w dół drogą, aby ich przesunąć. Zander miał nadzieję, że przesuwając dziennikarzy za linię policyjną, Baker nie wymieni nazwy „Waco”. Ostatnią rzeczą, jaką chcieli usłyszeć na Wall Street w związku z sytuacją w Cloudcroft, było wspomnienie o dziewięćdziesięciu dniach oblężenia posiadłości w Arkansas, podobnych rozmiarów i podobnie strzeżonej, które skończyło się śmiercią ponad osiemdziesięciorga ludzi.

Siedząc w klimatyzowanym centrum ochrony, Eve obserwowała na monitorach, jak na zewnątrz zbiera się zespół taktyczny. Patrzyła, jak przebijają się w stroje kamuflujące na tylnych siedzeniach samochodów, jakby była to grupka facetów wybierająca się na polowanie. Wczesnym popołudniem posesję otaczało od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu oficerów i Eve, słuchając ich rozmów przez włączone domofony, dowiedziała się, że pochodzą nie z jednego, lecz dwóch zespołów taktycznych - jeden był z policji stanowej Nowego Meksyku, a drugi z wydziału policji Albuquerque - a do tego była jeszcze szeryf z Cloudcroft i jej kilku zastępców oraz szeryf z okręgu Otero z własnymi zastępcami. Wsparcie medyczne zapewnili lotnicy z 49. Grupy Medycznej z Bazy Sił Powietrznych w Halloran.

W centrum kontroli Eve i paru innych słuchało uważnie, jak dowódca zespołu, porucznik Everard, dzielił zespół na cztery części: grupę wejścia, szturmową, kontrsnajperów i „mniej śmiertelnych”. Przed służbą w 101. Powietrzno-desantowej Bill King służył w Gwardii Narodowej i znał sposoby działania zespołu taktycznego. Słuchając rozkazów dowódcy, wyjaśniał, co się działo.

- Nie denerwujcie się, obojętnie, co usłyszycie - wyjaśniał, zaciągając się kolejną cohibą. - Funkcje przydzielane są od samego początku. Tylko dlatego, że jest grupa wejścia i grupa szturmowa, nie znaczy, że planują wtargnąć tu przed kolacją. Gdy tylko tu zjadą, mają zrobić wywiad i zbadać możliwość przeprowadzenia ataku.

- A ci kontrsnajperzy? - zapytała Eve.

- Są tak samo obserwatorami jak inni - odpowiedział King. - Ale ponieważ mają przy sobie remingtony 700 police special z lunetą, ludzie zawsze myślą, że będą chcieli kogoś zdjąć. Przeważnie używają lunety, aby zobaczyć, co się dzieje. Chociaż tam z dołu właściwie wiele nie zobaczą.

- A „mniej śmiertelnych”? - pytała. - Co to takiego?

- Paralizatory, gazy, sprays - naigrawał się King. - Takie tam głupstwa.

- To nam tu nie zaszkodzi - odezwała się Ann Choy. - Klimatyzacja ma tutaj specjalne filtry. Tak samo woda. Przy zbrojonych oknach, generatorze, stalowych drzwiach i całym sprzęcie pośród drzew nie można sobie wyobrazić lepiej chronionego miejsca na kryjówkę.

- Masz rację - powiedział King. - Więc nie ma potrzeby, żebyśmy trzęśli się, że jakaś tam drużyna zrobi bum i nas stąd wykurzy. Uwierzcie, najpierw będą czekać. Przynajmniej do momentu, aż zaczniemy naciskać. - Wskazał obraz Boba Clarenca na

jednym z monitorów. - Mogą zdecydować się na jakiś ruch o ósmej jutro rano, ale nie wcześniej.

Eve podskoczyła, gdy po raz kolejny zadzwonił telefon; tym razem odebrała, bo był to jeden z wyszkolonych negocjatorów zespołu taktycznego, a nie miejscowa pani szeryf.

- Halo - powiedziała ostrożnie, patrząc, jak wysoki mężczyzna z cienkim wąsikiem i telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha zbliża się zdecydowanie do bramy.

- Tu sierżant Tom Zander z policji stanu Nowy Meksyk - przedstawił się. - Czy rozmawiam z kimś z Architektów Internetowego Świata?

- Tak, ale możesz do mnie mówić Bette.

Tak miała na imię jej matka.

- Bette, dobrze. Czy jest tam ktoś inny, z kim powinienem porozmawiać?

- Nie, możesz rozmawiać ze mną.

- Dobrze. Chyba wolę rozmawiać z kobietą.

- Naprawdę, hm?

Kobieciarz. Kolejny Brad, przyszło jej na myśl.

- Oczywiście.

- Czy dlatego, że uważasz, że z kobietami łatwiej jest negocjować niż z mężczyznami?

- W zasadzie dlatego, że wolę rozmawiać z kobietami - odparł Zander. Lecz prawda była taka, że nacisk w kryzysowych sytuacjach kładziono na to, aby wcale nie rozmawiać... wszyscy robili takie założenie... należało słuchać. Teraz Zander prywatnie oceniał, że ta kobieta była o wiele zbyt przyjazna, co oznaczało, że prawdopodobnie niczego się nie bała, i wiedział instynktownie, że to nie będą łatwe negocjacje. - Słuchaj, Bette, mówisz jak bardzo rozsądna osoba. Będę z tobą szczerzy, po przeczytaniu waszej strony spodziewałem się kogoś raczej niechętnego do kompromisu. A tak na marginesie, podobało mi się, co czytałem. Zresztą minutę czy dwie temu. I obliczyłem, ile czasu zajmie mi dorobienie się fortuny takiej, jaką ma Eliot Massinger. Około czterystu trzydziestu sześciu tysięcy lat.

- Może zarobisz trochę na nadgodzinach tutaj w Cloudcroft. Może uda ci się wejść na listę „Forbesa”.

- Och, mam nadzieję, że nie będziemy tu tak długo. A propos, jak tam pan Massinger i pozostali?

- Wszyscy czują się znakomicie.

- Znakomicie? To dobrze. Czy jest możliwość, abym mógł z którymś z nich porozmawiać? Muszę o to poprosić. Przepraszam, ale wiesz, jak to jest. Naprawdę, będę wdzięczny.

- Po to jest kamera w internecie. Możesz obserwować na bieżąco.

- Kamera, tak, oczywiście. No, ale gdybym mógł zamienić słowo przez telefon z którymś z nich?

- Nie słyszałeś? Jeden obraz wart jest tysiąc słów. Ale zobaczę, co da się zrobić.

- Naprawdę? O, dzięki, Bette. A propos, wiedziałaś, że przeciętna rozmowa negocjatora z zespołu taktycznego trwa dwie godziny?

- Naprawdę?

- Tak. Złożę małą propozycję. Nie musisz mówić tak lub nie, tylko o tym pomyśl. Chodzi o to, że zdobyliście już duży rozgłos. Wioska pełna jest ekip telewizyjnych. Staliście się sławni. Jeżeli o to wam chodziło, to chyba możemy już rozejść się do domu. Mogę obiecać, że każdy średnio przyzwoity prawnik załatwi wam bezpieczny powrót do domu w ciągu kilku dni. Pod warunkiem, że nikt z nich nie jest ranny.

- Już mówiłam. Wszyscy czują się dobrze.

Musiała przyznać, że Zander jest dobry, nawet jeżeli przypominał jej Brada. W zasadzie to nawet polubiła jego spokojny, miarowy głos. Gdy słuchała, jak mówił, że wszystko skończy się dobrze, niemal nabrała takiego przekonania.

- Skoro wszyscy mają się dobrze, to czuję dużą ulgę. Mojemu pakietowi akcji dostało się trochę przy spadku na giełdzie technologicznej i po ataku na World Trade Center. Martwi mnie zupełnie niepotrzebne kolejne zagrożenie dla giełdy. Oczywiście, co to za pakiet według standardów tych, którzy są u was w środku, ale mnie i mojej żonie pomoże bezboleśnie przejść na emeryturę, kiedy wycofam się z zespołu do negocjacji z porywaczami. Słuchaj, Bette, może zrobimy tak, damy sobie spokój na dzisiaj i wyjdziecie, żebyśmy mogli jeszcze skorzystać z reszty niedzieli?

- Obawiam się, że to niemożliwie, Tom.

- Niemożliwe, hm? Szkoda. Słuchaj, firma telefoniczna tak się podłączyła, że mamy bezpośrednią gorącą linię. Musisz jedynie podnieść słuchawkę, żeby ze mną porozmawiać, dobra? Na pewno się godzisz, że w sytuacji takiej jak ta porozumienie jest konieczne, żebyśmy przeszli przez to i nikomu nic się nie stało. I na pewno nam się to uda, skoro rozmawialiśmy z sobą, Bette.

- Tom?

- Tak, Bette.

- Widziałeś naszą stronę w internecie. Mówimy to na serio. Jeżeli nasze żądania nie zostaną spełnione, to konsekwencje będą poważne. Macie czas do ósmej rano, żeby zareagować pozytywnie na nasze żądania, inaczej... Mam nadzieję, że rozumiesz, Tom. Teraz nie żartujemy.

- Nikt nie mówi, że żartujecie, Bette. Uwierz mi, traktujemy was bardzo poważnie. Wystarczy, że popatrzyacie na monitory, żeby się o tym przekonać.

- Może i jestem kobietą, ale broń w moim ręku o tym nie wie. I potrafię pociągnąć za spust, nie rujnując sobie manikiuru. Miło się z tobą rozmawiało, Tom, ale muszę już iść. I żebyś wiedział: wszystkie plotki na temat tego miejsca są prawdziwe. Jest tu bunkier atomowy. Tam przetrzymujemy zakładników. Jeżeli dojdzie do próby szturmowania budynku, sama tam wejdę, zamknę drzwi i zacznę strzelać.

Eve dygotała, kiedy gwałtownie zakończyła rozmowę. Już samej myśli o groźeniu niewinnym ludziom nie potrafiła zaakceptować, aż w ustach pozostał jej niesmak. Ale nie istniał inny sposób, żeby ci ludzie zaczęli ją traktować poważnie. Odetchnęła głęboko i spróbowała rozciągnąć mięśnie karku.

- Dobrze ci poszło - pochwalił King, który przysłuchiwał się całej rozmowie przez głośnik.

- Mogłoby być łatwiej, gdyby ten gliniarz nie mówił tak rozsądnie - powiedziała i uśmiechając się gorzko, przypomniała sobie dwóch mundurowych, którzy zjawili się w restauracji, kiedy pobiła męża, i chcieli ją ostro potraktować. - Dlaczego nie ma takich gliniarzy, jak cię za coś zatrzymują?

- Słaby wybór. - King się uśmiechnął. - Ty masz teraz wszystkie asy. Powie cokolwiek... powie ci, że chce się z tobą ożenić,.. żebyś tylko myślała, że możesz mu zaufać.

Ann Choy spojrzała na Eve i uśmiechnęła się do niej półgębkiem, po swojemu.

- Czy to nie jest typowe dla mężczyzn?

*

Pół godziny później pokazał się pierwszy policyjny helikopter. Krążył nad domem i posiadłością na wysokości około trzydziestu metrów jak złośliwa kosiarka do trawy, która wymknęła się spod kontroli ogrodnika, a flagę zwisającą niczym ścierka na słupie przed drzwiami frontowymi zamienił w rozdęty spinaker.

Eve spojrzała w niebo.

- Chyba już pora, abyśmy zaprezentowali własną „mniej śmiertcioną” broń - powiedziała do Billa Kinga, zabrała dwie potężne wiatrówki z lunetami i weszli na wieżę.

Obserwatorium na szczycie wieży znajdowało się dokładnie nad gabinetem Wallenberga. Wykonane było głównie ze szkła i stal w nim trzydziestocalowy teleskop, wyglądający identycznie jak dział w cyrku, z którego wystrzeliwano człowieka.

Eve i King, oboje w maskach, otworzyli elektryczny światek i zajmując miejsce pod teleskopem, wycelowali karabiny w helikopter. Nawet z odległości trzydziestu metrów siła uderzenia śrutu czternastki o płaskiej główce wystarczała, żeby przebić plastikową bańkę śmigłowca i niemiłe zaskoczyć siedzących w środku.

- To powinno dać im do myślenia - oceniła Eve, patrząc, jak helikopter wycofuje się niczym lekko przetrącony szerszeń.

- Miejmy nadzieję, że potraktują nas poważnie - powiedział King. - David Koresh użyłby prawdziwych kul. Jeśli pomyślą, że nie zamierzamy posunąć się do końca, będziemy na straconej pozycji.

- Przy tym ryku wirnika? Nie rozpoznają różnicy między śrutem z wiatrówki a małokalibrowym karabinem - odparła Eve. - Wiedzą jedynie, że coś ich trafiło. Poza tym pamiętaj, co się stało z Koreshem.

Wrócili do centrum kontroli, gdzie Pennac spokojnie poinformował Eve, że mieli gości.

- Zaraz po waszym wyjściu jeden z detektorów wstrząsów włączył się na polu golfowym, po wewnętrznej stronie ogrodzenia. - Wskazał ekrany telewizji przemysłowej, gdzie w kępie drzew przy siódmym dołku widać było zakamuflowaną grupę czterech mężczyzn.

- Musieli się spuścić ze śmigłowca - doszedł do wniosku King. - Sprawdzają nas. Żeby zobaczyć, jaka jest ochrona, dowiedzieć się, czy wiemy, co robić.

- Czy oni wiedzą, że ich odkryliśmy? - zapytała Eve.

Pennac potrząsnął głową.

- Detektory wstrząsów są całkowicie pasywne. Nic nie zdradza, że wykryły ludzi.

- Co teraz? - zapytała Ann.

- Poszczujemy ich psami - King wyszczerzył zęby.

W psiarni na tyłach domu było sześć niewykastrowanych owczarków niemieckich, a każdy z nich ważył około czterdziestu kilogramów. Od małego

przyuczano je do wyszukiwania i atakowania intruzów. Dodatkowo każdy pies nosił obrożę z radiem i dzięki niemu sygnał wysokiej częstotliwości mógł skierować zwierzę do dowolnego miejsca posiadłości lub odwołać i skierować z powrotem do psiarni.

- Nie, jeszcze nie - powiedziała Eve. - Na każdym greenie jest głośnik, tak?

Pennac skinął głową.

- Ten w pobliżu zespołu. Włącz go, Nick, proszę.

Pennac nacisnął przełącznik i założył ramiona na piersi, czekając, co Eve ma do powiedzenia.

- Zwracam się do czteroosobowego zespołu ukrywającego się wśród drzew w pobliżu siódmego dołka na polu golfowym - odezwała się. - Panowie, nie zapłaciliście za wejście na pole, więc muszę was prosić o natychmiastowe wyjście. Macie dziesięć minut na dojdzie do głównej bramy. Skierujcie się na północ, dookoła stawu, pod górę przez linię drzew. Jeżeli po tym czasie nadal będziecie na terenie posiadłości, spuścimy psy. Wasza obecność może także wpłynąć na bezpieczeństwo i samopoczucie zakładników.

Eve skinęła na Pennaca. Wyłączył głośnik i powiedział:

- Zastanawiam się, czy zabrali z sobą odstraszacze.

- Nie o to chodzi - odparła Eve. - Teraz wiemy, że ich namierzyliśmy. Stracili element zaskoczenia. Poza tym nie będą chcieli ryzykować, aby coś stało się zakładnikom.

Pennac przesunął dźwignię, która kontrolowała kamerę w pobliżu siódmego dołka, robiąc zbliżenie czterech mężczyzn w zaroślach.

- Nie ruszają się - oznajmił.

- Czekają na rozkazy od dowódcy - stwierdził King.

- To musimy pomóc mu się zdecydować - dodała Eve.

Wyszła z centrum ochrony i korytarzem udała się do salonu wielkości boiska piłkarskiego, gdzie wśród szachownicy kanap i foteli Bob Clarenco siedział przywiązany do fotela przed kamerą internetową.

- Co się dzieje? - zapytał Hogarth.

Eve podniosła brulion i marker i zaczęła pisać.

- Na terenie jest mały zespół taktyczny - wyjaśniła. -Prawdopodobnie sprawdzali nasze zabezpieczenia. Uważamy, że pewnie wyskoczyli ze śmigłowca.

- Więc? Użyjcie psów - zaproponował Clarenco.

- Jeszcze nie - odparła Eve.

Kiedy skończyła pisać, wyjęła glocka z kabury przy pasie i wyrzuciła z pistoletu magazynek. Potem założyła gumową maskę Clintona i wyszła przed kamerę. Oparłszy brulion o brzuch Clarenca, wbiła lufę w jego policzek.

- Jezus - mruknął Bob. - Jest naładowany?

- Oczywiście, że nie. A teraz przestań gadać i wyglądaj tak, jakbyś bał się o własne życie.

*

Porucznik Bob Everard, dowódca operacji specjalnych, z bicepsami jak buły i włosami tak krótkimi, że wyglądały, jakby je namalowano na głowie, nienawidził psów i myśl o zabiciu jednego czy nawet kilku wcale go nie smuciła. Jeżeli rzeczywiście na terenie posesji znajdowały się jakieś psy. Przyszło mu do głowy, że porywacze mogą blefować; w końcu nie było znaków na płocie ostrzegających intruzów przed psami. Poza tym po co Wallenbergowi psy obronne? W końcu miał tyle różnych zabezpieczeń. Ale jeżeli były psy, prędzej czy później trzeba będzie się nimi zająć. Bez butelek z formaldehydem czy z cyjanowodorem mężczyźni za drutami będą musieli próbować zastrzelić zwierzęta. A trafienie kilku szybko biegnących psów obronnych może nie być łatwe. Policja stanowa w Nowym Meksyku miała owczarka niemieckiego o imieniu Nero, któremu z dwoma kulami kalibru .45 w piersi udało się powalić podejrzanego atakującego jego przewodnika. Everard nadal się nad tym zastanawiał, kiedy Tom Zander zawołał go do furgonetki policyjnej, gdzie zainstalowano kilka komputerów do odbioru obrazu z kamery, jak również całą baterię telefonów i sprzętu nagrywającego.

Wymowa pistoletu przyłożonego do głowy Clarenca była jednoznaczna, ale Everard mimo to pochylił się do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się napisowi na brzuchu Clarenca. **NATYCHMIAST WYCOFAJCIE DRUŻYNĘ, BO CLARENCO ZGINIE.**

Everard zaklął i skontaktował się przez radio z grupą desantową, aby udała się do bramy zgodnie z poleceniem.

Mrużąc oczy, jeszcze raz przyjrzał się miniaturowemu obrazowi z internetu.

- Wygląda, jakby to kobieta trzymała broń przy głowie Clarenca - zauważył. - Może to ta, z którą rozmawiałeś. Trudno coś dojrzeć na tym obrazie, ale widać, że ma obrączkę.

Zander wzruszył ramionami.

- Nawet kryminaliści biorą ślub.

Zadzwoiła komórka Everarda. To pilot śmigłowca donosił, że byli pod ostrzałem. Ucierpiała owiewka helikoptera, która została trafiona w kilku miejscach, ale z wielkości dziur można wnioskować, że strzelcy używali wiatrówek o dużym zasięgu.

- Wiatrówek?

- No, dzięki Bogu - odparł pilot.

Everard skończył rozmowę, przekazał ostatnie wiadomości Zanderowi i ponownie spojrzął na monitor.

- Czy to wygląda na prawdziwą broń, jak sądzisz? - zapytał.

- To Ameryka, Bob - odpowiedział Zander. - Powtarzam sobie, że każda broń jest prawdziwa. Nawet takie żółte z wodą w środku. Myślę, że dzięki temu pożyję trochę dłużej.

Komórka Everarda ponownie zadzwoniła. Burknął coś w odpowiedzi, a potem wepchnął telefon z powrotem do kieszeni kamizelki kuloodpornej.

- Z Santa Fe jedzie inspektor - poinformował Zandera. - Żeby przejąć kontrolę.

- Można było się spodziewać, że Dillon się zjawi. Bez urazy, Bob, ale to jest priorytetowa sprawa. W mieście musi być z tuzin ekip telewizyjnych.

- Nie musisz mi mówić. Zgadnij, kto mu towarzyszy.

Zander wzruszył ramionami.

- Gubernator Nixon.

- Tego jeszcze nam tu trzeba.

Gubernator Nowego Meksyku, Ted Nixon, były zapaśnik wrestlingu, miał reputację mówiącego prosto z mostu i działającego bezpośrednio. Był znakomitym triathlonistą i alpinistą, skakał na spadochronie z wieżowców, uprawiał survival - jak twierdzili niektórzy - i miał fioła na punkcie prawicy. Zasłynął z napadu na Indianina, który naprzykrzał mu się, aby kupić jakiś garnek w portalu Pałacu Gubernatorów, a przy innej okazji opisał osiemnastowieczną drewnianą figurkę świętego Franciszka z Asyżu w katedrze pod jego wezwaniem w Santa Fe jako „śmieć”.

- Miejmy nadzieję, że FBI się nie wtrąci - burknął Everard.

- To zależy od definicji kontrterroryzmu - odparł Zander. - Ale wzięwszy pod uwagę żądania porywaczy, powiedziałbym, że nam samym będzie trudno załatwić tę sprawę. Będą chcieli się stąd wydostać. Ze stanu. Prawdopodobnie z kraju. To musi załatwiać FBI, obojętnie, co się wydarzy.

- Może tak, ale musimy trzymać się tutaj jak najdłużej. Żebyśmy tylko wiedzieli, kim są te gnojki. Cholera jasna, ktoś musi wiedzieć, kim oni są i skąd się wzięli.

- Na lotnisku w Alamo było grupa demonstrantów, kiedy przylatywali goście pana Wallenberga - wtrącała się szeryf Baker. - Widziałam w telewizji. Pamiętam jedną młodą kobietę, KOB robiło z nią wywiad, powiedziała, że takich bogatych powinno się rozstrzeliwać.

- Tak powiedziała?

- Może warto ją sprawdzić? Może Grady Hicks coś o niej wie. - Wskazała młodego zastępcę w strzeleckich, przyciemnianych okularach, opierającego się o maskę wozu patrolowego policji z Otero. - To on, tam stoi.

Grady Hicks pełnił służbę na lotnisku w poranek, kiedy odbywała się demonstracja, i pamiętał groźbę ze strony młodej kobiety - Cele MacBrazel.

- Ona i jej koledzy to studenci z uniwersytetu stanowego w Nowym Meksyku. Rozmawiałem z nimi. Byli trochę rozczerwieni, że więcej ich kolegów nie zjawilo się, by protestować na lotnisku. Nie dzialo się nic ponad to, co zwykle. Globalizacja, WTO, wielkie korporacje, takie rzeczy. Szczerze mówiac, nie wygladali dosc radykalnie.

- Wystarczająco-radykalnie, żeby mieć coś wspólnego z przetrzymywaniem zakładników?

- Tego nie wiem, ale po Columbine, kto wie, do czego zdolne są te dzieciaki?

Everard poszedł do vana i zwrócił się do oficera zajmującego się techniczną częścią działań zespołu taktycznego, Ernesto Sandovala.

- Emie? Połącz się z policją stanową w Las Cruces. Zobacz, co mają o niej Cele MacBrazel, studentce uniwersytetu. A propos, dowiedziałeś się czegoś o ISP prowadzącym ich stronę internetową?

- Takie rzeczy jak sprawdzanie stron internetowych to robota dla FBI.

- Wiedziałem, że to powiesz. - Everard przeklął i delikatnie kopnął w oponę czubkiem wojskowego buta. - Lepiej zadzwoń do policji w Albuquerque i opisz im sprawę.

*

Uniwersytet stanu Nowy Meksyk w Lac Cruces, z piętnastoma tysiącami studentów i miasteczkiem studenckim o powierzchni sześciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu akrów, należał do jednych z największych na świecie.

Na posterunku policji na terenie kampusu pospieszna analiza akt Cele MacBrazel ujawniła, że jest strzelcem wyborowym, członkinią Klubu Strzeleckiego w Picacho, Sportowego Związku Strzeleckiego Nowego Meksyku i Żeńskiej Drużyny Strzeleckiej. Prawa dotyczące posiadania broni w Nowym Meksyku należą do najbardziej łagodnych w Stanach Zjednoczonych: aby kupić i nosić broń, nie jest wymagane zezwolenie; nie prowadzi się rejestracji broni ani nie wydaje się licencji właścicielom; a chociaż na kampusie nie zezwalano na trzymanie broni, Cele i tak mogła ją mieć.

Policję jednak bardziej interesowało odkrycie, że Cele została aresztowana w Seattle pierwszego grudnia 1999 podczas protestów przeciw WTO. Biorąc pod uwagę antyglobalistyczne przesłanie porywcy, policja w Las Cruces zdecydowała, że Cele MacBrazel powinna zostać aresztowana.

Garcia Hall to największy akademik w miasteczku studenckim. Zbudowany w stylu postmodernistycznym z różowego kamienia i stali czerwonej jak papryczki chili, wyglądał, jakby firma budowlana zbankrutowała przed ukończeniem projektu.

Zespół ośmiu oficerów z policji stanowej Nowego Meksyku w asyście posterunkowych z kampusu wszedł do budynku w kamizelkach kuloodpornych i z karabinami M16. Dwóch oficerów zajęło pozycje na galeriach naprzeciw pokoju Cele MacBrazel, podczas gdy kolejnych dwóch oficerów okupowało patio pod jej oknem. Tymczasem policjanci z posterunku uniwersyteckiego wyprowadzali napotkanych studentów z budynku, aby nie im nie groziło. W pokoju sąsiadującym z tym, który zajmowała Cele MacBrazel, umieszczono policjanta, a dwóch oficerów czekało przed drzwiami i przygotowywało się do wejścia.

Jak większość mieszkańców Nowego Meksyku w to popołudnie Cele oglądała w telewizji wydarzenia z Cloudcroft, ale w przeciwieństwie do większości po cichu kibicowała zdecydowaniu i odwadze aktywistów, którzy przetrzymywali Wallenberga i jego gości.

Cele wydało się, że usłyszała coś za drzwiami, wyjęła więc jointa z ust i chciała go wyrzucić przez okno. Drzwi zamknęła na klucz, a szparę u dołu zatkała mokrym ręcznikiem, ale i tak wolała uważać; w Garcia Hall nawet tytoń i alkohol były zabronione, nie wspominając o marihuanie. Uzmysłowała sobie, że nie usłyszała żadnego dźwięku pod drzwiami, raczej brakowało jakichkolwiek normalnych odgłosów i to ją zaalarmowało. Nawet ptaki na drzewie pod oknem przestały śpiewać.

Najpierw pomyślała, że to koledzy chcą jej zrobić kawał. W następnej chwili drzwi wleciały do środka i wpadło dwóch uzbrojonych mężczyzn. Kazali położyć się na podłodze i skuli jej ręce na plecach.

Doszła do wniosku, że chyba jeden skręt nie wymagał aż takiej interwencji.

*

Burmistrz Cloudcroft, Bozo Molesworth, wyszedł z wiejskiego biura o drewnianych ścianach i blaszanym dachu i poszedł na skraj szosy stanowej numer 82. Po drugiej stronie drogi tuzin ekip radiowych i telewizyjnych czekało cierpliwie za policyjną barierą, która broniła wjazdu na górską drogę prowadzącą do bram posiadłości Calvina Wallenberga.

Przez cały czas przybywało ich coraz więcej.

Nawet w tej chwili powoli wjeżdżał pod górę kolejny wielki wóz ABC z anteną satelitarną na dachu, która wyglądała jak gigantyczny, przenośny patefon, jakby ktoś zamierzał Indianom zagrać stare płyty Enrica Caruso. O piątej w ciepłe, niedzielne popołudnie w miasteczku panowała atmosfera świąteczna - bądź co bądź był czwarty lipca.

Burmistrz przeszedł przez jezdnię, żeby kupić papierosy w sklepie spożywczo-przemysłowym „Mountain Top” i po piętnastu minutach czekania ze zdziwieniem stwierdził, że wyprzedali jego ulubiony gatunek. Molesworth opuścił jedynie plan programu telewizyjnego, żeby nagrodzić swoją cierpliwość, i zobaczył Howarda White'a, który prowadził Agencję Nieruchomości „Enchanted Forest”. Poinformował Howarda, że też otworzył interes.

- O tej porze roku - powiedział White - jest przeważnie spokojnie na rynku nieruchomości, ale wiesz, rozglądam się i dochodzę do wniosku, że ta sprawa z zakładnikami niespodziewanie przysłuży się Cloudcroft.

Molesworth musiał przyznać mu rację.

- Lodge jest pełen jak na Gwiazdkę - powiedział White'owi, - Tak samo jak Aspen Rose, Pensjonat Crofting, Cobins, Summit i Alta Vista. Głównie dziennikarze. A pieniądze nie stanowią problemu. Nawet apartament za dwieście pięćdziesiąt dolarów za noc został zajęty.

White zdjął stetsona, podrapał się w głowę i ściszył głos.

- Nie chcę zapeszać, ale nie życzę źle Calowi Wallenbergowi... do diabła, miasto umierało, zanim on się tu zjawiał. Mam jednak nadzieję, że to potrwa choćby dzień albo dwa.

- Rozmawiałem z oficerem, który tym wszystkim zarządza. Zdaje się, że rozegrają to na zimno. Niczego nie będą prowokować. - Molesworth zaśmiał się. - Będę z tobą szczerzy, Howard, trochę bardziej martwię się o swoje akcje, niż o to, co się stanie u Wallenberga w domu.

- Nie wiedziałem, że grałeś na giełdzie, Bozo. Ja też gram trochę przez internet. Ulokowałem kilkaset dolarów, to tu, to tam. Drobiazgi.

- Ja też. Posłałem e-mail do Schwaba, żeby pozbył się moich akcji jak najszybciej, gdy tylko jutro giełdy zostaną otwarte.

- Myślisz, że będzie aż tak źle?

- Broń Boże, ale jak zabiją tego faceta przed kamerą, to notowania polecą na zbity pysk. W takim wypadku wołałbym uprzedzić sytuację. Widzisz, komputery przeprowadzają sprzedaż w kolejności otrzymywanych zleceń. A jutro może nie być łatwo połączyć się przez internet. Wszyscy chcą przejść przez drzwi jednocześnie. Jak świnie w chlewie. Pewnie coś stracę, ale nie tyle, ile mógłbym, gdybym czekał.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób - przyznał Molesworth.

- Tylko tak można o tym myśleć. Facet w CNBC właśnie powiedział, że ci przyjaciele Wallenberga wcale nie mają wpływu na giełdę. To oni są rynkiem. Jak coś im się stanie, cała ta cholerna lokomotywa się wykolei. Przypuszczają, że może być gorzej niż w dwutysięcznym pierwszym roku.

- Nie sądzę, żeby któreś z moich akcji miały wyśrubowaną wartość.

- Myślisz, że realna wartość ma z tym jakiś związek? Bożo, jak stado bydła wpadnie w popłoch, nawet zdrowe zwierzęta zostają zdeptane na śmierć, prawda?

- Chyba masz rację - przyznał Molesworth, myśląc, że Howard White przemawiał raczej jak rolnik niż agent handlu nieruchomościami. - Może powinienem wrócić do domu i zalogować się w E-Trade. I to zaraz.

Molesworth wrócił do biura i odkrył, że jego dodge z napędem na cztery koła został zablokowany przez vana z anteną satelitarną telewizji ABC, którego widział wcześniej. W środku nie było nikogo, więc zaklął głośno i przeszedł na drugą stronę szosy, żeby poszukać ekipy.

Bob Clarenco pozwolił sobie na przerwę w pozowaniu przed kamerą, aby udać się do toalety, zjeść coś i napić się. Kiedy go nie było przed kamerą, Andy Hogarth ustawił napis na krześle Clarenca: NIE ODCHODŹCIE, ZARAZ WRACAM.

Eve poszła korytarzem za Bobem, który przeciągał się i ziewał jak po długim locie. Spojrzała na zegarek. Była ósma. Siedział przywiązany do krzesła ponad dziewięć godzin. Rzeczywiście podziwiała jego wytrzymałość. Znosił to lepiej, niż się spodziewała.

- Jak się czujesz? - zapytała.

Clarenco znowu ziewnął i pokręcił głową, chcąc rozluźnić mięśnie.

- Trzeba było zabrać kręgarza na ten skok. Wszystko mnie boli.

- Może powinniśmy zastąpić cię innym zakładnikiem. Massingerem albo Laurensonem, przynajmniej do rana. Odpocząłbyś.

- Myślisz, że o tym nie myślałem? Jeżeli nie umrę od zakrzepicy, powinniśmy zdobyć niezłą publikę, zanim jutro rano nadejdzie wyznaczony termin.

Clarenco poszedł do toalety, następnie udali się do kuchni, gdzie Eve zrobiła mu kanapkę, którą zjadł, kiedy szli głównym korytarzem w skrzydle mieszkalnym, aby sprawdzić samopoczucie miliarderów nadal będących pod wpływem anestetyków.

Sam urządziła mały pokój pielęgniarstwa: na stole w stylu Ludwika XV stał laptop, który wykorzystywała do koordynacji elektronicznych sygnałów z poszczególnych diprifuzorów. Podłoga dookoła stołu wypełniona była pudełkami po woreczkach do cewników, lekach, strzykawkach jednorazowych i butelkami po wodzie mineralnej.

- Wszystko w porządku? - zapytał Clarenco. - Wszyscy oddychają?

Sam skinęła głową.

- Ford Sarmenington? Nic mu nie jest?

- Nie - odparła Sam. Wskazała ekran komputera. - Każde okienko odpowiada pacjentowi. Muszę tylko kliknąć któreś z nich, żeby z bliska przyjrzeć się głównym funkcjom życiowym. - Wzruszyła ramionami. - Komputer informuje mnie, jeżeli cokolwiek trzeba zrobić.

- Mimo wszystko nadal wolalbym osobiście zobaczyć każdego.

- Nie musisz się trudzić osobiście. Nikomu nic nie dolega.

- Hej - powiedział Clarenco, unosząc głos, podenerwowany. - Poza tym, że skorzystam z ruchu, upewnię się, że są w dobrym zdrowiu. W porządku? W końcu

sporo w tych ludzi zainwestowałem. Jak coś im się przytrafi, śniadanie zjemy w więzieniu w Los Lunas.

Sam zniosła jego władcze przemówienie, skrywając uśmieški i ciężko wzdychając, a nawet raz czy dwa przewróciła oczyma, tak by Eve to widziała. W greckim apartamencie Clarenco powiedział Sam, że Mehta wydawał mu się zimny, więc przykrył go kocem.

- I tak śłaniam się na nogach przy tych obowiązkach - rzekła Sam. - Jestem sama, a powinnam mieć asystentkę.

- Słuchaj - odparł Clarenco. - Wszyscy znajdujemy się pod dużą presją. A będzie jeszcze gorzej. Uwierz mi. Jesteś zmęczona? To kiepsko. Chcesz znaleźć motywację? To myśl cały czas o pieniądzech. I w jaki sposób wszyscy musimy je zarobić. To nie jest szpital ani wakacje. To nie zabawa, tylko nielegalna próba zdobycia majątku. Chcesz być bogata, to będziesz musiała ruszyć dupę i postarać się.

- Masz rację - przyznała Sam.

- Wiesz, że mam rację. Teraz opowiedz mi o ochroniarzach w jadalni.

- Zajrzałam do nich pół godziny temu. Dałam im następny zastrzyk. Dostyc, żeby przeczekali do rana.

- Dobra. - Clarenco zerknął na zegarek. - Chyba wrócę do mojej publiczności. Eve podążyła za nim do pokoju, w którym była ustawiona kamera.

- Federalni się odzywali? - zapytał.

- Jeszcze nie. Negocjator to facet z zespołu taktycznego policji stanowej.

- Chyba jest za wcześnie na federalnych. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby oddział HRT był już w drodze. Niewykluczone, że policja czegoś spróbuje, zanim tamci dojadą. Raczej nie powinni wprowadzać na teren kolejnej grupy. Koniecznie będą chcieli zdobyć jakieś informacje ponad to, co ty im podajesz przez internet i telefon.

- Negocjator chciał rozmawiać przez telefon z kimś z zakładników. Teraz mógłby być dobry moment, kiedy ciebie nie ma przed kamerą. Mógłbyś mu powiedzieć, że właśnie pokazaliśmy ci zakładników i wszystko jest porządku. To pomogłoby też wyjaśnić twoją nieobecność przez ponad godzinę.

- Dobry pomysł - przyznał Clarenco.

- Ale niech to zabrzmie realnie, dobrze?

- To znaczy mam grać?

- Zanim zadzwonisz, może przebiegłbyś parę razy po schodach w dół i w górę. Jak usłyszą, że brak ci tchu, może pomyślą, że to przez stres. Może nawet użyją spektrografu dźwięku i przeprowadzą analizę głosu.

Clarence skinął głową i ruszył schodami. Oddychał ciężko, zanim Eve podała mu słuchawkę.

- Gotowy?

Pokiwał głową.

*

- Zdaje się, że oglądała nas w telewizji, kiedy ją aresztowali - wyjaśniał Zander Everardowi. - Jak dotąd nic nie powiedziała, tylko zaprzeczyła, że jest w cokolwiek zaplątana. Ale znaleźli notes na jej biurku, gdzie zapisano pewne rzeczy, które mogą ją łączyć z tą sprawą. Na temat poparcia dla porywaczy.

Porucznik Everard ledwo słuchał Zandera. Nie spuszczał wzroku z radiowozu policji z okręgu Otero, który właśnie przybył na miejsce, przywożąc z lotniska w Alamo Gordo gubernatora Nixona i inspektora Dillona - przełożonego jego zespołu. Ku jego przerażeniu Nixon, olbrzymi facet z ogoloną głową, wielkimi wąsami i wykałaczką w ustach, miał na sobie kamizelkę kuloodporną, a na udzie rewolwer.

- Co on sobie myśli, do diabła? Że to film?

Zander odwrócił się i uśmiechnął bez słowa, kiedy zobaczył gubernatora Nowego Meksyku. Miał coś powiedzieć, kiedy w vanie zadzwonił telefon. Nawet Nixon przestał mówić, gdy Zander, dając znak głową Erniemu Sandovalowi z nowomeksykańskiej policji, aby puścił taśmę, odebrał telefon z chłodnym:

- Słucham?”

- Tu Bdb Clarence - rozległ się zdyszany głos.

Sandoval już słuchał przez inną parę słuchawek, a gdy Everard i Dillon, a potem gubernator Nixon zbliżyli się do vana, bez słowa podał każdemu po zestawie słuchawek.

- Dobrze pana słyszeć. Tu sierżant Zander z policji stanu Nowy Meksyk. Wszyscy się zastanawialiśmy, gdzie pan poszedł. Jak się pan czuje?

- Zważywszy na okoliczności, chyba dobrze. Wszyscy się dobrze czują. Pozwolili mi zobaczyć zakładników. I pójść do łazienki. Napić się wody. - Westchnął. - Sierżancie, ci ludzie są dobrze uzbrojeni i obawiam się, że śmiertelnie poważni. Nie

żartują. Naprawdę nas pozabijają, chyba że zgodzicie się na ich żądania. Jak przypuścicie szturm na posiadłość, to też po nas. I jeszcze jedno. Znam to miejsce. Pomagałem w projektowaniu systemów zabezpieczających. Nie udałoby się wam... przynajmniej nie wystarczająco szybko, przyjść nam na ratunek, zanim oni nas... zabiją. To Ford Knox.

- Spokojnie, pracujemy nad tym. Jest z nami gubernator. Niedługo was stamtąd wyciągniemy.

- Dostyc tego - rozległ się kobiecy głos. - Tu Bette. Jesteście teraz Zadowoleni?

- Zadowoleni? Pewnie, Bette, chcę, żeby wszyscy wyszli stamtąd żywi. Ty też, Bette. I twoi przyjaciele.

- Co się dzieje z naszymi żądaniem, sierżancie?

- Pracujemy nad tym, Bette. Jest tu gubernator.

- Gubernator? Mówisz poważnie? Słuchaj, widziałeś naszą stronę. Cholera, co ty w ogóle robisz? Nie prowadzimy tu dyskusji na temat zawodowego wrestlingu na świecie. Ten osioł gubernator niczego nie rozwiąże. Myślisz, że zakończy blokadę Kuby? Albo anuluje długi Trzeciego Świata? Rozczarowałeś mnie, sierżancie. Myślałam, że rozmawiam z inteligentną osobą. Ale zaczynam mieć wątpliwości. Nie żartujemy. Termin obowiązuje. Macie mniej niż dwanaście godzin.

- Dwanaście godzin. Rozumiem. Dobrze. Robimy, co w naszej mocy, Bette, ale musicie być cierpliwi.

- Nie mów mi, że muszę być cierpliwa. O to właśnie nam chodzi. Nie zamierzamy więcej być cierpliwi. Dlatego tu jesteśmy i robimy to, co robimy. Jeżeli trzeba będzie, jesteśmy gotowi umrzeć za to, w co wierzymy. Słuchaj, następnym razem, jak będziemy rozmawiać, proponuję, żebyście postarali się o jakąś reakcję władz, albo zrobimy jatkę.

- Spokojnie, Bette. Rozmawialiśmy z Departamentem Sprawiedliwości. Zajmują się tym. Ale wyłóżmy karty na stół i bądźmy z sobą szczerzy. Z wieloma rzeczami na waszej stronie się zgadzam. Czterdziestogodzinny tydzień pracy brzmi wspaniale. I uwierz mi, moja żona ucieszyłaby się z dziesięciu dolarów na godzinę. I przypadkiem zgadzam się, że powinniśmy zakończyć blokadę Kuby.

Zander na moment przechwycił spojrzenie gubernatora, który niemile zmrużył oko, kiedy on mówił Eve o zakończeniu blokady Kuby. Zander pospiesznie się odwrócił.

- Ale oboje wiemy, że na te rzeczy trzeba czasu. Jest niedziela. Dwanaście godzin do pierwszego terminu ultimatum nie wystarczy. Będziemy potrzebować co najmniej dwudziestu czterech godzin, aby należycie zareagowano na te kwestie. Dłużej, jeżeli to możliwe. Powiedzmy ósma rano we wtorek. Wtedy będą większe szanse...

- Ultimatum pozostaje niezmienione - odparł kobiecy głos i połączenie przerwano.

Przez moment Zander wpatrywał się sfrustrowany w aparat, a potem głęboko westchnął.

Gubernator zerwał słuchawki.

- To suka - warknął.

Zander spojrzał na Nixona.

- Co mam powiedzieć tej suce, gubernatorze, jak oddzwoni?

- Rozmawiałem z asystentem sekretarza sprawiedliwości przed wyjazdem z Santa Fe i zapewnił mnie, że porozmawia z sekretarzem, gdy tylko uda mu się z nim skontaktować. Nie mam pojęcia, czy sekretarz uzna za słuszne poinformować Biały Dom, ale wszyscy wiemy, że prezydent nie zamierza ugiąć się przed jakimikolwiek żądaniami

- Tego nie mogę im powiedzieć - odparł Zander.

Wszyscy odwrócili się do komputera, gdy zamaskowani porywacze przyprowadzili Boba Clarenco do krzesła przed kamerą.

- Co robimy? - zapytał Nixon.

- Chyba nie mamy alternatywy, musimy dalej negocjować - doszedł do wniosku porucznik Everard. - Słyszeliście, co powiedział Bob Clarenco. Dom jest niezwykle dobrze strzeżony. Jeżeli zechcą zabić kogoś z zakładników, chyba nie uda nam się w tym przeszkodzić, nawet gdybyśmy mieli całą dywizję uzbrojonych ludzi do dyspozycji.

Nixon rzucił spojrzenie inspektorowi Dillonowi, jakby szukał u niego rady.

Dowódca zespołu jak zwykle zachowywał spokój, aż Zander pomyślał, że to go nie obchodzi. To też było typowe. Niższy o głowę od większości swoich ludzi, potrafił wymusić posłuch zaledwie drgnieniem brwi albo skinieniem siwej głowy.

- Dopiero tu przyjechałem, gubernatorze - powiedział. - Ale znam sierżanta Zandera i porucznika Everarda wystarczająco długo, by twierdzić, że jeżeli taka jest ich opinia, to ja ją podzielam.

Nixon oparł dłoń na rękojeści swojego automatycznego sig sauera.

- Więc będziemy tak stać i czekać, aż coś się wydarzy?

- Na ogół tak to przebiega. Wierzę, że taktyczne rozwiązanie jest wykluczone w tej konkretnej fazie gry.

- Nazywacie to grą, inspektorze?

- Tak, to rozgrywka. Wymaga sporo cierpliwości. I cholernie dużo myślenia, zanim ktoś wykona ruch. Teraz najbardziej potrzebujemy jakichś informacji o naszych przeciwnikach. Gdy je dostaniemy, będziemy mieli pewne pojęcie, jak oni chcą to rozegrać. Miejmy nadzieję, że wyciągniemy coś z tej studentki, którą aresztowano w Las Cruces. Tymczasem poprosiliśmy FBI o jakieś dane na temat porywaczy na podstawie strony internetowej. Serwer musi mieć o nich jakieś dane. Strony internetowe nie są za darmo. Ktoś musi opłacać serwer. Pytałem też FBI, jakie informacje na temat tutejszego systemu zabezpieczeń otrzymali z firmy pana Clarenca w Nowym Jorku. Gdy będziemy mieć to wszystko, pomyślimy o jakimś ruchu. Do tej pory musimy siedzieć i czekać. Starać się namówić ich do poddania. Z tego, co mówił porucznik Everard przez telefon, nie mamy tu żadnego punktu oparcia. Naszą najlepszą bronią jest słuchanie.

- I to mam powiedzieć sekretarzowi sprawiedliwości? Że słuchamy tych gnojów? Inspektorze, to nie jest jakiś tępym obszcymur, który napadł na wioskowego McDonalda, ponieważ stracił pracę, a żona rzuciła go, bo przez raka prostaty stał się impotentem. Czy muszę przypominać wam, że ludzie w środku to podstawa amerykańskiej gospodarki? Jak zginą, mnóstwo ludzi w kraju straci pracę. Wy też.

Dillon zmierzył go wzrokiem, jakby byli dwoma zapaśnikami w ringu, tylko że Nixon był o trzydzieści centymetrów wyższy od Dillona i czterdzieści kilo cięższy.

- Zdaję sobie z tego sprawę, gubernatorze - odparł cierpliwie Dillon. - Ale nie ma znaczenia, kim oni są. Nadal zalecałbym ciche załatwienie sprawy. Byłem członkiem zespołu taktycznego w Waco, kiedy pracowałem w ATF. To nie była moja sprawa, gubernatorze, ale nie powinniśmy tam wchodzić. Powinniśmy czekać. I jeszcze raz czekać. W ciągu kilku pierwszych minut ataku zginęło czterech moich kolegów. Szesnastu zostało rannych. Potem zjawiono się FBI. Udało im się wynegocjować, powtarzam... wynegocjować... zwolnienie trzydziestu pięciu osób, zanim... zgadnijcie co?... skończyła im się cierpliwość. Wpompowali gaz łzawiący do budynków zajmowanych przez Bractwo Dawidowe, udało im się podpalić miejsce, wskutek czego wszyscy w środku, ponad osiemdziesiąt osób, zginęli. Natomiast to miejsce jest lepiej

chronione niż Waco. I dopóki dowodzę tą operacją, nie dopuszczę do próby szturmu na dom, chyba że dzięki temu miałyby wzrosnąć szanse uratowania zakładników.

Gubernator Nixon zdjął rękę z wysadzanej macicą perłową rękojeści pistoletu automatycznego, pogładził się po łysej czaszce i przyznając się do tymczasowej porażki, odwrócił od Dillona, jakby wolał schwycić tamtego i rzucić na drogę, niż dłużej wytrzymać to spojrzenie.

- W porządku, inspektorze. Tak powiedzieliście, wasza decyzja. Oby była słuszna.

*

Dolores Milliano i jej fryzjer, Acacio, zjawili się w Cloudcroft wkrótce po ósmej wieczorem. Błyskawicznie wyskoczyła z taksówki, w której cuchnęło serowymi nachos z jalapeno, i z niesmakiem obrzuciła wzrokiem miasteczko.

- A ja myślałam, że Alamo Gordo przypomina wysypisko śmieci - odezwała się. - To miejsce wygląda, jakby odjechał stąd już ostatni pociąg.

Acacio, który pomimo swojego imienia, był Anglikiem, popatrzył na Cloudcroft.

- Uważam, że jest słodkie. Jak Aspen, tylko że bez drogich sklepów, kosztownych samochodów i futer, no i miłych restauracji i tych wszystkich banków. - Uśmiechnął się zadowolony z rozczarowania Milliano. - Och, patrz, sklep z turkusami. Uwielbiam turkusy.

- To chyba tutejszy Tiffany - powiedziała i skierowała się w stronę kilku wozów transmisyjnych z antenami satelitarnymi stojących przed miejscową szkołą.

Milliano ze zdziwieniem zauważyła, że jeden z wozów należy do japońskiej ekipy wiadomości, i pomyślała, że informacja już poszła w świat. Zerknęła na złotego cartiera i uświadomiła sobie, że japońskie giełdy otwarte są już przynajmniej od godziny.

Podczas rozmowy z japońskimi dziennikarzami dowiedziała się, że indeks Nikkei spadł prawie o dwieście punktów i ciągle spadał. Kiedy zadzwonił do niej jej producent Saul Mendelssohn, Dolores pomyślała o własnym portfelu akcji, teraz zrobiła to ponownie.

W giełdę zainwestowała ponad dwa miliony dolarów, czyli milion mniej niż przed spadkiem akcji technologicznych po kryzysie lat 2001 i 2002. Jak miałyby spojrzeć swoim czytelnikom w oczy po kolejnej takiej stracie. Jeżeli wyprowadzą zakładników,

wszystko dobrze się skończy, ale tymczasem... Jednak jeżeli ich nie wydostaną, jeżeli zakładnicy zginą, krach może okazać się największy ze wszystkich... większy od tego z 1987, większy nawet niż w 1929. A w tym wypadku przebojowa książka może okazać się jej jedynym sposobem odzyskania pieniędzy. Na szczęście nie zainwestowała na giełdzie wszystkich pieniędzy, ale sporą ich część. Oczywiście zastanawiała się, czy nie zadzwonić do swojego maklera, Kyle'a Liebermanna w Bear Stearns, żeby sprzedał jej pakiet, kiedy Wall Street otworzy się rano, ale jeżeli zakładników wypuszczą i giełda się odbije, będzie sobie pluć w brodę.

Acacio znalazł wóz NBC i przywołał ją.

Ekipa KOBTY patrzyła na nią, jakby niosła Oscara.

- Rany - odezwał się Warren Meisler. - Milionowa Dolores.

Uśmiechnęła się uprzejmie i ujęła zimną i lepką dłoń Meislera, ukrywając niesmak.

- Jestem kamerzystą i dźwiękowcem - przedstawił się. - To jest John Elder, producent, i Maria Montoya, nasza reporterka.

- Miło mi - przywitała się Milliano, błyskając kosztowną dentystyczną koronką.

John Elder wydał się Milliano nie mniej odpychający niż jego kamerzysta i tak samo obleśny. Wielka, złowroga jak Wezuwiusz narodził na szyi tuż nad kołnierzem koszuli jedynie na moment odciągała uwagę od kępki włosów przykrywającą głowę, poza tym zupełnie łysej. Dziewczyna o twarzy jak lalka nie mogła się zdecydować, czy jest zadowolona ze spotkania z najsłynniejszą kobietą z wiadomości telewizyjnych, czy rozczarowana tym, że spadła na drugie miejsce.

- A propos, to mój fryzjer, Acacio.

Acacio pomachał palcami jednej ręki, wydał z siebie bezgłośnie „Cześć” i odwrócił wzrok, najwyraźniej czymś rozbawiony, Milliano przypuszczała, że fryzurą Eldera.

- Przygotowujemy się właśnie do wiadomości o dziesiątej - wyjaśnił Elder, podając Milliano tekst, a potem zaglądając jej przez ramię, kiedy czytała.

- Co to jest na tej kartce? - zapytała, wskazując podejrzaną, czerwoną plamę ciemniejszą w narożniku. - Wygląda jak krew.

- Nie, to sos chili - powiedział Meisler. - Właśnie jedliśmy obiad.

- We wsi jest całkiem dobry bar - dodał Elder. - Nazywa się Cloudcroft Inn. Jak chcesz coś zjeść, to lepiej się pospieszyć. Tyle tam glin i dziennikarzy, że jak słyszałem, może im się skończyć jedzenie.

Milliano skończyła czytać tekst.

- Cóż, to powinno znaleźć się w tekście, nie sądzisz? Jak na razie trochę tego mało. Nawet ja znam większość materiału, a siedziałam w samolocie przez ostatnie cztery godziny. Co jeszcze słyszeliście?

Elder zastanawiał się przez chwilę.

- Szeryf Baker ma nadzieję, że to się skończy do rana.

- Nie sądzę, aby nadzieje pani szeryf uspokoiły giełdę, a wy? Nikkei otworzył się ze stratą dwustu punktów w stosunku do ostatniego piątku.

Elder spojrział na swój złoty zegarek, jakby starał się obliczyć, która godzina jest w Tokio.

- Otworzył się trochę ponad godzinę temu - kontynuowała Dolores. - Co jeszcze powiedziała szeryf?

- Nieoficjalnie poprosiła, abyśmy byli ostrożni w sprawozdaniach - odparł Elder. - Powiedziała, że to media pomogły spieprzyć atak na Bractwo Dawidowe w Waco.

Dolores Milliano poczuła, jak zamarło jej serce z podniecenia.

- Wspomniała Waco? Czy szeryf powiedziała to wam osobiście? Czy także wielu innym ludziom?

- Mnie osobiście. Pierwsi przybyliśmy na miejsce.

- A od tamtej pory wspominała o Waco?

- Nie przypominam sobie.

- Ilu członków SWAT jest tu teraz na miejscu?

- Dwa pełne oddziały. Może sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu chłopca. Z całych Stanów. Krążą plotki, że w drodze jest też trzeci oddział z FBI.

Milliano zerknęła na tekst.

- Nie wspomniałeś o tym.

- Jak mówiłem, to tylko plotka.

- Kto ją puścił?

- Warren słyszał, jak jeden z gliniarzy mówił to w barze.

- To wygląda na coś więcej niż plotkę, skoro słyszałeś to od policjanta.

- No, nie mówił do mnie - odparł Meisler.

- W takim razie to jeszcze jeden powód, żeby mu wierzyć, nie sądzisz?

- To jeden z poglądów - przyznał Elder.

Dziennikarska finezja Dolores Milliano sprawiała, że czuł się przy niej tak, jakby nie miał pojęcia o tej robocie.

Uśmiechnęła się ciepło do Marii Montoi, której resume przeczytała w samolocie.

- Nie pracowałaś w ABC? KVUE-ABC 24 w Austin?

Twarz Marii rozświetliła się niczym choinka.

- Tak.

- Chyba cię rozpoznałam - skłamała Milliano. W celu nadania autentyczności swoim słowom dodała: - Mam przyjaciół w Austin. Na uniwersytecie.

- O? Naprawdę?

Maria nadal rozkoszowała się tym, że pamięta ją słynna Dolores Milliano, kobieta, którą od dawna podziwiała.

- Dojdziemy do porozumienia - powiedziała Milliano, kłamiąc teraz jak z nut. - Rozmawiałam z Saulem Mendelsohnem w NBC dzisiaj rano i powiedział, że przyglądają ci się, kochanie.

- Naprawdę?

- Taka bystra dziewczyna jak ty? Pewnie, czemu nie?

- Jezus, to fantastyczne, pani Milliano.

- Mów mi Dolores. Umawiamy się tak. Ja poprowadzę wiadomości o dziesiątej. A potem *Today Show* jutro rano. I prawdopodobnie jutrzejsze wejście o piątej trzydzieści wieczorem. Cała reszta jest twoja. To znaczy poranne skróty wiadomości. Potem późny ranek. I oczywiście materiał KOBTV. To twoja wielka szansa, żeby zrobić wrażenie na Nowym Jorku. Pokazać im, na co cię stać.

Maria uśmiechała się coraz szerzej. Żadnych koronek. Żadnej szkoły uśmiechu. Sama niewinność.

- Dzięki, pani Milliano.

- Dobra, gdzie mogę podłączyć laptopa? Muszę przepisać ten tekst.

*

Z gabinetu Wallenberga w wieży, z oknami ze wszystkich czterech stron, można było obserwować całą posiadłość przez lornetkę. Teleskop w obserwatorium, na samym szczycie spiralnych schodów prowadzących z gabinetu, okazał się całkowicie nieprzydatny do czegokolwiek poza obserwowaniem gwiazd. Jako że obserwatorium wykonane było w całości ze szkła, Eve czuła się za bardzo odsłonięta, łatwy cel dla snajpera. Z punktu obserwacyjnego w gabinecie, gdzie nikt jej nie widział, sięgała wzrokiem aż do trzeciego dołka - Big Rock - który jeśli liczyć w odwrotnej kolejności, był jednocześnie dwunastym. Słońce zeszło poniżej wierzchołków drzew, a niebo o

granatowym grzbiecie i szarym brzuchu wyglądało jak skóra olbrzymiego rekina. Na drzewie blisko domu w senne odrętwienie wieczornego powietrza wdzieriała się letnia pieśń ptaka, który nie zdawał sobie sprawy z całego dramatu. Nawet przy otwartym oknie nie było słychać nic z tego, co się działo na drodze za ogrodzeniem.

Eve chciała, aby to wszystko się skończyło i mogła znaleźć się we Włoszech. Stamtąd prześle trochę pieniędzy matce. A może lepiej prześle pieniądze prawnikowi, który przekaże je matce - na wypadek gdyby policja miała wpaść na jej trop. Jednak Włochy były jeszcze daleko, chociaż niewykluczone, że jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem Clarenca, to znajdzie się tam przed przyszłym weekendem. Pojedzie do Florencji i zrobi to, co chciała zrobić, kiedy była tam pierwszy raz z Bradem. Wróci do galerii Uffizi.

- Gdzie jest powiedziane, że do galerii Uffizi można iść tylko raz? - zapytała.

- Absolutnie tam nie wrócę. Chcę tylko leżeć przy basenie w hotelu. Wygrzać się na słońcu. Schłodzić. Poza tym czekaliśmy dwie godziny, żeby tam wejść. W życiu tam nie pójdę.

- To może wstaniemy wcześniej, będziemy wówczas pierwsi w kolejce, zanim otworzą Uffizi?

- Jestem na wakacjach. Nie chcę wstawać wcześniej, żeby coś robić. Chcę zjeść śniadanie, kochać się, pływać, jeść, kochać się, pić wino, robić zakupy, kochać się... A poza tym, co jest tak specjalnego w starych obrazach?

- Nie podobał ci się ani jeden obraz?

Brad zastanawiał się przez moment, a potem uśmiechnął.

- Narodziny Wenus. Botticellego. Niezła laska. Trochę podobna do Umy Thurman, te jej włosy.

- Mogłam się domyślić, że wybierzesz akt.

Brad wzruszył ramionami.

- Czemu nie? Reaguję na to tak, jak malarz chciał, żebym reagował. - Zachichotał. - Wiesz przecież, o co w tym chodziło? Ten obraz i wszystkie inne podobne. Facet taki jak Medyceusz woła Botticellego i mówi: Chcę obraz z ładną panią, gołą. To porno, nic więcej. Potem siedział, patrzył i to go rajcowało. Nazywają to klasyką, żeby ludzie za bardzo się nie obrażali.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała. - Starasz się zdeprecjonować wszystko, co dla mnie ważne. Wiesz?

Jednak najgorsze w tym wszystkim było to, że Brad może miał rację. Że Michał Anioł tak naprawdę nie potrafił zbyt dobrze przedstawić kobiecego ciała i Narodziny Wenus miały podniecać. Jedyne sposób, w jaki Brad to ujął, sprawiał, że brzmiało to wulgarnie. Eve widziała to teraz bardzo wyraźnie. Z łatwością wyobrażała go sobie, jak siedzi w kawiarni na piazza przed Uffizi. Pije kawę. Zżyma się na upał i chmary japońskich turystów.

Nieomal czuła zapach cygar, które Brad dostał w prezencie ślubnym od świadka, wojskowego ćwoka, porucznika o imieniu Axel.

- Są tam - powiedział Bill King.

Eve starała się ukryć, że ją wystraszył.

- Długo tu jesteś?

- Parę minut - odparł, ponownie zapalając nieodłączne cygaro. - Będzie mi brakować tych cygar, jak to przedstawienie się skończy.

Wielką łapą pieścił piękne, wypolerowane drewniane pudełka na cygara.

- Na co wydasz swoją działkę? - zapytała go. - Rzecz jasna, jeśli wszystko się uda.

King z zadowoleniem wypuścił kłęb dymu.

- Będziesz się śmiać. Ale chciałem się nauczyć porządnie gotować. Może kiedyś otworzę własną restaurację. Widzisz, co narobiłaś?

- To miłe, Bill. Cieszę się.

Objęła go i przytuliła.

- Chyba powinnaś wiedzieć - powiedział. - Oglądałem CNBC. Nikkei spadł o ponad półtora procent. I ciągle spada. Hang Seng spadł prawie o dwa procent. Londyn otwiera się za jakieś pięć, sześć godzin. Już zapinają pasy.

- Wgląda na to, że świat nam się przygląda. Myślisz, że dzisiaj czegoś spróbują?

- Raczej nie. Ale na wszelki wypadek będziemy trzymać wartę na zmianę. Nie, stawiam na jutrzejszą noc. Wtedy będą odczuwać większą presję, żeby coś zrobić. Teraz mają tylko nadzieję, że sytuacja się poprawi. - King podniósł jeden z modeli pierwszej bomby atomowej, który leżał na biurku Wallenberga, i podrzucił go jak jabłko. - Zawsze chciałem mieć takie biurko - mruknął. - A ty co byś zrobiła na ich miejscu?

- Nadal muszą wprowadzić grupę za ogrodzenie, ale problem polega na tym, że muszą to zrobić tak, abyśmy jej nie zobaczyli. Wiedzą już, że potrafimy ich wykryć na ziemi. Gdybym to ja miała decydować, spróbowałabym umieścić ludzi na drzewach,

ponieważ założenie tam detektorów jest raczej trudne. Chyba potrzebowałoby dźwigu z koszem albo straży pożarnej, żeby postawić drabinę i przenieść ludzi nad płotem bez dotykania ziemi. Tak bym zrobiła.

- Mam wypuścić psy?

- Czemu nie? To dałoby im do myślenia, gdyby wpadli z wizytą. Nie chciałabym wpaść na psa obronnego po ciemku, a ty?

- Do diabła, nie. Trzeba dobrze celować, żeby zatrzymać takiego sukinsyna. No i mieć stalowe nerwy. - King odstawił model Little Boy i podszedł do okna. - Nie, to nie jest misja dla człowieka o słabym sercu.

- Poza tym, jeżeli psy nie wrócą, będziemy wiedzieli, że coś się wydarzyło, racja?

Eve zamknęła okno na zamek i poszła za Kingiem na dół, do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę. Zjadła ją oglądając wiadomości telewizyjne wraz z Claytonem Birdem i Andriejem Busiekiem.

Wiadomości zdominowało porwanie zakładników w Cloudcroft. Zdjęcie miliarderów wykonane przez Cadence Kiam zostało skopiowane z internetu, podobnie jak kadr z Bobem Clarenco z kamery komputera. Były zdjęcia japońskiej giełdy ogarniętej chaosem oraz wykres ukazujący ostatnie notowania Nikkei, obecnie ze spadkiem o dwa i pół procent. Pojawiło się też zdjęcie sekretarza sprawiedliwości, który wyszedł z kościoła w Marylandzie i wygłaszał jakieś banały o modlitwie za bezpieczne uwolnienie wszystkich zakładników. Lecz najbardziej Eve interesowała bezpośrednia relacja z samego Cloudcroft.

Eve podkreśliła głos, wolała słuchać tego, co Dolores Milliano ma do powiedzenia, niż tego, co Clayton Bird chciałby jej zrobić.

- Na mniej niż dziesięć godzin przed upływem ultimatum, kiedy to porywacze mogą zabić pana Clarenca, funkcjonariusze różnych służb nadal twierdzą, iż ufają, że sytuację można rozwiązać pokojowo i że porywacze poddadzą się bez walki. Jednak nieoficjalnie niektórzy z policjantów przyznają, że sytuacja w Cloudcroft może upodobnić się do tej w Waco. Nikt tutaj nie zapomniał pięćdziesięciodniowego oblężenia obozu Bractwa Dawidowego, sekty Davida Koresha. Oblężenie, które prowadziło FBI, skończyło się śmiercią ponad osiemdziesięciu osób. Odkąd tu przyjechałam dzisiaj wczesnym wieczorem, dowiedziałam się, że posiadłość Calvina Wallenberga jest może nawet lepiej chroniona od góry Karmel; ma własne ujęcie wody, własny agregat prądotwórczy, nie wspominając o najnowocześniejszych zabezpieczeniach, w tym ogrodzeniu pod prądem. Co więcej, według licznych

doniesień porywacze są dobrze uzbrojeni i mają wystarczające zapasy żywności, by przetrwać kilka tygodni. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że mogą im sprzyjać wiadomości o panice, która już ogarnęła japońską giełdę. Najdziwniejszy jest jednak wpływ przetrzymywania zakładników na miejscową osadę, Cloudcroft. Zaledwie dwanaście godzin temu była to senna, góraska miejscina w Nowym Meksyku, dokąd ludzie przyjeżdżają, żeby pojechać na rowerach latem, a zimą pobiegać na nartach. Teraz wygląda jakby zjechał tu cyrk. Wszystkie hotele w wiosce są pełne, a funkcjonariusze policji śpią na podłodze w miejscowej szkole. W niektórych restauracjach nawet skończyło się jedzenie. Obecnie porywaczom może być wygodniej niż komukolwiek innemu w Cloudcroft, gdyż korzystają z wielu udogodnień w luksusowym domu CaMna Wallenberga.

- Nie wierzcie w to - skwitowała Eve, gdy Dolores Milliano skończyła swój raport i Tom Brokaw w studiu zaczął przeprowadzać wywiad ze Steve'em Forbesem, właścicielem i redaktorem naczelnym magazynu „Forbes”, na temat ekonomicznego znaczenia dwudziestu jeden-miliarderów... śmietanki najbardziej elitarnego klubu Ameryki, Forbes 400.

- Uważam, że trzeba zdać sobie sprawę z roli tych ludzi - mówił Forbes - nie tylko dla gospodarki amerykańskiej, ale i światowej. Dwudziestu jeden zakładników w Cloudcroft to siła napędowa współczesnego kapitalizmu i przedsiębiorczości. Ich pozycja na liście Forbes 400 jest odzwierciedleniem nie tylko majątku, jaki zgromadzili, ale co ważniejsze ich skuteczności jako biznesmenów; a to oznacza bogactwo, jakie pomagają wygenerować innym ludziom. Wszyscy ci ludzie to czołowi pracodawcy albo znaczący pośrednicy w interesach. Dzięki możliwości spojrzenia na to z perspektywy czasu kwestionuję mądrość gromadzenia się tylu z nich w tym samym miejscu i czasie. Konfucjusz powiedział: „Nie wsadzajcie wszystkich jaj do jednego kosza, a jeśli wsadzicie, to nie upuśćcie go”.

- Jak twoim zdaniem, Steve, zareagują jutro rynki?

- Oczywiście rynki na całym świecie już zareagowały, Tom. Chyba większość osób na Wall Street podzieli moją opinię, że lokalne agencje stróżów prawa prawdopodobnie wiedzą, co robią, i przypuszczalnie uda im się wynegocjować pokojowe zakończenie całej sprawy. Można by rzec, że to bardzo racjonalna reakcja. Kłopot w tym, że rynki nie zawsze reagują racjonalnie. I cytując wielkiego ekonomistę, Johna Maynarda Keynesa: „Rynki mogą dłużej zachowywać się irracjonalnie, niż ty możesz utrzymać płynność finansową”. Więc przynajmniej na

krótką metę stoimy w obliczu kolejnego okresu wielkich zmian, a ten może mieć katastrofalne konsekwencje dla wielu ludzi, którzy przeżyli długi krach na giełdzie w latach dwa tysiące jeden i dwa tysiące dwa.

- Co byś poradził osobom, które zainwestowały na giełdzie, Steve?

- Bez wątpienia jutro dojdzie do wielu spadków. Może kilku z rzędu. Ale ogólnie rzecz biorąc, jeżeli do tego dojdzie, będzie za późno. Inwestorom radziłbym to samo co zakładnikom: zachowajcie spokój i postarajcie się to przeczekać.

- Jeszcze jedno, Steve. Czy to prawda, że byłeś zaproszony na weekend do Cala Wallenberga?

- Nie mogę tego skomentować, Tom. Nigdy nie rozmawiam o moich przyjaciółach.

- Rozmawiał z nami Steve Forbes, dziękuję.

*

Większość osób przyjechała do Albuquerque ze względu na Centrum Zjazdów. Lecz Murray Shaar musiał mieszkać w tym mieście. Albuquerque, otoczone górami i pustynią, przypominało Murrayowi większość fotografii z Hiroszimy i Nagasaki, które widział w tutejszym Krajowym Muzeum Atomowym. Haniebne. Nijakie. Płaskie. Martwe.

Budynek FBI przy Silver Street i Czwartej był równie anonimowy jak reszta miasta; sześcian szarego, podzielonego na piętra betonu, w którym również mieściły się biura nowomeksykańskiego Zarządu Sieci Gazowych i Energetycznych; nic - żaden znak, żadna nazwa - nie wskazywało, że to kwatera FBI na cały Nowy Meksyk. Brak oznakowania wytłumaczyć można było prosto: Timothy McVeigh. Murray Shaar zazwyczaj musiał kierować gości do baru kawowego Snack Attack za rogiem, obok konsulatu meksykańskiego. W każdym razie kawa i tak była tam lepsza.

Shaar był agentem specjalnym dowodzącym kwaterą FBI w Nowym Meksyku - mężczyzną ponurym, o ciemnej karnacji i końskiej twarzy, zbyt krytycznym wobec kolegów, aby być lubianym, tak jak i jego zastępca, Paul Morley. Żaden z nich nie pracował zbyt często w niedzielę, ale wydarzenia w Cloucroft skróciły weekendy stróżów prawa w całej Ameryce.

W Nowym Jorku oficerowie FBI byli już w biurach Boba Clarenca i Cala Wallenberga, gdzie szukali planów domu w Cloucroft i systemu zabezpieczeń w nim

zamontowanych; ale jak dotąd nie znaleźli nic naprawdę przydatnego. Wallenberg był zbyt tajemniczy, aby zostawiać informacje na temat swojego domu w aktach w Nowym Jorku, a Clarence wystarczająco ostrożny, żeby usunąć osobiste akta wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z zespołem ochrony lub firmą cateringową.

W Waszyngtonie dyrektor FBI przygotowywał się do rozmowy z sekretarzem sprawiedliwości, który z kolei przygotowywał się do spotkania z prezydentem.

W Las Cruces agenci FBI przesłuchiwali Cele MacBrazel i trzech jej przyjaciół, którzy także zostali zatrzymani. Wszyscy przysięgali, że są niewinni.

W Kalifornii, Connecticut, na Florydzie, w Idaho, Illinois, Massachusetts, Nevadzie, Teksasie i stanie Waszyngton inni agenci odwiedzali domy i rodziny zakładników, zadając pytania i szukając wskazówek.

W Albuquerque Murray Shaar i Paul Morley wraz z dwoma specjalistami z wywiadu - Billem Loeffenem i Dougiem Feldmanem - rozmawiali z Ronem Bennetem, biurowym komputerowcem i omawiali stronę leverage.com wyświetloną na jego komputerze. Komputerowiec starał się wyjaśnić czterem kolegom, jak działa hosting w sieci.

- Ogólnie rzecz biorąc, niemożliwe jest znaleźć geograficzne położenie gospodarza, mimo że ma się jego adres IP - tłumaczył. - Nie musi być związku między adresem IP a jego fizycznym położeniem. Nie ma też pewnej metody, która zrobi to za nas.

Murray Shaar jęknął.

- Wspaniale - podsumował. - Po prostu wspaniale.

- Powiedziałem, ogólnie rzecz biorąc - kontynuował Bennet, anemiczny i słabowity. Stuknął w klawisz i wyświetlił na ekranie mapę. - To konturowa mapa do szukania połączeń. Ta akurat jest komercyjna, do analizowania problemów w łączeniu się przez internet, ale mniej więcej przypomina typ wykorzystywany przez CIA. Pokazuje graficzną trasę, którą pokonuje paczka, oraz nazwy różnych routerów.

- Jaka paczka? - zapytał Morley.

Bennet spojrzał na niego ze źle skrywaną pogardą.

- Elektroniczna paczka z informacjami - odpowiedział i znowu zaczął pisać. - Wpisujemy naszego hosta/URL i komputer pracuje za nas. Czas wolny, sześćdziesiąt sekund.

- To szybko?

- Nie, to powoli. Mamy tu ponad sto hopów.

- Co to jest hop?

- Na mapie powinno być jasne - odpowiedział komputerowiec. - Nawet dla was.

Ekran przypominał teraz zygzakowatą, niebieską linię połączeń między Albuquerque a hostem w innych miejscach, ale ostatecznie był to Charków.

- Gdzie, do diabła, jest Charków? - zapytał Morley.

- Na Ukrainie - odparł Shaar. - Obok Rosji.

- Porywacze używają strony z Ukrainy - wyjaśnił komputerowiec. - Serwer nazywa się Yet Link. Ciekawe, czy znajdziemy adres. - Komputerowiec postukał w klawisze i przeniósł się na stronę IANA. - Internet Assigned Numbers Authority - wyjaśnił, dalej pisząc. - Jesteśmy. Yetlink. Kontakt techniczny, Viktor Kronsteen, Styeslink, lokal 74. 45/2 Prospekt Liet Oktiabria, Kijów. U.A. Email, vk@ua.net. Administrator, Tatiana Romanowa, ten sam adres.

- Dobra robota - przyznał Shaar.

- Zawsze trzeba pamiętać, że to może być zabawa w ciuciubabkę - skomentował informatyk.

Wzruszył ramionami, kiedy na niego spojrzeli. *No, wy jesteście detektywami, nie ja. Jestem tylko komputerowcem.*

- No, to dawaj - powiedział Shaar, który zauważył, że Bennet jeszcze coś trzymał w zanadrzu, czego oni sobie nie uświadamiali.

- Chodzi o to, że Wiktor Kronsteen i Tatiana Romanowa to postacie z *Pozdrowień z Rosji*. - Zamilkł. - Znacie tę powieść Iana Fleminga.

- James Bond? - zapytał Shaar.

Komputerowiec skinął głową.

- Ktoś zrobił kawał - powiedział Morley.

- Ci ludzie najwyraźniej bardzo dobrze potrafią zacierać za sobą ślady - zauważył.

- Trzeba czasu na ustawienie takiej trasy paczki.

- Jeden z tych dzieciaków aresztowanych w Las Cruces - odezwał się Loeffen - studiował programowanie. Może on to zrobił.

- Niewykluczone - odparł informatyk.

- Więc co w tym jest najważniejsze? - zapytał Shaar.

- Najważniejsze jest to, że nawet gdybyśmy chcieli zamknąć tę stronę, nie moglibyśmy tego zrobić.

- Więc jeżeli oni zdecydują się rozwalić łeb Clarencowi jutro o ósmej rano...

- Nie ma możliwości, żebyśmy powstrzymali ludzi przed obejrzeniem tego.

*

- Musisz jedynie obserwować te okienka na ekranie. - Sam wskazała laptop. - Wszystkie diprifuzory są stąd monitorowane. Rozlegnie się alarm, kiedy któryś z naszych pacjentów dostanie za mało propofolu.

Eve chciała zluźnić Sam na kilka godzin, żeby ta mogła się przespać; była wyraźnie wyczerpana.

- Jedynie Cal Wallenberg nie jest monitorowany z laptopa. Jego pokój jest za daleko, żeby odebrać sygnał. Zajrzyj do niego w ciągu tych dwóch godzin.

- Dobrze. Do zobaczenia za dwie godziny.

Sam zawahała się, strzelając oczyma na boki. Zaczęła obgryzać paznokcie.

- Jakiś problem? - zapytała Eve.

- Nie. Jeszcze nie.

- Ale będzie?

- Eve, nie wiem jak, ale chyba zgubiłam całe pudełko propofolu. Szukałam wszędzie, ale... - Sam wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową. - Po prostu nie rozumiem. Schowałam wszystkie pudełka do spiżarni zaraz po przyjeździe.

Eve spokojnie skinęła głową.

- Kiedy nam się skończy?

- Jutro w południe. Wybudzą się po południu.

- Wtedy będziemy musieli schować ich w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Może do bunkra?

- Jest za mały na dwudziestu jeden ludzi.

- A do biblioteki? Jest tylko dwoje drzwi i mają zamki. Za imitacją regału obok kominka jest nawet mała łazienka. Pod drzwiami postawi się kogoś na warcie. Powinno być dobrze.

- Inne miejsce nie przychodzi mi do głowy - przyznała Eve. - To będzie musiała być biblioteka. A co z ochroniarzami?. Wystarczy ci tego, co im podawałaś?

- Benadrylu? Tak. Jest dużo.

- To może podamy benadryl zakładnikom?

- Wolałabym nie. Nie po propofolu. Nie lubię mieszać leków w taki sposób.

Niektórzy z nich są po sześćdziesiątce, a nawet siedemdziesiątce. Poza tym mam tyle,

że starczy dla samych ochroniarzy. Jeszcze trochę, a popełnię błąd. Skończy się na tym, że dam któremuś z miliarderów podwójną dawkę, może nawet zabiję któregoś. Co wtedy z nami będzie?

- Masz rację. Słuchaj. A może znajdzie się propofol. Nie ma sensu martwić się tym teraz. Musisz się przespać. Będzie dobrze.

Sam skinęła głową.

- Dzięki.

Kiedy Sam poszła, Eve usiadła na francuskim krześle przed stolikiem w stylu Ludwika XV, zamknęła oczy na moment i ziewnęła ze zmęczenia. Sama miała ochotę się przespać, chociaż na to pozwoli sobie dopiero za dwie godziny. Eve pozostała sama na sam ze swoimi myślami i próbowała odgonić zmartwienia. Ciemny korytarz rozświetlała jedynie mała secesyjna lampka. A gdyby zaspół taktyczny teraz zaatakował? Gdyby przejechali przez bramę transporterem opancerzonym i podjechali pod sam dom? Plan Clarenca w dużej mierze opierał się na blefie. Eve nie chciała nikogo zabijać, a tym bardziej bezbronnych zakładników. Jednak nie wiedziała, jak zareagują niektórzy faceci ze 101. Powietrznodesantowej.

Potrząsnęła głową i przeciągnęła się. Sprawy będą prostsze, kiedy podadzą negocjatorowi prawdziwe żądania. Kiedy poproszą o pieniądze. Wtedy władze poczują się pewniej. Nawet jeżeli okup będzie olbrzymi, to łatwiej go zapłacić, niż znieść blokadę Kuby i anulować długi Trzeciego Świata.

Eve wstała i obeszała stół, żeby się rozbudzić. Przez moment przyglądała się pejzażowi na ścianie, który chyba przedstawiał jakieś okoliczne tereny. Potem poszła do sypialni Wallenberga, żeby sprawdzić, jak się czuje. Pokój był prosty i bardzo jej się podobał. Ściany wyłożono świerkowymi kłodami i miejscowym kamieniem, wisiały na nich obrazy podobne do tych z korytarza. Podłogę przykrywały indiańskie derki, a w olbrzymim, nieomal komicznym łożu, wykonanym z kłód leżał Wallenberg, niczym Śpiąca Królewna. Kompetentna Sam umieściła kartę w nogach każdego łóżka. Eve spojrzała na kartę Wallenberga i zobaczyła, że Sam zapisywała tętno i ciśnienie. Na widok Wallenberga śpiącego tak spokojnie poczuła się zmęczona, toteż żeby się rozbudzić, postanowiła sprawdzić wszystkich pozostałych. Nawet tych, którzy nie byli podłączeni do automatycznych pomp. Zajrzawszy do pokoju Fiony Lovatt, dokonała zaskakującego odkrycia.

Fiona Lovatt leżała na łóżku uśpiona benadrylem, a w fotelu obok spała Samantha Heinichen, jakby czuwała przy niej. Eve przez moment była zszokowana i

pewnie coś by powiedziała, gdyby Sam nie spała, ale jednak ta scena wcale jej nie oburzyła. Wyszła więc i zamknęła za sobą drzwi.

Odkrycie, że Sam najwyraźniej podobała się Fiona, obudziło w niej czułość, więc skierowała się w stronę apartamentu Eliota Massingera. Głowa i ramiona miliardera zsunęły się z poduszki na jedną stronę i Eve przypomniał się obraz przedstawiający Marata, który leżał martwy w wannie.

Wychodząc z pokoju, Eve po raz kolejny spojrzała na zegarek. Było wpół do dwunastej. Za półtorej godziny położy się na dwie godziny i może przyśni się jej Eliot Massinger. Sny miały to do siebie, że w nich wszystko stawało się możliwe.

*

Miasteczko Hot Springs wzięło nazwę od leczniczego źródła mineralnego, do którego Geronimo zabrał swoich wojowników, aby obmyli rany bitewne.

W 1950 roku Ralph Edwards, prezenter telewizyjny, powiedział, że jeżeli któreś miasteczko zechce zmienić nazwę na tytuł jego show telewizyjnego, on z tego miasteczka nada program w dziesiątą rocznicę, dzięki czemu miasto zaistnieje na mapie. I w ten sposób Hot Springs stało się Truth or Consequences, bardziej znane w stanie Nowy Meksyk jako T or C.

Ann wraz z mężem, Benitem, odwiedzała siostrę Marię w T or C dwa razy w roku. Kiedy pogoda była ładna, jechali do Parku Stanowego Percha Dam i siadali pod topolą. Dlatego właśnie dopiero o dziesiątej Ann i Benito zobaczyli w telewizji, że pan Wallenberg i jego goście zostali zakładnikami. Benito zadzwonił do szeryf Baker w Cloudcroft, która przekazała wiadomość inspektorowi Dillonowi, a ten z kolei zorganizował helikopter, aby przetransportować państwo Canova z?-powrotem z wielkiego trawnika sprzed hotelu w Parku Stanowym Elephant's Butle Lake. I tak o jedenastej piętnaście usiedli wraz z inspektorem Dillonem, porucznikiem Everardem, szeryf Baker i policyjnym rysownikiem o imieniu Melvyn w Cloudcroft Inn. Pomagali policji narysować plan domu, w tym zlokalizować generator, centrum ochrony i bunkier przeciwatomowy, gdzie, jak przypuszczała policja, przetrzymywano zakładników.

Benito w to nie wierzył.

- Tyłu ludzi nie zmieści się w bunkrze.

- Kto jeszcze poza wami pracował w domu? - zapytał Dillon.

- Oprócz panny Lovatt, dwóch miejscowych pań, które przychodziły sprzątać, ogrodników do utrzymania pola golfowego, zajmowaliśmy się nim tylko ja i moja żona. Zazwyczaj.

- Więc gdzie są pozostali? Dlaczego nie przyjechali?

- Pan Wallenberg zawsze o tej porze roku wysyła nas na krótki urlop. W Meksyku ma małą hacjendę. Większość z nich tam jedzie. Jest bardzo spokojnie. Bez telewizora. Bez telefonu. Oni chyba nawet nie wiedzą, co się stało. Pan Wallenberg nie lubi mieć przy sobie zbyt wiele służby, kiedy zjeżdżają się na weekend jego przyjaciele. Lubi wynajmować modne nowojorskie firmy cateringowe. To nam pasowało. Raz robiłam przyjęcie i było nieudane. Nie gotuję żadnych specjałów. Moim zdaniem, jeśli chcecie wiedzieć, ci kucharze wyglądali tak, że od razu było wiadomo, że coś jest nie tak. Pracowałam w kuchni całe życie i wystarczy spojrzeć na człowieka, żeby wiedzieć, czy jest dobry, czy nie. Niektórzy z tych ludzi z Nowego Jorku... no, nie powiem, znali się na rzeczy, ale według mnie wyglądali bardziej na ochroniarzy. To znaczy, że trzymali formę. Jakby ciągle ćwiczyli. Byli też opaleni. Większość kucharzy i kelnerów wygląda jak ja. Są grubi. Jak są biali, to są bladzi. Były wśród nich dwie kobiety. Jedna bardzo ładna. Ona szefowała. Erin, tak chyba miała na imię. Była miła. A może nie Erin. Może Evelyn. W każdym razie przywieźli piekielnie dużo sprzętu. Mnóstwo toreb i pudeł. Teraz sobie myślę... bo w telewizji powiedzieli, że są dobrze uzbrojeni... że może w niektórych pakunkach znajdowała się broń i amunicja. Ale do diabła, jak nie, to pan Wallenberg trzyma sporo broni w domu. W każdym razie chcę powiedzieć, że ci ludzie mają dostęp do broni i jak mówiłam, wyglądali na takich, co to znają się na broni.

Wysoka. Bujne, brązowe włosy. Niebieskie oczy. Miły uśmiech. Przystojna, ale jednocześnie silna. Szczupła, a jednocześnie nie chuda. Z nowojorskim akcentem. Nerwowa. Krótko ją widziałem, zanim wyjechaliśmy do T or C. Więcej możecie się dowiedzieć od Shannon Reynolds w Lodge, ponieważ tam się zatrzymali.

Inspektor Dillon, który przysłuchiwał się temu wszystkiemu, podniósł wzrok znad notatnika.

- Nie mieszkali w domu?

- Nie mówiłam jasno? Wszyscy ludzie firmy cateringowej byli zakwaterowani w Lodge. A ochroniarze w domku na terenie posiadłości. Jak się zastanawiam, to Evelyn, a może jednak Erin. Ona przejęła nasze mieszkanko. My mamy własny dom w Tularosa, więc przeważnie dużo nie przebywamy w tym mieszkaniu.

- Gdzie jest Lodge? - zapytał Dillon.

- Jakies pięć minut stąd - poinformowała go szeryf Baker.

Dillon podziękował państwu Canova, którzy powiedzieli, że będą w domu w Tularosa, jeżeli policja zechce z nimi rozmawiać, i wóz policyjny ich odwiózł. Potem on i Everard poszli razem z szeryf Baker do Lodge.

Po ciemku trudno było Dillonowi powiedzieć cokolwiek o Lodge z zewnątrz, poza tym, że jak na standardy nowomeksykańskie wyglądało dość staro. W środku hotelu panowała raczej atmosfera domowa niż światowa; był duży kominek, wypchany niedźwiedź i tłoczna restauracja, skąd sączyły się dźwięki pianina jak woda z górskiego zbocza.

Szeryf wyjaśniła cel ich wizyty kierownikowi, który zaprosił trójkę policjantów do biura i zamknął drzwi. Czując się winny, że sam nie przyszedł do nich z informacjami, przyniósł spis gości.

- Wymeldowali się wczoraj rano - powiedział. - Naprawdę wcześniej. Około szóstej. Mówiąc szczerze, nie byłem pewien, czy wyjechali stąd czy nie.

- Co z tobą, Fred? - dopytywała się szeryf. - Dlaczego nie przyszedłeś do nas i nie opowiedziałeś o tym?

- Przede wszystkim byliśmy zapracowani. Popatrz na restaurację. Komplet gości. Jest niedziela wieczór, a my mamy obłożenie jak na święta Bożego Narodzenia. I jak mówię, wymeldowali się. Nie byłem pewien, czy wyjechali z miasta.

Dillon przyglądał się rejestrowi. Przy wszystkich nazwiskach wskazanych przez kierownika widniał ten sam adres, „kontakt przez Top Table, 226 Fourteenth Avenue, Nowy Jork, Nowy Jork, 10013”. Minęło trochę czasu od jego ostatniej wizyty w tym mieście, ale dobrze się domyślał, że Fourteenth Avenue - jeżeli w ogóle istniała - przebiegałaby w połowie rzeki Hudson. Niektóre nazwiska - R. Harper, D. Bailey, S. Phippen, K. Collins, B. Urlacher, A. Karpovtsev, W. Blackman - wyglądały równie wątpliwie. Szczególnie S. Phippen.

- Możemy zobaczyć ich pokoje?

- Wszędzie mamy gości. Kiedy tylko doszło do tych wydarzeń, z całego kraju zjechali się dziennikarze i ekipy telewizyjne.

- Więc pokoje posprzątało?

- Gdy tylko tamci je opuścili.

- Jak zapłacili?

- Gotówką.

- To pewnie była niezła suma.

- Prawie pięć tysięcy dolarów.

- Nie wydało ci się to trochę niezwykle?

- Trochę. Ale nie na tyle, żeby coś podejrzewać. Jak mówi Madonna: „Chłopak z twardą gotówką zawsze ma rację”.

- Tego nie pamiętam - zmarszczyła brwi szeryf.

- To z *Material Girl* - powiedział kierownik, który był wielkim fanem Madonny.

- Jak się zachowywali? Sprawiali kłopoty?

- Żadnych problemów, nic z tych rzeczy. Byli naprawdę grzeczni. Czyści.

Spokojni. Takich lubimy. Mówiąc szczerze, nie siedzieli tutaj aż tak długo. Pan Wallenberg musiał dać im sporo roboty.

- Rozmawialiście z nimi? Coś mówili?

Kierownik wzruszył ramionami.

- O normalnych sprawach. O sporcie. O wiadomościach prasowych. Tego rodzaju rzeczy. Nic radykalnego, jeżeli o to chodzi.

- Właśnie.

Kierownik potrząsnął głową.

- Trzymali się głównie z sobą.

Nagle przez drzwi zajrzała kobieta i kierownik przyjął jej pojawienie się z ulgą, jakby mogła wybawić go z tej opresji.

- Shannon? Policja pyta o tych ludzi, którzy pracowali u pana Wallenberga.

Rozmawiałaś z nimi?

Shannon Reynolds, z rękami założonymi na piersi, weszła do biura i przysiadła na krawędzi biurka. Była kobietą po pięćdziesiątce, o krótkich blond włosach. Miała na sobie sandały i nieznacznie pachniała naftaliną.

- Niewiele - odparła. - To tu, to tam. Jeden z nich kupił mnóstwo domowych krówek w hotelowym sklepie. Inny czapkę sportową.

- Czapkę - podchwycił Dillon. - Jaką czapkę?

- Baseballówkę.

- Jakiej drużyny?

- Bez drużyny. Normalną, Nike'a.

Dillon zmarszczył brwi.

- To znaczy z logo Nike'a?

- Czy w tym jest coś dziwnego?

- Istnieje szansa, że ludzie, którzy tu przebywali, kryją się za tą całą sprawą. I na tej ich stronie w internecie porywacze opowiadają się przeciw globalizacji; a ja żyłam w przekonaniu, że antyglobaliści są także przeciw Nike'owi.

Shannon uśmiechnęła się.

- W latach sześćdziesiątych też byłam radykałem. Przyjechałam tutaj, żeby uciec z miasta. Wtedy mieszkałam w San Francisco. Nadal interesuję się niektórymi sprawami. Dla mnie większość dzisiejszych radykałów wygląda jak ci z sześćdziesiątego ósmego. Długie włosy, dredy, pełno kolczyków, tatuaże, większości przydałaby się kąpiel. Ale ci, co tu mieszkali, tak nie wyglądali. Wszyscy się kąpali. Wiem, ponieważ sprzątam łazienki. Jeżeli są radykałami, to kaktus mi tu wyrośnie. Nawet z logo Nike'a.

- Nie macie w hotelu telewizji przemysłowej?

Kierownik potrząsnął głową.

- Czy może pani popracować z policyjnym rysownikiem, żeby opracować portrety tych ludzi?

- Pewnie - odparła Shannon. - Ale dodam jeszcze coś. Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale raz zastukałam do jednego z ich pokojów. Żeby zobaczyć, czy mogę posprzątać pokój? A facet tam... czarny, dlatego to zauważyłam... miał na rękach gumowe rękawiczki. Wiecie? Takie w kolorze ciała? Jak chirurg. - Wzruszyła ramionami. - Różni tu przyjeżdżają. Co robią, ich sprawa. Ale to wydawało się dziwaczne. Teraz to sobie przypomniałam.

- Myślałem, żeby zamknąć hotel i przeszukać go dokładnie z ekipą kryminalistyczną, dopóki jej nie przypomniały się te rękawiczki - powiedział Dillon przed hotelem do Everarda i szeryf.

- Nie zapominaj, że w pokojach sprzątano - dodała szeryf. - Znam Shannon. Jest bardzo dokładna.

- Do tego mają teraz nowych gości - zauważył Everard. - Wszelkie dowody zostały usunięte albo zniszczone.

- Oczywiście nadal nie wiemy na pewno, czy to oni - przypomniała szeryf. - Czemu nie ochroniarze? Może pan Wallenberg znał ich wszystkich, jak mówił Benito Canova. A może planowali to od jakiegoś czasu, zdobywali zaufanie.

- W całej tej historii jest jedna luka, szeryfie - powiedział Dillon. - Szefem, a przynajmniej osobą, która uczestniczyła w negocjacjach, jest kobieta. Jak sobie przypominam, żadna z ekip ochroniarskich nie miała kobiety. Ona musi należeć do

firmy cateringowej. W każdym razie jedno jest pewne. Ktokolwiek za tym stoi, to było dobrze zaplanowane.

- No i co teraz? - zapyta! Everard.

- Prześpijcie się parę godzin - zdecydował Dillon. - Potem będzie moja kolej. Mam przeczucie, że jutro czeka nas długi dzień.

- Mam nadzieję, że na podłodze w szkole będzie ci wygodnie.

- Na pewno, szeryfie - odparł Everard. - Ale jedno jest pewne. Z wygodami czy bez, wiem, że lepiej się wyśpię niż Bob Clarenco.

- Myślisz, że on wie, że chcą go zabić? - zapytała szeryf.

- Mam nadzieję, że nie.

6. Poniedziałek

W miniaturowym apartamencie w Lodge Dolores Milliano nie mogła spać; przeszkadzało jej uparte chrapanie Acacia, leżącego na kanapie, hałas śmigłowców latających nad Cloudcroft i podniecenie tym, co przyniesie kolejny dzień.

O czwartej trzydzieści, kiedy świt zaczął wdzierać się przez cienkie i brzydkie zasłony, zerwała się z łóżka, poszła do łazienki, przypominającej butelkę piwa, gdzie wzięła prysznic, a potem wślizgnęła się w szlafrok.

Acacio, nadal tylko w szortach, co jednak mniej rzucało się w oczy teraz, kiedy się obudził, czekał na nią gotowy ze sprayem i grzebieniem w ręku, niczym zniewieściały egipski faraon, dzierżący bliźniacze symbole swej władzy. Umieścił krzesło przed telewizorem, już ustawionym na KOBTV.

- Jeżeli to jest apartament, to nie chcę wiedzieć, jak wygląda zwykły pokój - powiedział do Milliano. - Ciasno nam tu jak śledziom w beczce. Nawet nie ma minibarku. Wyobrażasz sobie? Apartament bez minibarku? To jak łazienka bez papieru toaletowego. Według reklamówki to dlatego, że chcą cię zachęcić do zejścia do baru i nawiązania kontaktów z ludźmi.

- To ci się powinno podobać - zauważyła Milliano, siadając na krześle, które się zakreśliło. - Wczoraj widziałam tam przynajmniej dwóch mężczyzn w kowbojskich kapeluszach. Czułbyś się jak u siebie w domu.

- Siedź cicho i powiedz, jaki chcesz kanał.

- Ten jest w porządku. Zrób głośniej.

Acacio pochylił się nad jej głową i nacisnął guzik na odbiorniku wielkości paczki płatków śniadaniowych.

- Teraz trzeba popracować nad twoją fryzurą.

Na prążkowanym obrazie pojawiła się Maria Montoya, widać było zmęczenie na jej twarzy, walczyła, by utrzymać powagę wymaganą przy przekazywaniu tak ważnych informacji. Milliano pomyślała, że równie dobrze można by poprosić Britney Spears, aby zaśpiewała pieśń śmierci Mimi z Cyganerii.

- Do ultimatum wyznaczonego przez terrorystów pozostały zaledwie trzy godziny - donosiła Montoya.

- Kto powiedział, że to terroryści?

- Nie wiadomo, czy zamierzają zabić Boba Clarenca, właściciela renomowanej firmy ochroniarskiej, czy któregoś z pozostałych zakładników. Lecz przywiązany do krzesła Bob Clarenco jest pokazywany na stronie terrorystów od początku kryzysu. Służby porządkowe potwierdziły, że bieżący problem stanowi jego zdrowie. Około godziny temu kamerę wyłączono na blisko trzydzieści minut i pojawiło się przypuszczenie, że pana Clarenca zastąpi inny z zakładników. Według ostatnich wiadomości kamera internetowa została ponownie włączona i - być może to złowieszczy znak - pan Clarenco ma zasłonięte oczy.

Tymczasem gubernator Nowego Meksyku, Ted Nixon, wprowadził w miasteczku Cloudcroft stan wojenny i w nocy byliśmy świadkami przybycia ponad dwustu żołnierzy, jak również czołgów i transporterów opancerzonych. Akcją kieruje policja stanu Nowy Meksyk, ale można podejrzewać, że rząd federalny nie zamierza w niczym ustępować terrorystom oraz że na miejsce przybyły już oddziały HRT, które przystąpią do misji odbicia zakładników. Z Cloudcroft mówiła Maria-Montoya, przekazuję głos do studia...

- To była pracowita noc - powiedziała Milliano, sycząc, gdy Acacio zaciekle rozczesywał pęk jej włosów, jakby próbował wykrzesać iskrę z krzemienia.

Kiedy Milliano w końcu miała odpowiednią fryzurę, ubrała się i przeszła krótką drogę prowadzącą do Cloudcroft, Hałas przenośnych generatorów, śmigłowce, ryk ciężarówek, okrzyki ludzi i wrzask radioodbierników upodobały miasteczko do targowiska. Okrzyki wznosiło około dwustu demonstrantów, którzy zebrali się przed Cloudcroft Inn z dala od policyjnej barykady, aby wymachiwać planszami i krzyżeć: „Śmierć NWO!”, będącej, jak zakładała Milliano, odnogą WTO lub IMF lub jakiegś

innej naprzykrzającej się instytucji finansowej, która wzbudzała publiczne oburzenie. Nawet jej sprawiało trudność połapanie się w tych nowych organizacjach i ich niemówiących skrótowcach.

Znalazła Eldera, Meislera i Marię Montoyę, którzy czekali w pobliżu barykady w grupie czterdziestu lub pięćdziesięciu dziennikarzy. Ekipa KOBTV wyglądała na wyczerpaną, zresztą inni też.

- Cześć - powiedziała radośnie Milliano. - Jak się czujecie?

- Padamy na nos - odpowiedział Warren Meisler.

- Hej, widziałam twój poranny komunikat - Milliano zwróciła się do Montoi. - Dobry był, ale powiedz, od kiedy zaczęliśmy nazywać porywaczy terrorystami?

- To policja - powiedział Elder. - Policja zaczęła używać tego słowa zaraz po północy.

- Wiecie dlaczego?

Elder wzruszył ramionami.

- New World Order niech pochłonie piekło.

Milliano wzięła go na bok.

- Być może FBI już przejęło dowodzenie - powiedziała cicho. - Chodzi o to, że terroryzm im podlega, prawda? - Elder zmarszczył brwi. - Chcę powiedzieć, że jeżeli policja używa słowa terroryzm, to jakby zaprosiła FBI do przejęcia dowodzenia, jeżeli jeszcze tego nie zrobiła, prawda?

Elder niedostrzegalnie skinął głową. Był zbyt zmęczony, żeby się z nią nie zgadzać. Minęły całe lata, odkąd nie przespał całej nocy.

- Wallenberg to Bilderberg - skandował jakiś demonstrant.

Dolores Milliano zmarszczyła czoło i uważniej spojrzała na tłum po drugiej stronie ulicy. Byli biali, z długimi brodami w stylu muzyków ZZ Top, w kowbojskich kapeluszach - bardziej w typie motocyklistów albo Aniołów Piekieł niż ekowojowników; niektórzy nawet nosili faszystowskie insygnia.

- Kim oni są?

- Biali rasiści, Bractwo Aryjskie, takie tam bzdury. Zdaje się, że przyjechali aż z Temple w Teksasie. Jechali tutaj całą noc. Ponad tysiąc sto kilometrów.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Krótko. Ale dowiedziałem się, co rozumieją pod pojęciem Porządek Nowego Świata. Tak nazywają Międzynarodowy Spisek Żydowski. - Elder ziewnął. - Typowy nonsens o Żydach panujących nad światem.

- Pamiętajcie, Ruby Ridge - krzyknął jeden z rasistów. - FBI to mordercy.
- Wygląda na to, jakby zachęcali tych bandziorów - zauważył Milliano.
- Dodaje makabrze lekkiego posmaczku, co? - Warren Meisler uśmiechnął się.
- Uważam, że w stosunku do antysemitów można przyjąć dwa stanowiska - powiedziała. - Możesz ich ignorować i mieć nadzieję, że odejdą. Albo możesz ich wysłuchać i dać im linę, aby się powiesili. Nigdy nie spotkałam rasisty, który nie mówił jak idiota. W każdym razie powinniśmy zrobić wywiad z tymi wariatami. Pasuje ci?

Jak Milliano się domyślała, Warren Meisler był Żydem, ale raczej nie obrażało go to, co ta banda demonstrantów miała do powiedzenia. Antysemitów traktował tak samo jak tych, którzy twierdzą, że porwali ich kosmici.

- Pewnie - odparł. - Czemu nie?

Maria wróciła do hotelu, zbyt zmęczona, żeby przejmować się wydarzeniami. Milliano, Meisler i John Elder przeszli przez szosę, aby porozmawiać z demonstrantami, których cały czas przybywało.

- Hej - powitał ich jeden. W kowbojskim kapeluszu, skórzanej kamizelce, koszuli bez kołnierza i z długą, czarną brodą przypominał Milliano Jeba Stuarta, któremu tuż przed śmiercią w Yellow Tavern zrobiono zdjęcie. Wyobrażała sobie, że właśnie taki wygląd chciał osiągnąć ten wieśniak i że jej porównanie by go zachwyciło. - To Milionowa Dolores.

- Chciałabym dostać dolara za każdy raz, kiedy to słyszałam, kowboju. A wtedy może i byłaby to prawda.

- Dobra - powiedział Meisler. - Kręcę.

- W jakim celu tu przyjechaliście?

- Żeby przypomnieć Ameryce, że właśnie tutaj, w Gloudcroft, potwierdza się to, co ludzie w tym kraju zawsze podejrzewali. Że istnieje mała, tajna elita, która rządzi światem. Ogólnoświatowym porządkiem finansowym.

- Ogólnoświatowym porządkiem finansowym? Co przez to rozumiesz?

- Że ta elitarna grupa znana jest czasami pod nazwą Grupa Bilderberga. I o to nam chodzi, kiedy mówimy, że Wallenberg to Bilderberg. Bilderberg to banda międzynarodowych bankierów, międzynarodowych finansistów i międzynarodowych dupków. To ludzie, którzy kontrolują amerykańską politykę zagraniczną.

- I myślisz, że goście Wallenberga należą do tej grupy?

- Jasne. To są ludzie, którzy chcą zabijać nienarodzone dzieci i ukrócić prawo wszystkich Amerykanów do posiadania broni.

Ludzie wokół Jeba zaczęli wznosić okrzyki. Jeb podniósł głos i mówił dalej, aż na jego ustach pojawiały się płatki piany, jakby się wściekł.

- To oni kradną na giełdach pieniądze zwykłym Amerykanom.

- To chyba jednostronna opinia - wtrąciła Milliano. - Ale wyjaśnijmy coś sobie. Popieracie porywaczy?

- W całej rozciągłości - oznajmij zdecydowanie Jeb.

- Chcesz zapowiedzieć, że nie obchodzi cię, czy ktoś tam zginie? Czy tak?

- To nie ktoś. To członek elity. Jeden z Porządku Nowego Świata.

Wychyliła się ku niej kolejna broda, a Milliano odsunęła się trochę, gdy poczuła silny odór piwa i potu. Broda tego indywiduum była jeszcze dłuższa i bardziej krzaczasta, prawdziwy generał pośród bród.

- Nie obchodzi nas, czy oni posłają na tamten świat całą cholerną synagogę szatana, która tam się zebrała.

- Synagoga szatana? Masz na myśli Żydów? Jesteście antysemitami?

- Synagoga szatana to zwrot z Apokalipsy świętego Jana - powiedział. - Rozdział drugi, wers dziewiąty. Ale to nie tylko Żydzi. To też masoni. I jeszcze elita katolików. Iluminaci.

- A co macie przeciw FBI? Czy FBI też należy do tej synagogi?

- FBI - wtrącił Jeb - to narzędzie Rządu Okupowanego przez Syjonistów.

Milliano spojrzała na jeden z transparentów. Zatem to oznaczał skrót ROS. Odsunęła się gwałtownie, kiedy Jeb machnął ręką ze złością w stronę szosy i policyjnej barykady.

- Dobrze, serdecznie dziękuję za wywiad, panowie. Można by was się bać, gdybyście nie byli tacy zwariowani. Dla większości ludzi w tym kraju konspiracja to jedno ze słów związanych z JFK albo Archiwum X. Ale dla was to sposób na życie. Świat jest prostszy, niż to sobie wyobrażacie. Lepszy. - Dolores Milliano podniosła głos, gdy niektórzy demonstranci zaczęli ją wygwizdywać. - Nie zgadzam się zupełnie z tym, co mówicie, ale cieszę się, że żyję w kraju, gdzie świry mogą takie rzeczy mówić.

- Nie mówisz w imieniu Amerykanów - warknął Jeb. - Mówisz w imieniu żydowskich mediów, które tego nie nadadzą.

- Powiem wam coś - odparła Milliano, widząc nienawiść w oczach mężczyzny, i zastanawiała się, co ją podkusiło do takiej szczerości wobec tego najwyraźniej

niebezpiecznego wieśniaka. - Dopilnuję, aby stacja nadała dokładnie to, co powiedziałaś, bez skrótów, jeżeli obiecasz zostawić w spokoju mnie i moją ekipę podczas pobytu tutaj.

- Nie jesteśmy tu dla was, miła pani - prychnął ten z największą brodą.

- Nie, ale wiecie, o czym mówię. Żadnych gróźb przez telefon, uszkodzeń naszego wozu ani innych takich bzdur. A wy macie moje słowo, że zapewnię wam czas antenowy. Pozwolimy Amerykanom zdecydować, które z nas mówi bzdury. Ja czy wy... partyzanci paranoi. Umowa?

Jeb spojrział na swojego kumpla i kiwnął złowrogo głową,

- Masz jaja, Dolores, jak Boga kocham.

- Umowa stoi?

- Dobra, pani Milliano, umowa stoi. Nie będziemy was się czepiać.

- Ładnie sobie poradziłaś - powiedział Warren Meisler, kiedy przechodzili z powrotem przez jezdnię. - Przez chwilę myślałem, że skończymy jak Salman Rushdie.

- Piłka jeszcze nie trafiła do kosza - odparła Milliano. -Może się odbić, jak dyrekcja się nie zgodzi. A wiesz, jacy robią się ci wieśniacy, kiedy złamiesz obietnicę. A propos, nie wiesz, czy w mieście jest wypożyczalnia wideo? Chcę wypożyczyć film.

Meisler potrząsnął głową.

- Jest w Alamogordo. A co chcesz? *Narodziny narodu*?

- Nie, *Ace in the Hole*, z Kirkiem Douglasem.

- Rozumiem - powiedział Meisler. - Masz ładny dołeczek w brodzie.

*

Słyszając telefon, Eve z walącym sercem pomknęła korytarzem tam, gdzie zostawiła słuchawkę, zanim weszła do łazienki. Od kiedy się obudziła, martwiła się nedorzeczną możliwością, że rząd może w zasadzie ulec niektórym absurdalnym żądaniom ogłoszonym na ich stronie internetowej.

Biegając do telefonu, znalazła się twarzą w twarz z uzbrojonym obcym w kamizelce kuloodpornej. Byli tak blisko siebie, że Eve sięgnęła po broń... ale zrezygnowała oszołomiona. To było jej odbicie w wysokim lustrze na końcu korytarza, przez nie wydawało się, że hol ma podwójną długość. Była też zaszokowana swoim podobieństwem do zdesperowanego przestępcy. Bonnie Parker, Pattie Hearst - żadna z nich nie wyglądała na kobietę, którą Eve z ledwością rozpoznawała. Czy to możliwe,

że ona kiedyś gotowała włoskie jedzenie w lokalnej restauracji na Manhattanie? Chciała kiedyś mieć dzieci? Miała chorą matkę? Chciała podróżować? To wydawało się prawie niemożliwe. Widok samej siebie, i pistoletem w ręku, z zaciętą miną, zdecydowaną, pomógł jej odnaleźć odrobinę twardości w duszy, gdy odbierała telefon.

- Halo.

- Bette, tu Zander. Jakiś problem? Chwilę trwało, zanim odebrałaś telefon.

- Rzeczywiście. do postanowili? - zapytała, ignorując pytanie.

Prezydent omawia sytuację ze swoimi doradcami.

- My tu nie żartujemy.

- Oczywiście, wiem, że nie żartujecie. Wszyscy o tym wiedzą, ale potrzebujemy trochę więcej czasu.

Eve spojrzała na zegarek: była szósta pięćdziesiąt pięć. Nie mogąc znaleźć dosadniejszego zwrotu na to, co ma wydarzyć się o ósmej, powiedziała:

- Macie godzinę i pięć minut, później spełnimy naszą groźbę. Tego chcecie?

- Nikt nie chce, aby komukolwiek coś się stało, Bette. Wiesz o tym.

- Ale na to nie wygląda - odparła. - W innym razie nie tracilibyście czasu, prosząc o przełożenie terminu.

Zander wziął głęboki oddech.

- Bette, proszę - rzekł spokojnie. - Błagam cię. Potrzebuję kolejnych dwudziestu czterech godzin.

- Pewnie. Możecie mieć kolejne dwadzieścia cztery godziny po ósmej. Tylko będziecie zastanawiać się, dlaczego musiał zginąć człowiek, zanim zaczęliście traktować nas poważnie.

- Bette, posłuchaj mnie. Jest tutaj około dwustu żołnierzy. Transportery opancerzone, czołgi, co chcesz.

- Widziałam wiadomości.

- To jak możesz mówić, że nie traktujemy was poważnie?

- Ponieważ waszym celem jest otoczenie nas, nie negocjacje. Myślicie tak, bo nigdzie nie idziemy, więc możecie czekać. Czekać, jak długo zechcecie, i zmęczyć nas. Powiem ci coś, Tom, możecie wziąć nas na przeczekanie. Mamy sporo wody i jedzenia. Pan Wallenberg jest bardzo hojnym i troskliwym gospodarzem. Możemy tu siedzieć tygodniami. Tylko że moim zdaniem to nie może trwać dłużej niż dwadzieścia jeden dni. Potem skończą nam się miliarderzy. Jakoś nie wydaje mi się, że Forbes 379 brzmi tak samo, nie sądzisz?

- Zabójstwo Boba Clarenca nie rozwiąże światowych problemów, Bette.

- Przeczytaj naszą stronę. Zadzwoń do mnie przed ósmą, jak będziesz miał inne wieści; w przeciwnym razie oglądaj przekaz z naszej kamery, bo stracisz przedstawienie.

Eve rozłączyła się, zostawiając sfrustrowanego Toma Zandera wpatzonego we własny telefon. Przez chwilę miał ochotę cisnąć nim o ziemię, zanim się opanował. Zamiast tego chwycił kapelusz myśliwski i popatrzył po otaczających go twarzach: Dillon, Everard, gubernator i jeszcze jakiś facet z FBI w Albuquerque o nazwisku Shaar. Większość z nich nie zadała sobie trudu słuchania rozmowy.

- Nic z tego - powiedział, potrząsając głową.

- Może ja powinienem z nimi porozmawiać - zaproponował gubernator.

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł - wtrącił Shaar. -W takich sytuacjach najlepiej jest, aby należycie wyszkolony personel zajmował się sprawą. Jestem pewien, że sierżant ma duże doświadczenie w tych sprawach. Mógłby pan powiedzieć coś, co jeszcze bardziej zaogniłoby sytuację.

- Może tego tu brakuje - rzekł Nixon. - Chodzimy na paluszkach wokół tych gnojów, pomyślą, że w tym stanie mogą wleźć nam na głowę. Powiedzcie, że grozi im od trzydziestu lat po dożywocie. To im przywróci rozum, cholera.

Agent specjalny Shaar wyduł usta, aby nie powiedzieć nic, co uraziłoby gubernatora, i wymownie potrząsnął głową.

- Niech to załatwią profesjoniści, gubernatorze. To moja rada.

Nixon parsknął jak rozeźlony koń i odszedł do radiowozu, pozostawiając Shaara, Dillona, Everarda i Zandera, którzy wymieniali poirytowane spojrzenia.

- Co teraz? - zapytał Shaar.

Dillon wzruszył ramionami.

- Chyba będziemy musieli sprawdzić, czy blefują - powiedział.

Nieco załamany Zander przeprosił kolegów i poszedł do połowych toalet, gdzie z własnego telefonu komórkowego zadzwonił do żony, Janine, do domu w Albuquerque. Sprawy zaczynały przybierać zły obrót. Prowadził wiele negocjacji w swoim czasie, ale ta sytuacja wydawała się najtrudniejsza. Nie przestawał myśleć o głosie Bette, jaki był twardy i zimny, jakby nic jej nie obchodziło, czy zabiją Clarenca, czy nie.

- Cześć, kochanie, to ja.

- Cześć, myślałam o tobie.

- Co robisz?

- Oglądam akcję w telewizji. Jak to wygląda od twojej strony?

- Niezbyt dobrze. Niezbyt dobrze. Janine, kochanie, udało ci się połączyć z tymi ludźmi u Charlesa Schwaba?

- Próbowałam przez całe rano i bezskutecznie; nie mogę się połączyć.

Zander westchnął.

- Może nie działa ta strona w internecie - zasugerowała żona.

- Nie bądź głupia - uciął. Jak to możliwe, że nawet teraz była takim technofobem, tak nieświadoma działania internetu. - To najgłupsza rzecz...

- Nie wściekaj się, to nie moja wina, że to cholerstwo nie działa.

Zander starał się odzyskać panowanie.

- Przepraszam, kochanie. Słuchaj, spróbuj coś zrozumieć. Jeżeli nie możesz się zalogować, to po prostu ze względu na obciążenie linii i wiele osób, które chcą zrobić to samo co ty. Wszyscy chcą przedostać się przez te same drzwi w nadziei, że sprzedadzą udziały. - Spojrzał na zegarek. - Giełda w Nowym Jorku otworzy się za pół godziny. Zauważyłaś, co działo się na giełdach londyńskich?

- Na CNBC powiedzieli, że brytyjski indeks giełdowy, Footside...?

- To jest Footsie, kochanie. FT-SE.

- Spadł o ponad trzysta pięćdziesiąt punktów w ciągu dnia. Japońska giełda zamknęła się ze stratą prawie pięciu procent.

- Chryste Panie.

- Tom? Czy stracimy nasze pieniądze?

- Nie wiem, kochanie. Myślę, że w ciągu jakiejś godziny poznamy odpowiedź. Ale najbardziej martwi mnie to, że inwestorzy coraz bardziej się boją, a jeszcze nic tak naprawdę się nie wydarzyło. Jeżeli ci szaleńcy zdecydują się zabić tego człowieka przed kamerą, nie można przewidzieć, co się stanie. Giełdowy odpowiednik wybuchu atomowego. Może nawet kolejny Czarny Poniedziałek.

- Co mam robić? Dalej próbować połączyć się ze Schwabem?

- Nie, to prawdopodobnie strata czasu, dopóki nie zobaczymy, co się stanie po ósmej. Jeżeli nie zabiją tego człowieka, giełda prawdopodobnie się odbije. A jak zabiją, to zanim się połączysz, dostaniesz tylko najniższe ceny. Więc chyba poczekaj chwilę. Jednak jedno jest pewne. Jeżeli nie uda nam się sprzedać, to naprawdę będzie o wiele gorzej, zanim się polepszy. Jeżeli zabiją Clarenca, może to oznaczać

przełożenie emerytury na trochę później, kochanie. Bez dwóch zdań. W ciągu kilku następnych dni możemy popaść w tarapaty.

*

Eve chciała mieć świadków tego, co się miało wydarzyć; świadków, którzy mieli zająć miejsce Boba Clarenca. Chciała dwóch mężczyzn wystarczająco silnych, by wytrzymać fizyczną presję ekstremalnej sytuacji, w której się znajdują. Nie potrzebowała, by ktoś dostał ataku serca, odpadał Ford Sarmenington. Wybrała Eliota Massingera i Errola Laurensa i na długo przed rozmową z Tomem Zanderem Sam zakłuła w kajdanki obu mężczyzn i wybudziła ich z narkozy.

- Kiedy odzyskają pełną świadomość? - zapytała Eve.

- Przygotuję ich na siódmą czterdzieści pięć - zadeklarowała Sam. - Może trochę się pozataczają, ale będą gotowi.

- Jak się będą zataczać, to dobrze - powiedziała Eve. - Nie chcę, żeby czegokolwiek próbowali. Żeby zrobili krzywdę sobie albo nam.

Laurensen czuł się, jakby spał sto lat. Przez moment myślał, że wrócił do Zurychu, do kliniki Dorian, gdzie jedna z terapii polegała na dwudziestoczerogodzinnym śnie pod wpływem leków, podczas którego zespół lekarzy wykonywał drobne operacje plastyczne. Błędne mniemanie trwało tylko tyle, ile czasu potrzebował, aby rozpoznać brezentowe ściany afrykańskiego apartamentu, wentylator obracający się pod sufitem, meble z wikliny; sięgnął po AddVisora, którego trzymał przy łóżku i wtedy właśnie odkrył, że ręce ma przykute do łańcucha. Zły i wystraszony usiadł i zobaczył, że stoi przed nim dwóch mężczyzn - jeden czarny, jeden biały - w kamizelkach kuloodpornych i z pistoletami automatycznymi. Najwyraźniej rozpoznawał białego mężczyznę, ale to ten czarny - w typie Danny'ego Glovera, z wąsem, uśmiechającego się z olbrzymim cygarem w ustach - był tu od mówienia.

- Dzień dobry - powiedział z wrogą łagodnością. - jak się dzisiaj czujemy, panie Laurensen?

Czarny mężczyzna usiadł na krawędzi łóżka, przybierając współczującą, nieomal wujaszkowatą minę - tak czasami patrzają lekarze, kiedy mają złe wiadomości do przekazania.

- Jest pan wart około pięćdziesięciu miliardów, przywykłeś pan, żeby ludzie skakali, jak im każesz, i że dostajesz wszystko, czego ci się zachce. Mogę to zrozumieć. Gdybym to był ja, też bym tak robił. Ale, panie Laurensen, twój tyłek znalazł się teraz gdzie indziej. Wiesz pan, co mówię? Jesteś pan na moim terenie, a dlatego że mój kolega i ja mamy karabiny automatyczne M16. Więc tak to wygląda: widzisz pan kogoś z bronią, to pomyśl, że jest bogatszy od ciebie, i rób, co ci każe i kiedy ci każe. Wtedy nie będziesz musiał pan tracić tych drogich zębów, a ja nie będę musiał opowiadać wnukom, jak kiedyś znalazłem się w sytuacji, kiedy trzeba było kopnąć w dupę najbogatszego faceta na świecie. Zatem, panie Laurensen, jesteśmy spokojni?

- Jesteśmy spokojni.

- Dobra. No to idziemy na spacer. Rozprostujesz sobie nogi.

Dwaj mężczyźni odpięli kajdanki od łóżka, skuli mu razem ręce, i wzięli go pod ramiona, ponieważ nadal stał niepewnie. Chociaż nigdzie nie było widać diprifuzora, Laurensen poznał, że podano mu leki. Ostatnie, co pamiętał, to to, że znajdował się w bibliotece Wallenberga i rozmawiał z Eliotem Massingerem. Co więcej, miał w ustach dziwny posmak i przyklejono mu plaster po wewnętrznej stronie przedramienia.

Wyprowadzili go z afrykańskiego apartamentu, a potem ruszyli korytarzem do głównego salonu, gdzie człowiek z opaską na oczach siedział przywiązany do krzesła przed małą kamerą na trójnogu połączoną przewodem z komputerem. Był to Bob Clarenco.

- Trzymaj się, Bob - rzekł instynktownie.

- Kto to?

Laurensen spojrzał po dwóch gorylach, zastanawiając się, czy mogą go uderzyć, gdyby powiedział coś jeszcze. Postanowił zaryzykować.

- To ja, Errol - powiedział.

Zjawiali się inni ludzie. Kobieta, którą rozpoznał... ta, co prowadziła firmę cateringową; kelner podający wino, a potem Eliot Massinger, zakuty tak jak on sam i tak samo podpierany przez dwóch innych uzbrojonych mężczyzn.

- Bob, to ja, Eliot. Nic ci nie jest?

- Eliot, mówią, że mnie zabiją. To prawda?

- Nikt cię nie zabije, Bob. Nie pozwolę im. Jeżeli spadnie ci choćby włos z głowy, wydam resztę pieniędzy, żeby ich wytropić.

Na podstawie zachowania osób w pokoju Laurensen uznał, że ta kobieta musi tu dowodzić. Każdy, kto miał broń, patrzył na nią. Tylko ona rozmawiała przez telefon, kłóciła się z kimś, ale nie słyszał, co mówi.

- Proszę - błagał Clarenco. - Niech ktoś mi powie, co się dzieje.

- Wszystko będzie dobrze, Bob - powiedział Laurensen, ale kelner nałożył gumową maskę i sprawdzał mały rewolwer - chyba kalibru trzydzieści dwa, o krótkiej lufie, policyjny - bardzo ostrożnie, jakby nie chciał popełnić błędu. Potem stanął przed kamerą, ale z bronią wycelowaną w podłogę, jakby miał stoczyć pojedynek. I nagle Laurensen poczuł, jakby żołądek powędrował mu do butów. Rzeczywiście wyglądało na to, jakby mieli zamiar tego dokonać. Zamierzali zastrzelić Boba Clarenca z zimną krwią. - Na miłość boską - wymamrotał. - Nie możecie.

Kobieta stała poza zasięgiem kamery, ale wystarczająco blisko Clarenca, aby ten słyszał rozmowę, a kiedy rozłączyła się zaczął błagać o życie.

- Błagam - zawodził. - Nie chcę umierać. - Rzucił głową i ramionami na boki, desperacko, niczym schwyte w potrzask zwierzę, gdy wyczuł, co miało się wydarzyć. - Chcę żyć. O, Boże. O, Boże. Już więcej nic nie zobaczę. O, Boże.

Clarenco potrząsał głową, jakby chciał zaakcentować strach przed śmiercią, a także zniechęcić tego, kto będzie próbował przyłożyć mu broń do głowy.

Krocze zaczęło mu parować i Laurensen, który nagle poczuł obręcz zaciskającą się na jego klatce piersiowej, zrozumiał, że Clarenco zrobił pod siebie.

- O mój Boże - wyjęczał, jakby sam miał być następny; wykonywał szalone obliczenia... czy nie był dwieście albo trzysta razy bogatszy od Boba? Czy dlatego nie był dla nich ważniejszy? Nawet gdyby zabili Boba, to co mogą dzięki temu zyskać? Ale to wszystko służyło przedstawieniu. Blef przed kamerą. Czy pokazywali to w internecie? Jeżeli tak, to gdzie było FBI? Gdzie policja, która położy kres temu koszmarowi?

Bob Clarenco przyjął na krześle niemal pozycję płodową, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały mu na to krępujące go sznury.

Laurensen, nadal przytrzymywany przez dwóch uzbrojonych mężczyzn, pochylił się i zwymiotował.

Zamaskowany mężczyzna spojrział na kobietę, która bez słowa skinęła głową. Mężczyzna powoli zaczął podnosić rękę z rewolwerem, który błyszczał niczym gwiazdka w słońcu wpadającym przez panoramiczne okno.

- Na miłość boską - powtórzył Laurensen. - Nie.

- Już za późno - oznajmiła kobieta. - Mieli szansę. Winę ponosi rząd. Nie chcieli dobić targu.

- A co to ma z nimi wspólnego? - zapytał Massinger. - Ja zrobię z wami interes. Ile chcecie?

Kobieta odwróciła się, jakby nie mogła patrzeć.

Zamaskowany mężczyzna przycisnął lufę do czarnego materiału opaski i z jakiejś przyczyny Clarenco przestał trząść głową, jakby nagle pogodził się ze śmiercią. Zaczął recytować Ojciec Nasz, a wtedy połyskująca, srebrna gwiazdka w dłoni rewolwerowca eksplodowała. Był mały błysk i duży huk, od którego aż rozdzwoniło się w uszach Massingera; rozszedł się intensywny zapach kordytu. Massinger zaczął krzyczeć z przerażenia i oburzenia, gdy jego mózg odtwarzał to, co oczy oglądały przez chwilę: siła strzału odrzuciła Clarenca na materac, gdzie prawdopodobnie zmuszony był spać - jego ruch w powietrzu znaczył paraboliczny strumień krwi, który ominął dłoń kata i tryskał spod opaski niczym gejzer jeszcze kilka sekund później.

- Gnoje - wycedził Massinger. - Wy wredne gnoje.

Oprawca chwycił rączkę przesączonego krwią materaca i zaczął ciągnąć go wraz z ciałem, zostawiając krwawy ślad na wypolerowanej, marmurowej podłodze, co przypomniało Massingerowi o korridzie, którą widział w Nimes poprzedniego lata, i haniebnym sposobie ściągania byka z areny za ogon.

Bob Clarenco nie żył, powiedział sobie. Zabity jak byk. Czy on był następny? Miał mnóstwo pieniędzy świata i teraz na nic mu się nie przydadzą. A przecież powinny. W całej tej sprawie chodziło o pieniądze. Bo o co innego? A przecież to były tylko pieniądze. A skoro chodziło o pieniądze, to w czym tkwił problem? On i reszta facetów w Cloudcroft mieli mnóstwo pieniędzy. Czy to rzeczywiście możliwe, że FBI odmawiało tym ludziom darowania czegoś tak powszechnego jak pieniądze?

*

Gubernator Nixon, inspektor Dillon, agent specjalny Shaar, porucznik Everard i sierżant Tom Zander obserwowali przekaz internetowy z egzekucji - tak samo jak miliony innych Amerykanów, którzy zalogowali się na leverage.net tego ranka - w milczeniu pełnym niewiary. Było to milczenie, które trwało kilka minut po tym, jak ciało Clarenca zostało odciągnięte przed kamerę, i po chwili z tyłu policyjnego radiowozu rozległ się dzwonek telefonu.

Zander wziął kilka głębokich oddechów, starając się kontrolować wzbierającą w nim złość. To była najtrudniejsza część pracy. Unikanie pytania „dlaczego” stanowiło podstawę podtrzymania dialogu. Nie znaczyło to, że nie wolno mu było wyrażać własnych uczuć, choć w sposób nieprovokujący, ani używać siły milczenia. Pozwolił telefonowi dzwonić.

- Nie zamierzacie odebrać? - zapytał Nixon.

Zander potrząsnął głową.

Telefon przestał dzwonić.

Chwilę później zadzwonił ponownie.

- Tom, lepiej odbierz - poradził Dillon, wskazując laptop. - Patrz.

Errol Laurenson stał przed kamerą z telefonem w dłoni.

Zander porwał słuchawkę.

- Panie Laurenson? Halo, tu sierżant Zander. Jestem negocjatorem policji stanowej. Jak się pan czuje?

- Nie mogę mówić za dużo. Nie dlatego, że mi nie pozwolą. Po prostu nie wiem, co powiedzieć po tym, co zobaczyłem. Zakładam, że widzieliście, co się wydarzyło.

- Widzieliśmy to, proszę pana. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby was stamtąd wydostać.

- Słuchajcie, oni nie powiedzieli mi, czego chcą. Ale najwyraźniej chcą ubić interes. Zastrzelili Boba bez... no, nie wiem... odrobiny miłosierdzia. Kazali mi powiedzieć, że Eliot Massinger i ja będziemy następni. Czy to jasne? - Laurenson mówił coraz bardziej podnieconym głosem. - Dajcie im to, czego chcą, na miłość boską. Nasze życie wisi na włosku. Chyba chcą nas zabić, jeżeli nie spełnicie ich żądań.

- Robimy, co w naszej mocy...

Nagle Laurenson zniknął sprzed kamery.

- Sierżancie.

Teraz rozległ się głos kobiety. Znowu Bette. Zander odwrócił się szybko od Nixona, który słuchał przez słuchawki i zaczął głośno przeklinać.

- Bette? Co mogę powiedzieć? Jestem rozczarowany. Myślałem, że sobie zaufaliśmy. Staram się wam pomóc tak samo jak zakładnikom. Obiecuję, że nie zabijecie więcej zakładników, proszę.

- Wiesz, że nie mogę tego obiecać. Ale mogę nam wszystkim ułatwić życie.

- W jaki sposób?

- Stawiając nowe żądania.

- Nowe żądania? - powtórzył cierpliwie, niedowierzając i jednocześnie powstrzymując się przed nazwaniem jej morderczynią i suką. - No, to brzmi... nie wiem... konstruktywnie. Więc czego chcecie?

- Pieniądzy, oczywiście. - Eve nieomal odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie mogła zaoferować władzom coś, czego spełnienie przyjdzie z łatwością. Im szybciej zbiorą pieniądze, tym szybciej to się skończy, a wtedy ona będzie mogła wyjechać z Cloudfcroft.

- Pieniądzy - powiedział. - Rozumiem.

- Żądamy miliarda dolarów w gotówce. Umieście go na pokładzie boeinga 737 Errola Laurensona. Za to dostaniecie jedenastu zakładników. Następnych dziesięciu miliardów wsiądzie z nami do samolotu. Zostaną zwolnieni, kiedy bezpiecznie dotrzemy do miejsca przeznaczenia.

- Miliard dolarów. Jeżeli to wszystko, czego chcieliście, Bette, to nie mogę przestać myśleć, że Bob Clarenco zginął na darmo.

- Zginął, żeby coś udowodnić.

- To znaczy?

- Ze nie blefujemy. Jeżeli spróbujecie nas oszukać, zabijemy wszystkich. Widzisz, teraz nie mamy nic do stracenia. Zabijemy jednego, zabijemy wszystkich, to nie robi różnicy, jaki wyrok dostaniemy. A złapać nas mogą tylko z jednego powodu, jak skończy się nam amunicja.

- Cały czas chcieliście zabić jakiegoś zakładnika.

- Tak.

- Tylko musieliście się upewnić, że wybraliście kogoś, kogo nie było nawet na liście Forbes 400. Lecz kogoś, kto jest wystarczająco bogaty, żeby ludzie poderwali się z foteli i to zauważyli.

- Prosty rachunek, Tom. Multimilionera łatwiej jest poświęcić niż miliardera, ale masz ogólny obraz. Widzisz więc, cokolwiek się stanie od teraz, nie mamy nic do stracenia, a do zyskania wszystko.

- No, miliard dolarów to rzeczywiście okrągła suma o którą warto grać.

- Ty to powiedziałaś, Tom. Ale bez znaczonych banknotów, barwników i elektronicznych chipów. Będziemy sprawdzać pieniądze bardzo starannie, zanim opuścimy Alamogordo.

- Takie pieniądze nie powinny stanowić problemu dla tych ludzi.

- Wówczas puścimy wszystkich bez problemu. Massinger albo Laurenson mogliby sami zapłacić taką kwotę i nawet by tego nie zauważyli. W miarę upływu czasu będziemy wam przekazywać dokładne instrukcje, co macie robić. Lecz teraz powinniście skupić się na dwóch sprawach: zdobyciu pieniędzy i założeniu własnej strony w internecie, wyłącznie dla nas.

- W jakim celu?

- Żebyście mogli zainstalować w samolocie kamery. W ten sposób sprawdzimy, czy pieniądze są na miejscu i czy nie planujecie żadnych niespodzianek przed lotem. Chcemy pięciu kamer. W kabinie pilotów w kierunku okna, dwóch po obu stronach kabiny pasażerskiej nastawionych na pas startowy, jedną skierowaną do wnętrza kabiny i jedną oczywiście na pieniądze. Komputery samolotu mają być ustawione na stronę internetową, abyśmy mogli sprawdzić poziom paliwa i podobne rzeczy. Macie dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli nie będzie pieniędzy i strony po tym czasie, to sprawy przybiorą kiepski obrót. Żebyście się lepiej skupili, Laurenson i Massinger będą gościć przed naszą kamerą. A wiecie, co się z nimi stanie, jeżeli spróbowacie nas wyrolować.

- Nikt nie zamierza was wyrolować, Bette.

- Dobrze. Róbcie dokładnie to, co mówimy, a wszyscy przez to przejdą.

- Tak - odparł Zander bez specjalnego przekonania. Nadal był zbyt przejęty tym, co stało się z Bobem Clarenco. - Czegokolwiek sobie życzysz, Bette.

*

Analitycy giełdowi i komentatorzy zgadzali się, że w poniedziałek rano dojdzie do spadku na giełdzie. Pozostawało pytanie, do jak dużego i jakim kosztem ze strony inwestorów i systemu.

Kiedy Chicago Board of Trade, największa na świecie giełda towarowa, otworzyła swe podwoje o siódmej trzydzieści, główny indeks giełdowy spadł już o czternaście punktów, czyli podobnie jak Dow Jones, który otworzył się ze zniżką siedemdziesięciu punktów, co było reakcją nie tylko na wcześniejsze spadki giełdowe w Japonii i Londynie, ale także tendencje spadkowe w poprzedni piątek, których przyczyn nie sposób było się domyślić. W pierwszych transakcjach, do których doszło przed zastrzeleniem Boba Clarenca o ósmej czasu lokalnego, większość dużych firm zadeklarowała wyprzedaż na parkiecie, co znaczy, że sprzedali kontrakty S&P, a

potem odkupili je po niższych cenach, aby zlikwidować krótkoterminowe pozycje. W Chicago zwykowanie po początkowym spadku trwało około godziny, aż o dziewiątej trzydzieści czasu wschodniego otworzyła się giełda w Nowym Jorku z setkami udziałów, które nie wchodziły do sprzedaży, a specjaliści mający je w ręku - szczególnie akcje firm, których właściciele na własnej skórze odczuwali wydarzenia w Cloudfcroft - poczekali pół godziny, zanim zasugerowali wstępne ceny. Jednak przed dziesiątą piętnaście w chaosie powstałym po zamordowaniu Boba Clarenca wiele akcji nie weszło do sprzedaży, zwiększając obawy w Chicago, że giełda w ogóle się nie otworzy. W Nowym Jorku oczekiwano wyraźniejszych wskaźników sił działających na giełdzie, aby zmniejszyć niestabilność cen i w konsekwencji uniknąć popłochu wśród długoterminowych inwestorów, którzy pomogliby w uspokojeniu rynku. Chicago tak nie patrzyło na sprawy i o dziesiątej trzydzieści czasu wschodniego indeks lokat terminowych S&P znajdował się ponad trzydzieści pięć punktów poniżej piątkowego zamknięcia.

Najgorszy ranek na Chicago Board of Trade (CBOT) od Czarnego Poniedziałku w październiku 1987 roku objawił się gorączką. Gorączką wyrażoną zdecydowanie czerwonymi znakami, które przewyższały te zielone z dobrymi wiadomościami na siedemdziesięciu metrach kwadratowych elektronicznego ekranu na ścianie. Gorączką w ponad osiemdziesięciu tysiącach kilometrów przewodów i kabli - dosyć, aby obsłużyć dwustutysięczne miasto - które łączyły monitory komputerów. Gorączką w czterech i pół tysiąca terminali obsługujących parkiet giełdy. Gorączką w twarzach i głosach trzech tysięcy ludzi na parkiecie, którzy unosili ręce, jakby błagali o pomoc, niczym zaginione dusze na jednej z ilustracji Gustave'a Dore do *Piekieła Dantego*. Gorączkę tak namacalną, że można ją było zobaczyć osiemnaście metrów ponad parkietem w galerii dla gości, która biegła pod północną ścianą budynku, migocząc niczym miraż. Gorączką w olbrzymim systemie klimatyzacyjnym, który nawet w środku chicagowskiej zimy działał, aby na giełdzie nie było za duszno, a maszyna nie rozgrzała się do czerwoności. Gorączką maklerów. Gorączką klientów. Gorączką kontrolerów ryzyka. Gorączką banków. Gorączką publiczności. Gorączką mediów.

Przed lunchem mała grupka reporterów wiadomości telewizyjnych zebrała się przed CBOT na granitowym chodniku LaSalle Street, aby zapytać maklerów - łatwych do rozpoznania dzięki kolorowym jak cukierki marynarkom parkietowym - podczas przerwy na papierosa, czy sprawy mają się i tak źle jak w Czarny Poniedziałek.

- Tam panuje istne piekło - donosił reporter wyglądający na wyczerpanego. - Ceny wyjściowe opcji przestają obowiązywać, gdy tylko zostaną ustalone. Nie odchodźcie. Zobaczycie wielu, którzy dzisiaj zbankrutują.

Tak samo sprawy miały się w Nowym Jorku. Wozy transmisyjne telewizji zajęły te same miejsca przed Federal Hall - tam gdzie stoi pomnik Jerzego Waszyngtona oraz naprzeciwko giełdy - które zajmowały w Czarny Poniedziałek. Galeria dla gości była zamknięta dla publiczności, kiedy ludzie, którzy przyszli patrzeć, jak giełda radzi sobie z kryzysem, sięgali aż za róg Broadwayu naprzeciw kościoła św. Trójcy. Nawet neogotyckie wnętrze kościoła zostało zajęte przez ekipy telewizyjne, kiedy rozeszła się plotka, że ludzie w maklerskich marynarkach NYSE w trakcie przerwy na lunch modlą się w kościele. Ekipa CNBC miała więcej szczęścia. Udało jej się sfilmować szarpaninę między szoferem, który zaparkował mercedesa na Broad Street przed siedzibą Goldmana Sachsa, a aktywistą-maniakiem historii, który przyjechał napawać się sytuacją - szarpaniną wywołaną przez aktywistę, który wielokrotnie przyklejał na maskę samochodu znaczek „1000 dolarów za ten wóz. Potrzebuję gotówki. Straciłem wszystko na giełdzie”. (Podobny napis sfotografowano na masce rolls-royce’a silver cloud w dniu wielkiego kryzysu w 1929 roku). Policja zakazała wszelkich prowokacyjnych transparentów i afiszy tuż po pierwszej zmianie wschodniego, kiedy niezadowolony klient zjawił się w biurach Morgana Stanleya Deana Wittera przy Times Square i strzelił do maklera Dave’a Sechsteina z automatu kalibru dziewięć milimetrów; na szczęście nie trafił.

O drugiej zmianie Wschodniego sekretarz skarbu, który akurat przebywał w Nowym Jorku i nie wiedział o nowych żądaniach porywaczy, zwołał konferencję prasową w budynku rezerw federalnych, chcąc uspokoić rynki, tak jak uczynił w październiku 1997 Robert Rubin, były doradca inwestycyjny u Goldmana Sachsa. Do tej pory Dow Jones spadł o ponad trzysta siedemdziesiąt punktów. Jedyne kłopot polegał na tym, że sekretarz skarbu, który kiedyś pracował w przemyśle, bardzo mało wiedział o działaniu Wall Street, a jeszcze mniej o giełdzie transakcji terminowych - cena S&P 500 była prawie sześćdziesiąt dwa punkty poniżej piątkowego zamknięcia, spadek równy czterystu punktom Dow Jonesa. Powszechnie przyjęto, że sekretarz został wybrany ze względu na to, kogo, a nie co znał, ale jego komentarze w małym stopniu pomniejszały obawy Wall Street o sytuację w Cloudcroft

Nerwowo poklepując przyprószone skronie, sekretarz skarbu próbował uśmiechnąć się i rozluźnić, ale przy braku finezji inwestora Rubina wypadł niezdarnie

i staromodnie, jak główny dyrektor podrzędnej firmy, który na próżno próbuje oddalić zagrożenie.

- Naszym zdaniem każdy powinien wziąć głęboki oddech i po prostu rozważyć, gdzie jesteśmy - oznajmił na konferencji. - Tragiczne wydarzenia w Cloudfroft są dość niezwykłe, postarajmy się o tym pamiętać. Właśnie wyszliśmy z recesji. Podstawy amerykańskiej gospodarki są mocne. Zniżające giełdy ich nie zmieniają. W tym wypadku, bardziej niż w innym, są one objawem, nie przyczyną.

Jak dotąd szło mu dobrze, ale wreszcie powiedział coś zupełnie nie na miejscu.

- Wszystkie przedsiębiorstwa, na które miało wpływ porwanie zakładników, to dobre firmy. Spędziłem poranek z najbardziej uznanymi ludźmi w świecie finansjery i wszyscy zgodziliśmy się, że nie żyjemy w czasach Ludwika XIV. Dzisiaj nikt nie może powiedzieć: „Firma to ja”. Nikt nie jest niezastąpiony. Zgodziliśmy się, że nie ma wśród tych firm takiej, która nie przetrwa, obojętnie, co wydarzy się w Cloudfroft.

Wall Street to się zupełnie nie spodobało. Wielu analityków było zupełnie innego zdania. Stało się jasne, co sekretarz chciał przekazać, ale wynikało z tego, że rząd nie ma pojęcia, jak rozwiązać sytuację, i zakładnicy mogą zginąć. Wall Street niczego bardziej nie znosi jak braku zdecydowania. Na razie było wystarczająco źle, ale gorsze jeszcze miało nadejść.

- Wiecie, nie wypadłem z ciężarówki z burakami. Rząd nie zmieni swoich działań ze względu na bandę ekonomicznych anarchistów. Nikt nie wywołał kryzysu finansowego przez przystawienie broni do głowy liderom amerykańskiego biznesu, nie pozwoliliśmy na to nawet muzułmańskim terrorystom. Kiedy dojdzie do kolejnego kryzysu finansowego, prawdopodobnie będzie on wywołany rozszerzeniem kredytu poza opłacalność inwestycji. Lecz nie wywoła go banda przestępców, która chce zniszczyć nasze globalne finanse.

W ciągu kilku minut od wypowiedzenia tych uwag przez sekretarza analitycy finansowi zgłębili z największą drobiazgowością sens tych słów - szczególnie uwag o „rozszerzeniu kredytu” - i zdecydowali, że prawdopodobnie intencją rządu w jakimś momencie w przyszłości jest obcięcie kredytów i podniesienie stóp oprocentowania. Uwagi sekretarza skarbu jedynie pogorszyły sytuację. W trakcie popołudniowej sesji giełda nowojorska została trzykrotnie zmuszona do zatrzymania transakcji, gdy ceny akcji poszły w dół w odpowiedzi na jeszcze bardziej paniczną wyprzedaż. Przed zamknięciem giełdy przemysłowej Dow Jones spadł o siedemset dwanaście punktów.

Był to to największy spadek w punktach odnotowany w ciągu jednego dnia. Jednak to przeliczało się na redukcję zaledwie o sześć i pół procent rynku jako całości, co oznaczało dopiero trzynasty z kolei spadek procentowy w tym roku. W październiku 1997 roku giełda spadła o siedem i dwie dziesiąte procent jednego dnia.

Tymczasem w Cloudfcroft sytuacja utknęła w martwym punkcie - po konsultacji z FBI policja stanu Nowy Meksyk zdecydowała nie ujawniać szczegółów żądań porywaczy, dotyczących jednego miliarda dolarów, w obawie przed zachęceniem innych porywaczy - i gdy dwaj najbogatsi, najważniejsi biznesmeni świata siedzieli przywiązani do krzesła, przed kamerą, aby cały świat mógł to zobaczyć, wtorkowa sesja giełdy nie zapowiadała się na lepszą od poniedziałkowej.

*

Errol Laurenson nie wiedział, co dzieje się na giełdach finansowych, ale mógł się domyślić. Widok Boba Clarenca zastrzelonego przed kamerą nie nastrajał optymistycznie. Zdawał sobie sprawę z piątkowego spadku na rynku papierów wartościowych, i bomby grożącej zyskom, którą sam podłożył w piątek wieczorem, i bez trudu sobie wyobrażał co się działo na Wall Street. I nie tylko tam. Także w Tokio, Londynie, Frankfurcie i Hongkongu. Wszędzie dojdzie do wielkich spadków. A im dłużej główna liga Forbes 400 będzie przetrzymywana przez porywaczy, tym gorzej; tak samo źle jak w 1987 albo jeszcze gorzej, gdyby miało to trwać cały tydzień. Problem polegał na tym, że tak wielu graczy z pierwszej ligi było właśnie... gwiazdami emitowanego w internecie programu. W zasadzie przedsiębiorstwa istniały dzięki nim. Pewnie, firmy przeżyją bez nich, ale w jakim kształcie? Bardzo łatwo popełnić błędy w zarządzaniu, kiedy usunęło się gwiazdy. Utrata takiego człowieka mogła cofnąć firmę w rozwoju o dziesięć lat.

Dla Laurensona jedno było jasne, i to już od 1987 roku. Bliski Wschód, Azja Południowo-Wschodnia, Kuba, Korea - nikogo nic a nic nie obchodziły te strefy zagrożenia. Chcieliście światowych zamieszek? Chcieliście najbardziej zapalnego punktu? Był nim reprezentacyjny ogród. Wall Street. Pieprzyć ogródek na tyłach Ameryki - Kubę, Panamę, Grenadę. To były miejsca, gdzie Wuj Sam bawił się w gry wojenne. Ale Wall Street. Do diabła, to była największa strefa zagrożenia. Epicentrum światowego trzęsienia ziemi. Osama bin Laden udowodnił to ponad wszelką wątpliwość.

Szkoda jedynie, że Laurenson tego nie zobaczy i co ważniejsze - na tym nie skorzysta. Te opcje giełdowe, które dał swoim pracownikom. Mógł je teraz odkupić za bezcen. Czy Jefferson Burr, wiceprezes Delphus, zastępca do spraw finansowych - sam Laurenson był prezesem - mógłby poważnie się i wykupić opcje bez jego zgody? To wydawało się mało prawdopodobne i w ten sposób okazja zostanie zaprzepaszczona. Teraz Burr będzie się o niego za bardzo martwił, żeby myśleć logicznie. Jeżeli z tego wyjdę, będę musiał opracować sposób radzenia sobie z takimi sytuacjami, choćby na wypadek gdybym kiedyś zachorował, obiecał sobie. To też wydawało się nieprawdopodobne, zważywszy na poziom medycyny prewencyjnej, z jakiej korzystał. Lecz najwyraźniej zdrowi ludzie umierają przez cały czas, choćby po to, żeby zawstydzają lekarzy.

Oczywiście znajdą się też tacy pracownicy - te dziesięć procent zwolnionych w zeszły piątek - którzy, pomimo posiadania opcji, będą życzyć Errolowi Laurensonowi wszystkiego najgorszego. Najpewniej ci, którzy już spieniężyli swoje akcje. Cóż, nie mógł ich obwiniać, że są źli za utratę pracy i życzą mu choroby. Nie można też było zapominać o konkurentach z branży, którzy życzyli mu śmierci. A z tego, co wiedział, mogli nawet oglądać to w internecie. Biorąc pod uwagę uprzednie związki z branżą internetową, zakrawało to na ironię.

*

- Nie znałam cię wcześniej od tej strony, Bob - powiedziała Eve - ale cholernie dobry z ciebie aktor.

Bob Clarenco uśmiechnął się skromnie.

- Tak myślisz?

- To była rola godna Oscara.

- Głównie dzięki Andy'emu wyglądało to tak realistycznie.

- Efekty specjalne to połowa sukcesu - powiedział Hogarth. - Eve ma rację. Reszta zależy od dobrego aktorstwa. A takie posikanie się to już był szczyt geniusza. Zupełnie jak DeNiro.

- W pewnym momencie wpadło mi to do głowy. Doszedłem do wniosku, że byłoby bardzo realnie, gdybym zrobił w gacie. Jak pomyślałem, tak zrobiłem.

- Nagrałem twoje przedstawienie - powiedział Hogarth. - Sam możesz ocenić efekt.

- Nagrałeś? To świetnie.

Znajdowali się w apartamencie z Dzikiego Zachodu z wypolerowaną dębową podłogą, indiańskimi kocami, meblami z hiszpańskiej skóry, ręcznie wykonanymi dagerotypami, ozdobnym siodłem i stojakiem na broń, rzeźbami z brązu Freda Remingtona; brakowało tylko paru strzał w starych belkach, żeby wyglądało naturalniej.

Hogarth znalazł magnetowid i telewizor za malowidłem na zawiasach, przedstawiającym pionierów przemierzających równiny, autorstwa Alfreda Bierstadta, i wsunął doń kasetę. Clarenco oglądał własne przedstawienie tak krytycznie jak każdy aktor, który przegląda poranne próby.

Uśmiechnął się, gdy patrzył, jak krew eksploduje mu ze skroni.

- Wygląda bardzo przekonująco. Jak to zrobiłeś, Andy?

- Kiedy wystrzeliłem z pistoletu, jednocześnie nacisnąłem mały nadajnik radiowy w kieszeni, który odpalił małego kapiszona pod opaską. To z kolei przebiło tubkę pod ciśnieniem, która przechodziła pod włosami i koszulą do torby z krwią przymocowaną na plecach. Musiałem tylko naciskać guzik, żeby wysikać całą krew.

- Najważniejsze - wtrąciła Eve - że Laurenson i Massinger wyglądali na przekonanych. A znajdowali się tylko siedem metrów od ciebie.

- Massinger ujął mnie, kiedy zaoferował, że zapłaci okup. Nie wiedziałem, że tak mnie lubi. A jak to wyglądało w Internecie?

- To też nagrałem.

Kiedy oglądali drugi obraz z internetu, Clarenco powiedział:

- Myślicie, że nadadzą to w telewizji?

- To dla nich prawdziwy problem - rzekł Hogarth. - Obraz z kamery internetowej nie jest nagrywany klatka po klatce, dlatego nie jest taki szokujący. A w końcu jest to ważna wiadomość, którą już można oglądać na różnych portalach. Ale film pokazuje twoją śmierć i z powodów prawnych mogą nie chcieć go wyemitować. Jeśli to zrobili, twoja rodzina mogłaby wnieść przeciw nim oskarżenie.

- Jest tylko moja była żona. Ona zapragnie to zobaczyć, i to nie raz. Nagra film na wideo, będzie trzymał na nocnym stoliku i będzie oglądał na Boże Narodzenie.

Hogarth uśmiechnął się.

- Lepiej zajmę się uprzątnięciem twojego ciała - powiedział

- Im szybciej, tym lepiej. - Clarenco rzucił mu taśmę. - Masz, nie zapomnij tego.

Hogarth zszedł do piwnicy.

Calvin Wallenberg starannie zajmował się zagospodarowywaniem śmieci od czasu, kiedy odkrył, że odpadki z jego biur w Nowym Jorku regularnie kradł jeden z jego biznesowych konkurentów. W większości swoich domów kazał zainstalować małe spalarnie śmieci, aby nie dopuścić do powtórzenia się takich incydentów. Spalarnia w Cloudcroft została wykonana przez Infratech i była największa, więc wymagała uzyskania specjalnego zezwolenia rządu Nowego Meksyku. Idealnie pasowała do celu Boba Clarenca, czyli zniknięcia po pomyślnym zakończeniu wydarzeń w Cloudcroft.

Drobiazgowo obmyślił swoje zniknięcie i poczynił staranne przygotowania. W firmie zaopatrzenia medycznego zakupiono szkielet męski. Szkielet i pudło, w którym się znajdował, Hogarth umieścił oddzielnie w piecu, który działał z pełną mocą od początku weekendu. Różne elementy garderoby należące do Clarenca także trafiły do pieca, w tym ubranie, które miał na sobie podczas egzekucji, teraz poplamione sztuczną krwią. Wrzucono nawet zegarek Breitling, z wyjątkiem połowy paska ze skóry aligatora... ten Hogarth położył na podłodze i kopnął na bok. Z plastikowej torby rozsypał na podłogę kilka włosów Clarenca. Następnie mały fragment koszuli marki Turnbull & Asser, takiej jak ta, którą Clarence miał na sobie przed kamerą, poplamiony prawdziwą próbką jego krwi, zawieszono na ostrym narożniku pieca, jakby koszula zahaczyła się przy przenoszeniu ciała. Kilka kropli krwi wyduszono ze strzykawki na podłogę. Na koniec Hogarth spalił materac nasączony sztuczną krwią

Kiedy Hogarth zrobił to wszystko, rozejrzał się, starając się patrzeć na pomieszczenie wzrokiem detektywów szukających dowodów morderstwa. Doszedł do wniosku, że niczego nie zapomniał, i wrócił na górę do innych, zadowolony, że główna część jego zadania w Cloudcroft została zakończona. Teraz należało jedynie czekać.

Boh Clarence był przekonany, że Laurensen i Massinger powiedzą policji, że mordercy zabrali jego ciało do kotłowni i tam spalili. Wszelkie badania śledczych ujawnią włosy, próbkę krwi, fragment jego własnego przepoconego paska od zegarka. Analiza zawartości pieca może wykazać resztki ludzkich kości i być może stopiony zegarek. A jeżeli tego nie wystarczy, Clarence planował dodać w ostatniej minucie przed wyczekiwany odjazd zęb, który specjalnie wyrwał mu dentysta w Meksyku. Chciał, żeby nikt nie wątpił w jego śmierć. Po opuszczeniu Cloudcroft planował polecieć do Czech na operację plastyczną, która będzie wstępem do jego nowej tożsamości. I tak chciał poddać się liftingowi twarzy, a kilka tygodni niewygody wydawało się małą ceną za pieniądze, które chciał zarobić.

Clarenco spędził prawie cały poniedziałek, przysłuchując się, jak Eve omawia z negocjatorem sposób przekazania pieniędzy, albo oglądał kanał Bloomberg TV na kablówce, jednocześnie surfując po internetowych stronach finansowych na laptopie: NYSE, CBOE. Wszędzie, gdzie tylko spojrzął, u dołu monitora pojawiał się ciągle czerwony pasek, jakby giełdy wykrwawiały się na śmierć. W realnym czasie wszystkie indeksy niżkowały. S&P 500, S&P 100, Dow Jones Industrials, NASDAQ 100, CBOE Mini NDX - wszystkie stały tak nisko, że czegoś takiego nie notowano od piętnastu lat, a indeksy wahań giełdowych wzrosły o ponad sześć punktów. Dzielne wykresy schodziły pod podłogę, jakby narysował je jakiś złośliwy karykaturzysta. Od czasu do czasu Clarenco chwytał oddech, gdy widział, co dzieje się z opcjami eurodolarów lub z indeksami obligacji. Czasami nawet zaśmiał się głośno, gdy kratki do wypełnienia, ciągi grafików i powtarzające się tematy wiadomości opowiadały historię finansowej katastrofy.

- Dobrze się bawisz, co? - zauważyła Eve.

- Jakbym smakował najlepsze wino. Zawsze jest coś fascynującego, gdy się ogląda załamanie giełdy, pod warunkiem, że się w nią nie zainwestowało.

- Nie chodzi tylko o pieniądze, prawda? - dodała. - Chodzi ci o zemstę. Zemstę na giełdzie za zniszczenie twojej firmv.

- Domyśliłaś się? - Clarenco się uśmiechnął. - Zbudowanie firmy zajęło mi dwadzieścia lat, a niecałe dwadzieścia dni patrzyłem, jak firma zostaje doszczętnie zmieciona z powierzchni ziemi. Lecz nie tylko giełdę chcę zniszczyć. To tylko połowa historii. Są jeszcze banki. Banki, które mogły pożyczyć mi pieniądze. - Wzruszył ramionami. - Giełdy to nic osobistego, ale banki. Znałem sporo tych gości. Uważałem ich za przyjaciół. Wallenberg pożyczył mi pieniądze. Ale za pewną cenę. Kontroluje firmę. Pracuję dla niego. Jak ci się to podoba?

- Najlepiej będzie, jak zostaniesz przez jakiś czas w swoim apartamencie. Musimy sprowadzić resztę miliarderów do biblioteki. Nie chcielibyśmy, żeby ktoś cię zobaczył.

- Nadal nie mogę zrozumieć, jak Sam mogła spieprzyć sprawę leków. Ale to jej problem, nie mój. - Wzruszył ramionami. - Mam zapewnioną rozrywkę. Nie będę się nudził.

Jeden po drugim pozostali miliardrzy, niczym zwłoki pozbawione dusz, ożywiane czarną magią, nadal osłabieni po długim okresie anestezji, zostali sprowadzeni do biblioteki. Kilku miało wrażenie, że wcale nie opuszczali tego miejsca, że nadal jest piątek i nie zdarzyło się nic istotnego.

Przez moment siedzieli w bibliotece, rozważając, jaki cel może przyświecać porywaczom. Dopiero kiedy Bill King przyniósł telewizor do biblioteki i Eve zrobiło się ich żal i pomyślała, że najlepiej będzie o wszystkim ich poinformować - poznali oficjalną przyczynę swego uwięzienia.

- Biedny Bob - powiedział Wallenberg.

- Biedny Bob - powtórzył Tom Liebermann. - Jeżeli chcecie wiedzieć, to z jego winy w to wdepnęliśmy. Firma Boba miała chronić nas przed takimi ewentualnościami. On to spieprzył. Jezu, nic dziwnego, że jego firma się rozłożyła. Dziwię się, że ciągle z niego korzystasz, Cal.

- Uważam, że zapłacił całkiem sporą cenę za swój błąd, nie sądzicie? - wtrącił Nash Paine.

- Puszczanie tego przez internet to sprytne posunięcie - powiedział Don Volovsky.

- Rośnie oglądalność. Wiecie, byłby z tego dobry film.

- To może porozmawiaj z tą laską, co tu rządzi - szydził James Gatz. - Może przekonasz ją, żeby sprzedała prawa do scenariusza, ty wszawy sępie.

Volovsky wyszczerzył się, tolerując obelgę.

- Może tak zrobię.

- Nie mówią, co się naprawdę dzieje - wtrącił George Shapira, wskazując telewizor. - Nie mówią, co naprawdę tu się wyrabia. Co robi policja i FBI? Mówią tylko o tym, jaki to ma wpływ na giełdę.

- Nie przypominaj mi - jęknął Scott Jordan. - W zeszłym tygodniu zainwestowałem sporo w transakcje długoterminowe. To w efekcie może mnie sporo kosztować.

- Nie tyle, ile kosztowało Boba Clarenca - dodał Paine.

- Problem w tym - kontynuował Shapira - że nie ma sposobu, aby rząd zgodził się na któreś z tych żądań. My o tym wiemy, rząd też. I na pewno porywacze. Jednak nie wyglądali na szczególnie zmartwionych.

- Może pójda na kompromis - zasugerował Ford Sarmentington. - Rząd z łatwością mógłby unieważnić część długów Trzeciego Świata. Mógłby nawet zacząć oznaczać żywność zmodyfikowaną. Mnie by to nie dotknęło.

- Ci ludzie nie wyglądają na takich, co poszliby na kompromis - odezwał się Rudolph Miller. - Bardzo jasno pokazali, że są gotowi zabić, jeśli przyjdzie im ochota.

- Święta prawda - odparł Steve Vassall Fox. - Teraz to się cieszę, że nie jestem Errolem Laurensonem albo Eliotem Massingerem.

- Słuchajcie - powiedział Wallenberg. - Mamy drinki, przekąski, dobre cygara, książki, wygodne fotele, łazienkę i telewizor. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, dosyć tu wygodnie.

- Gal, wolałbym czuć się mniej wygodnie. Dobre cygaro nie poprawi sytuacji - odrzekł Jordan, oglądając, jak w CNBC omawiają historię finansowego sądu ostatecznego.

- Oczywiście masz rację - odparł Wallenberg. Wstał i odchrząknął. - W zasadzie to jestem wam wszystkim winien przeprosiny.

- A co to? - parsknął Volovsky. - Kolejna przemowa?

- Niech mówi - zawołał Gatz.

- Chciałem powiedzieć, jak mi jest przykro, że wpędziłem was wszystkich w taką sytuację. Czuję się paskudnie po tym, co się wydarzyło. Naprawdę.

- To nie twoja wina, Cal - powiedział Gatz. - Szczerze mówiąc, to powinienem zawrócić, jak zobaczyłem tych gówniarzy na lotnisku. Miałem złe przeczucia. - Zapalił jedno z cygar Wallenberga. - Dziwna rzecz z tymi ludźmi na lotnisku i tymi, którzy nas tu trzymają. Nie wygląda na to, że mają z sobą wiele wspólnego. Nasi porywacze nie wyglądają jak te typy, które interesują się Organizacją Handlu Światowego. Widziałem sporo tych ekowojowników w swoim czasie. Jakaś większa demonstracja i lecą okna w moich sklepach, tylko przez niezmiennie, ale błędne przekonanie, że wykorzystuję do niewolniczej pracy dzieci w fabrykach na Dalekim Wschodzie.

- No, przecież wykorzystujesz, nie? - odezwał się Volovsky.

- Gdyby nie ja, to te dzieciaki nie zarobiłyby żadnych pieniędzy - bronił się Gatz. - Co, mają głodować? Czy lepiej żeby pracowały?

- Osiemnaście centów za godzinę, żeby uszyć parę dzinsów, które sprzedajesz za trzydzieści dolców? Przestań pieprzyć.

- To do niczego nas nie doprowadzi - jęknął Shapira.

- Mówiłem - kontynuował Gatz, wpatrując się w Volovsky'ego - że ci tutaj nie wyglądają na radykałów.

- Jeżeli o to chodzi, to na kucharzy też nie - wtrącił Drennan.

- Tak, bardziej przypominają wojskowych niż kucharzy i kelnerów - zauważył Porteus.

- Ale ich kuchnia była w porządku - powiedział Wallenberg. - Piątkowy obiad bardzo mi smakował.

- Risotto mogłoby być lepsze. - Volovsky wzruszył ramionami.

- Może zgadali się z twoją ochroną - zasugerował Porteus.

- Nie wierzę. Przede wszystkim nie widziałem, żeby którykolwiek z moich ochroniarzy był w to wplątany. Ani jeden. Poza tym większość mojej ochrony jest ze mną od dłuższego czasu. Nieraz powierzałem im własne życie.

- Może to przeciwnicy rządu - kontynuował Porteus. - Jak Timothy McVeigh i Milicja Północnego Michigan. Biali Supremaci. Jak ci, z którymi robiła wywiad Dolores Milliano w telewizji. Oni demonstrują przeciw nowemu porządkowi świata i myślą, że jesteśmy tajną elitą planującą przejęcie rządów.

- A nie jesteśmy? - zagadnął Shapira. - Czy nasz gospodarz na powitanie nie to zaproponował? Nowa oligarchia? Może ci ludzie tam mają rację. - Podniósł ręce w geście rezygnacji. - A może to ty masz rację, Cal. Nie wiem. Mogę natomiast powiedzieć z całą pewnością, że po raz drugi w tym tygodniu jestem więźniem. I mówię wam, wkurza mnie to.

Wallenberg przyjął uwagi Shapiry skinieniem głowy. Potem spojrzął na Dona Voloysky'ego.

- Don. W zeszły piątek zadałeś mi pytanie.

- Tak?

- Zapytałeś, jak grupa ludzi takich jak my może zaufać sobie na tyle, żeby się zorganizować? Powiedziałeś, że trzeba by czegoś niezwykłego, żeby nas zjednoczyć w taki sposób, jaki sugerowałem.

- Pamiętam. Ale tylko tyle.

- Cóż, może właśnie to jest ta wyjątkowa sytuacja - powiedział Wallenberg, zapalając cygaro. - Gdybyśmy wszyscy na krótką metę się zjednoczyli, może byśmy wymyślili wyjście z tej sytuacji.

- Może.

- Potrzeba nam przywódcy - stwierdził Porteus. - Przywódcy z pomysłami. A ja nie mam żadnych.

- Kto ma? - zapytał Volovsky. - Oni mają broń. My nie. Oni są gotowi zabijać, aby osiągnąć swoje cele. Koniec banku pomysłów.

*

Przez większość dnia sierżant Zander czuł, jakby zaczynało mu dokuczać zatrucie pokarmowe, do czego przekonywało go tępe wiercenie w żołądku, które wysysało z niego energię. Gdy tylko porywacze wspomnieli o okupie i odrzutowcu, sprawa znalazła się w gestii federalnych. Lecz FBI zostawiło Zanderowi negocjacje, uznając, że ciągłość jest najważniejsza. Wszyscy myśleli, że zaciśnięte usta Zandera wyrażają rozczarowanie, iż nie zdołał powstrzymać porywaczy od zabicia Clarenca; ale prawda była taka - o czym wiedział Zander - że nie wykonywał już swojej pracy najlepiej. Był zmartwiony śmiercią Clarenca, to na pewno, ale bardziej martwił się tym, ile straci na akcjach. Od czasu do czasu Janine dzwoniła na jego prywatną komórkę i informowała go o wskaźniku Dow Jones. Kiedy giełdy zamknięto i dowiedział się, że indeks giełdowy spadł o sześć i pół procent, obliczył, że ten dzień już kosztował go trzydzieści tysięcy dolarów.

Akcje poszły w dół, ale jutro mogą się odbić, pomyślał Zander. Lecz jakie były na to szanse, kiedy w Cloudcroft nie rozwiązano sytuacji? Jaki kupujący będzie przekonany, że w poniedziałek giełda odnotowała najniższy poziom. Jaka istniała szansa na wyjście z opresji, dopóki Eliotowi Massingerowi i Errolowi Laurensonowi groziła egzekucja, którą będzie można obejrzeć na leverage.net? Jeśli nawet giełda trochę się odbije, będzie to tylko drobna korekta w trendzie spadkowym. Czy stać go, żeby stracił kolejne trzydzieści tysięcy we wtorek? A może nawet i więcej. Przypuśćmy, że wtorek okaże się nawet gorszy od poniedziałku?

Prawda była taka, że Zander dostrzegał mały powód do optymizmu. Odrzutowiec pełen pieniędzy z połową zakładników? Grupa HRT będzie rozważać możliwość ataku na samolot. Lecz podobnie jak Dillon i Everard, Zander wątpił w tego rodzaju operację. Pamiętał los izraelskich olimpijczyków w 1972 roku. Wszyscy zakładnicy i większość palestyńskich porywaczy została zabita na pasie startowym monachijskiego lotniska podczas nieudolnej próby odbicia sportowców przez niemieckie siły specjalne. Zander pomyślał, że ci porywacze muszą trzymać w zanadrzu coś, co zapewni im bezpieczeństwo. Podejrzewał, że odkryje, co to takiego, kiedy zadzwonił do Bette, by poinformować ją, że miliard dolarów jest w samolocie i można go obejrzeć przez kamerę internetową na zabezpieczonej stronie FBI.

- Bette? To ja, Tom Zander. Pieniądze są w samolocie i można je obejrzyć. Podaję adres strony.

Eve powtórzyła starannie adres.

- Dobra - powiedziała. - Tom, chcę, żebyś zrobił następującą rzecz. Pojedź tam sam. A potem, jak znajdziesz się obok pieniędzy, zadzwoń do mnie. Dobra?

Zander spojrzał pytająco na Murraya Shaara, przysłuchującego się rozmowie. RDLU, oddział szybkiego zaopatrzenia, spędził cały dzień w boeingu 737 Laurensona, instalując kamery i ładując miliard dolarów w gotówce, pochodzący z zapasów federalnych w Dallas. Co się teraz wydarzy w samolocie, zależało od niego. Shaar skinął głową.

Zander poczekał, aż Eve się rozłączy.

- O co tutaj chodzi? - zapytał Shaar.

- Ona chyba chce, żebym dotknął pieniędzy przed kamerą. Żeby mieć pewność, że nie wybuchną mi w twarz i nie pokryją mnie farbą. Coś w tym stylu. - Zamilkł. - Nie wybuchną, co?

Shaar potrząsnął przecząco głową.

- Pieniądze są w porządku - powiedział. - Ale na lotnisko pojedź lepiej boczną drogą. Nie chcemy, żeby ruszył za tobą ktoś z prasy i wywęszył, co się święci. Poza problemem zapewnienia bezpieczeństwa miliardowi dolarów, utrzymanemu w ładowni samolotu, pozostaje sprawa, jak to ludzie mogą odebrać. Mogą dojść do złych wniosków... że jesteśmy gotowi układać się z terrorystami.

Zander nie zapytał o implikacje ostatniej uwagi Shaara. Nie chciał wiedzieć, co planuje FBI.

Na lotnisku w Alamogordo z ulgą zauważyli brak dziennikarzy. Tylko paru facetów z zespołu HRT i RDLU. Wdrapali się do ładowni boeinga, gdzie pod baczynym okiem oka jednej z kamer spoczywał wielki, zielony sześcian pieniędzy wielkości małej ciężarówki, a wyglądał jak jakaś geometryczna rzeźba wyjęta z muzeum sztuki współczesnej.

- W życiu tyle forsy nie widziałem - powiedział Zander.

- Dla niektórych gości z Claudcroft to drobne - zauważył Everard. - Poretus ma... ile? Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt miliardów dolarów? Jak to możliwe, że zadowolili się tylko jednym?

- Popatrz, ile miejsca zajmuje. Prawdopodobnie obliczyli, ile ładownia może pomieścić. Pewnie dlatego wybrali odrzutowiec Laurensona. Jest największy. -

Zander spojrział na dowódcę oddziału RDLU, Pete'a Muffleya, a potem wskazał na kamerę. - Jesteśmy w internecie?

Muffley skinął głową.

- To chyba lepiej do nich zadzwonię.

Wyszedł przed kamerę, zadzwonił z komórki do wozu policyjnego, a stamtąd do posiadłości.

- Bette, mówi Tom. - Wpatrywał się w obiektyw, tłumiąc ochotę, żeby pomachać.

- Patrzysz?

- Tak - odpowiedziała. - Weź kamerę i pokaż mi wszystkie kąty ładowni.

Zander zrobił to, o co go prosiła.

- Teraz podnieś pierwsze dziesięć paczek banknotów i odłóż na bok.

Ponownie Zander zrobił, jak mu kazała.

- Weź następną paczkę do ręki. Odpakuj.

Zgodnie z poleceniem zdjął banderolę, odsłaniając plik setek.

- Wyciągnij jeden banknot ze środka i pokaż mi portret Franklina. Teraz Independence Hall po drugiej stronie. Dobrze. Przeczytaj numer.

- AB93820030P - odczytał Zander.

- Dziękuję. Ładnie operujesz kamerą. Teraz kiedy będziemy sprawdzać autentyczność numeru, idź do kabiny pasażerskiej. Chcę się upewnić, że tam też pracują kamery.

On i Everard opuścili ładownię i poszli schodami, a kiedy znaleźli się w przedziale dla pasażerów, Eve poleciła mu wziąć jedną z kamer i pokazać całe pomieszczenie. Zander wykonywał jej polecenia, ale cały czas myślał o tym, że ten ogromny samolot przeznaczony jest dla wygody tylko jednego człowieka. Przepiękne skórzane siedzenia wielkości jego rozkładanego fotela w domu, dywany tak grube, że trzeba by maczety, aby się przez nie przedrzeć, połyskująca stolarka. To był gigantyczny rolls-royce.

- Ulży ci, bo ten numer seryjny studolarówki jest w porządku.

- Pragniemy jedynie powrotu żywych zakładników. Wszystko w samolocie jest tak, jak chcieliście.

- Pewnie - powiedziała bez specjalnego przekonania. -Dobrze. Idź do kabiny pilotów.

Zander wszedł do kokpitu i obrócił się z kamerą.

- A teraz wyciągniesz transponder.

- Co to transponder? - zapytał.

- Urządzenie, które odbiera i wysyła sygnał cyfrowy. W ten sposób moglibyście wyśledzić, dokąd lecimy.

- Dobra, zaraz się tym zajmę.

- I naturalnie przeszukamy samolot, czy nie ma pluskiew. Nie wspominając o niechcianych pasażerach. Mamy na wyposażeniu sztuczny nos. Na pewno wiesz, co to takiego. Jedno z tych urządzeń, które wyłapuje ludzki oddech. Jeżeli będą jacyś policjanci albo agenci na pokładzie, znajdziemy ich. Dobra, oto jak wszystko przebiegnie. W garażu pana Wallenberga jest autobus. Pojedziemy nim na lotnisko. Polowa zakładników będzie miała założone elektroniczne bransoletki połączone z ładunkami plastiku i detonatorem. Poinformujcie waszych snajperów, że bransoletki będą kontrolować moi ludzie, którzy zdetonują je przy wszelkiej próbie uwolnienia zakładników. Możecie też zapamiętać, że gdyby wam się przypadkiem udało zabić wszystkich moich ludzi, zanim zdążą zdetonować ładunki, i tak bransoletki wybuchną przy pierwszej próbie zdjęcia ich bez autoryzowanego kodu.

- Pomyślałaś o wszystkim.

- Niewykluczone. Zwolnimy pięciu zakładników, kiedy wysiądziemy z autobusu. I kolejnych pięciu po sprawdzeniu samolotu, rzecz jasna, jeśli będzie w porządku. Pozostałych puścimy po dotarciu na miejsce przeznaczenia.

- Kiedy zamierzacie zacząć się ewakuować?

- Damy wam znać.

- Czemu nie teraz? Jak widzisz, pieniądze są gotowe. Im szybciej to się skończy, tym lepiej, nie uważasz?

- Wyciągnięcie transpondera zajmie ci kilka godzin. Jak to zrobisz, znowu porozmawiamy.

Rozłączyła się.

Zander znalazł Everarda leżącego na łóżku w sypialni Laurensa ze szklanką szkockiej balansującą na kuloodpornej kamizelce i z cygarem dłoni.

- Nalej sobie drinka, Tom - powiedział, gapiąc się w sufit. - A potem powiedz mi, czego ta suka chce teraz. - Widząc wahanie Zandera, dodał: - No, napij się. Kiedy ostatni raz zrobiłeś sobie przerwę?

Zanderowi nie trzeba było powtarzać. Otworzył mahoniowy barek i nalał sobie szklankę jacka danielsa z lodem. Everard wstał z łóżka.

- Szkoda, że żaden z nas nie umie latać - powiedział. - Wtedy bylibyśmy naprawdę bogaci. Ciekawe, czy będą żyć wystarczająco długo, żeby to wydać?

- Kto? Porywacze? Może planują przeznaczyć to na jakieś zbożne cele.

- Chyba powinienem zostawić dla nich błagalny list na poduszce Laurensona.

Wiesz, w takich sytuacjach żałuję, że Bóg uczynił ze mnie uczciwego człowieka.

Powiem ci coś, Tom. Nikt nie zarabia uczciwie takich pieniędzy jak Errol Laurensen.

Tylko popatrz na ostatnie pokolenie prawdziwych bogaczy w tym kraju. Ludzie tacy jak Joe Kennedy i William Randolph Hearst. To złodzieje, którzy zdobyli majątek, depreczując innym po twarzach. Ci faceci w Cloudercroft są tacy sami, tylko my jeszcze o tym nie wiemy. Uwierz mi, nie będę płakać, jeżeli napastnicy zdecydują się zastrzelić Laurensona. Nikt nie będzie płakać. Może tylko jego rodzina. Śmierć to jedyna sprawiedliwość na tym świecie. Facet z miliardem dolarów umierający na raka jest w tej samej sytuacji co konający facet, który nie ma grosza przy duszy. Może dostanie lepsze łóżko. Ładniejszą pielęgniarkę. Ale jak odchodzisz, nic z tego nie ma znaczenia.

- Kiedy zarobię pierwszy milion dolarów, będę o tym pamiętał. - Zander osuszył ostatnie krople jacka danielsa. - Lepiej wracajmy. Im dłużej nas nie ma, tym bardziej martwię się, że ci szaleni federalni skorzystają z naszej nieobecności i przypuszczą szturm na posiadłość. Najmniej chcemy krwawej łaźni.

- Myślisz, że naprawdę to zrobią?

- Nie. Nie ma potrzeby. Nie teraz, kiedy powiedzieli, że chcą wsiąść do samolotu. Jak już zamkną ich tutaj, to będzie całkiem odmienna historia, zobaczysz. Grupa HRT na pewno zacznie działać mimo tych bransoletek.

*

- Prawdopodobnie uderzą, kiedy znajdziemy się w samolocie. - Bill King zapalił kolejną cohibę i wypuścił dym pod nosem, jakby rozpylał spray. - Otoczą go ciężarówkami i samochodami, żebyśmy nie mogli się ruszyć. Wtedy wznowią negocjacje. Za nic nie pozwolą nam odlecieć z miliardem dolarów i dziesięcioma zakładnikami. Niemożliwe. Te wszystkie elektroniczne bransoletki nie zmieniają faktu, że tu pojawia się problem.

- Też tak uważam - zgodziła się Eve. - Przypuszczają, że poradzą sobie z każdym ładunkiem wybuchowym. Albo uważają, że blefujemy.

Wszyscy, razem z Bobem Clarencem, znajdowali się w centrum kontroli i przyglądali się obrazom z kamer FBI umieszczonych w boeingu Laurensona. Nick Pennac przeskakiwał z jednej kamery na drugą jak producent telewizyjny, ale ciągle wracał do widoku pieniędzy - wielkiej sterty banknotów, która wyglądała jak paleta ze

środkami pierwszej pomocy gotowa do zrzucenia z herculesa nad jakimś afrykańskim obszarem dotkniętym katastrofą.

- Zablokują nas i zaczną się obłąkanie, tyle że tym razem będą mieli znacznie większe szanse, bo samolot ma ograniczone zapasy wody i jedzenia. Po kilku dniach pewnie przypuszczą szturm na samolot. Granaty ogłuszające. Gaz. I wtedy zginą zakładnicy. Tak się zazwyczaj dzieje. Zawsze jakiemuś kretynowi wydaje się, że potrafi poprowadzić śmiałą akcję odbicia zakładników. Czemu? Ze względu na nieuniknione wady standardowego scenariusza porwania: musimy odebrać okup i uciec. - King potrząsnął głową. - Ta część planu zawsze mnie najbardziej przerażała.

- Nie trzeba się bać, Bill - powiedziała Eve. - Wszystko jest obmyślane. - Wskazała pieniądze na ekranie. - Dobrze przyjrzyjcie się tej forsie, panie i panowie. Miliard dolarów w gotówce. - Czego nie zrobicie, żeby położyć rękę na tych pieniądzech? Jakiego ryzyka nie podejmiecie? Ale te pieniądze uratują nam życie i, co równie ważne, także życie zakładników. Ponieważ bardziej zbliżyć się do nich nie możemy.

*

Zespół HRT - ratowania zakładników - był częścią Taktycznej Grupy Wsparcia FBI, która z kolei wchodziła w skład Kryzysowej Grupy Reagowania (CIRG) i funkcjonowała od 1982 roku. Zespół ratowania zakładników z bazą w Quantico w Wirginii mógł zjawić się w wyznaczonym miejscu działania w ciągu czterech godzin od powiadomienia przez dyrektora FBI i przeprowadzić akcję ratowania osób nielegalnie przetrzymywanych przez terrorystów lub przestępców.

HRT, składający się z dziewięćdziesięciu jeden agentów, których wielu było w Waco - pomimo ustaleń specjalnego doradcy, senatora Johna Danfortha w lipcu 2000 roku, według których HRT zachował się należycie podczas całego oblężenia Bractwa Dawidowego, wielu tych agentów było prześladowanych, jak to nazywał senator Danforth, „tajemniczymi pytaniami” - znajdował się na miejscu w Nowym Meksyku od wczorajszego późnego wieczoru. Zastępca dyrektora CIRG, czarny mężczyzna o budowie i ruchach zawodowego futbolisty, Sterling Ripper, zażądał, aby agent specjalny odpowiedzialny za HRT, Alonso Sidonia - uprzednio agent specjalny odpowiedzialny za oddział FBI w El Paso, dobrze znający ten teren - trzymał swoje siły w Alamogordo zamiast w Cloudcroft, dopóki ich natychmiastowa interwencja nie

okaże się potrzebna. Zatem HRT spędził niedzielną noc w Holiday INN Express przy White Sands Boulevard, szosie przelotowej północ-południe.

Alonso Sidonia urodził się w Ciudad Juarez, w Meksyku, ale wychował się w Odessie w Teksasie. Był niskim, twardym, zadbanym mężczyzną, o oczach tak czarnych i pozbawionych wyrazu, że z daleka wyglądał, jakby nosił okulary przeciwsłoneczne. Obecnie mieszkał w parterowym domku w Fairfax, zielonym przedmieściu Waszyngtonu, po zachodniej stronie Potomacu, około czterdziestu kilometrów na północ od swojego biura w Quantico. Widok z okna w hotelu nie wzbudzał w Sidonii żadnej nostalgii. Napis wiszący naprzeciw okna zapewniał, że Jezus przebywa w Alamo, co byłego katolika skłaniało do wniosku, że jeśli tak, to wykazywał wyjątkowo kiepski gust.

Gdy tylko porywacze zabili Boba Clarena i żądali odrzutowca, aby wylecieć nim z Alamo, Ripper rozkazał Sidonii rozmieścić swoich ludzi i przygotować się do ataku; a Sidonia i T.J. „Viet” Cong, żyłasty Chińczyk z bródką w stylu George’a Michaela, który przypominał czarny charakter z filmów z Bruce’em Lee, przez prawie cały poniedziałek rozmieszczał ludzi i planował strategię ataku.

- Tym razem nie możemy sobie pozwolić na żadne błędy - Sidonia mówił do Conga, powtarzając niemal dokładnie słowa Rippera, co z kolei pokrywało się ze słowami dyrektora FBI. - To nasza wielka szansa, żeby zamknąć wszystkim usta po Waco. Amerykańska opinia publiczna osądzi nas surowo, jeżeli zginą jacyś zakładnicy.

Lecz położenie lotniska w Alamo nie umożliwiło przeprowadzenia operacji, którą planowali Sidonia i jego przełożeni. Budynek portu lotniczego miał tylko jedno piętro i nie było żadnej wieży kontroli ruchu powietrznego: najwyższe miejsce dla snajpera HRT to jeden z prywatnych boeingów 737 zaparkowanych około pięćdziesięciu metrów od budynku. Między pasem startowym a górami Sacramento można było zobaczyć tylko piasek, krzaki i od czasu do czasu pekari obrożnego - dziką świnię pojawiającą się na pustynnych terenach Nowego Meksyku.

Sidonia i Cong, ubrani w czarne mundury polowe zespołu taktycznego, przemierzali tam i z powrotem pas startowy w trzydziestopięciostopniowym upale, przyglądając się wszystkiemu bez cienia optymizmu.

- Nie za bardzo jest gdzie się ukryć - burknął Sidonia.

- W krzakach można by umieścić paru snajperów - zasugerował Cong. Wskazał skraj pasa startowego. - Przykryć ich jakimś kamuflażem.

Sidonia skinął głową i zanotował coś w planie rozmieszczenia.

- Może zmieści się ze dwóch żołnierzy na dachu budynku. Widziałem większe stacje benzynowe.

- Niespecjalne lotnisko, co?

Cong wskazał samoloty po drugiej stronie pasa startowego.

- Moglibyśmy wymontować okna w jednym lub dwóch boeingach. Dać po dwóch lub trzech ludzi? Dwunastu agentów od biedy jakoś rozmieścimy, ale nie więcej.

Oczywiście, jeżeli ruszą w nocy, mrok będzie naszym sprzymierzeńcem.

- Ich też.

- A w dzień? Do diabła, widać na kilometry z każdej strony. A może schować paru w samolocie? Musi być miejsce w 737, gdzie da się ukryć paru ludzi.

- Trzeba porozmawiać z ludźmi z Boeinga. Może coś zaproponują. Miejsca, gdzie terroryści nie zajrzą.

Dwaj mężczyźni przeszli kilkaset metrów na południe, mijając prywatne odrzutowce, aż dotarli do hangarów lotniczych. Sidonia potrząsnął przecząco głową.

- Za daleko.

Cong wskazał na długi, biały ciągnik do szybowców ze sterzącym pionowo statecznikiem. Miał długość ponad dziesięciu metrów.

- Założę się, że można tam schować z tuzin chłopca. Zaparkować go tylko obok samolotu Laurensa. Taki koń trojański.

- Czemu nie. Moglibyśmy go trochę przerobić. Wstawić drzwi, żeby można było szybko wyjść. W środku byłoby jednak cholernie niewygodnie. Nasi chłopcy w pełnym rynsztunku by tam się ugotowali. - Sidonia zapalił papierosa i potrząsnął głową. - Ale chyba nie mamy wyjścia. Jak blisko możemy go zaparkować, nie wzbudzając podejrzeń?

- Pięćdziesiąt metrów. Wystarczająco blisko, żeby snajper zdjął człowieka.

- Coś mi się przypomniało. Powiedz dowództwu kryzysowemu, żeby rozdali naszym agentom zdjęcia wszystkich zakładników. Będą musieli znać ich twarze lepiej niż własnych matek. Zanim rozpoczniemy jakąkolwiek akcję, chcę sprawdzić naszych ludzi. Każdy, kto nie rozpozna twarzy, wypada z grupy.

RDLU przywiózł pieniądze z Dallas wczesnym popołudniem i przeladował je do samolotu, gdy montowano kamery internetowe. W tym czasie inżynierzy z Boeinga w Everett Field w Seattle poinformowali RDLU, że nawiązali kontakt z Aviation Concepts w Dallas - projektantami, którzy stworzyli wnętrze samolotu Laurensa

według jego osobistych zaleceń. Projektanci zaproponowali, żeby schody pneumatyczne tymczasowo usunąć - niby ze względu na usterkę - i w powstałym miejscu ukryć agentów. Ten plan jednak wziął w łeb, kiedy Zander i Everard po przybyciu na lotnisko poinformowali HRT, że porywacze mają detektory pluskiew i sztuczny nos - wszechstronny detektor potrafiący wyczuć jedną cząsteczkę zapachową na milion, często wykorzystywany przez patrole na granicy meksykańskiej do poszukiwania nielegalnych imigrantów w ciężarówkach.

Poza tym Zander powiedział Sidonii, Congowi i Muffleyowi, że zakładnicy będą mieli na rękach elektroniczne bransoletki z ładunkami wybuchowymi, i że próba usunięcia bransoletki bez odpowiedniego kodu skończy się eksplozją, co oznacza śmierć zakładnika.

- Blefują - powiedział Cong.

- Dlaczego tak przypuszczasz? - zapytał Zander. - Jak dotąd z techniką radzą sobie całkiem dobrze.

Muffley, ekspert logistyczny RDLU, powiedział, że jego zdaniem taką bombę dość łatwo zrobić.

- Ale rozbroić może być trudno. Lepiej skontaktuję się z Centrum Danych o Bombach, zobaczę, co oni sądzą. I z Hazardous Devices School w Huntsville w Alabamie.

Zander, wychodząc z samolotu, zauważył dwóch snajperów na dachu budynku lotniska, a jego bystremu oku nie uszedł błysk lunety gdzieś w krzewach na wschód od nich.

- Chciałbym dowiedzieć się dużo więcej o tych elektronicznych bransoletkach, zanim ktoś zacznie zdejmować tych bandytów - powiedział.

- Och, oczywiście - powiedział Sidonia takim tonem, jakby myślał dokładnie co innego.

Zander zmierzył go wzrokiem, próbując ocenić charakter swojego rozmówcy, zupełnie jakby Sidonia był uzbrojonym przestępcą, z którym musi negocjować.

- Mówię poważnie - dodał Zander. - Z pewnością zamierzacie ponownie zacząć negocjacje, jak się znajdą w samolocie. Jak ich otoczycie innymi prywatnymi odrzutowcami, ciężarówkami, i czym tam jeszcze się da, to nigdzie nie ruszą. Wtedy możecie prowadzić rokowania z pozycji siły. Im zaraz skończy się woda i jedzenie...

- Wiem, jak prowadzić negocjacje, sierzancie - zwrócił mu uwagę Sidonia.

Lecz Zander nie przerywał. Nie wyobrażał sobie, żeby jego własny portfel akcji odzyskał formę, jeżeli zakładnicy - najpotężniejsi biznesmeni Ameryki - będą leżeć martwi na pasie startowym lotniska w Alamogordo.

- Ta kobieta, z którą rozmawiałem. Mówię do niej Bette. Nie jest głupia. Mogą się spodziewać, że coś tu planujemy. Dlatego prosili o te wszystkie kamery. I już raz zabili. Na pewno nie zawahają się, żeby zrobić to ponownie.

- Sierżancie, teraz to już jest sprawa FBI. Jak terroryści tu się zjawią, możecie nam zostawić sprawę.

- Czy dobrze rozumiem, że nie będę już potrzebny jako negocjator?

- Skorzystamy z własnego. Myślimy, że zmiana podejścia może...

- Kogo?

- Kogoś z CNU.

- O? Szkoliłem się z wieloma negocjatorami w CNU. Kogo chcecie wziąć?

- Mandrake'a.

- Clifforda Mandrake'a? Tego, który pracował nad systemem HOBAS?

HOBAS, czyli Hostage Barricade Database System, zawierał dane o ponad dwustu przypadkach porwań zakładników.

- Właśnie.

- Jest trzystu sześćdziesięciu negocjatorów w pięćdziesięciu sześciu biurach, a wy sprowadzacie naukowca? - Zander potrząsnął głową.

Sidonia się zawahał. Nie miał zamiaru dyskutować.

- Jak powiedziałem, sierżancie, gdy tylko tu się zjawią, możecie zostawić sprawy nam. Wyrażam się jasno?

- Całkowicie.

Zander skinął głową niezbyt szczęśliwy. Zaczął coś mówić, ale Everard go powstrzymał.

- Daj spokój, Tom. Wracajmy do Cloudcroft.

- Dobry pomysł - wtrącił Cong.

Zander zaczął iść w stronę samochodu, za nim Everard, ale w połowie drogi odwrócił się gwałtownie na pięcie.

- Tylko nie spieprzcie wszystkiego tym razem, tak jak w Waco - powiedział i ruszył do wozu.

- Kutas - mruknął Sidonia. - Mam nadzieję, że zanim to się skończy, wetknę nos tego dupka w piach. - Zapalił papierosa, ignorując wszelkie znaki bezwzględności

zakazu palenia oraz fakt, że paliwo lotnicze jest wysoce łatwopalne. - A propos, dlaczego sprowadziliśmy Mandrake'a? - On jest naukowcem.

- Była niedziela. Tylko jego mogliśmy znaleźć z czterogodzinnym wyprzedzeniem.

- Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli z niego korzystać. Jeżeli kogoś nienawidzę bardziej niż glin, to studentów udających policjantów.

*

Bill King wyjął cygaro z ust i wypluł na podłogę kawałek tytoniu. Zgubił obcinarke do cygar i w rzadkich momentach braku szacunku próbował rozciąć koniec cygara paznokciem kciuka, co czynił wyjątkowo niezdarnie.

Pieniądzy na okup użyjemy jako wabika - wyjaśniła Eve. - Może ostatecznego. Nikt nie podejrzewa, że zostawimy miliard dolarów w prywatnym odrzutowcu, ale tak właśnie postąpimy. Z tych wszystkich powodów, które wymieniłam. Widzicie, nigdy nie chodziło w tym o okup.

- Nie? - zdziwił się Pennac. - To może powiesz, o co tu chodziło. I nie chcę słyszeć, że sprzedajesz miejsca reklamowe na naszej stronie.

King polizał koniuszek cygara, nadając mu kształt lizaka.

- Domyślałem się, że odchodzi tu coś dziwnego - odezwał się. - Pomijając fakt, że mam dostać milion dolarów, a okup wynosi tysiąc razy tyle. Pomyślałem sobie, dobra, zawarłem z tymi ludźmi umowę. Mają jakieś duże wydatki. Ale dziwne było to, że tak cholernie chłodno podchodziliście do tego okupu, jakby nic was nie obchodziło ryzyko.

- Proszę, nie mów, że chodziło o te informacje, które z nich wydobyliśmy, jak byli naćpani - powiedziała Sam. -Tylko tego nie mów.

- Coś mnie tu poważnie zaczyna niepokoić - wtrącił Clayton Bird.

- Mnie też - dodała Ann Choy.

- Lubię gotówkę - stwierdził Busiek. - Dla kogoś takiego jak ja gotówka to właściwe wynagrodzenie za moje wysiłki. Tak to pojmuję.

- Cierpliwości - powiedziała Eve. - Nie chcieliśmy wam mówić, aż do chwili obecnej, ponieważ uznaliśmy, że teraz będzie najlepszy moment, abyście zrozumieli, co tu się dzieje.

Andy Hogarth kiwał głową.

- Akurat w tym momencie nie mam głowy do różnych rozważań.

- W filmach - powiedział King - skok jest przeważnie wyjaśniany tym, którzy biorą w nim udział, na samym początku. To taka konwencja. Wiecie, o czym mówię? Ale zamieniam się w słuch, bo chcę się dowiedzieć, co my tu wszyscy robimy. Tylko zaznaczam, że oczekuję czegoś cholernie dobrego, co przebije moje oczekiwania finansowe. Czyli milion dolarów gotówką.

Bob Clarenco spojrział na Eve. Zawsze martwiła go ta konkretna faza planu; ale ona nalegała. „Oni tego po prostu nie rozumieją, dopóki nie zobaczą w telewizji na własne oczy - powiedziała mu to jeszcze w Nowym Jorku. - To tak, jakby powiedzieć im, że znasz wygrywające numery w przyszłotygodniowym losowaniu loterii. Nie uwierzą ci”. Clarenco miał wątpliwości co do tego. „Ty to rozumiałaś. Dlaczego oni by nie mieli?”. Eve jednak nie ustępowała. „W porządku - przystał - przypuśćmy, że nie rozumieją nawet wtedy, kiedy im wytłumaczę. Co potem?”. Eve zaśmiała się. „Miejmy nadzieję, że jesteś dobrym nauczycielem, Bob”. Patrząc teraz na Boba Clarenca, Eve miała dokładnie taką samą nadzieję. Jeżeli ich nie przekona, to sprawy mogą przybrać bardzo brzydki obrót.

Clarenco przecesał dłonią długie, jasne włosy i uśmiechnął się nerwowo.

- Przede wszystkim chciałbym przeprosić was wszystkich, że tak długo nie zdradzaliśmy wam szczegółów. - Podszedł do krzesła przy blacie kontrolnym. - Nick, mogę tu usiąść na chwilę?

- Oby było warto - rzekł Pennac, ustępując miejsca.

Clarenco usiadł i przysunął do siebie klawiaturę. Wyłączył specjalnie przygotowaną przez FBI stronę i wpisał inny adres.

Po sekundzie lub dwóch wszyscy patrzyli na białą-niebieską stronę internetową z mnóstwem cyfr i przesuwanymi się słowami, które wyglądały jak miniaturowa wersja Times Square. Widząc to, Clarenco szeroko rozpostarł ramiona, jak ktoś zapraszający ludzi do swego domu.

— Panie i panowie? Witam na Chicagowskiej Gieldzie Opcji. Największej na świecie. Ta giełda pokrywa ponad pięćdziesiąt jeden procent wszystkich transakcji opcjami w Stanach. Jeżeli widzieliście film *Nieoczekiwana zmiana miejsc* z Eddiem Murphym, to wiecie, jak to miejsce wygląda. Dużo facetów w kolorowych marynarkach, którzy zawierają transakcje, wykrzykują oferty i ceny, wymachują rękami jak bukmacherzy na wyścigach. Co w zasadzie specjalnie nie mijają się z prawdą. Pomyślcie o tym jak o gigantycznym kasynie, gdzie ludzie efektywnie stawiają na to, co ma wydarzyć się w przyszłości. Z tym wyjątkiem, że zamiast stawiać

na konia albo grać w kości, stawiają na to, co ma wydarzyć się na giełdzie akcji. Na rynku pieniędzy. Na giełdzie papierów wartościowych. Jeżeli dotyczy to finansów, oni stworzą pozycję dla danego waloru. I tak naprawdę wcale nie jest to bardziej skomplikowane. Och, oczywiście, maklerzy i kupcy starają się, żeby to wyglądało na bardziej skomplikowane, żeby odróżnić się od hazardzistów, żeby mogli spojrzeć żonom i dzieciom w oczy, jak wrócą wieczorem do domu. Używają nawet jakiejś niesamowitej algebry, żeby obliczać wahania rynku. Ale to tak, jakby mieć informatora na wyścigach. Niektórzy z nich wysoko grają. Bardzo wysoko. Toteż jeśli myślicie, że rynek kotów i psów idzie w górę, wtedy na to stawiacie i nabywacie opcję kupna. Jeżeli jednak uważacie, że rynek kotów i psów będzie zniżkować, wtedy stawiacie odpowiednio i kupujecie opcję sprzedaży. Czekacie ustalony okres... czasami nawet sześć miesięcy, a czasami tylko pięć dni, i pod koniec tego czasu sprawdzacie, co się zmieniło. Jeżeli mieliście rację, odbieracie pieniądze. A jak byliście w błędzie, tracicie. Ale co sprawia, że te zakłady są tak atrakcyjne? Otóż jest to dźwignia finansowa. Dźwignia finansowa oznacza wielkość ryzyka w zestawieniu z możliwym zyskiem. Widzicie, opcje kosztują bardzo mało w porównaniu z tym, ile może wynieść potencjalny zysk. Innymi słowy, w przeciwieństwie do gry na wyścigach albo w kasynie nie musicie dużo stawiać, żeby dużo wygrać. W zeszły piątek postawiłem bardzo zdecydowanie, że giełda spadnie w ciągu następnych pięciu dni. Kupiłem kilka milionów opcji sprzedaży na poczet całego koszyka akcji i... zgadnijcie co? Rynek runął w dół. W zasadzie to spadł, gdy tylko kupiłem opcje, ale to inna historia związana z wielkością pozycji. Od tamtego momentu, jak bez wątpienia jesteście świadomi, rynek bardzo efektywnie załamał się dzięki mojej nieodwracalnej śmierci oraz groźbie, że podobny los spotka naszych przyjaciół miliarderów. To oznacza, że już poważnie kręcimy ten interes. Lecz w którymś momencie jutro, gdy jeszcze bardziej pogrążymy rynek, zmienimy kierunek; stworzymy własną hossę wbrew obecnej bessie. Mój partner w Chicago - handlarze opcjami nazywają go „przeciwnikiem trendów” - założy się, że rynek pójdzie w górę w ciągu następnych pięciu dni, kiedy wyda instrukcje naszym brokerom, żeby zaczęli kupować opcje kupna. I znowu dźwignia finansowa umożliwi nam osiągnięcie niesamowitych zysków, kiedy - zgodnie z planem - wypuścimy wszystkich zakładników bez uszczerbku na zdrowiu, a giełdy poszybują w górę.

- Dobra, ile z tego będzie? - zapytał King.

- Cóż, pomyślcie. Wszyscy ponosimy to samo ryzyko. Jeżeli mnie złapią, pójdę do więzienia tak samo jak wy. Może zginę tak jak wy, jeżeli sprawy potoczą się naprawdę źle. Kapitałowe koszty tej roboty plus oczywiście koszty zakupu opcji. Chcecie liczb? W porządku, powiem ci, przyjacielu. W zeszły piątek kupiłem opcje sprzedaży za piętnaście milionów dolarów na poczet koszyka udziałów po dziesięć dolarów za opcję. To jest półtora miliona opcji. Jak dotąd na każdej opcji zarobiłem piętnaście dolarów, a mój fundusz obecnie wynosi około dwudziestu dwóch milionów dolarów. Powiedzmy, że za dwadzieścia dwa miliony nabędę dziesięciodolarowe opcje kupna... to jest dwa i pół miliona opcji. Tylko tym razem rynek odzyskuje pozycję tak spektakularnie, że zarobię ponad dwieście dolarów na akcji. Tym razem będzie to zysk wielkości dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. Z czego wychodzi około dwustu dwudziestu pięciu milionów.

- To nie to samo co miliard dolarów w gotówce - obruszył się Busiek.

- Prawda, ale jak by to powiedzieć, lepszy wróbel w garści... Mniej pieniędzy jest zaangażowanych, ale jest też o wiele mniejsze ryzyko. Pieniądze zostaną wpłacone na konto na Kajmanach, skąd za kilka dni możecie odebrać po milionie dolarów. A do tego nowy paszport, tak jak ustaliliśmy. Po odjęciu kosztów, które były spore, i waszych honorariów, mój zysk wyniesie sto osiemdziesiąt pięć milionów.

Busiek gwizdnął.

- Zgadzam się, że to o wiele więcej, niż wy dostaniecie. Ale jak powiedziałem, mam o wiele więcej do stracenia.

- Przypuśćmy, że sami postanowimy iść po tamten miliard dolarów - powiedziała Sam. - A tobie zostawimy te opcje.

- Sam, może nie słuchałaś. Wsiądziesz do samolotu, a wtedy oni nas przyskrzynią. Wezmą w ogień krzyżowy. Wszyscy zginieją. W tym pewnie paru zakładników. Co byłoby katastrofalne dla odzyskującej formę giełdy. Straciłbym wszystkie pieniądze, które jeszcze muszę postawić na zwykłą giełdę. A to byłaby wielka szkoda, ponieważ, jak mówiłem, tego jedyne nie będą się spodziewać. Kto słyszał o porwaniach, kiedy porywacze nie próbowali odebrać pieniędzy? To jedno czyni cały plan niemal idealnym.

- Niemal? - podchwyciła Sam.

Clarence uśmiechnął się.

- Pomimo tego wszystkiego, co powiedziałem, nadal możesz być na tyle niemądra, żeby iść po tę gotówkę.

King zaśmiał się.

- Bystry z ciebie skurczybyk, to fakt. - Zapalił ponownie cygaro. - Istnieje jednak jeden problem z tym planem, panie Clarenco. Jeżeli nie pojedziemy autobusem na lotnisko, żeby wsiąść do odrzutowca, to jak, do cholery, stąd się wydostaniemy? Gdybyś nie zauważył, to cholerne miejsce otoczyły FBI, Gwardia Narodowa, policja stanowa i Bóg wie, kto jeszcze.

- Zastanawiałem się, kiedy to zauważycie. To moje ubezpieczenie. Dlatego właśnie śmiało przyznaję wam, ile zarabiam na tej robocie. Dlatego nie jadę na lotnisko, jeżeli postanowicie udać się po pieniądze. Widzicie, istnieje inny sposób, żeby się stąd wydostać. I tylko ja go znam. Nawet Wallenberg nie ma o nim pojęcia. Prawdopodobnie moglibyście go odkryć. Ale czasu akurat teraz nie mamy.

Clarenco wstał od konsoli.

- Panie i panowie, macie wybór. Możecie iść po ten miliard dolarów, ale ryzyko jest olbrzymie. Kto wie, może będziecie mieli szczęście. Chociaż wątpię. Możecie też zostać i zaufać mi, że wydostaniemy się stąd. Pomyślcie. Życ za milion albo skończyć jako nieboszczyk. Do tego to się sprowadza. Z wyjątkiem jednego. Decydujecie się iść po pieniądze, to żegnacie się z Eve i ze mną. A zastanawiać się będziecie sami.

- A gdybyśmy poprosili o większy udział? - zapytał Pennac. - Czemu nie pięć milionów dolarów na głowę? Możesz nam to odpalić z własnej działki.

- Sądziysz, przyjacielu, że biznes polega na zaufaniu? - Clarenco uśmiechnął się sadystycznie. - Zaufacie mi, że dam wam pięć milionów zamiast miliona, jak znajdziemy się na Kajmanach? A czemu nie dziesięć? Czemu nie dwadzieścia? Pewnie, mogę wam to obiecać. Teraz mógłbym powiedzieć: Dobra, Nick, dam każdemu pięć milionów dolarów. Ponieważ poprosiłeś mnie o to, a miły z ciebie gość. Ale musiałbyś mi zaufać. A to zrobiłoby z ciebie idiotę. Bo jak dotrzesz na Kajmany, nadal skończysz z milionem. I co wtedy zrobisz? Zabijesz mnie? Powiesz glinom? Nie sądzę. Wyszedłbyś na kretyna, a ja nie wybrałam cię dlatego, że udajesz wariata. Biznes nie polega na zaufaniu. Gdyby polegał, nie byłoby kontraktów. Nie byłoby tylu prawników w firmach. Organizacje opierające się na zaufaniu mają krótki żywot. Biznes jest bezwzględny. Nie zamierzam dać każdemu z was pięciu milionów dolarów, ponieważ nie chcę dać wam pięciu milionów dolarów. Dam wam milion, ponieważ tak obiecałem. Nie podoba wam się to wynagrodzenie, to już trudno. Albo ja, albo ruletka na lotnisku w Alamogordo.

Bill King zaśmiał się głośno.

- Niech mnie diabli, jeżeli kiedykolwiek rozumiem, jak straciłeś swoją fortunę, panie Clarenco - rzeki. - Jesteś najbardziej bezwzględny skurwysynem, jakiego znam. - Wzruszył ramionami i popatrzył po innych. - Facet zna wszystkie odpowiedzi. Chyba nie mamy wyboru.

Eve czekała chwilę, aż zobaczyła, jak Nick Pennac i Ann Choy kiwają potakująco głowami. Wtedy zabrała głos.

- Czy wszyscy jesteście co do tego przekonani?

- Tak - rozległ się chór.

Tylko Sam złowieszczko milczała.

- Dobrze - kontynuował Clarenco. - Teraz uspokójmy się i bierzmy do roboty.

Eve odetchnęła z ulgą i wyszła za Bobem.

- W Nowym Jorku trudniej było zrozumieć to wszystko - powiedziała, dogoniwszy go.

- Naprawdę? Cóż, pracowałem nad przemową. Może powinienem napisać książkę. Derywaty dla opornych. Oczywiście nie jest to takie proste, jak przedstawiłem, ale chyba nie byli gotowi na rzeczy bardziej skomplikowane.

- Gdybyś pokazał im coś z algebry, zabiliby cię.

- Do diabła, nie mogą mnie zabić. Nie widziałaś w telewizji? Już nie żyję.

*

Dolores Milliano starała się nie myśleć, co dzieje się z jej portfelem akcji, ale było to jak guz w piersi, którego starała się nie odczuwać. Pomagało jej, że była zajęta pracą. Pierwsza dowiedziała się o państwie Canova i zrobiła z nimi wywiad w ich domu w Tularosa. W konsekwencji Milliano była pierwszą dziennikarką, która nadała na antenie teorię Benita Canovy, że kryzys spowodowali ludzie z firmy cateringowej, i przeprowadziła rozmowę z kierownikiem i właścicielem hotelu Lodge, prosząc, aby ich opisał. Okazało się, że prawdopodobnie jeden z przestępców zajmował wcześniej jej pokój.

Także pierwsza przeprowadziła wywiad z pilotem Murraya Drennana, który zatrzymał się w Days Inn Motel w Alamogordo. Pilot, który nazywał się Philip Maupassant, opowiedział jej trochę o tych wypadach do Wallenberga i zdradził, że pan Drennan - i może jeszcze jeden lub dwóch gości - planowali wyjechać dzień wcześniej i wrócić do Nowego Jorku ze względu na wydarzenia na giełdzie z

poprzedniego piątku. Lecz tych najciekawszych uwag nie wyemitowano, kiedy powiedział Dolores Milliano, że FBI coś przygotowuje na lotnisku.

- Przed lunchem poszedłem po coś do samolotu pana Drennana - wyjaśniał - a kilkaset metrów w górę drogi dochodzącej do lotniska spotkałem agentów federalnych, którzy mnie zawrócili. Powiedzieli, że lotnisko jest zamknięte do odwołania. Kiedy zapytałem dlaczego, powiedzieli mi, że to tajne. Ale byli uzbrojeni po zęby.

Sprzed wozu transmisyjnego Elder dzwonił do śmigłowca NBC, który korzystał z lotniska w Alamogordo, i uzyskał potwierdzenie informacji Maupassanta.

- Cały cywilny ruch jest kierowany do Roswell i Las Cruces - poinformował Milliano.

- Jeżeli doszli do porozumienia - zastanawiała się - to mogą pozwolić im odlecieć. Powinniśmy na wszelki wypadek sprowadzić jeszcze jedną ekipę telewizyjną. Szkoda by było, gdybyśmy coś stracili. W Monachium prawdziwa historia nie wydarzyła się w wiosce olimpijskiej, ale później na lotnisku, racja?

- To przygnębiające - rzekł Elder - ale jak mamy wprowadzić ekipę na lotnisko? Droga jest zamknięta.

Dolores Milliano już rozłożyła na kolanach mapę.

- Patrzcie. Lotnisko jest otoczone pustynią. Górami. Parkiem Stanowym imienia Qlivera Lee. Założę się, że ekipa w SUV-ie mogłaby podjechać. Mogą ustawić kamerę gdzieś na skraju pustyni. Jeżeli zabiorą kamerę z potężnym obiektywem, będą mogli wszystko zobaczyć.

- Pod warunkiem, że coś się wydarzy - zauważył Elder, ale mimo to zgodził się zadzwonić do NBC i sprowadzić kolejną ekipę z El Paso.

Po powrocie do Cloudcroft Milliano przeprowadziła rozmowę z burmistrzem, Bozo Molesworthem, który starał się patrzeć na to optymistycznie po sprzedaży swoich akcji ze stratą ponad czterech tysięcy dolarów; przynajmniej wioska zarabiała. On sam był cichym udziałowcem miejscowego sklepu sportowego, gdzie interesy szły jak nigdy. W jedno popołudnie sprzedali osiem rowerów górskich.

Podczas wywiadu Molesworth próbował wyrazić swój żal z powodu tego, co się stało, ale już wkrótce uśmiechał się i przyznawał, że prosperity w wiosce to niespodziewana premia.

- Poza okresem zimowym niewiele tu się dzieje - wyjaśnił. - To znaczy, kiedy pan Wallenberg nie organizuje swoich zjazdów. To zawsze ściąga trochę ludzi do wioski.

W większości dziennikarzy zafascynowanych koncentracją bogactwa w jednym małym miejscu. Jednak przeważnie nie ma co oglądać, więc szybko wyjeżdżają. Najlepsze jest lotnisko, gdzie przylatują prywatnymi odrzutowcami. Kiedy miną bramę posiadłości, tyle ich widać. Nie wychodzą, żeby coś zjeść czy coś podobnego. Ale to... to największe wydarzenie od Parady Zwierząt Domowych w grudniu zeszłego roku, na które zjechało się sporo ludzi z okręgu Otero.

- Na pewno, ale co pan powie na zarzuty, że miejscowi sklepikarze czerpią z tego korzyści?

- Ludzie muszą zarabiać. Jak powiedziałem, niewiele dzieje się tu poza zimą. Większość interesów w Cloudcroft jakoś ciągnie, ale ledwo ledwo. Właśnie wydaliśmy sześć milionów dolarów na miejscową szkołę i nadal potrzebujemy nowego sprzętu komputerowego.

- Tak, ale cztery dolary za filiżankę kawy?

- To wygląda drogo, wiem. Ale musimy zadbać o nasze dzieci. Kiedy to się skończy, a mam nadzieję, że już wkrótce, wrócimy do tego, co było przedtem... cichej, spokojnej miejsciny, gdzie niewiele się dzieje.

- Czyli dla was to tylko dolary i centy?

- Niezupełnie. Prawie każdy w Cloudcroft modli się za pana Wallenberga. Szkoły byśmy nie zbudowali bez jego pomocy. Wyłożył ćwierć miliona dolarów, zanim ktokolwiek dał centa.

- Więc był szczodry?

- Nie wie pani nawet połowy. Ta miejscina umierała, aż jego ojciec przyjechał, ale gdyby nie on...

Kiedy Bozo Molesworth mówił, uświadomił sobie, ile Calvin Wallenberg znaczył dla przyszłości miejsciny. Dlaczego do tej pory tego nie widział. Zdjął kapelusz i powoli potrząsnął głową. Ten człowiek nie był ważny, on był niezastąpiony.

- O co chodzi? - zapytała Milliano.

- Mówi pani o czerpaniu zysków, jakbyśmy za wszelką cenę chcieli zarobić na tej sytuacji. Ale nikt z was nie spytał, co będzie z Cloudcroft, jeżeli broń Boże, coś się stanie z Calem Wallenbergiem. Ponieważ nie tylko zagrożone jest życie pana Wallenberga i jego gości. W miasteczku nie ma sklepu, w którym Calvin Wallenberg nie byłby najlepszym klientem. On jest głównym pracodawcą, najwięcej kupuje; jest najbardziej szczodrym i myślącym o innych człowiekiem w Cloudcroft. Całe miasto jest teraz zagrożone. Kiedy następnym razem będziecie mieli ochotę narzekać na

kawę za cztery dolary, to przypomnijcie sobie, że jeżeli on zginie, zginie też Cloudcroft.

*

Trzy tysiące kilometrów od Cloudcroft, w Chicago, Joel Reichmann otoczony luksusami apartamentu na czterdziestym piątym piętrze hotelu Four Season siedział i oglądał telewizję, wznosząc toast butelką szampana za to, co komentatorzy CNBC nazywali Czarnym Poniedziałkiem II: Chiński Syndrom. Jego inwestycyjna dźwignia finansowa spisywała się fantastycznie i z trudem rozpoznawałyby te marne sumy, które Bob Clarenco przedstawiał swoim konspiratorom w Nowym Meksyku, chociaż rozumiał jego ostrożność. Nawet w Chicago należało być czujnym. Dlatego właśnie przebywał tu od kilku tygodni, nadszukiwał bankierom, spotykał maklerów i ogólnie tworzył wizerunek.

„Poznaj klienta”, tak mówią kupcy. Joel Reichmann starał się, by poznano go jako właściwą osobę do robienia interesów - menedżera funduszy inwestycyjnych, a nie kogoś, kto pierze brudne pieniądze. Z tego powodu Reichmann używał własnego nazwiska. Na Wall Street było jeszcze sporo ludzi, którzy nadal go znali. Reichmann przez długi czas był doradcą inwestycyjnym u Mansfielda Shiera, odnoszącego spore sukcesy, aż przejął go Wallenberg, a Reichmann w wieku czterdziestu siedmiu lat stracił pracę i odkrył, że jest za stary, aby dostać nową.

Wyszedł z firmy Mansfielda Shiera z dziesięcioma milionami dolarów, z czego większość zainwestowana była w jego mieszkanie i fundusz emerytalny. Zdecydowanie niezbyt zamożny, ale nie było źle. Gdyby miał pięćdziesiąt siedem lat, a nie czterdzieści siedem, mógłby przejść na emeryturę. Dawno po rozwodzie, mógłby żyć całkiem wygodnie z emerytury. Ale czterdzieści siedem lat to zbyt młody wiek, aby się poddawać. Spróbował więc znaleźć inną pracę, ale bezskutecznie. W konsekwencji tego niepowodzenia Reichmann coraz bardziej gardził swoim poprzednim życiem. Nabrał przekonania, że pieniądze i giełda są głupie, i że zawsze takie były. Oczywiście sporo zdolnych osób pracowało w tym interesie, ale to nie znaczyło, że giełdy są mądre. Niegdyś ludzie handlowali na giełdach cebulkami tulipanów i nic niewartymi akcjami, a teraz kupowali w internecie akcje i obligacje śmieciowe. Rzeczywiście, Joel Reichmann nie mógł się nadziwić, czym ludzie handlowali na giełdzie: automaty sprzedające, bony loteryjne, Beanie Babies, Kelly Bags... Bóg jeden wie, co jeszcze.

Jedyną rzeczą, na którą nie było jeszcze rynku, był pozbawiony pracy czterdziestosiedmioletni doradca inwestycyjny.

Przez moment, kiedy uświadomił sobie, że nie wróci już do pracy na Wall Street, zastanawiał się, czyby nie napisać książki, jak Peter Lynch lub Dolores Milliano, o jednym z tych agresywnych, pomnażających pieniądze tytułów, na przykład *Jezus jest twardy dla milionerów*. Lecz szybko zrozumiał, że nie interesują go szybkie rozwiązania z poradników. Im lepiej im się przyglądał, tym bardziej wierzył, że ponieważ każdy głupiec może je napisać, każdy głupiec będzie je pisał. Stopniowo dochodził do wniosku, że wolałby napisać powieść. Finansowy thriller... chyba właśnie do tego gatunku miał najlepsze kwalifikacje.

Przemyślał finansowy atak na rynek transakcji terminowych i po dokładnym przygotowaniu fabuły przypadkiem przedstawił ją Bobowi Clarenco podczas lunchu. Bob zadzwonił do niego nazajutrz i powiedział, że nie widzi powodu, dla którego nie mieliby go wprowadzić w życie. Reichmann zastanawiał się nad tą propozycją przez kilka dni i ostatecznie się zgodził. Kiedy wszyscy na Wall Street interesowali się następnym IPO i jedynie szybkim zarobkiem - ciągłym kupnem i sprzedażą, skazując małego inwestora na straty - Reichmann nie widział powodu, dla którego nie mieliby z Bobem zarobić jeszcze szybciej. Całymi miesiącami ludzie mówili mu, że nie ma przyszłości. Teraz uświadomił sobie, że może kupić sobie przyszłość, tak samo jak co innego.

Tak więc Reichmann zlikwidował wszystkie swoje aktywa - w tym emeryturę - i uzyskane pieniądze dodał do puli, zainwestowanej przez Boba Clarenca w ich własny ekskluzywny i dynamiczny fundusz, którego celem było przywrócenie im obu majątku. Bob zawsze miał dużo czasu dla Joela Reichmanna. To Reichmann pomógł stworzyć Bobowi Clarenco IPO; i gdyby tylko posłuchał rady Reichmanna - kupić „kołnierzyk”, gotowy pakiet opcji, które zabezpieczyłyby go przed wszelkim spadkiem wartości jego udziałów - Clarenco nadął byłby miliardrem i ich własny fundusz wysokiego ryzyka, który teraz nazywali Principia, nigdy nie ujrzałby światła dziennego w banku na Wielkim Kajmanie.

Kiedy w końcu byli gotowi wykonać ruch, Reichmann zadzwonił do swojego starego przyjaciela, Marty'ego Grabela, który pracował u Goldmana Sachsa i zaprosił go na lunch do „Frances Tavern” w Nowym Jorku. Grabel, nieco zmartwiony tym, że Reichmann może go prosić o pomoc w załatwieniu pracy, nie mógł odmówić, gdyż „Frances Tavern” znajduje się przy Pearl Street, tuż za rogiem. Z ulgą i zadowoleniem

przyjął wiadomość, że Reichmannowi dopisało szczęście... że zarządza nowym funduszem wysokiego ryzyka o nazwie Principia. Grabel był jeszcze bardziej zadowolony, gdy odkrył, że Reichmann chciał, aby Goldman Sachs zajął się „rozwiązaniem” funduszu. Grabel żywiłowo przystał na propozycję i kiedy Reichmann dodał, że chce zapomnieć o Wall Street i swojej niedawnej historii, a także zamierza prowadzić interesy poprzez Chicago Board of Trade, Grabel zaproponował mu, że przedstawi go ludziom Goldmana w Mieście Wiatrów.

Dla stworzenia wrażenia osoby, której można zaufać, wynajął na miesiąc dom w Glencoe, standardową posiadłość ze Środkowego Zachodu z oryginalną boazerią, motywami herbowymi, antycznymi meblami i mnóstwem służby... Dom stojący na stuakrowym terenie wyglądał, jakby tornado przeniosło go ze wzgórz Cotswolds w Anglii i rzuciło na brzeg jeziora Michigan.

Tydzień lub dwa po lunchu w Nowym Jorku Marty Grabel przyjechał do Chicago i przyprowadził dwóch ludzi od Goldmana - Phila Troya i Jacka Shine'a - do domu w Glencoe na lunch. Nazajutrz Reichmann odwiedził Troya, Shine'a i Grabela w biurach Goldmana w Sears Tower, po czym zjedli lunch czterdzieści pięter nad chicagowską giełdą w elitarnym La Salle Club. W następnym tygodniu bank funduszu Principia na Wielkim Kajmanie złożył depozyt u Goldmana Sachsa na sumę dwudziestu milionów dolarów. To były wszystkie pieniądze, jakie mieli on i Clarencó.

W ciągu następnych dwóch lub trzech tygodni Reichmann dokonał kilku małych zakupów opcji, aby uznano go za handlarza. Jego oceny okazały się dobre i fundusz Principia wzrósł o trzysta lub czterysta tysięcy dolarów. Tymczasem w domu w Glencoe Reichmann spotykał innych bankierów i przygotowywał się do kupna innego rodzaju opcji u każdego z nich. Powiedział Salomansowi, że interesują go na giełdzie opcje indywidualnych udziałów, Lehmannowi zaś, że potrzebuje opcji S&P 500; Paine'owi Webberowi, że chce kupić opcje NASDAQ 100; MSDW, że zamierza kupić opcje S&P 100; CSFB poinformował, że interesują go opcje eurodolarów, a Bank of America, że chce obligacje indeksowe. Rozmowa z George'em Glicksteinem od Lehmana w biurach przy La Salle Street, na dwudziestym piątym piętrze, była dość typowa i przebiegała mniej więcej w taki sposób:

- Panie Glickstein, powiedziano mi, że pan mógłby pomóc przy zakupie opcji S&P 500. Za dziesięć milionów dolarów. Może więcej. Myśli pan, że Lehmann dalby radę tak dużemu przedsięwzięciu?

- Czy dokonywałyby pan płatności przez nasze biuro?

- Nie, przez Goldmana. Zna pan Jacka Shine'a?

- Pewnie, znam Jacka.

- Będzie dla nas przeprowadzać „rozwiązanie”.

- Czy mogę zapytać, jaką firmę pan reprezentuje, panie Reichmann?

- Oczywiście. Prowadzę nowy fundusz wysokiego ryzyka o nazwie Principia.

Mieści się na Wielkim Kajmanie. Przedtem pracowałem dla Mansfielda Shiera w Nowym Jorku. Byłem u nich ponad dwadzieścia lat.

Glickstein kiwał głową.

- Znam Mansfielda Shiera.

- Kiedy Wallenberg przejął firmę, doszedłem do wniosku, że pora na zmianę. Założyłem więc Principia.

- Cóż, nie widzę problemów.

- Jeszcze jedno. Może pan czasami spotkać się z twierdzeniem, że działałam wbrew giełdzie.

- Przeżyję to, skoro pan może. - Glickstein uśmiechnął się, myśląc o prowizji od trzech milionów dolarów.

Pod koniec tygodnia Joel Reichmann został klientem sześciu różnych banków. Sprawiał wrażenie człowieka o nieskazitelnym guście: obrazy na ścianach, tak jak Madonna Perugina, były reprodukcjami, ale kto to pozna? Jego referencje sprawdzono u Goldmana Sachsa. Pieniądze, po odprowadzeniu podatków, umieszczono w krótkoterminowym depozycie. Był gotów do kupna opcji za ponad dwadzieścia milionów dolarów.

Tuż przed piątkiem, kiedy goście Wallenberga zaczęli zjawiać się w Cloudcroft, Joel Reichmann zadzwonił do każdego z banków i poinstruował je, aby zaczęły nabywać opcje kupna - piętnaście lub dwadzieścia tysięcy kontraktów jednorazowo. W piątek wciąż nabywał opcje kupna, tylko w większych ilościach, więc cała giełda zaczęła ulegać presji Reichmanna. Miał już pieniądze, zanim jeszcze goście Wallenberga skończyli rozgrywkę golfa, i to tyle że Goldmanowi nawet nie musiał płacić za opcje. Przy natychmiastowej dźwigni finansowej w stosunku większym niż dwa do jednego Joelowi Reichmannowi udało się kupić opcje o wartości ponad piętnastu milionów dolarów za mniej niż osiem milionów.

Lecz stosunek dwa do jednego to nic w porównaniu z dźwignią, jaka pojawiła się przed zamknięciem giełdy w poniedziałek wieczorem. Gdy Reichmann, siedział w apartamencie - zrezygnował z domu w Glencoe - popijając szampana i prowadząc

kalkulacje na podstawie niektórych cen, jakie zobaczył w telewizji, dźwignia finansowa okazała się po prostu fantastyczna.

Na przykład, w poprzedni piątek widział, jak C-Kwadrat - telekomunikacyjna firma Ruperta Sterne'a - jest sprzedawana po sto dolarów za akcję. Reichmann kupił dziesięć tysięcy opcji kupna 95 z jednotygodniowym okresem. Pod wieczór w poniedziałek udziały C-Kwadrat spadły o dwanaście dolarów do ceny osiemdziesięciu ośmiu, co oznaczało, że opcje kupna za 6,25 dolara - z których każda reprezentowała sto akcji - były teraz warte niewyobrażalne siedemset dolarów. Po zakupie dziesięciu tysięcy opcji 95 za marne 62500 dolarów, dźwignia jednej opcji kupna na sto udziałów oznaczała, że wyłożone przez Reichmanna 62500 dolarów było teraz warte ponad sześć milionów dolarów.

Reichmann zahuczał głośno, gdy obliczył, że przy planie zrealizowanym tylko w połowie fundusz Principia wart był już ponad sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Gdyby ta sama dźwignia zadziałała w drugą stronę, kiedy nazajutrz rano przekaze swoim bankom, aby zaczęły kupować opcje sprzedaży jeszcze przed wypuszczeniem zakładników z domu Wallenberga w Cloudcroft, wtedy zyski byłyby astronomiczne. Może nawet wyniosłyby półtora miliarda dolarów.

- Jezu Chryste - powiedział na głos, gdy po raz kolejny dokonał obliczeń. - Półtora miliarda dolarów. A połowa z tego jest moja. To jest siedemset pięćdziesiąt milionów. - Wstał, śmiejąc się histerycznie. Siedemset pięćdziesiąt milionów.

Ten psalm pobrzmiwał mu w głowie na okrągło niczym sample puszczone w klubie przez didżeja.

- Siedemset pięćdziesiąt milionów.

Czego nie można zrobić za takie pieniądze? Oczywiście wyobraźni widział, jak otwiera się przed nim świat przywilejów i luksusu, a on wie, że życie w Irlandii. Eleganckie domy w Londynie, wystawne wille na południu Francji, jachty motorowe długie na sześćdziesiąt metrów z załogą składającą się z zaokrąglonych blondynek, odrzutowce, a w swoim czasie może nawet - uznając uniwersalną prawdę wypowiedzianą przez Jane Austen - żona.

Reichmann wypił jeszcze szampana i zamówił jedzenie do pokoju. Zjadł zupę i stek, wziął kąpiel w za dużej marmurowej łazience, sprawdził na stronie leverage.net, czy nie ma wcześniej umówionych, zakodowanych sygnałów, a potem nie po raz setny, ale tysięczny, licząc te swoje gruszki na wierzbie, Joel Reichmann w końcu położył się spać. Chciał wstać wcześniej, bo kto rano wstaje...

*

Jeszcze w Nowym Jorku, kiedy Bob Clarenco powiedział Eve, że okup będzie tylko przykrywką i że prawdziwy napad odbędzie się w Chicago na giełdzie, Eve chciała dowiedzieć się więcej o rynku transakcji terminowych. Zamówiła więc ze strony Amazon całą paczkę książek, w tym Scotta Slutsky'ego *Masters of the Universe*, Neala Weintrauba *Trading Chicago Style* i Leo Melameda *Escape to the Futures*. Kiedy pojęła coś z derywatyw, wróciła do Clarenca i zapytała, czy może zainwestować cały milion, który miał jej wypłacić, z powrotem w fundusz Principia.

Clarenco uśmiechnął się tak, że poczuła się przy nim mała.

- Obawiam się, że nie. Widzisz, płacę ci z zysku, który będę miał z tej inwestycji. Nie z kapitału dostępnego teraz, a będę potrzebował wszystkiego, żeby maksymalizować końcowe zyski.

To jednak nie zniechęciło Eve.

- To może zwrócę ci te dziesięć tysięcy, które mi wypłaciłeś przy pierwszym spotkaniu? Wydałam tylko kilkaset. Mógłbyś to umieścić dla mnie w tym funduszu.

- Rzeczywiście chcesz w to wejść? - spytał z uśmiechem.

- Widzę, jak coś jest rzeczywiście dobre. Jeżeli kupujesz z depozytu, szanse na dźwignię są całkiem wysokie, oferują szansę na duży zwrot przy niskiej inwestycji. Szczególnie przy naszej gammie.

- Gamma? - Clarenco nie przestawał się uśmiechać. -Wiesz o gammie? Teraz rzeczywiście jestem pod wrażeniem.

- Czytałam. Czy to takie dziwne?

- Ależ skąd. Miałem rację co do ciebie, to wszystko. Dlatego się uśmiecham. Lubię nie mylić się co do ludzi. Jesteś inteligentna.

- To weźmiesz moje dziesięć tysięcy?

- Pewnie. Jeżeli sprawa wypali, to mogą one być warte znacznie więcej niż twoja dola.

- Tak właśnie myślałam. Wiesz, ile czasu próbowaliśmy wymyślić nazwę dla naszej strony? Doszłam do wniosku, że leverage.com¹ będzie odpowiednia. Bo to przecież właśnie o to chodzi w tym porwaniu Calvina Wallenberga i jego gości.

¹ leverage - dźwignia

- Podoba mi się. Czemu nie? Może zawładnąć wyobraźnią amerykańskiego społeczeństwa. Masz jeszcze jakieś dobre pomysły?

- Tylko rozwiązanie naszych problemów komunikacyjnych.

Według Clarenca wszystkie e-maile, faksy, teleksy i połączenia telefoniczne przeprowadzane przez linie wychodzące z domu Wallenberga w Cloudcroft zostaną przechwycone przez stację systemu Echelon Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Sugar Grove w Appalachach, w Wirginii. Z tego powodu Clarenco zdecydował, że będzie niebezpiecznie porozumiewać się ze swoim partnerem w Chicago; nawet zaszyfrowane wiadomości nie pokonają potężnych satelitów i komputerów systemu Echelon.

- To takie proste, aż sam będziesz się dziwił, że na to nie wpadłeś. Używasz kamery do przesyłania zakodowanych informacji do twojego partnera w Chicago. Na przykład zostawiasz na krześle kartkę z napisem „Poszedłem na lunch” albo coś w tym rodzaju, co oznacza, że wszystko jest w porządku. W zasadzie może być to cokolwiek, jeśli ustalicie to wcześniej. Mógłbyś nawet posadzić Laurensa z jednej strony kamery, jeżeli wybierasz kurs zniżkowy, a po drugiej, kiedy zwyżkowy. - Eve przerwała. - No? Co o tym sądzisz?

- Masz rację. Dlaczego sam na to nie wpadłem? Masz jeszcze jakieś pomysły?

- Nie mów reszcie zespołu, że nie chodzi nam o pieniądze, dopóki tam nie dotrzemy.

Teraz, kiedy Bob wyjaśniał całemu zespołowi prawdziwy cel ich działań, uznała, że ich przekonał, sama jednak zaczęła żywić pewne wątpliwości. Musiał zarabiać o wiele więcej pieniędzy, niż się do tego przyznał. Tylko ile? Im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że musi to być ponad miliard. Ciągle pamiętała, jak pierwszy raz spotkała się z nim w „Le Cirque”, i powiedział, że dziesięć razy lepiej jest mieć miliard niż sto milionów. Chciał się zemścić, ale też ponownie stać się miliarderem, Zespołowi powiedział o stu osiemdziesięciu pięciu milionach dolarów, ale należało je pomnożyć co najmniej przez pięć. Może więcej.

Doskonale rozumiała, dlaczego tak pomniejsza liczby. Osobiście jej nie obchodziło, ile Bob zarobi, dopóki ona i reszta zespołu dostaną tyle, ile ustalili. I jedno było dobre w tym, że zarabiał miliard zamiast milionów dolarów... ani razu nie oszukał zespołu w imię jakichś drobnych. Jak on to nazwał wtedy w „Le Cirque”? Zasada Pizzy. To było to. Z miliardem dolarów w kieszeni spłacenie całego zespołu było jak kupienie każdemu pizzy.

To podsunęło jej pomysł, aby podtrzymać wszystkich na duchu. Coś, co odwróciłoby uwagę od planów policji.

Eve zeszła do kuchni i włączyła piec, przez pół godziny podgrzewała je do temperatury dwustu trzydziestu stopni. Z zamrażalnika wyjęła ciasto na chleb, które przygotowała zaraz po przybyciu do Cloudcroft. Jej sekretnym dodatkiem do ciasta była odrobina oleju truflowego, ale gdyby robiła specjalne ciasto na pizzę od początku, dodałaby też nieco parmezanu. Przygotowywała sos: cebula, kapary, mielona wołowina, czosnek, obrane pomidory, przecier pomidorowy, oliwa z oliwek - pizza bez dobrego sosu była niczym, jak drużyna futbolowa bez rozgrywającego. To sos stanowił duszę dobrej pizzy. Kiedy sos był gotowy, rozwałkowała ciasto na placek wielkości metr osiemdziesiąt na metr dwadzieścia, natarła oliwą i pocięła na półmetrowe kwadraty. Wtedy polała je sosem i dodała nadzienie: słodką, włoską kiełbasę, parmezan, drylowane oliwki, anchois, kapary, grzyby porcini, trufle w plasterkach i siekaną cebulę, a na końcu to, co najważniejsze, mozzarellę. Mozzarella była klejem, który scalał całą pizzę. Piecła pizzę przez dwadzieścia minut, a przez ten czas smakowity zapach ściągnął do kuchni Sam, która powiedziała, że dogląda ochroniarzy nadal będących pod narkozą, i Claytona Birda, którego zapach ściągnął z piętra.

- Boże, jak to pięknie pachnie - powiedział. - Nie wiedziałem, że jestem taki głodny, dopóki tego nie wyczułem.

- Nic tak dobrze nie wpływa na samopoczucie, jak dobra pizza - rzekła Eve, krojąc półmetrowe kwadraty pizzy na dwudziestocentymetrowe. Już samo przyrządzenie dobrze jej zrobiło - szczególnie wałkowanie i rozciąganie ciasta rękami pokrytymi mąką. Pieczenie uspokajało Eve. Gotowanie zawsze miało na nią zbawienny wpływ, szczególnie kiedy chciała zignorować zaloty Brada do kelnerek. Ale czuła coś więcej, jakby sprawowała matriarchat. Przywódca musi być nie tylko pomysłowy, musi też rozumieć wnętrze człowieka. Napoleon rozumiał jedno: marsz armii zależy od pełnych żołądków żołnierzy. Z tych powodów Eve sama podała pizzę, rezygnując z pomocy Sam, i roznosiła pełne tace po całym domu, jakby dokonywała aktu pokuty.

W centrum kontroli ochrony Bill King powitał ją szerokim uśmiechem.

- Otwórz drzwi, to Domino's - powiedział. - Boże, nie wierzę. Pizza. Najlepszy przyjaciel amerykańskiej gospodyni. W Sto Pierwszej przydałby się nam taki kapitan jak pani. Oficer, który je z żołnierzami, to jedno, ale oficer, który sprawia, że żarcie tak pachnie, to zupełnie co innego.

Zrobił miejsce na stole i podał po kawałku pizzy Pennacowi i AnnChoy.

- Jaka jest sytuacja? - zapytała, spoglądając na monitory.

Na dworze zaczynało się ściemniać.

- Teraz lepsza, jak widzę pizzę - powiedziała Ann.

- Coś się tam dzieje?

- Chwilę temu rozległ się alarm - powiedział Pennac. - Okazało się, że to niedźwiedź grzebie w śmieciach.

- Jak poczują pizzę, to wrócą, na pewno - dodała Ann.

- Federalni nie będą nam się teraz naprzykrzać - wtrącił King. - Nie teraz, kiedy myślą, że pojedziemy na lotnisko.

- Mam nadzieję, że masz rację. Mimo to bądźcie czujni.

Przeszła do apartamentu z Dzikiego Zachodu, żeby zanieść pizzę Bobowi Clarenco.

- Wiedziałem, że jest jakiś powód, dla którego nająłem cię do tej roboty - powiedział, łapczywie wgryzając się w ciasto i mozzarellę.

- To ty podsunąłeś mi ten pomysł. Myślałam o naszej rozmowie w Nowym Jorku. Zasadzie Pizzy.

- Prawdziwy Adam Smith ze mnie, co?

- Jedne narody mają większe zdolności do przyciągania bogactwa niż inne. Może większe, niż sobie to niektórzy uzmysławiają.

Zmrużył oczy.

- Myślałaś o pieniądzach, co?

- Liczby, które przedstawiłaś, były dość umiarkowane, to wszystko. Pomyślałam, że swój osobisty dochód pomniejszyłaś przynajmniej pięciokrotnie. Może więcej.

Clarenco jadł dalej. Po chwili się odezwał.

- Jezu, ale dobra pizza. Powiedziałaś to twoim kolegom?

- Nie. Ponieważ nie chcę, żeby jeszcze raz cię zastrzelili. Tym razem naprawdę.

- Miło, że się o mnie troszczysz.

- Mam udział w twoim funduszu, pamiętasz?

Odezwał się po dłuższej chwili.

- Jeżeli o to chodzi, masz rację. Fundusz Principia zarobi na tym ponad miliard dolarów. Zanim pomyślisz, żeby wspomnieć o tej rozmowie kolegom, pamiętaj, że twój udział mógł już przekroczyć piętnaście milionów.

Eve dokonała obliczeń i aż zabrakło jej słów.

- Zgadza się. Piętnaście milionów dolarów. Będziesz bogatą kobietą. Przynajmniej według swoich standardów. - Uśmiechnął się. - Sprytnie postąpiłaś, domagając się udziału. Inwestycja we własne przedsięwzięcie to zawsze mądra rzecz. - Większość ludzi nie wie, jak to działa. Ale ty... ty jesteś urodzoną bizneswoman, Eve. To potwierdza moje słowa. Przeznaczeniem niektórych ludzi jest bogacić się, a innych pozostać biednymi. Obojętnie, czy kubek jest duży czy mały, w końcu śmietanka zawsze unosi się na powierzchni. Pomyślałaś, co zrobisz z pieniędzmi?

Wzruszyła ramionami, nadal nie mogąc dojść do siebie po sumie, jaką wymienił.

- Zakupy? Co innego robią dzisiaj bogaci?

Starając się więcej nie myśleć o pieniądzach, wróciła do kuchni i wyciągnęła z pieca kolejną porcję pizzy. Zaniosła ją do biblioteki.

- Jakies kłopoty? - zapytała Jerry'ego Whalina i Douga Powersa, którzy stali na straży.

Mężczyźni potrząsnęli przecząco głowami i poczęstowawszy się, otworzyli drzwi. W środku Cal Wallenberg i pozostali miliarderzy powitali jej przybycie z mieszaniną wrogości i wdzięczności.

- Jeżeli człowiek już został porwany - z przekąsem zauważył Don Volovsky, jedząc pizzę - to dobrze, że przez ludzi, którzy potrafią gotować. Jest wyśmienita.

- Powiedz to Bobowi Clarenco - odezwał się Nash Paine.

Ignorując pytania, którymi ją zasypali, Eve wyszła z biblioteki i zaniosła pizzę Andy'emu Hogarthrowi i dwóm mężczyznom, którzy cały dzień siedzieli przywiązani do krzeseł przed kamerą. Hogarth na moment zabrał krzesła sprzed kamery, aby Eve mogła ich nakarmić.

Laurenson jadł w milczeniu, zbyt zmęczony, by się kłócić, zbyt głodny, aby zajmować usta czym innym. Eliot Massinger był natomiast bardziej wytrzymały i Eve z łatwością wyobraziła sobie, jak mógł przetrwać Wietnam. Między kęsami pizzy, którą mu podsuwała, powiedział, że ją dokładnie rozszyfrował.

- Oglądałem telewizję - powiedział, wskazując ruchem głowy odbiornik na stole obok Hogartha. - Powiedzieli, że jesteście bandą radykałów, którzy chcą uderzyć w proces globalizacji. Normalna gadanina. Ale ja ani ma moment w to nie uwierzyłem. Ty nie jesteś takim typem. Zupełnie nie. Widziałem twoje zakupy. Pamiętasz? W samochodzie, w drodze z lotniska. Kupujesz kawę ze Starbucka. Nosisz zegarek sportowy Nike'a. Widziałem też twój pokój. Jak idziesz spać, wkładasz T-shirt. A na stoliku nocnym miałaś magazyn „Forbes” i powieść Ayn Rand. To zabawne z tą Ayn

Rand. Nie wiedziałem, że jej pisarstwo podoba się lewicowcom. W tej książce jest taki fragment... kiedy jedna z postaci... chyba Francesco d'Anconia długo mówi o naturze pieniędzy. O ile sobie przypominam, według niego pieniądze nie są przyczyną wszelkiego zła, ale wszelkiego dobra. Za pierwszym razem to bardzo mnie ujęło. Kiedy zobaczyłem to i „Forbesa” na nocnym stoliku, pomyślałem, że interesujesz się pieniędzmi tak samo jak ja. Co oczywiście oznacza, że to o wiele lepszy motyw dla tego, co robisz. Potrafię to zrozumieć. Mogę nawet zrozumieć, dlaczego musieliście zastrzelić Boba Clarenca. I dlaczego z nas wszystkich właśnie jego wybraliście.

- Nie mów z pełnymi ustami - odpowiedziała Eve, próbując udawać, że nie podoba się jej jego głos albo bliskość ust pokrytych oliwą, gdy tak naprawdę pragnęła go pocałować.

- Bob stracił pieniądze. Według przekonań innych gości Wallenberga był biedny. Zabiliście go, ponieważ nie chcieliście tracić kury znoszącej złote jaja. Tylko że będziecie musieli zabić nas wszystkich, czy tego chcecie, czy nie.

- O? A to dlaczego?

- Przecież nie chodzi tu o długi Trzeciego Świata i tym podobne rzeczy. Chodzi o pieniądze. Więc myślę, że zażądaliście okupu. Miliarda dolarów gotówką? Dwóch? Obojętnie. I odrzutowca z lotniska w Alamogordo. Kilkanaście już tam czeka. Tylko wybierać. Siedemset trzydzieści siedem Murraya Drennana. Errola. Może wymyśliliście sposób przetransportowania nas do samolotu tak, abyśmy nie zginęli. Nie wiem. Ale wydaje mi się, że to najslabszy punkt całego waszego planu. Wiecie, co powinniście zrobić?

Eve wepchnęła ostatni kawałek pizzy Massingerowi do ust.

- Cóż takiego, panie Massinger?

Żuł zawzięcie przez moment.

- Dobra pizza. Dałbym ci napiwek, tylko... - Spojrzał przez ramię na związane ręce. - Ale nie mogę sięgnąć do portfela. W każdym razie mówiłem, co powinniście zrobić. Otóż zmusić mnie albo innego z gości do elektronicznego przelewu pieniędzy na wasze konto. Wystarczyłby jeden telefon. A potem zamówić helikopter, żeby was stąd zabrał. Przeniósł za meksykańską granicę, gdzie czekałby odrzutowiec. I polecilibyście, gdzie macie ochotę.

- Moi ludzie są staroświeccy - odparła Eve. - Wolą gotówkę.

- Dlatego zostaniecie złapani. Gotówka jest dla pucybutów i czyścicieli okien, nie na transakcję takiej wielkości. Dzisiaj pieniądze to tylko liczby przeskakujące między

jednym komputerem a drugim. Nikt nie chce gotówki. Jest kłopotliwa jak niechciane dziecko. Gotówkę trudniej rozdysponować niż kokainę. Wymaga wyjaśnień. Nawet Szwajcarzy dzisiaj zadają pytania.

Eve wstała.

- Podobają mi się nasze pogawędki. Dzięki. Zapamiętam, co powiedziałeś.

- Muszę iść do toalety.

- Mam go zabrać? - zapytał Hogarth

- W porządku. Dam sobie radę. - Wyciągnęła pistolet i cofnęła się o krok, gdy Hogarth otwierał kajdanki Massingerowi.

- Żadnych sztuczek - ostrzegła, gdy Massinger uniósł się sztywno. - Pamiętaj, co stało się z Bobem.

- Tego raczej nie zapomnę.

Jak człowiek z nowymi protezami nóg powoli odszedł od krzesła, pocierając jedną uwolnioną z kajdanek rękę. Coś w jego postawie przywodziło jej na myśl Johna Wayne'a. Przed drzwiami łazienki zatrzymał się i otworzył usta.

- Czekaj chwilę - powiedział. - Chyba jestem głupi. W tobie ani w twoich ludziach nie ma nic staromodnego. Strona w internecie. Kamera. Ta anestezja, którą nas potraktowaliście. Chociaż jeszcze nie doszedłem, dlaczego trzymaliście nas na tych środkach tak długo. Pewnie żeby nic nam się nie stało.

- Może się zamkniesz i skorzystasz z toalety?

Lecz Massinger wygrażał długim palcem wskazującym i uśmiechał się podstępnie.

- Och, czekaj chwilę. Już wiem. Jesteś piękna, wiesz o tym? Ta gotówka? Ty wiesz wszystko. Oczywiście. Nie chodzi o gotówkę. Nie chodzi nawet o okup. Chodzi o giełdę, co? Zajęliście pozycję, co? To wyjaśniałoby zeszły piątek. To byliście wy. Na rynku transakcji terminowych. Nabyliście dużo akcji kupna, a potem zrujnowaliście giełdę. A zanim nas uwolnicie, kupicie dużo opcji sprzedaży. O to chodzi, prawda? Jejku, muszę przyznać, to naprawdę cudny plan. A to znaczy, że musicie mieć stąd inną drogę ucieczki. Helikopter? Pewnie trzymacie go gdzieś tu na terenie.

Eve czuła, jak wzbiera w niej złość na Massingera. Była zła, bo odgadł ich plan; zła, bo już się jej nie bali. Dźgnęła go w brzuch pistoletem. Taka odległość Massingerowi wystarczyła. W momencie kiedy przypomniała sobie, że on zna karate, już grzbietem dłoni uderzył ją w nadgarstek.

Pociągnąć za spust nie miałoby sensu, nawet gdyby chciała. Broń była nieodbezpieczona. Może on o tym wiedział albo domyślił się.

Eve instynktownie opuściła rękę o kilka centymetrów, co prawdopodobnie uchroniło ją przed złamaniem nadgarstka. Pomimo to cios był wystarczająco silny, aby wytrącić jej pistolet, a rękę na moment unieruchomić, jak po wstrząsie elektrycznym. Było to jednocześnie bolesne upomnienie, że Massinger nie jest tak przyjazny, jakby się wydawało.

Przez sekundę przyglądał się broni na podłodze, a potem zmienił zdanie, przynajmniej dopóki nie pozbędzie się Eve. Wyprowadził szybki cios wymierzony w jej twarz, ale w tej samej sekundzie Eve cofnęła się i jednocześnie uniosła rękę, aby zablokować uderzenie. Następnie, gdy ruszyła do przodu i nieco w lewo, chwyciła go za nadgarstek i ściągnęła mocno w dół, używając swojego barku jako dźwigni. Massinger wrzasnął z bólu, ale natychmiast umilkł, gdy uderzyła go mocno łokciem w żołądek i kopnęła w nogę wystawioną do przodu. Wykonała kolejne kopnięcie w żebra, aby go zmiękczyć, a potem, nadal trzymając go za rękę, zaczęła mu zakładać duszenie.

Teraz kiedy Eve miała moment na zaczerpnięcie tchu, zawołałaś pomoc. Andy Hogarth zjawił się biegiem. Chwilę później Massinger był znowu skuty. Naciągał sobie bolące ramię.

- Nic ci nie jest? - zapytała zaniepokojona, dysząc ciężko.

Massinger uśmiechnął się żałośnie.

- Jesteś o wiele lepsza, niż mówiłaś.

- To było głupie, Eliot. Mogłam ci zrobić krzywdę.

- Nic się nie stało, ale musiałem spróbować. Po tym, co zrobiliście Bobowi.

*

Po powrocie do hotelu w nocy Dolores Milliano zastała Acacia śpiącego na kanapie. Dobrze, że tu był. Poza tym, że ją czesał, Dolores czuła się lepiej, gdy ktoś jeszcze przebywał w pokoju, skoro się dowiedziała, że poprzednio pokój zajmował jeden z porywaczy. Dziwnie się czuła, biorąc kąpiel w tej samej wannie co przestępca, który nadal był na wolności, chociaż skutecznie otoczony przez policję. Szanse, że zjawi się znowu w Lodge, praktycznie równały się zero, ale i tak się niepokoiła.

Po kąpieli oglądała telewizję i wtedy dowiedziała się, że policja w Las Cruces zwolniła Cele MacBrazel bez stawiania jej zarzutów. MacBrazel, która wyglądała na zmęczoną, pełna złości wypowiadała się przed kamerami lokalnej telewizji.

- Po raz kolejny policja w tym kraju okazała się prawdziwym wrogiem demokracji. Zostałam aresztowana za to, że korzystałam z prawa do wolności wypowiedzi, demonstrując przeciw tym, którzy bronią przywilejów białych w tym społeczeństwie. Chociaż nie stawiałam oporu podczas aresztowania, nadużyto wobec mnie siły i zostałam potraktowana jak uzbrojony przestępca. Poczynania funkcjonariuszy policji skutecznie przypominają, że głównym zadaniem policji w Ameryce jest zastraszanie i dyskryminowanie ludzi, którzy przeciwstawiają się instytucjom służącym przywilejom białych, oraz dyskryminacja ludności kolorowej. Będę domagała się na drodze sądowej rekompensaty za niesłuszne aresztowanie i wstrząs nerwowy doznany w rezultacie działań policji. Tyle mam do powiedzenia.

Potem MacBrazel wsiadła do samochodu prawnika i odjechała. Milliano zastanawiała się nad następstwami jej wypuszczenia, kiedy zadzwoniła komórka. To jej agent, Moses Bishop z Nowego Jorku.

- Pokazałem twoją propozycję i najwyraźniej podoba się większości wydawców.

- To wspaniale.

- Podobał im się pomysł, jeśli stonujemy sprawy finansowe.

Milliano zagryzła wargę, rozdrażniona jawną głupotą Bishopa. Jedną rzeczą było zawarcie umowy, a całkiem odmienną zawarcie jej z kimś, kto chciał pomniejszyć część historii, którą ona traktowała jako bardzo osobisty element własnej wiedzy.

- Stonować sprawy finansowe? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć? Moses, jestem dziennikarką finansową, na miłość boską. To moja praca. Jak mam to stonować? To tak, jakbym poprosiła Simona Schama, żeby tak bardzo nie interesował się historią.

- Posłuchaj, Dolores, chodzi im o to, żeby nie zamieszczać zbyt dużo liczb. Dow Jones to, Dow Jones tamto. Kiedy ludzie otwierają książkę i widzą tylko wykresy i liczby, odkładają książkę. I zgadzam się z nimi. Chcesz, żeby ta książka łączyła pokolenia, prawda? Cóż, nie dojdzie do tego, jeżeli będzie się ją czytać jak bilans zysków i strat. To twoja wielka szansa, Dolores, jestem tego pewien. Posłuchaj mnie, oni widzieli część raportów, które stamtąd przysłałaś, i uważają, że idealnie nadajesz się do napisania tej książki. Parę życiorysów tych facetów z Forbes 400, szczegółowy opis porwania... wspomnieli *Śmierć prezydenta Williama Manchestera* jako przykład

albo nawet model tego, o czym on mówi. W każdym razie, sumując, pomysł im się tak bardzo podoba, że już wyszli z propozycją siedmiuset pięćdziesięciu. Mówiąc szczerze, myślę, że zapłacą więcej, ale pomyślałem, że powinnaś wiedzieć wcześniej.

- Siedemset pięćdziesiąt tysięcy? - powtórzyła Milliano.

To co innego. Za te pieniądze zrobi wszystko, żeby w książce nie pojawił się ani jeden wykres albo liczba; usunie nawet numery stron, gdyby on tego chciał.

- Z przyjętymi premiami za bestsellery.

- To wspaniale, Moses.

- Spróbujmy zawrzeć umowę, a potem zobaczymy, co na to Hollywood. Trzeba liczyć, że ta sytuacja utrzyma się do końca tygodnia.

- Dlaczego? Czy to ważne?

- Im dłużej to trwa, tym lepsza będzie historia - powiedział Bishop i rozłączył się.

Milliano nie miała czasu, by powiedzieć mu, iż podejrzewa, że FBI zawarło układ z porywaczami. Trudno zrozumieć, jak mogło do tego dojść. Rząd nigdy by nie przystał na jakiegokolwiek żądania wypisane na stronie leverage.com. Chyba że zgodzili się na coś innego. Na przykład pieniądze. To zabawne, jak pieniądze zmieniały nasze przekonania prawie do wszystkiego. Może zawsze chodziło w tym o pieniądze. Teraz, kiedy Cele MacBrazel została zwolniona, była coraz bardziej o tym przekonana. Fakt, że policja zwolniła ją tak szybko, oznaczał, że według nich ona nie miała żadnych powiązań z porywaczami. Ale skąd to przekonanie, jeżeli porywacze nadal domagali się rzeczy, za którymi MacBrazel demonstrowała na lotnisku? Skąd mogli wiedzieć, że MacBrazel jest niewinna, chyba że porywacze potajemnie wykazali, że już więcej nie interesuje ich zniesienie długów Trzeciego Świata i cała reszta. Im dłużej Milliano zastanawiała się nad tym, tym bardziej była przekonana, że chodziło tu o pieniądze, i to zapewne duże, które pewnie załaduje się do jednego z tych prywatnych odrzutowców stojących na lotnisku w Alamogordo. Wszystko to nabierało sensu. Porywacze z pewnością spróbują odlecieć z niektórymi z zakładników, tak jak próbowano to uczynić w Monachium.

Dolores Milliano usiadła w łóżku. A jeżeli porywacze wyjdą w nocy? Czy ekipa NBC z El Paso była już na miejscu? A jeżeli tak, to czy będą mieli tyle rozumu, żeby do niej zadzwonić, jeżeli do czegoś dojdzie? Zadzwoniła do Eldera.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś - powiedział - ponieważ właśnie rozmawiałem z ekipą z El Paso. Zdecydowanie coś się dzieje. Boeinga Laurensa zatankowano i

najwyraźniej rozmieszczają agentów FBI. Wygląda na to, że możesz mieć rację, Dolores. Co mam im powiedzieć?

- Powiedz, żeby siedzieli i się nie ruszali. Jeżeli coś zacznie się dziać, niech natychmiast do mnie dzwonią.

Zakończyła rozmowę, a potem z radości przyłożyła misiowi na łóżku. Z powrotem włączyła telewizor, ale nic jej nie zainteresowało, a skoro była zbyt podniecona, aby spać, obejrzała film z Kirkiem Douglasem, który Elder wypożyczył dla niej w Alamogordo, *Ace in the Hole*. Ku jej zaskoczeniu film miał większy związek ze sprawą, niż się spodziewała. Ale o czym myślał ten głupi gnojek, Moses Bishop, porównując ją z postacią reportera telewizyjnego granego przez Douglasa? Czy chciał ją obrazić? Postać grana przez Douglasa to gnój pierwszej wody. Ona wcale taka nie była. Była matką. Poza tym pod koniec filmu Douglas ginie od rany zadanej nożem w brzuch przez Mimosę, żonę faceta uwięzionego w szybie nieużywanej kopalni. On też zginął. Dolores Milliano uważała, że w Cloudcroft może zabić ją tylko miejscowe jedzenie.

7. Wtorek

Rozpoczął się kolejny dzień w Cloudcroft, na którym skupiał teraz uwagę cały świat, gdy giełdy w Japonii i Londynie kontynuowały ruch spiralny w dół z poprzedniego dnia.

O szóstej czasu wschodniego prezes Banku Rezerw Federalnych odebrał telefon przy łóżku w domu w waszyngtońskim kompleksie Watergate. Dzwonił prezydent Stanów Zjednoczonych. Prezes wyskoczył z łóżka i odsłonił okna, mając nadzieję, że poranne światło odbijające się od Potomacu obudzi go o wiele szybciej.

- Panie prezydencie - powiedział, wsuwając na nos okulary w rogowej oprawce. Jednocześnie włączył telewizor, aby sprawdzić stan zagranicznych rynków. - Jak się pan miewa?

Tokio spadło o szesnaście procent, największy spadek od czterdziestu lat, a Londyn o trzynaście.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie.

- Ależ nic się szkodzi, panie prezydencie. Normalnie już bym był na nogach, ale pracowałem do późna z innymi prezesami federalnymi, przygotowując komunikat, który już powinien być gotowy.

- W tej sprawie dzwonię. Chciałem się upewnić, że należycie rozumiem to, co chcecie powiedzieć.

- To normalna kwestia płynności, panie prezydencie.

- To jedna z anegdot o spadającej giełdzie, tak?

- Tak, panie prezydencie. Widzi pan, sporo osób znajdzie się w obliczu dość sporych strat. Dajemy znać bankom, że nie zamykamy dostaw pieniędzy. Według teorii, kiedy banki w tym się zorientują, zwiększą pożyczki dla domów maklerskich i innych firm, które wczoraj poniosły straty. To im pomoże utrzymać się na powierzchni, aż giełda wróci do poprzedniego poziomu. A stanie się to, gdy ta sprawa zostanie z powodzeniem zakończona.

- To dobrze. Gospodarka nie może popaść w recesję. Chcę, aby wszystkie firmy, które mogą się utrzymać, utrzymały się. Podstawy gospodarki pozostają nienaruszone.

Prezes odwrócił się do żony, która siadała w łóżku i zapalała papierosa. Zakrywając słuchawkę, powiedział do niej.

- Kochanie, bądź tak dobra i zrób mi kąpiel. Plecy mnie strasznie bolą.

Ostatnio zaczął wykonywać robotę papierkową w wannie, aby zmniejszyć ból kręgosłupa, który nasilał się nad ranem. Prezes zawsze uważał, że o szóstej rano ma iloraz inteligencji wyższy o dwadzieścia punktów niż o szóstej wieczorem. Ale według niego dwadzieścia punktów to tyle, ile prezydent miał zawsze. Jako prezes znał w swoim czasie kilku głupich prezydentów, ale ten był najgłupszy i przy nim pozostali wyglądali jak laureaci Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii.

- Darzę pana dużym szacunkiem, jako człowieka i prezesa Rezerw Federalnych. Potrzebna mi pańska szczerą opinią. Sądzi pan, że powinienem osobiście złożyć oświadczenie dla prasy?

Prezes poczuł, jak mu się otwiera wrzód w żołądku. Przyszły mu na myśl tragiczne słowa Herberta Hoovera z 1929 roku i równie nonszalanckie komentarze Reagana towarzyszące krachowi z 1987 roku. Żachnął się.

- Aby wykazać się zdecydowanymi decyzjami - kontynuował prezydent. - Aby uspokoić Amerykanów, że podstawy gospodarki nadal są nienaruszone.

Prezes zmarszczył czoło, starając się przypomnieć, czy dokładnie tych słów użył Hoover.

- Tego nie wiem, panie prezydencie...

- Jestem przekonany, że spadki na giełdach są złe dla Ameryki. Nie o to w tym kraju chodzi. Może powstrzymać to jakąś zdecydowaną akcją. Moglibyśmy wydać trochę pieniędzy, zmusić rząd do kupna jakichś udziałów, pokazać ludziom nasz optymizm i zaufanie do giełdy. Tego rodzaju rzeczy. Co pan sądzi?

- Skoro pan o tym wspomniał, może gdyby spotkał się pan z Kongresem, aby omówić nadwreżony budżet federalny, szczególnie wydatki na obronę, to mogłoby pomóc przywrócić spokój na giełdach.

- Jak by to miało zadziałać?

- W następujący sposób: inflacja jest nieuniknionym następstwem dużego rządowego deficytu. To inflacja zwabia inwestorów, aby zostawili giełdę i inwestowali w obligacje, gdy procenty ze skarbu państwa rosną. Gdybyśmy ograniczyli wydatki, zredukowalibyśmy inflację, zobowiązania skarbu państwa by spadły, a inwestorzy zostaliby zachęcani do powrotu na giełdę w poszukiwaniu lepszego zysku. To naprawdę bardzo proste.

Nastąpiła przydługa przerwa, po czym odezwał się prezydent.

- Proszę jeszcze raz.

*

Poza bólem głowy zaraz po przebudzeniu Eve czuła, że coś się stało. Położyła się na wielkiej skórzanej kanapie w gabinecie Wallenberga tuż przed dwunastą, spodziewając się, że Bill King obudzi ją przed czwartą, ale po ilości światła na zewnątrz domyśliła się, że musi być później. Szybkie spojrzenie na zegarek i już wiedziała, że dochodzi ósma. Zerwała się natychmiast z kanapy i sięgnęła po parciany pas, przy którym miała bezprzewodowy telefon do negocjacji i kaburę z pistoletem. Teraz obu tych rzeczy nie było.

Podeszła do drzwi. Były zamknięte na klucz z zewnątrz. Wyglądało na to, że jest uwięziona. Czy zespół taktyczny wtargnął w nocy do domu? Ale przecież nic nie słyszała. Przez głowę przebiegały jej możliwości: czy Bob Clarenco przechytrzył ją mimo wszystko? Czy zakładnicy uciekli z biblioteki i przejęli dom? Czy ktoś zamknął drzwi omyłkowo? Eve rzuciła się do okna i chwyciwszy lornetkę, zlustrowała teren.

Wszystko wyglądało normalnie, żadnego policjanta czy agenta zespołu. Liście na drzewach drżały łagodnie na wietrze, a gdzieś w okolicy paw wzywał pomocy. Nie pamiętała, czy Wallenberg trzymał jakieś pawie w ogrodzie.

Otworzyła okno i wychyliła się. Spojrzała na ziemię, ale doszła do wniosku, że zbyt wysoko, by skakać. Nie było też w pobliżu rynny, żeby mogła po niej zejść.

Rozejrzała się i zauważyła telefon na biurku. Była pewna, że musi jedynie zadzwonić do Nicka lub Ann w centrum kontroli, aby dowiedzieć się, co się dzieje. Lecz jeżeli coś się stało, czy nie przywoła kłopotów prosto pod drzwi? Usiadła na krawędzi biurka i rozważała, co zrobić. Natychmiast sobie uświadomiła, że z pewnością telewizja zdradzi jej, czy stało się coś dramatycznego. Włączyła telewizor i z ulgą zobaczyła Dolores Milliano, która opisywała poranną scenę w Cloudcroft telewidzom *Today Show*. Pokazali nawet bezpośredni podgląd z kamery internetowej z Laurensonem i Massingerem. Jeżeli chodziło o świat zewnętrzny, kryzys nadal trwał, tak jak przedtem.

- Co się, do licha, dzieje? - westchnęła.

Wyłączyła telewizor i wróciła do okna. Zaczerpnęła głęboko świeżego, górskiego powietrza, próbując zignorować ból głowy. Pomyślała, że cokolwiek się wydarzyło, nie mogło być tak złe jak szturm FBI na dom. Odczuwając nietypowe pragnienie, nalała sobie szklanekę wody z karafki na biurku. Wtedy usłyszała klucz w zamku i odwróciła się. Zaraz wszystkiego się dowie.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł rozeźlony mężczyzna o twarzy jak z żelbetonu, z masywnym czołem, policzkach jakby obrobionych maszynowo i wojowniczej wysuniętej szczękę, przez co wyglądał tak funkcjonalnie jak fabryka Bauhaus. To był Ferguson, szef ochrony Wallenberga, i miał przy sobie broń Eve - nie mogła jej nie zauważyć, ponieważ była wycelowana wprost w jej brzuch.

- Zdziwiona? - powiedział, obnażając żółte zęby, zbyt regularne, aby były prawdziwe.

- Ktoś zostawił drzwi psiarni otwarte czy przegryzłeś się na zewnątrz?

Ferguson zbliżył się, szczerząc się przez cały czas i wściekle potrząsając głową, jakby zgadzał się z nią. Kiedy zbliżył się na tyle, że Eve wyczuła w jego oddechu woń kawy i papierosów, i zjełczały odór potu, który od dawna wsiąkał w ubranie, przez moment zastanawiała się, czy go uderzyć. Mogła to zrobić, ale po jego spojrzeniu zorientowała się, że on tylko czeka, by go sprowokowała; Ferguson spoliczkował ją tak mocno, że Eve padła na podłogę, a w prawym uchu zaczęło jej dzwonić.

- Nigdy nie lubiłem kabaretu na stojąco - powiedział.

Gdyby Eve tak bardzo nie bolał policzek, mogłaby pomyśleć, że Ferguson jest zabawny. Pozbierała się z podłogi i bez słowa podeszła do umywalki w łazience przy gabinecie Wallenberga, gdzie zmoczyła ręcznik zimną wodą i przyłożyła do policzka.

- Punkt dla ciebie - powiedziała.

- Mam nadzieję, kochana, dla twojego dobra.

- Czy za tym stoi Clarencó?

- On? - Ferguson się zaśmiał. - Jest zamknięty w schronie przeciwoatomowym z resztą waszych koleśków. Z wyjątkiem ciebie. Potrzebuję cię, moja pani.

Chwycił ją za rękę i wyprowadził z gabinetu, zabrał na dół do centrum kontroli, gdzie dwóch innych ochroniarzy, do tej pory zamkniętych w jadalni dla personelu, czekało razem z Sam Heinichen. Eve natychmiast domyśliła się, że za tą zdradą stoi Sam. Musiała zacząć wyprowadzać ochroniarzy z narkozy poprzedniej nocy. Pytanie tylko, ilu z nich było w to zamieszanych. Zerknęła na obraz z kamery. Massingera i Laurensóna przynajmniej jeden musiał pilnować. Ale ilu jeszcze? Wszyscy czy tylko kilku? Ku zaskoczeniu Eve, Sam osobiście jej powiedziała.

- Przepraszam, Eve - odezwała się Sam - ale piąta część miliarda dolarów to zawsze dużo więcej niż milion. A nawet dwa miliony.

Piąta część. Eve zrozumiała, że musiało być ich pięćoro. Rozprawić się z piątką byłoby o wiele łatwiej niż z wszystkimi. Z piątką miała choćby cieką szansę odwrócenia biegu rzeczy.

- Teraz rozumiem - powiedziała. - Wcale nie zgubiłaś propofolu, co? Nie możesz zabrać z sobą zakładników, kiedy pojedziecie na lotnisko po pieniądze, jeżeli będą w narkozie. Pokiwała głową, rozumiejąc coraz więcej. - Planowałaś to od samego początku, co?

- Zaczynasz rozumieć - przyznała Sam.

- Siadaj - polecił Ferguson.

Eve usiadła i czekała, co Ferguson ma dopowiedzenia, ale nietrudno było sobie wyobrazić, dlaczego jeszcze jej potrzebują. Tyko ona wiedziała dokładnie, co ustalono z policyjnym negocjatorem. Sam była zbyt zajęta utrzymywaniem strażników i zakładników w narkozie - a przynajmniej tak uważała Eve - aby podsłuchiwać ustalenia w sprawie okupu, które Eve poczyniła z Zanderem. Eve wyobrażała sobie, że partnerzy Sam musieli być naprawdę zaszokowani informacją, że pieniądze stanowiły jedynie wabik. Nic dziwnego, że Ferguson był taki wściekły. Lecz myślami już

wybiegła naprzód. Gdyby udało jej się zyskać trochę czasu, może znalazłaby wyjście z sytuacji. Ale będzie musiała kłamać gładko i płynnie. Jeżeli Ferguson tylko nabierze podejrzeń, że ona kłamie, zabije ją jak nic.

- Jest parę rzeczy, których nie wiemy - odezwał się spokojnie Ferguson, niemal grzecznie. - Tylko ty możesz o nich opowiedzieć.

- Prosisz mnie o pomoc? - Eve uśmiechnęła się chłodno.

- Musimy wiedzieć, co ustaliłaś z negocjatorem na temat odbioru pieniędzy i dojazdu na lotnisko - wyjaśnił cierpliwie Ferguson.

- A co ja będę z tego miała? - zapytała.

- Po pierwsze zostaniesz przy życiu - Ferguson wycodził przez zaciśnięte zęby.

- A po drugie? - Eve wzruszyła ramionami, ignorując posępny wyraz twarzy Fergusona. - Słuchaj, Ferguson, potrzebujesz mnie, żeby się stąd wydostać. Sam to przyznałeś. Czemu nie mielibyście zabrać mnie ze sobą. Nawet dla kogoś tak chciwego jak ty szóstą część miliarda dolarów to kupa forsy. Mam rację, czy tak? Jest was pięcioro?

Zapadła długa przerwa, Ferguson spoglądał na Sam i pozostałych dwóch. Żadne z nich nie miało ochoty zaprzeczać ani spierać się z jej propozycją. Eve spodziewała się jakichś gróźb ze strony Fergusona, ale odezwała się Sam.

- Nie mam nic przeciw temu, żeby pieniądze podzielić na sześć części.

Eve ucieszyła się w duchu, miała rację. Rzeczywiście było ich tylko pięcioro.

- Ja też nie - dodał jeden z pozostałych mężczyzn.

To był Ballard, strażnik z głową jak posąg z Wyspy Wielkanocnej, który przywiózł Eve i Eliota Massingera z lotniska w zeszły piątek.

- Dobra - powiedział Fergusson, wysuwając krótki, gruby paluch w stronę Eve. - Ale jesteś pod kuratelą. To oznacza żadnej broni i zamknijemy cię z innymi zakładnikami, dopóki nie będziemy gotowi wyruszyć.

Eve milczała, jakby rzeczywiście nad tym się zastanawiała. Jej udział z miliarda będzie wynosił ponad sto pięćdziesiąt milionów - blisko dwa razy tyle, ile spodziewała się zarobić na funduszu Clarenco. Ale czy ktokolwiek z nich przeżyje, żeby odebrać te pieniądze? To wydawało się mało prawdopodobne. Federalni z całą pewnością będą próbowali uwolnić zakładników na lotnisku.

- To o wiele lepsze od tego, co miał ci zapłacić Clarenco - powiedziała Sam.

- Dobra. Wchodzę w to. Chcę wiedzieć tylko jedno.

- Co takiego?

- Czy pozostałym nic się nie stało?

- Oczywiście, że nic. - Sam się uśmiechnęła. - Podałam im prochy. Tobie też. Jak myślisz, dlaczego spałaś tak długo?

- To wyjaśniałoby ból głowy.

- Wszyscy to dostaliście w kawie i soku. Oni są bezpiecznie zamknięci w schronie.

- Teraz powiedz, co postanowiliście - powiedział Ferguson.

- Powiedziałam negocjatorowi, że sprowadzimy zakładników o ósmej jutro rano - skłamała.

- O ósmej? Ale to prawie za dwadzieścia cztery godziny. Po co taka zwłoka? W końcu pieniądze są gotowe, a jeśli wierzyć kamerze FBI, samolot jest zatankowany i gotowy do odlotu.

- Zapominasz. Nie mieliśmy wylecieć stąd samolotem. Mieliśmy wykraść się stąd w nocy, pod osłoną ciemności. Clarenco zna tajemne wyjście.

- Gdzie ono jest?

- Lepiej jego zapytaj. Ale jakie to ma znaczenie, skoro idziecie po pieniądze? Policji powiedzieliśmy, że wylatujemy o ósmej jutro rano, dlatego że to miało nam umożliwić ucieczkę. Poleciliśmy federalnym, żeby wymontowali transponder z samolotu Laurensa.

- A co oni na to? To znaczy, na pewno chcieli, żebyście wynieśli się stąd prędzej niż jutro rano.

- Posłuchaj, Ferguson, interesowałam się wieloma negocjatorami i tym, co mówią. Są wyszkoleni, aby unikać zastraszania albo przeciwstawiania się ludziom takim jak ja. Jeżeli mówię, że czegoś chcę, mają powiedzieć, że postarają się o to. I nie zapominaj, że rzekomym celem kamer było umożliwienie nam sprawdzenia, czy wszystko w samolocie jest w porządku. Powiedziałam, że będziemy obserwować kamery i pojedziemy dopiero wtedy, gdy uznamy, że jest bezpiecznie.

Ferguson sapnął podenerwowany.

- Opowiedz, jak mieliście się stąd dostać na lotnisko.

Eve powiedziała mu o elektronicznych bransoletkach z ładunkami wybuchowymi.

- Które tak naprawdę nie istnieją. - Westchnął. - Mam rację?

Przyglądała się Fergusonowi z lekko skrywaną pogardą. Chciał szczegółowo realizować rzekomy plan przejęcia miliarda dolarów, a odkrył, że żadnego planu nie ma. Gdyby nie był takim dupkiem, mogłaby go żałować.

- Musieliśmy zachowywać się tak, jakbyśmy mówili poważnie. Można z łatwością zrobić jakieś atrapy. Z pięćdziesięciu metrów policja nie pozna, czy są prawdziwe czy nie.

- Co jeszcze?

Eve spojrzała na zegarek.

- Niewiele. Dzisiaj rano miałam podać dalsze instrukcje.

- Na przykład.

- W garażu na dole jest autokar. Zamierzałam mu powiedzieć, że pojedziemy nim na lotnisko. Tylko okna będą zasłonięte, na wypadek gdyby snajperzy chcieli nas zdjąć. Poza tym, z tych samych powodów, będziemy ubrani podobnie. - Wzruszyła ramionami. - To najlepsze, co mi wpadło do głowy.

- Co o tym myślicie? - Ferguson zapytał pozostałych.

Ballard spoglądał z powątpiewaniem.

- Może zadziała - rzeki. - Nie wiem. Ona ma rację co do jednego. Na lotnisku będzie się roić od snajperów. Na samą myśl wszędzie mnie swędzi. Gdy wszyscy będziemy mieć takie same ubrania, trudniej będzie im zidentyfikować, kto jest zakładnikiem, a kto porywaczem.

- Posłuchajcie - odezwała się Eve. - Załóżmy na moment, że oni kupią pomysły z bransoletkami. Może dodać do równania element czasu? Powiedziałabym, że po uzbrojeniu ładunków pozostaje niecała godzina do wybuchu. Już im mówiłam, że jak nas zastrzelą, to kody rozbrajające znikną razem z nami. To im skomplikuje próbę odbicia. Powiem im, że jak nie wzniesiemy się w powietrze w ciągu godziny od przybycia na lotnisko, wtedy bransolety zaczną eksplodować. - Przerwała, zastanawiając się, czy rzeczywiście będzie musiała przez to wszystko przechodzić. - Ale wiecie, istnieje tylko jeden sposób, żebyśmy byli absolutnie pewni, że nam uwierzyli.

- A mianowicie? - zapytał Ballard.

- Nie bierzemy broni do autobusu.

- Oczywiście żartujesz - rzekł Ferguson, zapalając nerwowo papierosa.

- Nie, posłuchajcie. Przede wszystkim broń wyraźnie określa cię jako porywacza. To tak, jakby mieć na plecach wyrysowaną tarczę. Po drugie, jak będziemy mieć broń, to tak jakbyśmy nie byli pewni skuteczności bransolet.

Ferguson nie wyglądał na przekonanego.

- Nie grasz w pokera, Ferguson, co? Blef działa tylko wtedy, kiedy jesteś gotowy zagrać go do końca. Broń albo bransolety.

- Miła pani, w życiu nie wsiądę do autobusu bez broni - mruknął Ferguson.

- Weź pistolet. Schowaj go pod kurtkę. Ale nie karabin. Chyba że chcesz, żeby cię zastrzelili.

- Ona ma rację - odezwała się Sam. - Wsiądziemy z autobusu, wszyscy ubrani tak samo, bez broni. Nie zaryzykują otwarcia ognia.

- To może zadziałać - zgodził się Ballard.

- Na pewno zadziała - upierała się Eve.

Ferguson potrząsnął głową i spojrzał cierpko na Sam.

- Nie tego się, cholera, spodziewałem. Mówiłaś, że oni mają to wszystko rozpracowane. Miało nie być żadnych problemów. - Wstał, zaklął głośno i zaczął chodzić w kółko. - Zamiast tego okazuje się, że musimy wymyślić wszystko po drodze. To cholerna, improwizowana komedia.

- Skąd, u diabła, miałam wiedzieć, że mają inny plan od samego początku? - broniła się Sam.

- Teraz wiem, dlaczego byłaś taka zła - powiedziała Eve. - Dokonałaś napadu z bronią w ręku, tylko że jak miałaś okazję zajrzeć do dokumentacji firmy, zrozumiałaś, że kupiłaś kota w worku.

- Nie nazwałbym miliarda dolarów kotem w worku, kochanie - parsknął Ferguson.

- Może nie. Ale będziesz musiał zapracować na swoje pieniądze. Trochę zaryzykować. Tak jak my to zrobiliśmy.

Twarz Fergusona wykrzywiła się jeszcze bardziej.

- Wasz cały plan to jedno wielkie gówno - powiedział. - Transakcje terminowe. O co w tym, do diabła, chodzi? Tych pieniędzy nie widać. To za bardzo opierało się na zaufaniu.

- Najwyraźniej - powiedziała Eve i spojrzała znacząco na Sam.

- Poza tym tylko Clarenco miał zarobić prawdziwe pieniądze, nie wy. A i tak zarabiał mniej niż piąta część miliarda.

- Szósta - wtrąciła Eve. - W każdym razie to ty wyglądasz tu jak Śpiąca Królewna, nie ja. Pewnie wcale nie macie pilota.

Ferguson znowu spojrzał na Sam.

- To twoja wina - wrzasnął i mocno ją spoliczkował.

Sam wbiła w niego nienawistne spojrzenie.

- Nie waż się uderzyć mnie jeszcze raz - ostrzegła.

- Nieważne - powiedziała gładko Eve. - Laurenson i Massinger są w pełni wykwalifikowanymi pilotami odrzutowców. Tylko chyba powinni trochę odpocząć. Wsadźcie ich do biblioteki z innymi. To znaczy, jeżeli macie zamiar kazać im pilotować samolot. Poza tym obiecałam negocjatorowi, że zwolnię ich z haczyka dzisiaj rano. - Wzruszyła ramionami. - To tylko sugestia. Jesteś szefem, Ferguson. Ty podejmujesz decyzje.

Tego dla Szkota było za dużo. Doskoczył do Eve i zacisnął palce na jej szyi, ale Ballard i drugi mężczyzna odciągnęli go, zanim zrobił jej krzywdę.

- Jak mnie zabijesz, to kto będzie rozmawiał z negocjatorem? - wykrztusiła. - To kolejna rzecz, której nie wiesz o załatwianiu sytuacji kryzysowych, Ferguson. Martwią się, kiedy porywacze zmieniają negocjatora. To skłania ich do nerwowych ruchów. Lubią budować związek z jedną osobą. Z tobą, Ferguson, ciężko by im się gadało. Chyba że mają psa obronnego, który umie mówić.

- Czepiaj się mnie, suko - warknął - a dostaniesz to, o co prosisz.

- Uspokój się, człowieku! - krzyknął Ballard. - Weź się w garść, Ona ma rację. Potrzebujemy jej.

Zdenerwowany Ferguson zapalił kolejnego papierosa, którego ćmił z takim zapalem, jakby próbował wyrządzić płucom maksymalną szkodę. Cały czas mamrotał przez zaciśnięte zęby. Po chwili rzucił Eve telefon.

- Dobra, dzwoń.

- Zwolnijcie Massingera i Laurensona - nalegała. - *Quid pro quo*. - Uśmiechnęła się wstydliwie. - To znaczy „coś za coś”, Ferguson.

Ferguson skinął do Ballarda.

Eve uśmiechnęła się do siebie, kiedy przygotowywała się do rozmowy z negocjatorem. Będzie jej potrzebny ktoś taki jak Massinger, ktoś, kto wie, jak się zachować, gdyby nadarzyła się okazja, żeby zapanować nad Fergusonem i tamtą czwórką. Dzięki uprzejmości FBI zostały dwadzieścia cztery godziny na uniknięcie jazdy na lotnisko i potencjalnej kaźni. Rynek nie miał szans na odzyskanie formy w tych okolicznościach, udział Eve w olbrzymiej opcji kupna Clarenca miał pochodzić z tego źródła. Rzecz jasna mogła też leżeć martwa na płycie lotniska. Zegar w telefonie wskazywał 8.45 rano, czyli 10.45 czasu wschodniego. CBOT była otwarta od ponad trzech godzin. Do tej pory rynki będą wykazywać małą poprawę dzięki zakupom

dokonywanym przez partnera Clarenca. Musiał coś zrobić, aby chronić własną inwestycję. Ale co?

Gdy tylko Eve zobaczyła Massingera i Laurensa eskortowanych z powrotem do biblioteki pod czujnym okiem Fergusona i Sam, połączyła się z Zanderem.

- No, cześć - powiedział. - Zaczynałem się o ciebie martwić. Mamy pieniądze w samolocie od szesnastu godzin i zaczynam się trochę niecierpliwić.

- Teraz to nieważne.

- Czy wszyscy u was zdrowi?

- Wszyscy czują się świetnie. Teraz słuchaj, Tom. Jutro o ósmej rano...

- O ósmej?

- Tak powiedziałam. O ósmej wyjedziemy stąd autobusem, jak mówiłam. Okna będą zaciemnione, żeby wasi snajperzy nie widzieli, kto gdzie siedzi...

Zander powtarzał instrukcje za Eve - technika negocjatora zwana „lustrzanym odbiciem”, która miała wskazywać na zainteresowanie i zrozumienie. A kiedy Eve skończyła opisywać, co ma się wydarzyć, Tom streścił jej zalecenia, a potem zapytał, czy Ford Sarmenington może być jednym z pierwszych zwolnionych zakładników ze względu na stan jego serca.

- Oczywiście. - Eve kończyła rozmawiać przez telefon. - Wszystko załatwione. Chcą, żeby w pierwszej kolejności zwolnić Forda Sarmeningtona. Jest chory na serce. Sam się zjeżyła.

- Myślisz, że o tym wcześniej nie pomyślałam? Eve, to zawsze był twój problem. Jeszcze na Long Island, w domu Clarenca, zawsze starałaś się udowodnić, że rządysz. Napinałaś mięśnie jak jakiś głupi facet, kiedy ktoś ciebie wyzwał. Założę się, że miałaś frajdę, jak pobiłaś Busieka i pokazałaś wszystkim, co z ciebie za twarda suka.

Mimo że swoją zjadliwość Sam kierowała do niej, Eve podejrzewała, że przyczyną jej wybuchu było spoliczkowanie przez Fergusona. Zastanawiała się, czy jeszcze bardziej można ich podzielić.

- Nie sądzę, abyś lubiła słuchać rozkazów, Sam, ale może masz rację. Może nie jest ze mnie urodzony dowódca. Ale skoro ja spieprzyłam, to ty tym bardziej, kochanie. A wiesz co jest najważniejsze? Nadal masz mnie.

Ferguson wziął Eve za rękę i skierował do biblioteki.

- No, już - powiedział. - Jak na razie dosyć wszyscy się od ciebie nasłuchaliśmy.

Joel Reichmann powinien odczuwać trochę więcej optymizmu. Nabył setki tysięcy opcji kupna poprzez brokerów w sześciu bankach, co tchnęło nieco życia w giełdę, tak że opcje nabrały już wartości. To było nic w porównaniu ze zwyżką, która nastąpi po zwolnieniu zakładników, ale i tak nie było źle: sporo ludzi gorzej poinformowanych niż Reichmann, wzięłoby pieniądze i odeszło od razu, ale nie Reichmann. Spodziewał się, że straci wiele nerwów, ale nie w taki sposób. To była cholerna męczarnia.

W telewizji pojawiła się Dolores Milliano, energiczna jak zwykle. Opisywała nieustające oblężenie Cloudcroft, sprawnie i ze znanstwem, którym inni najwyraźniej byli urzeczeni, bo chociaż wszystkie stacje przysłały ekipy do Cloudcroft, to według porannego wydania „Chicago Sun Times” telewizzowie woleli oglądać NBC i Dolores Milliano. Reporter telewizyjny Phil Rosenthal napisał, że już krążą plotki o lukratywnym kontrakcie dla Milliano za opisanie oblężenia Cloudcroft.

Co, u diabła, ona o tym wie? - zastanawiał się Reichmann. Jeżeli ktoś powinien dostać kontrakt na napisanie o tym książki, to on.

Lecz nie to martwiło Reichmanna. O wiele bardziej niepokoił go brak znaku na pustym krześle przed kamerą komputera. Clarence i Reichmann ustalili, że jeżeli nie było nikogo na krześle przed kamerą, na pustym krześle powinien być umieszczony napis: NIE ODCHODŹCIE, ZARAZ WRACAM - jako znak, że wszystko jest w porządku. Ale gdzie on był? Czy po prostu zapomnieli? A może coś się stało? A jeżeli tak, co to, do licha, mogło być? Nie wyobrażał sobie, żeby policja wtargnęła szturmem do domu, a media nic by o tym nie wiedziały. Zdjęcia posiadłości ze śmigłowca NBC wskazywały, że w Cloudcroft nic się nie zmieniło.

Reichmann mówił sobie, że na pewno zapomnieli o kartce. Może już wyszli z domu. Przecież mieli tyle na głowie. Jednak nadal się martwił. Jak mogło być inaczej? Czuł się jak człowiek na wyścigach, który wytypował dziewięciu zwycięzców w zakładzie na dziesięć biegów, a jeszcze miał być rozegrany ostatni bieg. Wygra fortunę, jeżeli jego koń przybiegnie na pierwszym miejscu, jeśli nie, straci wszystko.

Wyłączył telewizor i przeszedł się nerwowo po pokoju, ignorując widok z lotu ptaka na jezioro Michigan. Ponieważ jezioro było wielkie jak morze, wydawało się bardziej przestronne niż widowiskowe. W rzeczywistości było pozbawione cech typowych dla jezior, które widział podczas niedawnej wycieczki do Szwajcarii, gdzie otwierał konta bankowe dla przekazów z funduszu Principia na Wielkim Kajmanie.

Jeziro Michigan było po prostu wodną pustynią, o jakiej opowiadał stary marynarz w wierszu Coleridge'a, z tym wyjątkiem, że ocean Ameryki Północnej był w kolorze mętnej szarości.

Cisza kłuła w uszy. Nieizolowana cisza drogiego hotelu, cisza pełna oczekiwania, aż coś ją przerwie. Kontakt, jak się spodziewał, nastąpi dopiero za co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Reichmann usiadł przed laptopem i zalogował się po raz dwudziesty tego rana, sprawdzając na próżno słowa, które przerwą ciszę, słowa, które otworzą przed nim wiele drzwi.

Nie było nic. Tylko e-mail oferujący tanią viagrę. I w tej ciszy powtarzał sobie ciągle na nowo: musisz wytrzymać.

Kiwnął głową i podszedł do przeszklonej ściany. Nie widział Loop, dzielnicy muzeów i finansów, sześć kilometrów na południe, ale ludzie obserwowani przez posąg Geres, rzymskiej bogini roli i urodzaju, już handlowali jego przyszłością.

*

Tom Zander, po rozmowie z dwoma agentami z HRT, przestał być dobrej myśli. Bez trudu sobie wyobraził, jak pójda w dół wskaźniki giełdowe, jeżeli dojdzie do jakiejś masakry wśród dwudziestu jeden miliardów w Cloudfroft. A w tej sytuacji jego portfel akcji może być nic niewart. Zander, choć niechętnie, postanowił sprzedać swoje udziały i gdy tylko otwarto giełdy we wtorek, jego żona, Janine, weszła na stronę Charlesa Schwaba i złożyła elektroniczne polecenie sprzedaży całego portfela, ze stratą prawie czterdziestu procent wartości z poprzedniego czwartku.

Zander był zdruzgotany rozmiarem strat. Strata wydawała się jeszcze trudniejsza do zniesienia, kiedy rano do Cloudfroft doszła wiadomość, że NYSE odnotowała małą zwyżkę pod wpływem Chicago: ktoś gdzieś nie podzielał pesymizmu Zandera. Zamiast sprzedawać, ktoś kupował; i kilka razy Zander, gdy nikt nie patrzył, wychodził ze strony leverage.com - skoro Massinger i Laurenson odeszli sprzed kamery, i tak nie było na co patrzeć - i logował się na stronie Bloomberg, żeby na własne oczy zobaczyć zwyżkę.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. On sam sprzedał, kiedy należało kupować. Prawdopodobnie ktoś kupił udziały, które on właśnie sprzedał, i to za podstawową, najniższą cenę. Wyszedł na durnia. Nie znaczyło to, że giełda będzie zwyżkować cały

czas: Sidonia i Cong załatwią to, o tym był przekonany, ale przynajmniej mógł sprzedać za nieco lepszą cenę niż z czterdziestoprocentową stratą.

Ze ściśniętym żołądkiem Zander przeklął siebie, porywaczy, FBI, giełdy, handlarzy i informatorów; przeklął zakładników - bo przecież każdy z nich, nawet gdyby stracił na giełdzie, to i tak dalej byłby nieprzyzwoicie bogaty - i po raz pierwszy od przybycia do Cloudcroft zapragnął, aby zakładnikom stała się krzywda. Jednak najbardziej przeklinał autorów książek o „żądzy posiadania” - ludzi takich jak Dolores Milliano, Peter Lynch - którzy nakłonili go do grania na giełdzie.

*

Po niewygodnej nocy na skórzanym fotelu w bibliotece bosy George Shapira wykonał na podłodze kilka ćwiczeń jogi, sprawdził w telewizji ceny na giełdzie, a potem wrócił do książki, którą wybrał z półek Wallenberga.

Właśnie zaczął czytać, kiedy otworzyły się drzwi do biblioteki i weszli zmęczeni Laurensen i Massinger, na dodatek Massinger był nieco poturbowany.

Natychmiast wszyscy stłoczyli się wokół dwóch mężczyzn, zadając pytania i postrzegając wyraźne odstępstwo od egzekucji jako podstawę do optymizmu. Lecz Laurensen i Massinger nie widzieli przyszłości różowo.

- Trochę trudno powiedzieć, co tam się działo w ciągu ostatnich dwóch godzin - wyjaśniał Laurensen. - Eliot i ja mamy różne zdanie na ten temat. Aż do dzisiaj rana widzieliśmy tylko jedną osobę z firmy cateringowej. Poza kobietą, która tym dowodziła.

- Eve - wtrącił Massinger. - Ma na imię Eve.

- Aż dzisiaj rano pojawili się jacyś faceci, których przedtem nie widzieliśmy, z ochrony.

- Wygląda na to, że miałem rację - rzekł Porteus.

- Cal? Wygląda na to, że szef twojej ochrony tym zarządza.

- Ferguson? Nie wierzę.

- To prawda, Cal - powiedział Massinger.

- W takim razie jestem ci winien przeprosiny, John - zwrócił się do Porteus.

- Kolejne? - mruknął Volovsky.

- Ci ochroniarze musieli być w to zamieszani od początku - ciągnął Laurensen. - Ale Eliot uważa inaczej.

Massinger skinął głową.

- Niestety odniosłem wrażenie, że doszło do jakiegoś wewnętrznego puczu - rzekł Massinger. - Że teraz rządzą jacyś inni ludzie. Co może źle się skończyć dla nas wszystkich.

- To niezupełnie jest prawda - sprzeczał się Laurenson. - Jest jedna kobieta, która była zaangażowana wcześniej. Ta, która nas uśpiła.

- Nadal chcę wiedzieć, dlaczego to zrobili - powiedział Ford Sarmenington.

- Ona wciąż w tym siedzi - kontynuował Laurenson.

- Ale musicie przyznać, że pozostałych widzimy po raz pierwszy - rzekł Massinger.

- To mnie niepokoi.

- Nie rozumiem, jak przy zmianie kierownictwa może być gorzej - dodał Volovsky.

Wallenberg nadal potrząsał głową.

- To nie ma sensu. Znam Fergusona. Nie interesuje go Organizacja Handlu Światowego. On chyba nawet nie wie, jak się pisze „globalizacja”.

- Ta sprawa nie ma z tym nic wspólnego - wyjaśniał Massinger. - Cała ta antyglobalizacyjna gadanina na ich stronie w internecie to tylko przykrywka. Coś dla mediów. Tu chodzi o pieniądze. Od początku chodziło o pieniądze.

- Okup? To mi ulżyło. - Volovsky westchnął. - Akurat pieniędzy nam nie brakuje.

- Nie uważam, żeby to było aż tak proste - kontynuował Massinger i nakreślił teorię rynku transakcji terminowych, którą poprzedniego wieczoru opisał Eve, opuścił jedynie lanie, jakie mu sprawiła.

- To nawet lepiej - ocenił Volovsky. - Nic nas nie będzie kosztować.

- Co ona powiedziała, kiedy przedstawiłaś jej swoją teorię?

- Nic. Lecz także nie zaprzeczyła.

- Więc to tylko pomysły. Możesz się mylić.

- Przy mocnej pozycji na rynku terminowym - odezwał się Shapira - i tego rodzaju dźwigni finansowej, efekt może być piorunujący.

- W końcu ich strona w internecie nazywa się leverage.net - odezwał się Murray Drennan. - A to z pewnością wyjaśniałoby piątkowy spadek na giełdzie w Chicago. Na pewno nabyli opcje kupna.

- Tak myślałem - dodał Massinger.

- Sprytny pomysł. - Joe Jacobson wzruszył ramionami. - Żałuję tylko, że na to nie wpadłem.

- Zawsze mówiłem, Rezerwy Federalne powinny zrobić coś z minimalnymi wymaganiami na rynku transakcji terminowych po upadku Długoterminowego Zarządzania Kapitałem. To przynajmniej zredukowałyby wahania. A może obcięłyby wielkość transakcji. Władze miałyby możliwość kontroli.

- Owszem, ale i tak nie powstrzymałyby tych ludzi - doszedł do wniosku Massinger.

- Mieliby mniejszą dźwignię.

- Mają nas - powiedział Volovsky. - Według mnie taka dźwignia im wystarczy.

- Jedno jest pewne - wtrącił Scott Jordan. - Mogli prosić o dowolny okup.

Cokolwiek zarobią na rynku transakcji terminowych, dostaliby więcej. Wynika z tego niezbicie, że muszą mieć niezły kapitał.

- Nie tak jak LTCM - zauważył James Gatz.

- Tyle że jeżeli mam rację - powiedział Massinger - a ochroniarze Cala porwali porywaczy, to nie rozumiem, jak mogli zająć pozycję, którą porywacze przyjęli na chicagowskich rynkach. W tej sytuacji mogli w końcu zdecydować się poprosić o okup. A pierwotny inwestor straci pokaźną kwotę.

Tak rozmawiali, aż jakieś dwadzieścia minut później drzwi biblioteki otworzyły się ponownie i weszła Eve.

Zauważyli, że nie ma broni, i usłyszeli, jak klucz obraca się w drzwiach, które się za nią zamknęły.

- No, no, no - szydził Massinger. - Patrzcie, kogo my tu mamy.

*

Eve wytrzymała ich spojrzenia. Wpatrywali się w nią, jakby wcale nie była kobietą, ale jakimś dziwnym stworzeniem z innego świata, dziwolągiem. Oczywiście trudno się temu dziwić. Chociaż błędnie, ale żyli w przekonaniu, że ona i jej współtowarzysze zamordowali Boba Clarenca z zimną krwią. Mogła się nawet ich przestraszyć, ale i tak już się bała Fergusona i tego, co może przytrafić się wszystkim w drodze na lotnisko.

Podszedł do niej Nash Paine, popatrzył, a potem wymierzył jej mocny policzek.

- Ty mordercza suko! - krzyknął i uderzyłby ją ponownie, ale szybko powstrzymał go Massinger wraz z innymi.

- Uspokój się, Nash - powiedział Massinger.

- Nie - odezwała się Eve. - Zasłużyłam na to. Za to, na co was wszystkich skazałam.

Wstała z dywanu. Przez moment zastanawiała się, czy nie powiedzieć im, że Clarencu nadal żyje, ale postanowiła wpierw zaapelować do ich żądy przetrwania. Zerknąwszy na Massingera, zastanawiała się, w jakim stopniu zdążył się podzielić z innymi swoimi inteligentnymi przemyśleniami. W tych okolicznościach wystarczyło go po prostu zapytać.

- Eliot - odezwała się ostrożnie. - Powiedziałeś im to, co mi wczoraj?

- Tak, ale nie wszyscy zgadzają się z moją analizą.

- On ma rację. Tu nie chodzi o globalizację, nie bardziej niż o miliard dolarów na pokładzie boeinga Laurensona. Chodzi o nasze wyjście na rynek transakcji terminowych. Przynajmniej chodziło o to do dzisiejszego ranka, dopóki szef ochrony pana Wallenberga, Ferguson, i paru jego ludzi nie przejęli operacji. W rezultacie przyszłość wielu osób nie maluje się w jasnych barwach. Moja też.

- Już w porządku — powiedział Paine.

- Posłuchajmy jej - zachęcał Massinger, uwalniając go.

- Pieniądze w samolocie miały posłużyć jedynie za wabik. Stąd można wydostać się inną drogą.

- Nonsens - odezwał się Wallenberg. - Słyszałem plotki, że jest sporo starych szybów kopalnianych pod posiadłością. Szukaliśmy ich pięć lat temu, kiedy robiliśmy przegląd majątku. I nic nie znaleźliśmy. - Przerwał. - Przynajmniej tak mi powiedziano.

- Teraz to bez znaczenia - kontynuowała Eve. - Znaczenie ma to, że planowaliśmy zostawić was tu bezpiecznie i zniknąć w nocy. Zamiast tego wygląda na to, że wszyscy pojedziemy na lotnisko po pieniądze i gdzieś polecimy.

- To bardzo źle dla ciebie - parsknął Volovsky.

- Nie - upierała się Eve. - To źle dla nas wszystkich.

- To, co mówi - wtrącił Massinger - oznacza, że skoro jesteście tutaj dobrze chronieni, policja albo FBI prawdopodobnie spróbuje nas uwolnić na lotnisku.

- Jeżeli dojdzie do strzelaniny - kontynuowała Eve - wy też możecie zostać poszkodowani.

- A dlaczego miałyby cię to obchodzić? - zapytał Nash Paine. - Bob Clarencu był moim przyjacielem.

- Żałuję tego, co stało się z Bobem Clarenco. Ale nieważne, co o mnie myślisz, pomyśl jak businessmen. Obchodzi mnie to, ponieważ ja i kilku innych zainwestowaliśmy sporo w wasze dobre samopoczucie. Jeżeli coś złego was spotka, nic na tym nie zyskam.

- Ona ma rację - przyznał Shapira. - Dopiero gdy zostaniemy uwolnieni, rynek odzyska formę. Jeżeli, broń Boże, wielu z nas by zginęło, rynek by się załamał. Mogłoby być nawet tak źle jak w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim.

- W waszym interesie i moim leży, żeby wybrnąć z tej sytuacji.

- Powiem ca jedno - odezwał się James Gatz. - Nerwy to ty masz niezłe.

- Słuchajcie, ich jest tylko pięciu - powiedziała.

- Uzbrojonych - podkreślił Wallenberg. - Jakie mamy szanse?

- Daj spokój, Cal - wtrącił Scott Jordan. - Widziałeś tę kobietę w telewizji, Dolores Milliano, jak porównywała to oblężenie do Waco. Załóżmy, że ona ma rację? Przypuśćmy, że federalni spróbują czegoś na lotnisku? Jak szkopy, którzy walili do terrorystów z Czarnego Września na olimpiadzie w Monachium w siedemdziesiątym drugim. Szczerze mówiąc, niespecjalnie ufam FBI. Możemy znaleźć się pod ostrzałem. Jeżeli istnieje jedna szansa na sto, aby uniknąć takiej sytuacji, chciałbym ją wykorzystać.

- Ja też - mruknął Jim Hysek.

- Ale jak? - zapytał Laurensen. - Cal mówi, że oni są dobrze uzbrojeni.

- My mamy barek z drinkami, trochę dobrych cygar i stosy starych książek - rzekł Volovsky. - Może namówimy ich, aby pili i palili, aż do ogłupienia, a potem wygrzmocimy ich po głowach encyklopediami.

- Dupek. - Laurensen zmierzył go wzrokiem. - Że też masz ochotę na żarty.

Eve rozejrzała się po pokoju, próbując desperacko przypomnieć sobie rzeczy, które przeczytała w książkach i magazynach o biznesie, aby znaleźć płaszczyznę porozumienia z tymi mężczyznami.

- Słuchajcie. Wszyscy jesteście miliarderami. Cechują was: pomysłowość, odwaga, inicjatywa, celowość, nazwijcie to, jak chcecie. Lecz ja wiem, że nigdy nie spotykałam grupy ludzi tak inteligentnych jak wy. Potraktujcie to jako wyzwanie biznesowe. Większość was nie przyjmowała do wiadomości, że coś jest niemożliwe, i skutecznie działała. Z początku wiele rzeczy wydaje się niemożliwe. Wszyscy biznesmeni to hazardziści. Ale ci bystrzy stawiają na siebie. Na własne możliwości. Wiecie, nie znam zbyt wielu naprawdę bogatych ludzi, ale jestem pewna, że nigdy nie

spotkałam bogatego pesymisty. Pomyślcie o tym. Możecie być jak Henry Ford i wymyślić samochód, który was stąd zabierze. Albo możecie siedzieć i czekać, aż przybędzie po was długa limuzyna. Jeżeli wszyscy razem wysilimy mózgowicę, może coś się uda wykombinować.

Wallenberg uśmiechnął się z sarkazmem.

- Powtarzałem to przez cały weekend.

- Mamy przewagę, o której wam nie mówiłam. Oni myślą, że przeszłam na ich stronę. Nie ufają mi wystarczająco, żeby dać mi broń. Ale fakt pozostaje faktem, że potrzebują mnie jako negocjatora. Gdybym mogła uwolnić moich przyjaciół z bunkra, to moglibyśmy wrócić do pierwotnego planu. Wyjedziemy po cichu. Nikt nie pojedzie na lotnisko. Nie będzie strzelaniny. Wszyscy pozostaną przy życiu. Mamy czas do jutra rana, do ósmej, aby coś wymyślić. Ponieważ powiedziałam policji, że wtedy udamy się na lotnisko.

- Nie mam zamiaru układać się z mordercami - powiedział Nash Paine.

- To może zagłosujemy? - zaproponował Shapira. -Wszyscy, którzy są po stronie tej kobiety, ręka w górę.

Eve rozejrzała się po olbrzymiej bibliotece. Massinger trzymał rękę w powietrzu, podobnie Allan Scott, Don Volovsky, Joe Jacobson i John Porteus.

- Cała reszta przeciw ? - Shapira opuścił rękę, dołączając do większości. - Wniosek został odrzucony. - Spojrzał na Eve i potrząsnął głową. - Szczerze mówiąc, wolę raczej zaufać FBI niż tobie, młoda damo.

*

Poniżej domu, w Holu Króla Gór, który służył jako garaż, Ferguson, Ballard i Sam sprawdzali autokar - stary szkolny autobus z czasów, kiedy zaproszenie do Cloudcroft na golfa w weekend było mniej formalnym wydarzeniem. Żółty micro-bird, z trzydziestoma miejscami do siedzenia, miał pięć okien po każdej stronie i trzy z tyłu, a kiedy Ballard puszką farby w sprayu zaczerniał szyby, Ferguson zajął się silnikiem napędzanym na gaz. Zbiornik był napełniony w jednej trzeciej, ale Ferguson obliczył, że to w zupełności wystarczy, aby dotrzeć na lotnisko. Kiedy upewnił się, że autobus jest sprawny, wysiadł z kabiny i zapalił papierosa.

- Będziemy najbardziej przyjazną środowisku bandą porywaczy - powiedział, mając na myśli silnik autobusu.

- Do diabła ze środowiskiem - odparła Sam. Podziwiała wielką kolekcję samochodów Wallenberga, w której znajdowały się dwa rolls-roycey, bentley Continental, mercedes 600 SE, aston martin DB5 i DB7, stara corvette stingray, trzy wydłużone limuzyny lincolna, hummvee, porsche 911 turbo, ferrari testarossa i srebrne ferrari 550 barchetta. Poza nimi znajdowały się jeszcze mniej szczególne sedany i SUV-y, kilka harleyów-davidsonów i skutery śnieżne.

- Ja sobie kupię ferrari.

Ferguson uśmiechnął się.

- Fajne, nie? - powiedział, oglądając pięćsetpięćdziesiątkę. - Zawsze chciałem taką.

- W porządku. Tylko nie kup tego samego koloru co ja. Ja chcę srebrną, taką jak ta.

- Nie ma obaw. Ja czerwoną.

Zostawili Ballarda, który zamalowywał okna, i wrócili do domu, gdzie pozostali dwaj ochroniarze - Rusby i Baker - szukali jakichś ubrań, w których wszyscy wyglądaliby tak samo.

- Znaleźliśmy to w magazynie - powiedział Baker - gdzie trzymają kije do golfa i całą resztę. - Otworzył wielki karton i wyciągnął ciemnozielone wiatrówki zapinane na zamki błyskawiczne z napisem na plecach „Goudcroft Gold Tournament - 1988“. - Są trzy, cztery tuziny w różnych rozmiarach - dodał Baker. - Nie wspominając o czapkach do golfa z zasłoną na twarz i setkach par raybanów.

Ferguson już wkładał jedną z kurtek.

- Pamiętam je - powiedział. - Nadeszła wtedy fala upałów, więc nikt ich nie nosił. W tym roku Laurenson zaliczył dołek z par trzy za jednym uderzeniem; to jeden z powodów, dla których tu lubi wracać. - Zasunął zamek kurtki, a potem poprawił kaburę pod pachą. - Wszystko dobrze zasłania. Jak będziemy w czapkach i okularach, trudno będzie rozpoznać, kto jest kim.

Podciągnął zamek aż pod szyję i postawił kołnierz.

Sam zmierzyła go wzrokiem.

- Za nic nie można rozpoznać, czy masz pod spodem pistolet czy bombę - mówiła, naciągając czapkę. - Ale wygląda na to, że Eve i ja będziemy musiały ściąć włosy, żeby wyglądać jak inni. - Zamilkła na moment. - Musicie przyznać. Miała dobry pomysł. Jeżeli nie rozpoznają nas jutro rano, snajperzy nie otworzą ognia.

Ferguson pokiwał głową w zamyśleniu, zapalając kolejnego papierosa.

- Nie pojedziemy jutro rano. Pojedziemy dzisiaj. O północy. Zaskoczmy ich. Wszystko jest gotowe, więc możemy wyjść, kiedy tylko zechcemy. Jeżeli nas się nie spodziewają, to ciemności nam sprzyjają.

- A jeżeli zdecydują się strzelać? - zapytał Baker. - Co wtedy?

- Proszę bardzo. - Ferguson wzruszył ramionami. - Nie zamierzam poddać się bez walki. A wy?

- Pistolety kontra karabiny? To nie będzie walka.

- Myślałem o tym - powiedział Ferguson. - Te kurtki do golfa podsunęły mi pomysł. Każdy będzie niósł torbę na kije. Tylko że nasze będą zawierać coś jeszcze. Torba na kije to tak samo dobre miejsce na ukrycie karabinu automatycznego i zapasowych magazynków jak każde inne miejsce.

*

Eve stała, czując się jak mała, biała kropka na ekranie właśnie wyłączonego telewizora. Nikt teraz na nią nie patrzył. Może z wyjątkiem Eliota Massingera i Dona Volovsky'ego, który podszedł do niej, gdy skrzyżowały się ich spojrzenia.

- Skarbie, dla mnie nie jesteś przegrana - powiedział niski mężczyzna, biorąc ją na stronę.

- Słucham?

- Wiesz, może zostawisz to na jakiś czas, a potem spróbujesz ponownie, co? Trochę się znam na przemawianiu i moim zdaniem nie dałaś z siebie wszystkiego. Przyjęłaś pozycję obronną. Za bardzo przepraszałaś. Nie sprzedawałaś się. Nie przestraszyłaś ich wystarczająco. Boże, ja się boję, ale nie jestem taki tępy jak ci, którzy głosowali przeciw twojemu pomysłowi. Przeczytałem kilka tekstów o Waco, więc wiem do czego federalni są zdolni. To banda zadziornych gnojzków gotowych strzelać, jeżeli chcesz znać moje zdanie. Nie zamierzam skończyć jak David Koresh, dziękuję bardzo. Jeżeli pojedziemy na lotnisko, będzie jak w Monachium, a nie tak sobie wyobrażałem moją, mam nadzieję, odległą śmierć. Chcę umrzeć w łóżku z parą miłych, młodych Arabów i mnóstwem opium. Nie chcę być nafaszerowany kulami jak Clyde Barrow i Sonny Corleone. Mój ojciec nie żyje, nie może pójść do domu pogrzebowego i powiedzieć jak Marlon Brando: „Patrzcie, co zrobili mojemu synowi. Postaraj się najlepiej jak umiesz”, i tak dalej. Musisz spróbować porozmawiać z nimi raz jeszcze. Znaleźć inne podejście. Jesteś kucharzem. I to dobrym, moim zdaniem,

kiedy trzymasz się pizzy. Więc przygotuj coś. „Jeżeli dojdzie do strzelaniny” ... Zapomnij o tym. Musisz powiedzieć: „Kiedy FBI zaczną strzelać, dojdzie do krwawej łaźni. W interesie nas wszystkich leży, aby wymyślić sposób wydostania się stąd”. Ci faceci martwią się tylko o siebie. Dlatego doszli do fortuny. Nie dlatego, że są dobrymi organizatorami. Mówię ci szczerze, Eve - nie masz nic przeciw temu, że zwracam się do ciebie po imieniu? - moje słowo się nie liczy i nie gram fair. Zawsze, ale to zawsze kierowało mną wyłącznie pragnienie, aby robić to, co najlepsze dla Dona Volovsky'ego. Co znaczy, że mam wyjątkowy wgląd w to, co steruje tymi facetami. Są tacy jak ja. Może tak nie myślą, ale są. Wycofują się z umów, biorą wszystko do siebie, nie tolerują przegranej. Jedyna różnica między nami jest taka, że ja jestem SCS - Strefą Czystego Sumienia. Bzdury, kłamstwa, oszustwa, obłuda - w moim biznesie jestem wyjątkowy, ponieważ robię to wszystko, a jednak nie sprawia mi to kłopotów. Tak więc, Eve, musisz potraktować to osobiście. Rozumiesz? Musisz ustawić piłkę i uderzyć z całych sił. Jakby życie nas wszystkich od tego zależało. A prawdopodobnie zależy. I nie pozwól im na jakieś głupie głosowanie, to nie jest żaden klub dyskusyjny na Harvardzie czy w Yale. Przejmij inicjatywę. Chwyć ich za jaja. Jeszcze jedno i już kończę. Jak prawdopodobnie wiesz robię w przemyśle filmowym i chciałbym kupić prawa do twojej historii. Myślałem o tym i twój przypadek jest ciekawy. Uwierz mi, dzisiaj w kinie nie ma takiej fabuły. Oczywiście mówię to tylko pod warunkiem, że nie znikniesz. Inaczej trudno będzie nam podpisać umowę. Ale nic się nie stanie. Możemy to jakoś obejść. Gdybyś znikła, ten temat będzie mógł wziąć każdy, a na tym ci chyba nie zależy? Publiczność domaga się przywrócenia moralności. Gdyby to był kino artystyczne, niezależne, wtedy sprawa miałaby się inaczej. Ale ja robię filmy w studiach. A faceci, którzy je prowadzą, ludzie tacy jak ja... Kiedy dochodzi do tego, o czym zrobić film w dzisiejszych czasach, robimy się bardzo moralni.

- Jakoś tego nie widać.

- Ale tacy jesteśmy, zapewniam. Możemy podpisać umowę na wyłączność.

Zapłacę ci więcej, niż potrzeba na dobrego adwokata. Najlepszego. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Joe Jacobson miał rację. To słodka fabuła. I będzie z tego piękny film.

- Dzięki - powiedziała Eve, nieomal zaskoczona śmiałością mężczyzny. - Będę o tym pamiętać.

- Zrób to. Idź i przemów. I pamiętaj, co ci powiedziałem.

Volovsky odszedł, zapalając kubańskie cygaro, i usadowił się na skórzanej kanapie przy oknie. Rozglądał się przez chwilę, jakby spodziewał się, że ktoś będzie

rościć pretensje do tego terytorium, ale kiedy nikt się nie zgłosił, założył nonszalancko nogę na nogę, podniósł książkę, którą czytał, i udawał, że jej poświęca uwagę, lecz wzrok kierował głównie w stronę Eve, jakby była jego protegowaną.

Z Yoloosky'ego może być mały kutas, ale ma rację. Musiała dotrzeć do ich samolubnego ja. Jakby jej całe życie od tego zależało. Bo i zależało.

- Może niektórzy z was zastanawiali się, dlaczego trzymaliśmy was w narkozie przez cały weekend -opowiedziała nieco głośniejszym głosem niż poprzednio.

Podeszła do barku i naląła sobie szkockiej. Nawet nie spojrzała na nich.

- Niektórzy z was mogli nawet zadawać sobie pytanie, jak to możliwe, że nic nie pamiętacie.

Popiła drinka, gdy szepty za nią zaczęły cichnąć. Była zadowolona, że znowu w pełni przyciągnęła ich uwagę, nawet jeśli ona się nimi nie interesowała. Przełknęła szkocką i poczuła, jak ciepło rozgrzewa jej wnętrze. Trawnik odważnie przemierzał paw - jednak Wallenberg miał pawie - jego długi ogon zamiatał trawę niczym ogrodnik pole golfowe.

- Zadajcie sobie pytanie... czy robiliśmy to dla waszego bezpieczeństwa, żeby nic wam się nie stało. Mogliście przecież próbować ucieczki. Czy może z innego powodu? Bardziej wrednego? I czy rzeczywiście możecie ignorować to, co mam wam do powiedzenia? Tak naprawdę nie możecie.

Odwróciła się twarzą do zgromadzonych. Teraz wszyscy patrzyli na nią z uwagą. Volovsky miał rację. Tylko tym razem będzie wiedziała, co zrobić.

*

PRZEPRASZAMY - obwieszczał napis na Cloudcroft Inn.

- Tak - mruknął Tom Zander, gdy wszedł do chłodnego wnętrza lokalu na późne śniadanie. - Ja też przepraszam.

Po jasnym słońcu wydawało się, że w restauracji jest ciemno. Zander zamówił kawę i tamale, zanim oczy przywykły do wnętrza i uświadomił sobie, że w środku jest pełno dziennikarzy. Całe mrowie. Niektórych, jak Dolores Milliano, która siedziała przy sąsiednim stole, znał z telewizji, innych zidentyfikował, ponieważ mieli przy sobie magnetofony albo dyktafony; a kilku, bo wskazywali go palcem lub przyglądali się, jakby mógł im opowiedzieć o całej tej historii.

Zander powiedział sobie, że musi wyjść, że jeden z tych głośnych, cynicznych gnojków będzie chciał wydobyć z niego informację o tym, co się dzieje. Lecz czuł zmęczenie i głód, w restauracji było chłodno w porównaniu z żarem dnia, jego zamówienie już realizowano, a tamale w Cloudcroft Inn były w końcu najlepsze w mieście. Został więc, tyle że skrył się za rozłożoną miejscową gazetą „Mountain Monthly” - „Gazety robionej przez ludzi dla ludzi” - na próżno żywiąc nadzieję, że dadzą mu spokój. Czytał informacje o szkolnych obligacjach, zebraniach lokalnej rady i ogłoszenia, o nieruchomościach opisujące rancza w Lincoln National Forest, z których jedno miał nadzieję kupić po przejściu na emeryturę. Jednocześnie jednak, gdy zmęczonymi oczyma omiatał gazetę, mimowolnie przysłuchiwał się Dolores Milliano przy sąsiednim stoliku, która prowadziła rozmowę ze swoim wydawcą w *USA Today*.

- Jaka jest? Jest jak film Billy Wildera z Kirkiem Douglasem w roli głównej. *Ace in the Hole*. Nie widziałeś? Myślałam, że wszyscy znają ten film. Wypożycz go, a będziesz miał wyobrażenie, co tam się dzieje. Wszyscy robią pieniądze. Nawet miejscowy Kościół episkopalny... który mieści się w drewnianym budynku... zaczął dzierżawić miejsca do parkowania i sprzedawać przechodniom chłodzoną lemoniadę. Na stacji benzynowej żądają czterech dolarów za galon. A miejscowy sklep spożywczy pięć dolarów za paczkę marlboro. Dokładnie... pięć dolarów.

Zander był zaskoczony. Benzyna za cztery dolary to dwa razy drożej niż najdroższe paliwo, jakie kiedykolwiek kupił, a było to w Nowym Jorku. Od kiedy rzucił palenie, minęło zaledwie kilka miesięcy, ale wtedy paczka kosztowała dwa pięćdziesiąt. Kiedy zjawiała się kelnerka, przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić ceny w menu. Cztery dolary za kawę to spora przesada, podobnie jak dziesięć dolarów za tamale. Mógł z powodzeniem wyjść, tyle że był głodny.

- Wiem, wiem, to prosta ekonomia. Podaż i popyt, bla, bla, bla. Tylko ja nie widzę zbyt wielu dowodów na elastyczność cen, wiesz? Do Alamogordo jest dwadzieścia minut jazdy rowerem z górki, więc jesteśmy na ich łasce. Płacę dwieście dolarów za noc w pokoju, który normalnie, kosztuje sto dziesięć. Pewnie, stać mnie na to. Czytałeś... co? Fred, zapewniam cię. Random House nie płaci mi dwóch milionów dolarów za napisanie książki o tej historii. To nawet nie zbliża się do dwóch milionów. Nawet nie do połowy tego. Oczywiście, powiedziałabym ci, gdyby to była prawda. Ale nie jest.

- Mogę się przysiąc, sierzancie?

Zander oderwał wzrok od gazety i zobaczył stojącego przed nim z bezczelną miną młodego człowieka - ubranego w myśliwską kamizelkę nadzianą długopisami, telefonami komórkowymi i magnetofonami - który w ręku trzymał notes. Wyglądał jak młodszy brat Jimmy'ego Olsena.

- Spadaj - warknął Zander, wracając do lektury, ale w rzeczywistości chciał do końca wysłuchać opowiadania Dolores Milliano.

Czy było to możliwe? Czy nowojorskie wydawnictwo naprawdę było gotowe zapłacić jej prawie milion dolarów za książkę o kryzysie w Cloudcroft? Gdzie była sprawiedliwość na świecie, kiedy ludzie dostawali milion dolarów za książkę, której jeszcze nawet nie napisali? Dolores Milliano pędziła przez stan jak wiatr i dostawała siedmiocyfrową sumę za coś, co obskoczy pewnie w dwa miesiące.

A on, poczciwy glina, nadstawiał głowy, żeby ratować tych samych gnojków, których agenci i przedstawiciele oszukali go na Wall Street.

Zjawiała się kelnerka z jego tamale. Zander miał ochotę cisnąć w nią daniem. Zaczął jeść, ale bez apetytu.

- Byłeś dla niego twardy, co?

Zander podniósł wzrok znad talerza i już chciał zakląć.

- Dla kogo?

- Dla tego młodego reportera - powiedziała.

- To już się zrobił długi dzień. Ale może masz rację. Pewnie byłem.

Dolores Milliano nie pytała, czy może się przysiąść. Po prostu usiadła naprzeciw niego, jakby pewna, że jej sława pozwala ominąć takie formalności. Zander nie miał nic przeciw temu. Pomimo całej swojej niechęci do niej i całego chorobliwego wpływu, jaki wywarła na jego życie i finanse, zaakceptował jej towarzystwo, ponieważ była niezaprzeczalnie atrakcyjna i stanowiła słodką odmianę po kimś takim jak Nixon, Shaar i Sidonia. Podała mu szczupłą dłoń na powitanie.

- Cześć, jestem Dolores Milliano.

- Wiem - odpowiedział, lekko ściskając jej rękę; od razu dostrzegł złotego cartiera na kościstym przegubie, złote kolczyki, złote pierścionki i złote pióro w kieszeni płóciennego i blezera ze złotymi guzikami... wyglądała, jakby miała na sobie sporą część RPA. - Czytałem twoje książki. Jestem Tom Zander.

- O? A które?

- *Codzienna gra na giełdzie dla bezwzględnych* i *Gordon Gekko z sąsiedztwa*.

Kiedy Zander wymieniał jej książki, myślał, że to nie te gnoje na Wall Street były odpowiedzialne za wessanie go w tę wielką grę giełdowych spekulacji, to byli ludzie tacy jak Dolores Milliano, którzy sprzedali mu marzenia o łatwych pieniądzach. Dolores Milliano z poradnikami dla idiotów, jak zrobić z kota milionera. Wszystkie te głupie książki jej autorstwa. Jaką jeszcze przeczytał? *Żądza jest boska*. Jak wszyscy diabli. Nigdy nie powinien jej słuchać ani innych takich jak ona... finansowych dziennikarzy. Teraz to rozumiał.

- Która ci się podobała najbardziej?

Żeby tylko istniał jakiś sposób, aby odegrać się na niej za to, co mu zrobiła i prawdopodobnie wielu takim jak on. O to chodziło. Nie był tylko on. W całej Ameryce roilo się od drobnych inwestorów, którzy cierpieli przez to, co się działo. Pisano o tym na Bloomberg.com. Ale co on mógł zrobić?

- Obie były chyba dobre. - Zander uśmiechnął się chłodno. - Wiesz, niechcący słyszałem waszą rozmowę przed chwilą - wyznał. - O tym filmie. *Ace in the Hole*. Mój ojciec w nim grał.

- Twój ojciec był aktorem?

- Nie, ojciec był policjantem w policji stanowej, tak jak ja. W filmie też grał policjanta. Zdaje się, że „brakowało im statystów.

Milliano spojrzała przez okno i stłumiła ziewnięcie.

- Bardzo filmowy krajobraz - powiedziała. - Bardzo epicki.

- To twój pierwszy pobyt w Nowym Meksyku?

- Tak.

- Chyba nie będziesz miała czasu na zwiedzanie.

- Nie tym razem.

- Szkoda. Ale mimo to powinnaś zobaczyć Pomnik Narodowy White Sands. To tylko kilka kilometrów na południe od lotniska w Alamogordo.

- Co to takiego ten pomnik?

- Wydmy. Biały piasek. Piasek, który jest niemal przezroczysty, Szczególnie przy świetle księżyca. W zasadzie to tak, jakby było się na księżycu. Nie ma żadnego pomnika. - Uśmiechnął się, nieomal przepraszająco. - Tylko biały piach. Ponad siedemset kilometrów kwadratowych.

- To cudowne.

- Fakt, ale łatwo tam się zgubić.

- Jak myślisz, co się stanie? To znaczy w domu?

- Naprawdę nie mogę powiedzieć - odparł, a potem dodał. - Chciałem powiedzieć, że po prostu nie wiem.

Jest jakiś sposób, żeby ją oszukać? Pokręcić jedyną rzecz, do której ona i jej podobni naprawdę przykładali wagę? Informację. Gdyby powiedział Milliano, że zakładnicy w zasadzie są wolni, wtedy ona mogłaby poradzić wszystkim dookoła, żeby postawili na giełdzie ostatnią koszulę. Koszulę, która przypadnie, jak wydawało się Zanderowi, kiedy zakładnicy zginą przez ekipę HRT, która spróbuje ich odbić na lotnisku.

A wtedy giełda polecą na łeb. I Dolores Milliano wyjdzie na głupią.

Pochylił się do niej.

- Między nami?

Dolores Milliano zbliżyła się do Zandera, wystarczająco blisko, żeby wyczuć kukurydzę i papryczki w tamale, olej rusznikarski na koszuli polowej i pot na włochatej piersi.

- Oczywiście, Tom, masz moje słowo.

Zander skinął głową, nawet teraz próbując z finezją rozegrać zemstę.

- Wolałbym, żebyś nie mówiła o tym w telewizji - ściszył głos. - Negocjacje nadal trwają. Przypadkiem wiem, bo jestem głównym negocjatorem. Ale domyślam się, że zakładnicy są już wolni.

- Dobiliście targu? Jakiego?

- Dolores, nie mogę mówić o szczegółach. Ale tak, zawarto umowę. Gdybym był kimś takim jak ty, powiedziałbym ludziom, z którymi jestem blisko i którzy ufają moim dobrym radom, żeby postawili ostatnią koszulę na szybki powrót formy na giełdzie. Domyślam się, nie, spodziewam się, że wszystko skończy się do jutra do ósmej rano.

- Czasu lokalnego?

Zander skinął głową i wrócił do tamale.

Dolores Milliano już wybiegła myślą do przodu.

- To będzie dziesiąta czasu wschodniego. Jezu.

- W tajemnicy?

- Och, pewnie, Tom.

- Sam trochę kupuję i sprzedaję. Na podstawie twoich książek, Dolores. Więc czuję się zobowiązany. To ty mnie do tego wprowadziłaś. Pomogłaś mi zarobić trochę

prawdziwych pieniędzy, dzięki czemu nie muszę polegać na pensji gliniarza. A to są przecież drobne.

- Miło mi to słyszeć.

- Jak ja to widzę? Dzisiejsza zwyżka to pryszcz. Ale jutro rano? Uważaj. Około ósmej czasu lokalnego? Zobaczysz największą hosę, odkąd Łazarz podniósł tyłek, klepnął Jezusa w plecy i kupił mu piwo. Giełda jutro pójdzie w górę jak rakieta. Zastrzel mnie, jeśli się mylę. Do diabła, nawet pożyczę ci moją broń. Mówię ci, Dolores. I mówię ludziom, których kochasz. Postaw ostatnią koszulę. Ja już to zrobiłem.

- Jejku, dzięki, Tom.

- Nie ma sprawy. Naprawdę. Nic ode mnie nie słyszałaś.

- Pewno, że nie.

Milliano, gdy tylko znalazła wymówkę, wyszła z Cloudcroft Inn i poszła w górę Burro Avenue, gdzie na poczcie kupiła kartę AT&T i skorzystała z budki telefonicznej, żeby zadzwonić do Kyle'a Liebermanna w Bear Stearns w Nowym Jorku.

- Kyle Liebermann.

- Tu Leona. Przepraszam, chyba wykręciłam zły numer.

- *No problemo.*

„Leona” to kod, którego używała z Liebermannem, kiedy miała jakąś wiadomość i nie chciała, aby nagrywano ich rozmowę. W tej chwili Liebermann wyjdzie ze swojego biura przy Park Avenue 245 i przejdzie kilka przecznic na północ do New York Palace Hotel przy Madison.

Dziesięć minut później Liebermann zadzwonił do Milliano na komórkę.

- Cześć, kochana, co się dzieje?

- Kyle? Ile mam na rachunku handlowym?

- Około czterystu pięćdziesięciu tysięcy, kiedy ostatni raz sprawdzałem.

- Chcę, żebyś kupił za wszystko pięciodniowe opcje kupna na S&P 500, S&P 100 i indywidualnych opcjach udziałowych. Po sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Jesteś pewna? Giełda poszła w górę, ale panuje jeszcze cholerna płynność. Radziłbym poczekać, aż skończy się ta mała zwyżka. A na pewno się skończy.

- Kyle, giełda znowu pójdzie w górę. Mocno. Około dziesiątej twojego czasu jutro rano. Rozmawiałam z policjantem, który ma poufne informacje na temat tego, co się tam dzieje.

- Z policjantem? Dolores, ty chyba żartujesz. Chcesz postawić prawie pół miliona dolarów na to, co mówi ci glina?

- To negocjator, Kyle. Powiedział, że zawarli umowę z porywaczami i że zostaną zwolnieni jutro rano. Sam nawet kupił parę udziałów. Jest przekonany, że wszystko się skończy do jutra do dziesiątej... twojego czasu.

- Oto moja Dolores. - Liebermann się zaśmiał. - Czy masz coś przeciw temu, jeżeli sam kupię trochę akcji?

- Absolutnie nie. Ale informację zatrzymaj dla siebie. Szybkie kupno i sprzedaż. Chociaż raz w życiu chcę sprzedać, kiedy wszyscy inni kupują.

*

- Nie wierzę - powiedział Wallenberg.

- Ja też nie - dodał Scott Jordan.

- Pozwólcie, że to wyjaśnię - odezwał się Volovsky. - Chcecie powiedzieć, że na pewnym poziomie uśpienia to działa jak eliksir prawdy?

- Właśnie tak - odparła Eve. - Nawet nie trzeba zadawać pytań. Lek nakłania do wyjawienia najgłębszych tajemnic bez zewnętrznego bodźca. Sfilmowaliśmy każdego z was, jak opowiadaliście, całkiem normalnie, tak jak ja teraz do was mówię, nagraliśmy rozmowy na DVD i wysłaliśmy je stąd w niedzielę rano.

- Dokąd? - zapytał Shapira.

- Nazwijmy to polisą ubezpieczeniową. Na wypadek gdyby plan akcji terminowych nie zadziałał. To prawdziwe megamovie wideo. - Przypomniawszy sobie, jak sam Clarenco to opisał, dodała: - Kamień z Rosetty tajnych informacji. Wszystkie wasze brudne tajemnice, biznesowe i osobiste. Przejęcia, fuzje, kochanki, tajne konta bankowe, spłaty, łapówki, brudne sztuczki... mamy to. Dobraliśmy się do was jak w kopalni odkrywkowej.

- Ciągle w to nie wierzę - gorączkował się Wallenberg. - To niemożliwe.

- Och, możliwe. Zastanawiam się, ile warte byłyby te informacje dla niektórych z waszych rywali? Chyba miliardy.

- Udowodnij to - powiedział Jordan.

- Dobrze, ale chyba lepiej to zrobić na osobności, co? W końcu jeżeli wszyscy to usłyszą, informacja nie będzie wiele warta, hm?

Nadal patrząc na Scotta Jordana, Eve wskazała głową koniec biblioteki, gdzie wyjaśniła cierpliwie Jordanowi, jak GENE-I-USA, gen inteligencji, którego on sam był dawcą, został komercyjnie osłabiony przez jego związek z Franzem Stanglem, komendantem obozu śmierci w Treblince.

Gdy tylko Eve o tym wspomniała, Jordan zaczerwienił się, jakby został mocno spoliczkowany.

- Kto ci to powiedział? - zapytał wystarczająco głośno, aby usłyszeli go wszyscy w bibliotece.

- Ty sam - odparła.

Przez chwilę Jordan przyglądał się jej z obrzydzeniem, a potem odszedł szybko, ku rozbawieniu Dona Volovsky'ego. Zatroškany Calvin Wallenberg ruszył za młodszym mężczyzną, który usiadł na siedemnastowiecznym dębowym krześle. Położył mu dłoń na ramieniu w geście pocieszenia.

- I co? - spytał.

- Co... co?

- Udowodniła?

- Tak - odparł Jordan zniecierpliwiony. - Tak, tak.

- Kto następny? - zapytała, choć już zrobiło się jej żal Jordana.

Wybierała w pośpiechu i zupełnie zapomniała, że Jordan należał do tych nielicznych, którzy wcześniej za nią głosowali. Za drugim razem upewniła się, by wybrać kogoś, którego głos utraciła.

- Może pan Sterne?

- Ja? Nie mam żadnych tajemnic.

Volovsky ryknął śmiechem.

- No chodź, Rupert. Nie bądź taki drętwy. Może Eve wywróży ci coś z dłoni.

Sterne wzruszył ramionami, wstał z fotela, gdzie siedział z kryształową popielniczką na kolanach i palił cohibę, i z beztroską, a nawet nonszalancją zbliżył się do Eve, a następnie podążył za nią do odległego zakątka biblioteki.

- To pantomima - powiedział.

- Tak? Wiem wszystko o tobie i telekomunikacyjnym kontinuum na subkontynencie indyjskim czy gdziekolwiek indziej. - Pewna była tego, co powiedział jej Bob Clarencó, a to oznaczało, że sporo ludzi pracujących dla C-Kwadrat na Florydzie straci pracę w ciągu półtora roku do pięciu lat. - Założę się, że związki

zawodowe w Jacksonville chciałyby znać taką informację. Dowiedzą się, jeżeli będę musiała pójść do więzienia. Postaram się o to.

- Suka - warknął.

Eve zaczynała się dobrze bawić. Dla równowagi dodała:

- Tak samo jak czułabym się zobowiązana powiadomić twoją przyszłą żonę, Sheryl, że zamierzasz wyciągnąć umowę przedmałżeńską podczas ceremonii ślubnej w przyszłym miesiącu. Mam nadzieję, że mogę liczyć na twój głos, panie Sterne.

Sterne zaklął głośno.

- Biorę to jako „tak”.

Sterne ze złością cisnął popielniczką w kominek, gdzie rozbiła się o parę połączonych słupków z brązu.

- Uspokój się, Rupe - krzyknął Wallenberg. - Ta popielniczka była z kryształu Baccarata.

- Przyślij mi rachunek.

Eve rozejrzała się po pokoju niczym magik na scenie w poszukiwaniu ochotnika wśród publiczności.

- A może pan Wallenberg?

- Ja?

- Tak, proszę się tak nie dziwić. Wszyscy tu mają coś do ukrycia. A pan z pewnością nie stanowi wyjątku.

- Odmawiam udziału w tym szantażu.

- Tak pan tego nie nazywa, kiedy dokonuje wykupu za pomocą dźwigni finansowej - zauważyła Eve. - A jakie jest teraz modne słowo wśród nowej kadry kierowniczej? Wymuszenie kontrofertą? Słyszałam, że zmusił pan jedynego ze swoich kierowników, aby ubiegał się o kierownicze stanowisko u Goldmana, żeby mógł pan coś u nich naknocić, a później musieli znowu szukać pracownika, chociaż myśleli, że już znaleźli odpowiedniego.

- To wierutne kłamstwo - odparł Wallenberg, rozglądając się po pokoju, jakby czekając, że ktoś się za nim wstawi. - Nic takiego nie zrobiłem.

- Może jednak ruszysz tyłek i podejdziesz, zanim powiem wszystkim o nowej umowie, którą tu negocjowałeś.

Od kilkunastu miesięcy Wallenberg próbował pośredniczyć w przyjaznej umowie między Vistacom a CarCharoDon, która miała doprowadzić do nabycia przez firmę Massingera intratnego studia filmowego Volovsky'ego za dziesięć miliardów dolarów.

Jednak żeby tego dokonać, Massinger musiał wejść w fuzję z czołową firmą wypożyczającą wideo, megamovie, której właścicielem był Allan Scott. Nabycie CCD obciążałoby Vistacom znacznym długiem, dlatego Massinger potrzebował źródła świeżej gotówki. Scott miał ochotę wejść w grę i zgodził się kupić akcje zwykłe Vistacom za miliard siedemset pięćdziesiąt milionów dolarów, aby dać Massingerowi wsparcie finansowe, by sprostał cenie Volovsky'ego. Volovsky jednak wierzył, że może dostać więcej niż dziesięć miliardów dolarów za CCD, i na początku weekendu Wallenberg, który doszedł do wniosku, że transakcja z Massingerem nie dojdzie do skutku, zaniechał aliansu z Vistacomem i postanowił wykorzystać pewne tajne informacje, które wypłynęły podczas rozmowy między Volovskym a prezesem Traycom Corporation, Henrym Martinem, który powiedział Volovsky'emu, że zapłaci dwanaście miliardów dolarów za CCD.

Wyjawieniem tych sekretnych rozmów teraz groziła Eve. Jego protesty oklapły niczym sadzonki od wiosennego przymrozku.

- Osiągnęłaś swoje - powiedział szybko. - Może jednak miałaś rację. Lotnisko rzeczywiście wygląda na niebezpieczne. Może powinniśmy na własną rękę uciekać. Masz moje wsparcie.

- Panowie - odezwała się Eve. - Mogłabym to kontynuować z każdym z was po kolei, ale tracimy czas.

- Zgadzam się - przystał Massinger. - Chociaż muszę przyznać, że nadal jestem ciekaw tej twojej nowej umowy, Cal.

- Ja też - blefował Volovsky.

- Myślę, że najwyższa pora, abym was przycisnęła - kontynuowała Eve. - Powiedzmy, że kiedy ktoś jeszcze mi się sprzeciwi, będę musiała wyjawić jego sekrety przed wszystkimi. Mam nadzieję, że to jasne. Zatem, czy jest jeszcze ktoś, kto nadal uważa, że powinniśmy powierzyć nas wspólny los FBI? Czy też mogę liczyć na waszą pełną współpracę?

Eve zamilkła i rozejrzała się spokojnie po pokoju.

- I jak, panie Shapira? Ostatnim razem był pan dość krytyczny wobec mojej propozycji. Czy weźmiemy los w swoje ręce? Tak jak pan zrobił w Malezji? Udowodnił pan, że jest to możliwe. Muszę przyznać, że najbardziej liczyłam na pańskie wsparcie. Co mówi pana książka? „Jeśli pokorni przyjmą władanie nad ziemią, będą musieli walczyć jak skurczybyki, żeby ją utrzymać”.

- To już nie jest tajemnica - odparł Shapira.

- Jest pan gotów walczyć?

Shapira starannie rozważył odpowiedź. Czy rzeczywiście było możliwe, że wiedziała coś o Amibel Sciences i Irani Reaserch? Dziesięć lat temu istniał plan, aby te dwie firmy połączyć poprzez transakcję swapową, „jeden na jeden”. Akcje Amibel miały cenę 36,50 dolara, Irani - 26,50; zawarcie umowy spowodowałoby wzrost akcji Irani o dziesięć dolarów, natomiast cena akcji Amibel prawdopodobnie by spadła. Pół tuzina arbitrażystów traktowało tę fuzję jako okazję do szybkiego zysku, sprzedawali tanio Amibel i lokowali w Irani. Lecz Shapira znał tajną informację zarządu Irani, który nie planował zawrzeć tej umowy, i wbrew bieżącemu zyskowi sprzedawał drożej Amibel, a taniej Irani. Kiedy udziały Amibel osiągnęły cenę 47,50 dolara, gdy podano do publicznej wiadomości, że umowa została odrzucona, Shapira, który potajemnie kupił więcej niż cztery miliony udziałów Amibel, zyskał osiemdziesiąt milionów dolarów. To była jego najbrudniejsza tajemnica, którą od dziesięciu lat próbowała zbadać bez powodzenia komisja papierów wartościowych. Czy rzeczywiście mógł powiedzieć tej kobiecie, gdzie szukać klucza do tej zagadki... w specjalnej szufladzie z napisem „Sevruga” i na koncju bankowym w Liechtensteinie?

- Zawsze opowiadam się za osobami, które biorą los w swoje ręce - powiedział ostrożnie. - I dlatego masz moje wsparcie. Tylko proszę nie spodziewaj się, że będę do kogoś strzelał albo kogoś uderzę. Mam siedemdziesiąt lat i już niespecjalny ze mnie kiler. Ale dobrze, że mi przypomniałaś - kontynuował - o tym, co się stało w Malezji. Gdybym siedział i zastanawiał się nad tym za długo, prawdopodobnie ciągle bym tam przebywał. - Wzruszył ramionami. - Może tak byłoby lepiej. Czas pokaże, tylko nie mam ochoty być wplątany w jakąś strzelaninę w stylu Monachium. Znałem jednego z Izraelczyków, którzy tam zginęli: Amitsura Shapirę. Był moim krewnym. Trener lekkoatletyki. Do tej pory nawet o tym nie rozmawiałem, ale pamiętam, co się wydarzyło w siedemdziesiątym drugim, tak jakby to było wczoraj. - Wskazał Eve. - Dlatego wcześniej odmawiałem współpracy. I nie myślcie, że współpracuję z wami, ponieważ boję się ujawnienia jakiejś mojej tajemnicy. Powiem wam coś: każdy człowiek, nawet najgorszy z nas, ma prawo do prywatności własnego sumienia. Wasz czyn to pogwałcił. Młoda damo, wprowadziliście na siłę kamerę do ludzkiej duszy, żeby zrobić jakieś wredne zdjęcie.

Osobiście Eve zgadzała się z nim: była oburzona tym, co zrobił Clareneo, ale nie miała czasu na dyskusję o moralności i nie zapomniała, co powiedział Don Volovsky o przemawianiu, o niecofaniu się, o wystraszeniu ich.

- Przestań - rzuciła. - Nie czas ani miejsce na debaty. Zdajesz sobie sprawę, co wiem, i na tym koniec. Dobra, słuchajcie wszyscy. Oto jak stąd się wydostaniemy. Panie Sarmenington? Będę potrzebowała pańskiej pomocy. Mam nadzieję, że w pełni z nami współpracujesz?

Ford Sarmenington pokiwał energicznie głową.

- Jasne - powiedział.

- Możecie zebrać się na moment? Panie Sarmenington, proszę zwracać na to szczególną uwagę, bo będzie pan musiał to zrobić. Panowie, przyglądajcie się uważnie. Chcę wam pokazać prostą, ale efektowną sztuczkę.

*

Ojciec Cala Wallenberga rozpoczął budowę schronu przeciwoatomowego w Cloudcroft dwudziestego siódmego grudnia 1955 roku, dokładnie miesiąc i dwa dni po tym, jak Związek Radziecki przeprowadził pierwszą próbę z bombą termojądrową. Do schronu, umieszczonego na wschód od domu, trzydzieści metrów pod pierwszym dołkiem do golfa, schodziło się tajemną klatką schodową prowadzącą z piwnicy na wina. Został zaprojektowany i wykonany przez tych samych inżynierów, którzy zbudowali bunkier Greenbrier w White Sulphur Spring w Wirginii Zachodniej dla prezydenta Eisenhowera. Schron w Cloudcroft mógł wytrzymać uderzenie bomby atomowej w odległości jednego kilometra. Był wystarczająco duży, aby pomieścić tuzin osób we względnym komforcie, wyposażony w generator prądu, zbiornik na wodę i systemy filtrujące powietrze, piec do spalania odpadów, kuchnię ze spiżarnią z zapasami żywności i napojów na trzy miesiące oraz kino. W betonowych murach grubych na cztery i pół metra były nawet sztuczne okna z drewnianymi ramami i obrazkami rodzajowymi z Nowego Meksyku.

Calvin Wallenberg zawsze dzielił z ojcem fascynację bronią jądrową i strach przed nią; i nawet po zakończeniu zimnej wojny odmówił zlikwidowania schronu pod pozorem, że zawsze przypadkiem może wybuchnąć wojna jądrowa. Myśl, że chorobliwie wrogie kraje, takie jak Libia, Irak i Korea Północna, mogą wejść w posiadanie broni atomowej, podtrzymywała jego postanowienie, aby wydawać ponad sto tysięcy dolarów rocznie na utrzymanie schronu. To było jedno z zadań należących do firmy ochroniarskiej Clarenca i w ten sposób zespół Clarenca mógł czuć się

względnie wygodnie, gdy tylko doszli do siebie po działaniu benadrylu, który podstępnie podano im poprzedniego wieczoru.

- W kuchni jest sporo jedzenia i wody - wyjaśnił. - A także telewizor i radio, więc rozgoście się, ponieważ nie ma sposobu, abyśmy się wydostali, chyba że ktoś otworzy drzwi z zewnątrz.

- Co to za schron, co zamyka się z zewnątrz? - zapytał Pennac.

- Och, zamyka się od środka - powiedział Clarenco. - Z zewnątrz też. Wallenberg w ten sposób miał hermetyczne zamknięcie. Żeby chronić żywność.

- Te same wygody co w domu - powiedział King. - Brak tylko cygar.

- Wręcz przeciwnie - odparł Clarenco. - Cygara są w spiżarni.

- A powietrze? - zapytała Ann Choy.

- Urządzenie filtrujące może wymienić całą objętość powietrza w bunkrze co piętnaście minut. Może być ochłodzone, podgrzane, ozonowane, deozonowane, nawilżane i osuszone.

- Mimo wszystko, będę wdzięczna, jeżeli nie będziecie tu palić - oponowała Choy.

- Ja też - dodał Bird. - I tak cierpię na lekką klaustrofobię.

- Nie ma potrzeby się martwić - zapewniał Clarenco.

- Łatwo ci mówić - powiedział Hogarth. - ty nie żyjesz.

- Tak samo jak Sam i Eve, jeżeli się kiedyś stąd wydostanę - oświadczył Powers.

- Same tego nie mogły zrobić - zauważył Clarenco. - Sądzę, że zaangażowały w to paru facetów z ochrony. Sam mogła oprowadzić ich z narkozy w dowolnym momencie.

- Może po prostu zabrakło im odwagi - odezwał się Busiek. - Z tego, co wiem, w tych drzwiach może w każdej chwili pojawić się FBI.

- Spokojnie - odparł King. - Gdyby ich wezwali, już by tu byli, a twój tyłek transportowano by do Cibola.

- A co jest w Cibola?

- Więzienie federalne. Te dwie suki musiały wciągnąć do tego tych twardzieli z ochrony. Wygląda na to, że tylko tak mogli nas tu wszystkich przenieść. A w takiej sytuacji oni wszyscy idą po te pieniądze w samolocie.

King spojrział pytająco na Clarenca, który skinął głową.

- Też tak uważam.

Jeszcze kiedy Clarenco mówił, światła zaczęły mrugać, jakby w trakcie burzy, a potem zgasły, pogrążając bunkier w ciemności.

- Ty i twoje przechwałki - powiedział Pennac. - Teraz nic nie widzimy.

King sięgnął do kurtki i wyciągnął zapalniczkę. Chwilę później on i Clarenco rozdawali latarki.

- Zna się ktoś na elektryce? - zapytał Clarenco.

- Chyba ja - zgłosił się Pennac.

- Chodźmy przyjrzeć się generatorowi.

W siłowni obok kuchni Pennac klęknął obok starego webera i otworzył aluminiową obudowę. Zajęło mu tylko kilka minut, aby zorientować się, co jest nie tak.

- Nie powinno być problemów. Po prostu skończyło się paliwo, to wszystko. Clarenco zaklął po cichu.

- Ferguson mówił, że zamierza napęlić go paliwem w sobotę - powiedział.

- Ale w sobotę leżał na podłodze w jadalni, czy tak?

- Tak.

- Zatem wygląda na to, że siedzimy po ciemku. Przynajmniej do czasu, kiedy ktoś zejdzie do nas zajrzeć. Dobrze chociaż, że jest jedzenie i woda. Mogłoby być gorzej.

- Boję się, że to nie do końca prawda - rzekł Clarenco. - Bunkier jest hermetyczny. System filtrujący powietrze jest napędzany prądem. Zasysa czyste powietrze, a wydala dwutlenek węgla, metan czy co tam jeszcze. Jeżeli ktoś nie zdecyduje się otworzyć drzwi w ciągu dwunastu, czternastu godzin, istnieje spora szansa, że wszyscy się udusimy.

*

Kiedy Eve poznała swojego męża, Brada - stacjonowali wtedy w rejonie Zatoki - pokazał jej kilka sztuczek. Wpierw sprawił, że znak karty, o której myślała, pojawił się na skórze jego piersi; potem wbił solniczkę w stół, aż przeszła na wylot, i na koniec kazał jej wybrać kartę z talii, karta znikła i pojawiła się w jej kieszonce na piersi. Zakochała się w Bradzie dzięki magii. Chciała wierzyć w niego tak bardzo, jak pragnęła wierzyć w czary. Znał jeszcze całą gamę niesamowitych sztuczek, z których wiele wykonywał w restauracji ku uciesze stałych bywalców. Sztuczki takie jak spalony, sześć asów, zero szans były dobre, ale ludzi zwał z nóg numer z lewitacją, kiedy wydawało się, że Brad rzeczywiście unosi się kilka centymetrów nad ziemią. Nigdy nie miał kłopotów ze wznoszeniem. Ulubiona sztuczka Eve była najprostsza,

choć jednocześnie najtrudniejsza do wykonania. Brad pokazywał obie strony dłoni, zanim wyciągnął z pięści banknot dolarowy, jakby z powietrza. Eve lubiła tę sztuczkę, ponieważ bardziej wiązała się z tajemnicą pieniądza niż magią. Zawsze interesowała się pieniędzmi, co jest szczególnie powszechne wśród tych, którzy ich nie mają. Nawet jako dziecko wierzyła, że pewnego dnia - chociaż nie miała pojęcia w jaki sposób - będzie bogata. Bogata na tyle, aby zrealizować część własnych uspiionych marzeń, co wydawało się doskonałym zastosowaniem pieniędzy. Boska sztuczka Brada Stworzenia czegoś z niczego przekonała ją, jak mało ludzie wiedzą o pieniądzach. Pod tym względem pieniądze były trochę jak Bóg: niemożliwe do zrozumienia - szczególnie że ci, którzy studiowali pieniąż i twierdzili, że go rozumieją, starali się do skomplikować albo nawet uniknąć wyjaśniania natury pieniądza. Skąd brały się pieniądze? Książka Ayn Rand zawierała pytanie, na które według Eve tylko kilku ludzi znało odpowiedź: „Więc myślisz, że pieniądze są źródłem wszelkiego zła. Czy pytałeś kiedykolwiek, co jest źródłem wszelkich pieniędzy?”. Eve nie miała pojęcia, a pieniądze, które miała nadzieję zrobić na CBOT, mogły z powodzeniem być wyczarowane z rękawa jednej z szytych na miarę koszul Boba Clarenca.

Minęło trochę czasu, zanim zrozumiła, że celem sztuczek Brada jest podrywanie dziewczyn. Chyba zawsze tak było; kiedy to zrozumiła, zaczęła też pojmować niektóre z numerów w jego repertuarze. Sama nawet nauczyła się kilku. Wtedy właśnie przestała wierzyć Bradowi. To dziwne, że tak się stało. Jakby za sprawą ruchu ręki przysła magia, która go otaczała.

Pierwszego triku Brad ją nauczył, aby ją uspokoić i zmylić. Eve przyłapała go, jak zwinięty banknot jednodolarowy przesuwając w górę i w dół kobiecie między piersiami, zupełnie jakby banknot żył własnym życiem. Gdy tylko zrozumiła, na czym polega sztuczka, zapragnęła sama ją zrobić. To było takie proste, a myśl, że tak łatwo dała się nabrać, irytowała ją. Nauczyła się też innych.

Nie nauczyła się natomiast jednej rzeczy, elokwencji Brada, sposobu prezentacji, jakby wcale to nie była sztuczka, oraz zaskoczenia, które dzielił z widownią. To była prawdziwa magia. Sztuczki służyły tylko temu, aby utrzymać uwagę dziewczyny, którą jednocześnie raczył słodką gadką. Eve nigdy się nie nauczyła... jak to nazywała, „gównianej części czarów”. Może z tego samego powodu nigdy nie umiała opowiedzieć dowcipu. Zawsze za bardzo się spieszyła, żeby dotrzeć do puenty. Tak samo nigdy nie potrafiła sztuczki wykorzystać. Czasami zastanawiała się, czy to dotyczy większości kobiet i czy mężczyźni przeważnie zostawali zawodowymi

magikami dlatego, że lepiej potrafili okłamywać nie tylko kobiety, z którymi chcieli się przespać, ale co ważniejsze, samych siebie.

Mimo to Eve wiedziała, że aby nakłonić tych ludzi do swojego planu, musiała stworzyć prostą iluzję, która to wesprze, a jednocześnie ich zadziwi. Aby to osiągnąć, będzie musiała wywrzeć wrażenie. „Ludzie nie lubią prostych sztuczek magicznych - powiedział kiedyś Brad. - Nie obchodzi ich, gdzie jest dama w talii kart. Tak naprawdę chcą, aby przekonać ich, że to wszystko prawda. Tym samym musi to przypominać prawdziwe czary. Głównie o to chodzi. Rzecz w tym, że najbardziej szokujące sztuczki są proste. To aranżacja sprawia, że prezentują się wyjątkowo”.

Eve skupiła się na Fordzie Sarmeningtonie. Niedużym mężczyźnie opalonym, z rzadziejącymi, siwymi włosami, w tytanowych okularach i o złośliwej twarzy. Wyglądał na sześćdziesiąt pięć lat i Eve wiedziała, że przeszedł trzy zawały serca w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Panie Sarmenington. Cierpi pan na serce, prawda?

- Tak.

- Więc zakładam, że umie pan mierzyć puls?

- Już się chyba nauczyłem. Wiele razy widziałem, jak to się robi.

- Co by pan opowiedział, gdybym stwierdziła, że mogę osiągnąć tak idealną mentalną kontrolę nad ciałem, że spowolnię puls, a potem całkowicie go zatrzymam?

- Puls to jedynie krew przepompowywana żyłami za sprawą skurczów serca. Brak pulsu oznaczałoby, że serce przestało bić. Odpowiadając więc na pytanie, powiedziałbym, że jeżeli potrafisz to zrobić, prawdopodobnie nie będziesz żyć albo jesteś bardzo dobrym magikiem.

- W rzeczy samej. - Eve zdjęła zegarek i wyciągnęła rękę w jego stronę. - Może pan zmierzyć mi puls?

Sarmenington ujął jej przegub palcami.

- Żeby sprawdzić, że rzeczywiście go mam - wyjaśniła.

Po kilku chwilach mężczyzna skinął głową.

- Tak, wyczuwam. Mocny i silny. - Spojrzał na zegarek. - Trzydzieści sześć na pół minuty. Czyli siedemdziesiąt dwa na minutę. Właściwy.

- Dobrze, spróbuję zwolnić pracę serca, a potem je w ogóle zatrzymać. - Z namysłem ujęła palcami szczyt nosa. - Spróbuję się skoncentrować.

- Widziałem tę sztuczkę w telewizji - mruknął Volovsky.

Massinger uciszył go, gdy Eve zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, jakby ćwiczyła jogę. Po kilku sekundach Sarmenington zmarszczył czoło, a potem wyglądał na zaskoczonego.

- Przestało. Nie wierzę. To niesamowite. Był puls, a teraz go nie ma.

- Zobaczmy, czy mogę go przywrócić, bo inaczej będę miała kłopoty.

Eve wzięła głęboki oddech i zrobiła głęboki wydech dla dramatycznego efektu.

- Wrócił. - Sarmenington spojrzał na Volovsky'ego. - Też widziałem tę sztuczkę w telewizji, ale zawsze myślałem, że to oszustwo. - Jak to zrobiłaś? - zwrócił się do Eve.

Uśmiechał się jak uczeń i potrząsał głową, aż Eve doszła do wniosku, że sztuczka dobrze poszła.

Należała do ulubionych Brada. Dzięki niej nawiązywał fizyczny kontakt z dziewczyną. Po sztuczce z pulsem były zazwyczaj gotowe na wszystko, co zaproponuje.

- Jak to robisz?

- Prawdopodobnie wyrzucą mnie z kręgu wtajemniczonych, jeżeli to zdradzę, ale pokażę wam. - Sięgając pod koszulę, powiedziała: - Oczywiście trochę pomógł mi pan Shapira.

Spod pachy wyciągnęła zwiniętą męską skarpetę.

- Hej, wszędzie jej szukałem.

- To wszystko? - zapytał Sarmenington.

- Trzyma się skarpetę pod pachą - wyjaśniała Eve. - Ktoś mierzy panu puls, a potem przyciska pan rękę z boku do żeber. Wtedy zwinięta skarpetka uciska tętnicę w ramieniu, przez co puls ustaje. To działa jak opaska uciskowa. Po kilku sekundach powoli zwalnia pan nacisk i krew znowu zaczyna płynąć. Łatwe, chociaż lepiej tego nie robić dłużej niż piętnaście sekund.

- Teraz to wydaje się takie proste - zauważył Sarmenington.

- Cieszę się, że tak pan myśli. Ponieważ sam będzie pan to robił.

- Ja?

- To pan jest chory na serce. Jeżeli nabierzemy ich i po,myślą, że dostał pan kolejnego ataku serca... że serce przestało panu bić, wtedy może dadzą nam śmiertelną broń.

- Broń? - zapytał Shapira. - Jaką broń?

- Defibrylator, Macie tu taki, prawda, panie Wallenberg?

- Z pewnością.

- Defibrylator tak naprawdę nie służy do tego, żeby pobudzić pracę serca - oponował Sarmenington. - Nie tak, jak pokazują to w telewizji. Jeżeli masz płaską linię, trzeba wykonać masaż serca albo użyć leków. Zespół pomocy doraźnej defibryluje, to znaczy powstrzymuje serce przed fibiylacją, czyli migotaniem. Defibrylacja po prostu narzuca sercu normalny rytm, żeby mogło pompować krew przez ciało.

Eve zastanawiała się przez moment. Sam na pewno to wie.

- To może zadziałać - powiedziała. - Uważajcie; Sam sprawdza panu puls i widzi, że go nie ma. Wtedy osłuchuje pana i słyszy, jak bije serce. Co może być dziwniejsze od tego?

- Muszę się z tobą zgodzić - powiedział Sarmenington. - Ale przynajmniej powinienem wyglądać, jakbym był chory. Wszyscy mówili, że byłem naprawdę szary, kiedy miałem atak serca. Wręcz jak popiół. Żebyśmy mieli coś do pobielenia mi twarzy.

- Chyba mógłbym w tym pomóc - powiedział Shapira, zdejmując książkę z półki, i zdmuchnął pył z grzbietu. - Puder - wyjaśnił.

- Może się sprawdzić - oceniła Eve.

- Pozwólcie, że wyjaśnię - odezwał się Volovsky. - Planujesz posłać jednemu z nich ładunek elektryczny? Czy tak?

- Tak.

- Dobrze, przypuścimy, że jest ich dwóch i ten drugi ma broń. Może mu nie spodobać się to, co będziesz robić z jego kolegą.

- To prawda. - Eve podeszła do drzwi biblioteki i wróciła, próbując wyobrazić sobie przebieg wydarzeń. - Pomyślmy. Wchodzą. Sam... ona jest pielęgniarką. Prawdopodobnie tutaj uklęknie przy panu Sarmeningtonie. Czyli tu, gdzie ja będę. Facet przy drzwiach przypuszczalnie każe wszystkim się cofnąć. - Zrobiła kilka kroków do drzwi i z powrotem i zatrzymała się przed mahoniowym stołem na trzech nogach. - To za daleko, żeby go dopaść.

Laurenson wziął z kominka popiersie Marka Twaina wielkości dłoni.

- Sporo grałem w baseball - powiedział. - Mógłbym tym w niego rzucić. Waży pewnie z półtora kilo. Jeżeli będzie się przyglądał, jak Ford ma atak serca, to może nie zwróci uwagi na to, co trzymam w ręku.

Volovsky wziął do ręki popiersie Whitmana z tego samego kominka.

- Jeżeli rzucimy razem... - odezwał się.

- To będzie początek w każdym razie - zauważył Allan Scott.

- Mamy dwukrotnie większą szansę, żeby trafić w faceta.

Dwaj wrogowie patrzyli na siebie przez moment i skinęli głowami, jakby w milczeniu zgodzili się odłożyć na bok uprzedzenia.

- Nigdy tak naprawdę nie lubiłem Whitmana - powiedział Volovsky.

Eve skinęła głową.

- Tylko traficie. Nie wyobrażam sobie, żeby Whitman i Twain nie wywarli na kimś wrażenia.

*

Kiedy Sam wraz z Fergusonem i innymi ochroniarzami przejęła dowodzenie, przestała podawać anestetyki pozostałym strażnikom - nadal uwięzionym w jadalni dla personelu, gdzie awanturowali się, by ich uwolniono - oraz dwóm kobietom, Fionie Lovatt i Cadence Kiam, które były zamknięte w swoich pokojach. Po prostu nie miała czasu. Większość z nich nie jadła od poprzedniego piątku i im stawali się głodniejsi, tym bardziej hałasowali. Ferguson początkowo zamierzał to zignorować, ale Sam przekonała go, że być może w interesie wszystkich byłoby dać uwięzionym kanapki.

- Cholera, to nie piknik - odparł Ferguson. - Kto ma czas na robienie kanapek?

- Myślałam, że Fiona może zrobić - powiedziała Sam, która szukała wymówki, aby sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

- Skoro o tym wspomniałaś, to chyba nie miałbym nic przeciwko zjedzeniu czegoś - przyznał Ferguson. - Dobra, ale weź z sobą Ballarda. I nie ma potrzeby zajmować się ludźmi w schronie. Mają tam sporo jedzenia i picia. Dostyć na trzy miesiące. Pewnie lepiej im tam niż nam tutaj.

Kiedy więc pozostał w centrum kontroli, Sam i Ballard poszli po Fionę do jej pokoju. Osobista asystentka Wallenberga miała skłonności do stawiania oporu, ale kiedy przyprowadzono ją do kuchni, pokornie zabrała się do przygotowywania dziesiątek kanapek pod czujnym okiem Sam i Ballarda. Stopniowo jednak zwyczajność tego zajęcia zachęciła ją do rozmowy; wpierw były to trywialne sprawy - z czym zrobić kanapki, jakie przyprawy, musztardy, dresingi, sałata; i dopiero kiedy Ballard zjadł ze smakiem jedną z kanapek, Fiona ośmieliła się zapytać o zdrowie swego pracodawcy.

- Nic mu nie jest - odpowiedziała Sam. - Wszyscy są zdrowi. - Nie było sensu wspominać o sfingowanej egzekucji Clarenca czy o fakcie, że ludzie, którzy spowodowali sytuację kryzysową, sami znaleźli się teraz pod kluczem. - Jeżeli wszyscy zachowają spokój, wyjdziemy z tego bez szwanku.

- Tak myślisz?

- Pewnie - odparła Sam. - Czemu nie? Mamy wszystkie asy. Dwadzieścia jeden asów, mówiąc dokładnie. Kto postawi przeciwko takim kartom?

Fiona potrząsnęła głową.

- O co chodzi?

- Właśnie myślałam, że to typowo amerykańska sytuacja - powiedziała Fiona, krojąc więcej chleba. - Ludzie z bronią, zamknięci w domu i otoczeni chmarą innych uzbrojonych ludzi. To typowe dla tego kraju, czyż nie? To znaczy prawie w każdym westernie jest taka scena. Gdyby nie broń, można by tu żyć przyzwoicie - powiedziała nie wiadomo do kogo i ze złością potrząsając głową. - O czym ja mówię? Ludzie? To nie ludzie z bronią. To mężczyźni. Wszystkie te bzdury, które się słyszy, że to nie broń zabija ludzi, że to sami ludzie Zabijają? Bzdury. To nawet nie ludzie zabijają ludzi. To mężczyźni z bronią zabijają ludzi.

- Ja mam broń - powiedziała Sam. - Zawsze lubiłam broń.

Fiona bacznie przyjrzała się Sam i broni, którą tuliła w ramionach, nieświadoma, jak bardzo tamta kobieta ją podziwia. Przez moment myślała, że powie Sam coś niemiłego, ale przestraszywszy się broni, zamilkła. Z tej decyzji będzie później zadowolona.

*

Nick Pennac przestał wystukiwać SOS w drzwi kluczem francuskim, który znalazł w obudowie generatora.

- Teraz wiem. jak musieli się czuć na tym rosyjskim okręcie podwodnym - wyszeptał w ciemnościach.

- To ładna myśl - odparł jakiś głos. - Dzięki, że podzieliłeś się nią z nami.

- Tracisz czas - powiedział ktoś jeszcze. - Nikt cię nie usłyszy.

- Masz lepszy pomysł?

- Poza tym tyfko marnujesz powietrze - rzekł Clarenco. - Wszyscy tu jesteśmy. Powinniśmy po prostu leżeć nieruchomo i nic nie mówić. W ten sposób wytworzymy jak najmniej dwutlenku węgla.

- „Kursk” - powiedział Pennac. - Tak nazywał się ten rosyjski okręt. Przymyślałem sobie.

- Pan Clarenco ma rację. - To był Bill King. - Musimy zachować spokój. Mogliście znaleźć się w gorszej sytuacji. Na przykład gdybym palił cygaro.

Po chwili już wszyscy milczeli. Leżeli po prostu nieruchomo starając się nie myśleć. ile jeszcze powietrza zostało w bunkrze.

Bob Clarenco uśmiechnął się do siebie. Kiedy planował ten skok, brał pod uwagę, że może zostać zastrzelony, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że umrze w schronie przeciwiatomowym.

Niewiele wiedział o śmierci przez uduszenie. Czy pocują po prostu niedotlenienie? Jakby ktoś ich dusił? Czy zaczną panikować, kiedy zabraknie im powietrza?

Oczywiście, jeszcze był na to czas. Przygotowania Wallenberga do holokaustu obejmowały także truciznę: gdyby świat na zewnątrz przestał istnieć, jaki sens miałoby przetrwanie? Gdzieś w kuchni znajdowało się pudełko z tuzinem strzykawk jednorazowych i wystarczającą ilością chlorku potasu, aby zabić wszystkich oczekujących na karę śmierci w Teksasie. Wstrzyknięty chlorek potasu wywoływał zawał serca.

Clarenco przestudiował ten temat bardzo dokładnie dla Wallenberga przed kilku laty i dowiedział się, że chlorek potasu stosowany jest w egzekucjach. Lekarze i pielęgniarki, gdy chcieli popełnić samobójstwo, też najczęściej po niego sięgali. Był stuprocentowo skuteczny.

Powietrze już nabrało wilgotnego i stęchłego posmaku, jakby niedawno ktoś nim odetchnął - tak pachnie w samolocie w klasie turystycznej po dwunastogodzinnym locie z Los Angeles do Londynu.

Clarenco właśnie zaczął rozmyślać o studiach.

Próbował przypomnieć sobie coś z tamtych dni, ale w końcu zasnął.

Eve pomyślała, że najlepiej będzie przygotować się do ataku serca Sarmeningtona. tak więc kiedy drzwi się otworzyły i do biblioteki weszła Fiona Lovatt z dużą tacą z kanapkami, Sarmenington z twarzą poszarzałą od kurzu siedział już w fotelu i zachowywał się, jakby był bardzo chory. Eve wykonała ruch w stronę Ballarda. który stał w progu z bronią gotową do strzału.

- Chodzi o pana Sarmeningtona. Nie czuje się dobrze. Ma chore serce, więc może lepiej wezwać Samanthę. Ona jest pielęgniarką.

Kiedy jeszcze mówiła, Sarmenington złapał się za pierś i ramię, jakby nagle go rozboleło, i wtedy prawie całkowicie zeszywniał.

- Chiyste! - krzyknęła Fiona, nieomal upuściwszy tacę. - On chyba dostał zawału.

Całym ciałem Sarmeningtona wstrząsnęło, jakby poraził go prąd. Osunął się na podłogę, gdzie uklękła przy nim Fiona, która chwyciła go za przegub i próbowała wyczuć puls. Potrząsnęła głową.

- Nie mogę znaleźć pulsu. Czekać, jest. Znowu nie ma. O, Boże, jest wszędzie. - Spojrzała z niepokojem na Ballarda. - On ma zawał. Lepiej przynieśmy ze szpitala defibrylator.

Ballard gapił się w mężczyznę leżącego na podłodze, a potem spojrzał na Fionę.

- Jak wygląda ten defibrylator?

Fiona potrząsnęła głową, starając się pomyśleć.

- Jak faks - powiedziała. - Och, nie wiem. - Podniosła wzrok. - Słuchaj, musimy się pospieszyć, bo inaczej on umrze.

Ballard przywołał ją gestem.

- Pokażesz mi - powiedział, biorąc ją za rękę i zamykając za sobą drzwi.

Eve z niedowierzaniem wpatrywała się w mężczyznę leżącego na podłodze, niepewna, czy przeszedł prawdziwy zawał, czy nie. Ale po chwili Sarmenington otworzył jedno oko.

- Poszli? - zapytał.

- Jezu, Ford - odezwał się Wallenberg - ale mnie przestraszyłeś.

- Mnie też - przyznał Shapira, nerwowo wypuszczając powietrze. - Przez chwilę myślałem, że to się dzieje naprawdę.

- Zachowajcie spokój - poleciła Eve. - Mogą wrócić w każdej chwili. Spojrzała na Sarmeningtona i potrząsnęła głową. Był prawie tak dobrym aktorem jak Bob Clarenco. - Niezłe przedstawienie, panie Sarmenington. Nawet trochę pan przyspieszył.

Rozejrzała się dookoła i zobaczyła, że część miliarderów nadal dochodzi do siebie po przeżytych szoku. Przypomniała sobie, że niektórzy osiągnęli wiek, kiedy atak serca stanowi ciągle zagrożenie. Dobrze, że wyglądali na zaskoczonych, doszła do wniosku.

Volovsky i Laurenson zajmowali już wyznaczone stanowiska, trzymając za plecami popiersia z brązu jak skradzione cukierki. Wcześniej ćwiczyli nawet rzuty zwiniętymi w kulę skarpetami. Eve zrozumiała, że skarpety są bardziej użyteczne, niż mogła to sobie wyobrazić.

Nie przypuszczała, że może planować zabić lub poważnie ranić kogoś. Poprzednio rozważała taką możliwość i postanowiła, że jeżeli ktoś do niej strzeli pierwszy, to może strzelić w odpowiedzi. Lecz to, co teraz planowała, wydawało się zdecydowanie odmienne. Robiła teraz coś, co książki prawnicze opisywały jako „działanie z premedytacją”. Jak inaczej można było nazwać planowanie porażenia kogoś prądem? A potem co? Raczej nie wydawało się prawdopodobne, że Ferguson i pozostali poddadzą się bez walki. Może będzie musiała zastrzelić jednego z nich, aby nie zginąć. Jedno było pewne: cena za zdobycie siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów wydawała się coraz wyższa. Lecz czy istniała alternatywa? Nie miała złudzeń co do Fergusona. Nawet gdyby przeżyli na lotnisku i zdołali uciec z pieniędzmi, nie wyglądał na człowieka, który dotrzymuje słowa i odda jej udział. Bardziej prawdopodobne było, że Eve wyskoczy z samolotu bez spadochronu. Albo dostanie kulę w głowę w chwili, gdy wylądują tam, gdzie zażyczy sobie Ferguson.

Na odgłos przekręcanego klucza w drzwiach biblioteki podskoczyło jej serce, gdy porcja adrenaliny trafiła do krwiobiegu. Po porażeniu prądem serce Sam na pewno skoczy mocniej. Sarmenington podchwycił jej spojrzenie i puścił oko.

- Powodzenia - szepnął.

- Nawzajem - odparła.

Sam, pchając wózek z defibrylatorem, wpadła do biblioteki, a Ballard kręcił się przy drzwiach, ciągle z automatycznym pistoletem w ręku. Eve nie patrzyła na niego. Sarmenington trochę rzucał się na podłozie, niczym pstrąg na brzegu rzeki. Znowu wyglądał przekonująco. Sam uklękła przy nim, zmierzyła mu puls i zmarszczyła brwi. Eve znowu serce podskoczyło. Czy zauważyła oszustwo?

- Puls raz jest, a raz go nie ma - powiedziała, wstając podłączyła defibrylator do prądu i wzięła z wózka tubkę z żelem.

Uklękawszy przy Sarmeningtonie, rozerwała mu koszulę. Eve znowu gwałtowniej zabiło serce. Zauważyła skrawek zwiniętej skarpety, którą Sarmenington ścisnął pod pachą?

- Daj - powiedział Eve. - Ja to zrobię.

- Dzięki - odparła Sam. - Rozsmaruj ten żel na piersi, żeby było dobre przewodzenie. - Wstała i przyjrzała się poduszkom, co wystarczyło, aby Eve wyjęła skarpetę i odrzuciła na bok.

- Czy rzeczywiście serce mu stanęło? - zapytała, wcierając zimny żel w mostek Sarmeningtona.

- Nie. Puls ma rozlatany, ale jest. To prawdopodobnie znaczy, że dostał migotania. Wyjaśni się, jak przyłożymy mu defibrylator. To jest wszystko w jednym. Monitor, defibrylator, rozrusznik.

Eve zastanawiała się, czy Sarmenington spanikuje, gdy poczuje poduszki na piersi. Wiedziała, że musi powiedzieć coś, co uspokoi go, inaczej cały fortel diabli wezmą.

- Więc położysz te poduszki, żeby zrobić odczyt, a potem przyjrzesz się urządzeniom?

- Tak, chyba że ty chcesz odczytać wynik?

Takiej okazji szukała.

- Nie wiem, na co trzeba zwrócić uwagę. Ale mogę potrzymać te poduszki.

- Dobra, ale ja je ułożę. Nawet lekarze źle to robią, a co dopiero sanitariusze. - Sam uklękła, biorąc od Eve poduszki i przemieszczając je po żelu pokrywającym klatkę piersiową Sarmeningtona. - Musisz umieścić jedną po prawej stronie ciała, po przekątnej między prawym sutkiem a obojczykiem. Większość ludzi umieszcza tę prawidłowo, ale tamta trafia pod lewą pachę. Nikt tej poduszki dobrze nie umieszcza, kładą ją bezpośrednio nad sercem. Ale wtedy nie przepływa wystarczająca ilość prądu przez serce i większość ludzi umiera. Dobra, na wszelki wypadek wytrzymaj z rąk nadmiar żelu.

Eve wytarła dłonie w dzinsy i spojrzała z niepokojem na Sarmeningtona. Na pewno teraz spanikuje. Na sam dotyk poduszek ona zerwałaby się z krzykiem.

- Okay, przytrzymaj je tutaj - poleciała Sam. - Tylko na miłość boską nie naciśnij tego guzika od prądu. Maszyna jest naładowana i gotowa do użycia.

Sam wstała i podeszła do monitora. Eve zerknęła na Laurensa i skinęła głową.

- To dziwne - powiedziała Sam. - Puls był rzeczywiście nieregularny, ale teraz serce pracuje równo. Jednak o wiele za szybko. Musimy je spowolnić.

Sam odwróciła się, gdy usłyszała głośny jęk, a potem łomot, gdy coś ciężkiego spadło na dywan. Ballard klęczał na podłodze, a z rany na głowie lała się krew. Gdy się temu przyglądała, przedmiot przypominający psie gównno zakończył lot po łuku i trafił go w bark, wybijając mu broń z dłoni. Sam zakłęła i sięgnęła po swój pistolet zamknięty w kaburze, i wtedy zobaczyła naładowane poduszki defibrylatora o kilka centymetrów od swojego ramienia i piersi. Kurcząc się przed nimi jak przed dotykem trędowatego, krzyknęła z przerażeniem:

- Nie, Eve, nie.

Eve dotknęła ramienia i tułowia Sam, jednocześnie włączając prąd o energii trzystu sześćdziesięciu dzuli. Kontakt nie był pełny, ale Sam poleciała na boazerię, jakby trafił ją bokser wagi średniej. Uderzenie pozbawiło ją przytomności.

Eve, wyłączwszy defibrylator, wyciągnęła pistolet Sam z kabury i wepchnęła sobie za pas. Rozejrzawszy się dookoła, zmierzyła puls nieprzytomnej kobiecie, zobaczyła, że Massinger już rozbroił Ballarda, a Ford Sarmenington siada i z niepokojem przygląda się Sam.

- Był pan dobry. Nie wiem, jak pan to zrobił, żeby nie spanikować przy dotknięciu defibrylatora. Ja bym nie wytrzymała.

- Nic jej nie jest? Miałbym wyrzuty sumienia, gdyby coś jej się stało. W końcu ona tylko chciała uratować mi życie.

Eve wyczuła kciukiem płytki i galopujący puls Sam, jakby ciągle ładunek elektryczny wędrował po układzie krążenia.

Z tego, co Eve wiedziała, wywołała ten sam rodzaj elektrycznych zakłóceń w sercu Sam, który defibrylator miał poprawić.

- Nie jestem pewna.

- Skorzystaj z maszyny. Po to ona jest. - Sarmenington wstał i z powrotem włączył maszynę. Potem ukląkł przy Sam i rozpiął jej kamizelkę kuloodporną. - Tyle razy widziałem, jak to robią w szpitalu, że mógłbym o tym napisać książkę - powiedział, rozrywając koszulę Sam, aby odsłonić jej piers. Chwycił tubkę żelu i dodał: - To nie jest tak, jak pokazują w telewizji. Jeżeli EKG jest płaskie, to wstrzykują adrenalinę. - Podał Eve defibrylator. - To nam powie, czy kolejny szok ma sens.

- Znowu mamy ją potraktować prądem?

- O to właśnie mi chodzi. Przyłóż poduszki do klatki piersiowej, tak jak zrobiłaś to wcześniej, a ja sprawdzę odczyt.

- Co się przejmujesz? - wtrącił Volovsky. - Moim zdaniem prosiła się o to.

- Tak - mruknął ktoś inny. - Zostawcie sukę.

Lecz Ford Sarmenington ich zignorował i wpatrywał się w monitor. Wykres pracy serca Sam składał się z serii wyolbrzymionych V. Włączył ładowanie poduszek.

- Ładowanie - powiedział. - Wygląda na to, że trzeba będzie jednak ją ustabilizować. Aparat obliczy, jaki prąd jest potrzebny. Przygotuj się i naciśnij przycisk, jak ci powiem.

Ładowanie szło szybko; z dwóch dzuży do trzystu sześćdziesięciu w siedem sekund.

- Odsunąć się - powiedział Sarmenington. - Już.

Po raz kolejny Eve nacisnęła guzik na poduszce. Ciało Sam wygięło się w łuk i opadło na dywan.

- Teraz sprawdzimy odczyt. Dobrze, stabilizuje się. O wiele lepiej. - Sarmenington odetchnął z ulgą. - Nic jej nie będzie.

Eve naciągnęła koszulę na pierś Sam i wstała. Shapira opatrywał głowę Ballarda oderwanym rękawem z koszuli uszkodowanego.

- Co z nim? - zapytała Eve.

- Trzeba będziei założyć szwy - powiedział Shapira. - Niezła rana. Przez pewien czas mamy z nim spokój.

Eve spojrzała na Massingera, który sprawdzał korytarz przed biblioteką z bronią w ręku.

- Ich trzech na nas dwoje - powiedziała. - Pasuje ci?

Massinger wzruszył ramionami.

- Pewnie. Ale jak dotrzemy do pokoju z bronią, może poprawimy tę statystykę. - Spojrzał po twarzach pozostałych mężczyzn. - Co wy na to? Ktoś idzie z nami?

- Ja - powiedział Laurenson.

- Ja też zdecydował Volovsky, a widząc sceptyczne spojrzenia, dodał: - Dużo strzelał do rzutków. - Potem wskazał Laurensona. - Poza tym wszystko, co on robi, ja umiem lepiej.

- Tom? Gdzieś ty był? - dopytywał się Dillion, kiedy Zander wrócił ze śniadania.
- Miałem godzinną przerwę. W nocy nie spałem. Ustaliłem to z porucznikiem Everardem. On był negocjatorem podczas mojej nieobecności.
- Tak jest, kapitanie - odezwał się Everard.
- Przepraszam, Tom. Denerwuję się, kiedy nie widzę cię na miejscu.
- Dzięki.

Zapowiadał się kolejny, upalny ranek. Trzej oficerowie nowomeksykańskiej policji stłoczyli się w cieniu rzucanym przez vana, niedaleko Murraya Shaara, który kłócił się zapalczywie z elegancką brunetką w obcisłej spódnicy i gładkiej, białej bluzce.

- Sprawy zmieniły obrót podczas twojej nieobecności, to wszystko.
- Tak?
- Pamiętasz tę drużynę, którą umieściliśmy na terenie zeszłej nocy? Prawdę mówiąc, Zander całkiem o nich zapomniał, ale skinął głową.
- Jeszcze tam są. Gdzieś na polu golfowym. Niewykryci. Co ci to mówi?
- Najwidoczniej porywacze nie obserwują gry tak uważnie jak wczoraj - doszedł do wniosku Zander.

- To rzuca całkowicie odmienne światło na całą operację - ciągnął Dillion. - Naturalnie będą się spodziewać, że FBI spróbuje czegoś, kiedy dojadą na lotnisko. Co oznacza, że chwilowo trochę odpuścili. Może odpoczywają aż do jutra rana. Nie wiem. Biorąc pod uwagę waszą wczorajszą rozmowę z HRT, omówiłem sprawy powtórnie z gubernatorem, i on zgadza się ze mną, że atak na dom ma teraz większe szanse niż operacja na lotnisku.

- Może ma pan rację - powiedział Zander. - Nie ma wątpliwości, że FBI podjęło jakąś akcję. Oni najwyraźniej nie słuchają tego, co im mówimy. O tych elektronicznych bransoletach, o zaciemnionych oknach w autobusie i że wszyscy będą jednakowo ubrani. Ciągle myślą, że przeprowadzą jakąś akcję ratowniczą. - Wzruszył ramionami. - Ale przypuszczam, że wszystkich by zabili.

- Też tak sędzę - przyznał Everard. - Więc wchodzimy dzisiaj w nocy.

*

Ciszę panującą w schronie przerywały jedynie od czasu do czasu kaszlnięcia, co przypominało Bobowi, że nie jest sam w ciemnościach, gdyż zgodzili się oszczędzać

baterie latarek na kryzysową sytuację. Zastanawiał się, czy jeszcze może być gorzej niż teraz. Pocieszało go tylko to, że przynajmniej nie będzie musiał patrzeć na ich twarze i pełne wyrzutu spojrzenia. To wszystko zdarzyło się z jego winy. Gdyby nie on, jego szalony pomysł i chciwość, nikogo z nich by tu nie było.

Clarence, leżąc na pryczy, próbował ignorować koszmarny ból głowy. Teraz już zrozumiał, że to nie przez brak tlenu zginą wszyscy, ale z nadmiaru dwutlenku węgla. Zabiją ich własne oddechy. Już miał zaburzenia myślenia. Czuł się jak ogłuszony bokser. A momentami nachodziły go mdłości.

Z pewnością ktoś przyjdzie sprawdzić, czy przynajmniej nie próbują stąd uciec.

Swędział go nos. Sięgnął do niego i zaszokował go fakt, że nie trafił do nosa, tylko podrapał się w usta. Tracił sprawność ruchową. Czy to był kolejny objaw zatrucia dwutlenkiem węgla? A może to z powodu zimna? Nawet skulony w śpiworze zaczął się trząść. To dobrze. To wymagało energii. Jego ciało próbowało pobudzić metabolizm. Będzie się o co martwić, kiedy dreszcze ustaną; wtedy ciało zacznie się ochładzać, a serce zwolni. Teraz już rozumiał, że niepotrzebne im będą te zastrzyki z chlorku potasu. Na początku pojawi się dezorientacja, a później po prostu zaśnięcie. Jak u starca. Znał gorsze rodzaje śmierci. Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. Była dziewiąta. Już niedługo.

*

Ferguson kierował się do biblioteki wraz z Fioną Lovatt, żeby sprawdzić stan Forda Sarmeningtona, kiedy dostrzegł, jak Eve, Massinger i jeszcze dwóch innych znika za rogiem korytarza, który prowadził do pomieszczenia z bronią. Eve niosła pistolet. Natychmiast domyślił się, że atak serca był sztuczką, a Sam i Ballard zostali obezwładnieni.

Zbrojownia znajdowała się tylko kilka metrów od miejsca, w którym ich widział. Zanim tam dotrze albo sprowadzi Bakera i Rusby'ego, będą już uzbrojeni. A co potem? Strzelać? Nie uważał tego za najlepszy pomysł. Tylko żywi zakładnicy mogli mu zapewnić fortunę. Bez nich nie miał nic.

Ferguson wydobyl z kabury broń i przyciągnął do siebie Fionę; pobiegł do biblioteki, zatrzymując się tylko po to, aby wyciągnąć klucz z zamka obu drzwi. Wchodząc do pokoju, wystrzelił raz w sufit, zamknął drzwi za sobą i odwrócił się twarzą do zakładników, wymachując bronią.

- Cofnąć się - warknął. - Odsunąć od drzwi. Mogę zastrzelić przynajmniej dwóch lub trzech z was i nadal odebrać okup.

Na twarzach mężczyzn pojawiło się rozczarowanie. Wycofali się powoli w stronę kominka.

Ferguson spojrział na Ballarda, który nadal siedział w fotelu z zabandażowaną głową, a potem na nieprzytomną Sam, leżącą na podłodze. Podenerwowany Ferguson skrzywił się. Ballard był blady i chyba kwalifikował się do szpitala. Ale czy Sam dojdzie do siebie na tyle, aby się nim zająć?

- Najwyraźniej wszyscy byliście zajęci - powiedział. - A ty zadziwiająco szybko wyzdrowiałeś - zwrócił się do Sarmeningtona. - Tak, rzeczywiście, to zdumiewające. Wszystkie pieniądze świata są nic niewarte, chyba że dopisuje ci zdrowie, zawsze to powtarzam. - Pochylił głowę nad Sam. - Co z nią?

- Wstrząs elektryczny. Eve poraziła ją defibrylatorem. Chyba nic jej nie będzie, ale musieliśmy jeszcze raz użyć defibrylatora, żeby ustabilizować akcję serca.

- Rozumiem. Wstrząs, tak? Cóż, zobaczymy, jak wam się to spodoba. Podaj mi swoje lekarstwa. - Widząc niechęć Sarmeningtona, Ferguson wycelował w niego z pistoletu. - No, już.

Sarmenington podał mu buteleczki, co wywołało sadystyczny grymas na twarzy Fergusona.

- Daj znać, jak źle się czujesz.

Przed grupą zakładników wyszedł Wallenberg. Jako pracodawca Fergusona czuł, że jego obowiązkiem jest rozmowa z tym człowiekiem.

- Ferguson? Odłóż broń i pozwól nam wszystkim odejść. Nie ujdzie ci to płazem.

- Obawiam się, że nie mogę, panie Wallenberg.

- Dlaczego to robisz?

- Dlaczego? Myślałem, że to oczywiste. Szczególnie dla pana. W końcu to pan kiedyś powiedział w wywiadzie dla „Forbesa”, że w kapitalizmie każdy sposób zarabiania pieniędzy jest dobry. Nigdy tego nie zapomniałem.

- Źle mnie zacytowałeś. Nigdy mi o to nie chodziło.

- Cóż, i tak postanowiłem, że lepiej być bogatym niż biednym. Ile innych powodów chciałby pan usłyszeć? Teraz siadaj i zamknij się jak miły dżentelmen albo adwokaci jutro przeczytają twój testament. To dotyczy was wszystkich. Zachować spokój, nie traktujcie tego osobiście i pamiętajcie, że to wszystko wasza wina. Gdybyście nie zgromadzili takich majątków; nie robilibyśmy teraz tego interesu.

*

Eve, Massinger, Laurenson i Volovsky ładowali karabiny i strzelby w zbrojowni, kiedy usłyszeli strzał. Natychmiast wrócili do biblioteki, gdzie odkryli, że Rusby i Baker wyprzedzili ich zaledwie o parę sekund i stukali niecierpliwie w drzwi.

Eve przeładowała mossberga kalibru dwanaście. Gdy dwaj mężczyźni usłyszeli towarzyszący temu dźwięk, rzucili pistolety i unieśli ręce nad głowę. Lecz widząc, że biblioteka jest zamknięta i brakuje obu kluczy, Eve pomyślała o najgorszym.

- Gdzie Ferguson? - zapytała obu mężczyzn.

- Chyba w środku - odpowiedział Baker. - Przyszedł sprawdzić, jak Sam sobie radzi z tym facetem z zawałem.

- Panie Laurenson? Czy mógłby pan pójść i przynieść kajdanki, którymi was skuliśmy?

Laurenson odszedł czym prędzej i wrócił po minucie z dwiema parami kajdanek i gdy tylko Baker i Rusby zostali przykuci do rzeźby z brązu, przedstawiającej kobietę naturalnych rozmiarów, dłuta Gastona Lachaise'a, podeszła do drzwi biblioteki i zastukała.

- Ferguson? Jesteś tam?

- Słyszę cię - odpowiedział.

- Co się tam dzieje?

- No, cóż, sytuacja wygląda następująco. Trzymam twoich zakładników, zakładniczko. I jeżeli nie zrobisz tego, co ci każę, zacznę ich zabijać jednego po drugim.

- Czego chcesz?

Gdyby rozmawiała z kimkolwiek innym, a nie z Fergusonem, bawiłaby ją ironia sytuacji.

- Za pięć minut otworzę drzwi. Przedemną będzie stać Fiona, więc radzę nie strzelać. Jeżeli cała wasza czwórka tu wmaszeruje, nieuzbrojona, to pozwolę jej żyć. Jeżeli tak się nie stanie, będę zmuszony ją zabić, a także tylu, ilu zdążę, zanim wy mnie zastrzelicie. Ten pistolet ma podwójny magazynek. Liczę, że mogę dokonać egzekucji przynajmniej sześciu, zanim zginę.

- A co potem?

- Potem pojedziemy na lotnisko. Tak jak planowaliśmy. Pan Sarmentington mówi, że Sam dojdzie do siebie.

- Słuchaj, Ferguson. Nawet jeżeli ona dojdzie do siebie na czas, Ballard teraz na nic ci się nie przyda. Zostałeś tylko ty, Rusby i Baker. Trzej ludzie nie dadzą sobie rady z tym, co proponujesz.

- Masz rację. To może pójdę po innych ochroniarzy. A może po waszych ludzi. Tylko nie próbuj negocjować ze mną, kochanie. Powiedz mi tylko, do cholery, czy umowa stoi, czy nie. Macie pięć minut, żeby się zdecydować. Pięć minut, a potem zacznę strzelać.

Eve odwróciła się od drzwi i spojrzała po trzech mężczyznach.

- Co robimy? - zapytał Volovsky.

Zerknęła na zegarek.

- Słyszeliście, co powiedział.

- Myślisz, że mówi serio? - zapytał Massinger.

- To typ, który nie straszy na darmo - odparła Eve. - Tak, przypuszczam, że mówi serio. Nie możemy mu pozwolić, żeby ich pozabijał.

- Zgadzam się. Chyba musimy się poddać.

- Ja myślę, że on blefuje - odezwał się Volovsky. - Jeżeli zaczniesz strzelać, nie odbierze pieniędzy. Co wtedy osiągnie? Nic. Wyczekamy go. Może wezwiemy policję. Niech oni to załatwią.

- Za pięć minut Fiona może nie żyć - sprzeciwiła się Eve.

- Niewykluczone, jeżeli mu ulegniesz. - Volovsky spojrzał na Eve. - Reszta nas jest dla niego coś warta. Ale ty? Ty nie jesteś nic warta. Może cię zabić tylko dlatego, że go wkurzysz. Myślałaś o tym?

- Akurat masz rację - przyznała. - On chciałby mnie zabić. Sam mi to powiedział. Ale chcę podjąć to ryzyko.

- Chcesz? - Volovsky nie krył zdziwienia. Wtedy odłożył broń. - Chyba pragnąłem to od ciebie usłyszeć. Teraz naprawdę chcę kupić prawa do twojej historii. W niej jest wszystko. Jednego dnia zabijasz zakładnika, a drugiego walczysz, żeby uratować resztę. Szaleństwo.

Eve położyła strzelbę na podłodze. Pozostała trójka zrobiła to samo. Potem Eve zastukała do drzwi.

- Umowa stoi? - zapytał Ferguson.

- Stoi - odpowiedziała Eve.

Chwilę później klucz obrócił się w zamku i drzwi otworzyły się na oścież. Ferguson zasłaniał się Fiona, jak brzechomówca chowający się za kukłą, i pistolet przykładał jej do głowy.

- Wchodźcie szybko - zaprosił ich niczym dobry wujaszek. - Tylko trzymajcie rączki w górze, żebym je widział. Nie zawaham się jej zabić, jeżeli któreś z was okaże się na tyle głupie, aby czegoś próbować.

- Proszę, nie skrzywdź jej - błagał Wallenberg.

Eve weszła do biblioteki, spoglądając na Ballarda, który nadal siedział w fotelu z oczyma jak szparki, otwartymi ustami i twarzą, która wyglądała jak afrykańska maska plemienna. A potem przeniosła wzrok na Sam, która miała oczy szeroko otwarte i nieruchome, tak że Eve nie wiedziała, czy kobieta nie żyje, czy tylko wpatruje się w Fergusona, który trzymał Fionę za gardło tak mocno, że prawie nie mogła oddychać, i wydawał rozkazy.

- Ty. Rusz się. Tam. Stój. Obróć się. Teraz ty. Idź. Ręce w górze. Zostań tam. Teraz idź. Ruszaj się.

Eve z rękoma w górze przesunęła się zgodnie z rozkazami. Spojrzała w zaczerwienione oczy Fergusona i nabrała przekonania, że chce ją zabić, może zaraz - nie mógł ryzykować, że ponownie spróbuje ucieczki.

- Chodź tu, suko, nie mam całego dnia.

Fiona zakaszlała, gdy Ferguson wzmocnił ucisk. Sam uniosła się na drżącym łokciu. Wzięła głęboki oddech, a potem kopnęła mocno Fergusona w lewą kostkę, tak że stracił równowagę. Puścił gardło Fiony i upadł. Zanim jeszcze uderzył o podłogę, Eve skoczyła jak drapieżny ptak z palcami rozczapierzonymi jak szpony i wylądowała z całym impetem na piersi Fergusona, żeby wbić mu kciuki w oczy.

Ferguson upuścił broń, aby uderzyć w ręce Eve, kiedy ta jeszcze przez kilka chwil wciskała kciuki w jego gałki oczne, ale Eve błyskawicznie zerwała się na równe nogi, mocno nadepnęła na prawą rękę Fergusona, a potem na brzuch. Chwyła pistolet i wykonała salto w tył, na wypadek gdyby jeszcze miał zamiar walczyć. Lecz Ferguson, przyciskając dłoń do oczu, mógł jedynie żałośnie jęczeć.

Eve starła krew z wargi i splunęła. Spojrzała na Sam i skinęła głową.

- Dzięki, Sam.

- Nie pomagałam tobie - odpowiedziała. - Tylko Fionie. Poza tym nie powinien mnie wcześniej uderzyć.

- I tak dziękuję.

- Oślepiłaś mnie, suko - zawodził Ferguson.

- Wątpię - odparła Eve. - Mogłabym rozerwać ci obie gałki, gdybym chciała, więc się ciesz.

Wallenberg pomagał Fionie podnieść się z podłogi.

- Nic ci nie jest, moja droga? - zapytał, obejmując ją ramieniem po raz pierwszy w życiu.

Fiona Lovatt skinęła głową bez słowa, objęła starca za szyję i pocałowała go w policzek.

Eve, ciężko dysząc, wyjrzała przez okno. Zmierzch nadchodził szybko. Wkrótce będzie ciemno, a jeszcze było sporo do zrobienia. Pomogła podnieść się Sam.

- Dobrze się czujesz?

Sam skinęła głową.

- Chodź z nami. Możemy to jeszcze wygrać.

- Żartujesz. Mówisz poważnie?

- Czemu nie? Gdyby nie ty, mielibyśmy jeszcze Fergusona na głowie.

- Dobra. Dzięki, Eve, ale lepiej posłuchaj. Ferguson renegecował umowę.

Powiedział FBI, że wychodzimy o północy.

- Co zrobił?

- Powiedział, że ich snajperzy mają mniejsze szanse, żeby nas zidentyfikować po ciemku.

Eye spojrzała na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści.

- To nam nie daje zbyt wiele czasu.

- Przepraszam, panie, ale nigdzie nie idziecie.

Eve podniosła wzrok i zobaczyła, że Massinger trzyma Mossberga, tylko tym razem mierzy w nią.

- To koniec.

*

- Oddaj broń - polecił Massinger. - Powoli.

Eve skinęła głową. Wiedziała, że z Mossbergiem nie ma co się spierać i zakreśliła palcem pistolet na palcu, chwyciła go za lufę i wysunęła w stronę Dona Volovsky'ego.

Wpychając go za pas, mruknął:

- Moja umowa jest wciąż aktualna. Pamiętaj. Podpisz ją ze mną, a zagwarantuję ci najlepszą prawną opiekę, jaką można zdobyć za pieniądze.

- Może jeszcze wyjdę z tego - powiedziała do niego.

- Co? Muślisz, że jesteś Bruce Lee? - Volovsky cofnął się o krok i przeładował broń, jakby dla pewności chciał przejść na bezpieczną stronę.

- Po prawdzie myślałam, że mogę negocjować, Nadal mam asa albo dwa.

- Mówiłem ci wcześniej. Widownia lubi umoralniające zakończenie. A tak to wygląda.

- Panowie. Czy mogę was prosić o uwagę?

- Tego muszę posłuchać. - Volovsky się uśmiechnął.

Wallenberg trzymał telefon.

- Wszystko się ukończyło, młoda damo - powiedział twardo. - Dzwonię do FBI.

- Jesteście mi winni przynajmniej to, abym mogła do was przemówić - nalegała Eve.

Massinger pokiwał głową. Podobnie Laurensen i Volovsky.

- To ona nalegała, abyśmy poddali się Fergusonowi - powiedział Massinger, wydając wyrok. Gdyby nie Eve, nadal byś tu sterczał z pistoletem przyłożonym do głowy, Albo gorzej. Głosuję, żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia,

- W porządku - zgodził się.

- Na osobności?

Ruchem głowy wskazała Fergussona i Ballarda.

Shapira już szedł do drzwi.

- Nie mam nic przeciw - powiedział. - Z radością wyjdę z tej biblioteki.

Kiedy Ferguson, Ballard, Rusby i Baker zostali zamknięci w bibliotece, Eve nadal stała przed miliarderami w olbrzymim salonie, jak zmęczony przewodnik wycieczki.

- Dobrze - zaczęła. - Oto dlaczego musicie pozwolić mnie i reszcie odejść.

Shakira zaśmiał się.

- Jesteś bezczelna. To ci muszę przyznać.

- Bez wątpienia w całym tym podnieceniu zapomnieliście o naszej poprzedniej rozmowie? O dźwigni finansowej, o której mówiliśmy? Niektórych tajemnicach, jakie nam wyjawiliście pod wpływem narkozy? Powiedz im Sam. Powiedz im, jak to było.

- Wygadali się, tak było. - Uśmiechnęła się. - Wszystkie ich brudy. Widzicie, użyliśmy propofolu. To całkiem nowy środek Stosowaliśmy go w CIA. Może uspokajać

pacjentów, ale także nakłonić do mówienia A najlepsze jest to, że wywołuje tymczasową amnezję.

- No, już. Dobrze wszyscy wiecie, o czym mówię. Czy mam jeszcze raz urządzić całe to przedstawienie?

Miliarderzy milczeli,

- Ale mogłabym kazać zniszczyć nagrany materiał Kiedy będziemy wolni, oczywiście.

- Jak możesz zagwarantować, że go nie wykorzystasz? - dopytywał się Jordan. Nie możesz przecież tego, co wiesz o naszych prywatnych sprawach, schować z powrotem do pudełka. To już wyszło na jaw.

- Najlepsza gwarancja, że nie wykorzystamy tych informacji, jest prosta. Pozycja, jaka zajęliśmy na rynku transakcji terminowych, zapewnia nam wystarczająco dużo pieniędzy, abyśmy nie musieli korzystać z tego, czego się od was dowiedzieliśmy.

Dalej patrzyli na nią ponuro, niezbyt przekonani.

- Cóż, to następny powód, dla którego powinniście nas wypuścić. Dając nam czas na odejście, dacie sobie czas na przeprowadzenie operacji giełdowych. Przy tak niskich notowaniach, jakie są teraz, niektórzy z was mogliby kupić udziały we własnych firmach po zaniżonych cenach. Panie Jordan? Nie chciałby pan odzyskać części pieniędzy, straconych na tych opcjach, które pan kupił, żeby pokryć opcje pracownicze?

- No, teraz mówisz, do rzeczy. - Volovsky się uśmiechnął, zerkając na zegarek. - Ona ma rację. Giełda w Tokio jest otwarta. Moglibyśmy kupić po najniższych cenach i nieźle zarobić.

- Jak rozejdą się wieści, że zostałeś uwolniony, giełda wystrzeli w górę. Wtedy nie będzie okazyjnych cen. Może więc poczekać chwilę i skorzystać z tego, co wiecie. Nie pierwszy raz wykorzystacie poufne informacje, co?

Errol Laurenson teraz kiwał głową.

- Byłby to rodzaj rekompensaty - powiedział. - Za to, przez co przeszliśmy. Prawda? - Przyglądał się twarzom kolegów. - Gdybym miał więcej udziałów własnej firmy, mógłbym zatrudnić z powrotem sporo ludzi z działu sprzedaży i marketingu. Musiałem ich pozwalniać. Nadrobić braki we wzroście dochodów w Delphus. Nabyć część tych opcji zakupu. Och, ludzie, czemu wcześniej o tym nie pomyślałem? Gdzie moja komórka?

- Czy o czymś nie zapominamy? - zapytał Rupert Sterne. - Wy zamordowaliście Boba Clarenca. Z zimną krwią. Patrzyłeś na to, Errol. Ty też, Eliot. Sami nam o tym powiedzieliście. Nie różnię się od was. Też chciałbym odkupić. Ale to nie tłumaczy morderstwa. Ktoś musi zapłacić za to, co stało się z Bobem. Gdybyśmy pozwolili tym ludziom uciec, wtedy nie byłibyśmy lepsi od nich...

- Jeżeli chodzi o mnie - odezwał się Volovsky - mogę przeżyć ten fakt. Idea rekompensaty bardzo mi się podoba. Nigdy nie przepadałem za Bobem. To on wpędził nas w tarapaty.

Wallenberg potrzęsnał głową.

- Rupert ma rację. Zamordowano człowieka. Prawo musi wkroczyć. Nie można zignorować tego faktu. - Rozejrzał się dookoła, szukając poparcia. - W przeciwieństwie do tego, co mówiliśmy wcześniej, nie wierzę, że każdy sposób zarobienia pieniędzy w kapitalizmie jest legalny. Piawo jest prawem.

- Zgadzam się z waszą argumentacją - powiedziała Eve. - Jeżeli ktoś został zamordowany, ktoś inny musi za to zapłacić. Zgadzam się. A gdybym wam powiedziała, że Bob Clarenco nadal żyje? Że zmusiliśmy go do tej szopki z egzekucją. Co wy na to, panowie?

- Istnieje łatwy sposób, aby to udowodnić - odparł Sterne.

- Bob prawdopodobnie jest zamknięty w schronie przeciwiatomowym z resztą moich ludzi - dodała Eve.

- Jeżeli Bob nadal żyje - przyznał Sterne - to sprawa inaczej się przedstawia. Przyznasz, George?

- Może chce, żebyśmy to przegłosowali? - parsknął Volovsky.

- Proponuję podjąć decyzję po rozmowie z Bobem - powiedział Shapira.

*

Gdy tylko Eve otworzyła ciężkie stalowe drzwi schronu, zobaczyła ciemność, poczuła odór stęchłego powietrza i wiedziała, że doszło do tragedii. Było to jak otwarcie grobowca dawno nieżyjącego faraona, w którym mdławy słodki odór ludzkiej słabości był aż nadto wyczuwalny.

Eve zrobiło się niedobrze. Sięgnęła ręką do środka, palce natrafiły na włącznik światła, pchnęła go mocno, a kiedy nic się nie stało, reszty się domyśliła.

Wchodząc ostrożnie w ciemność, wywoływała imiona.

- Bob, to ja. Eve. Bill, jesteś tu?

W końcu usłyszała kasznięcie i wyszedł Clarenco z resztą uwięzionych, niczym duchy. Wciągając głęboko świeże powietrze i mrużąc oczy przed jarzeniówką na korytarzu, stali, słuchając, jak Eve wyjaśniała, co się stało od chwili, gdy widzieli się ostatni raz, w poniedziałek w nocy.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze możemy ubić interes? - zapytał Clarenco, który głęboko oddychał czystym, świeżym powietrzem.

- Musicie jedynie robić to, co im powiedziałam - wyjaśniła. - Że posłuchaliście nas, bo baliście się o własne życie.

- Ale co z Fergusonem i tamtymi facetami? - pytał. - Co ich powstrzyma przed wygadaniem się FBI?

- Chyba mam pomysł, aby ich nakłonić do milczenia. W zasadzie jestem tego pewna. - Odciągnąwszy Clarenca na bok, z dala od innych, wyjawiała mu, co proponuje powiedzieć Fergusonowi. - Zgadzasz się? - zapytała Clarenca.

- Naprawdę myślisz, że to kupią?

- A jaki mają wybór?

Clarenco rozważył tę kwestię starannie. Nigdy nie przejmował się specjalnie myślą o operacji plastycznej. Lifting twarzy to jedno, zmiana twarzy to zupełnie co innego. Co gorsza, kochał Nowy Jork. Zniknięcie, pozostawanie za granicą, było najmniej atrakcyjnym elementem planu. Jaki sens miało bogactwo, skoro nie mogłeś odwiedzić Manhattanu? To tak jakby być wielkim śpiewakiem operowym i mieć zakaz wjazdu do Mediolanu.

Podszedł do nich Bill King, ziewając szeroko na świeżym powietrzu.

- Panie Clarenco, Eve. Musimy stąd zwiewać.

- Ja tu zostaję - powiedział i zdradził Kingowi, co zamierza zrobić.

- Dobra, w porządku, ale jak my mamy stąd się wydostać?

Clarenco wyciągnął z kieszeni mapę ze szczegółami trasy ucieczki.

- Proszę - powiedział. - To się wam przyda.

- Idziesz? - King zapytał Eve.

- Zaraz do was dołączę - odparła. - Pójdę na górę z Bobem. Ktoś musi potwierdzić jego historię. Poza tym trzeba dać umówiony znak przed kamerą, żeby czekał na nas transport.

Kiedy Clarenco poszedł do salonu, Eve poszła do kamery i postawiła na krześle samochód zabawkę - co było sygnałem, że zaraz wyjdą. Potem wróciła do biblioteki, gdzie zostawiła Fergusona, Ballarda, Bakera i Rusby'ego.

Ballard wyglądał trochę lepiej. Rusby i Baker, ciągle skuci razem, siedzieli spokojnie na kanapie i oglądali telewizję, popijając brandy i paląc cygara. Ferguson miał strasznie przekrwione oczy, ale Eve od razu się zorientowała, że wzroku nie stracił.

- Co to? Przyszłaś się napawać zemstą?

- Prawdę mówiąc, przyszłam złożyć ci propozycję, Ferguson.

- Jaką?

- Amnamię. Co byś powiedział na to, gdyby udało mi się nakłonić miliarderów, by powiedzieli policji, że próbowaliście ich uratować? Że nie mieliście nic wspólnego z przetrzymywaniem zakładników ani nikomu nie groziliście odebraniem życia. Zostaniecie nagrodzeni za odwagę w niesieniu pomocy.

- Dlaczego mieliby mówić coś takiego?

- Powiedzą, jeżeli ich o to poproszę. Lecz wprawdzie będę musiała poprosić o coś ciebie.

- O co?

- Ani słówka o naszych planach, o udziale Clarenca. Musisz jedynie powiedzieć FBI, że próbowałeś zorganizować ucieczkę, która nie doszła do skutku. Clarenco cię poprze. Podobnie jak inni. Chyba mogę to zagwarantować.

- Mnie to pasuje - odezwał się Ballard.

- Jeżeli wasze milczenie na temat udziału pana Clarenca będzie trwać przez rok, każdy z was otrzyma milion dolarów.

- Jak pieniądze będą wypłacone? - zapytał Rusby.

- Otworzą indywidualne konta w banku Chase Manhattan. Tylko upewnijcie się, że w środku jest duże Z. Na wypadek gdyby doszło do jakiejś pomyłki. A wtedy za rok pieniądze zostaną przelane na wasze konta. Co wy na to? Siedzicie cicho i dostajecie milion baksów. Albo powiecie federalnym wszystko, co wiecie, i spędzicie następne kilka lat życia w więzieniu.

- Jest z czego wybierać — przyznał Ferguson.

- Mamy umowę?

- Jestem za - powiedział Baker.

Ferguson skinął głową.

- Umowa stoi. - A potem dodał: - Jesteś niezła, wiesz o tym?

- Co to, Ferguson? Komplement?

Ferguson skinął głową.

- Nazywaj to, jak chcesz, skarbie. Ale z ciebie równa babka. Bez jaj.

*

W salonie miliarderzy przyjęli zmartwychwstanie Clarenca z radością; radością, że jeszcze żyje i że nie mają jakichkolwiek moralnych oporów, by zadzwonić do maklerów i polecić im kupować na japońskiej giełdzie, a potem na londyńskiej. Pojawiła się jednak pewna przeszkoda, dostrzegł ją magnat elektroniczny.

- Oni na pewno monitorują wszystkie połączenia telekomunikacyjne z tego domu - powiedział do Eve, kiedy wróciła z biblioteki. - Naziemne linie, komórkowe, e-maile. Gdy tylko zaczniemy wykonywać połączenia, przechwycą je.

Eve wzruszyła ramionami.

- A dlaczego ciebie to martwi?

Volovsky skinął głową.

- Ona ma rację. Do diabła z nimi. Czy nie tego cały czas chciałeś, Cal? Żebyśmy wszyscy razem działali, powiedzieli reszcie świata, żeby się pieprzył?

Eve podeszła do okna i spojrzała w ciemność. Usłyszała coś?

- Jesteście najbogatszymi ludźmi na świecie - kontynuowała. - Trzymacie się razem, możecie robić, co chcecie.

- To nie do końca prawda - oponował Laurensen. - Polegam na kontraktach rządowych.

- Ja też - przyznał Jim Hysek. - Jak by to wyglądało, gdyby się zorientowano, że dzwoniemy do maklerów zamiast do FBI?

- Jest jeszcze jedna możliwość - powiedziała Eve. - Oni mogą monitorować elektroniczne połączenia z domu. Ale gdyby zadzwonić z autobusu w drodze na lotnisko...

- Zakładnicy bez porywaczy? - zapytał Shapira. - To też nie będzie dobrze wyglądać.

- Ja będę w autobusie - powiedziała Eve. - Z bronią, żeby dobrze wyglądało. Porozmawiam z agentami FBI przy bramie. Przekonam ich, że chcemy dobić targu. Jak będziemy w drodze, możecie wyciągnąć wasze komórki. Poddam się na lotnisku.

- Tak po prostu - dodał Wallenberg.

- Tak jest.

- Myślałem, że chcesz uciec.

Eve wzruszyła ramionami.

- Już uciekliśmy. Będę jedyną osobą, którą złapią.

- Dobrze - powiedział Wallenberg. - Skoro tego chcesz.

- Ale chcę czegoś od was w zamian. Od was wszystkich.

- Słuchamy - dodał Wallenberg.

- Dotyczy to czterech mężczyzn w bibliotece. Fergusona i pozostałych trzech.

- Co z nimi?

- Chcę, abyście powiedzieli FBI, że oni próbowali was uratować.

- Co?

- Niech pan pomyśli, panie Wallenberg. Może najlepiej uprościć całą historię.

Szczególnie jeżeli będziecie chcieli odkuć się na giełdzie. Nie będą mieli w co się wgryźć. Poza tym Ferguson wie, co planujecie.

- Wie? Skąd?

- Ponieważ mu powiedziałam. Pańskie milczenie za jego milczenie. Umowa stoi?

Mam pańskie słowo?

Wallenberg spojrział na swoich gości. Wszyscy kiwali głowami. Wzruszył ramionami.

- Masz moje słowo.

Volovsky uśmiechnął się do Eve.

~ Wygląda na to, że będziesz jednak potrzebować moich prawników - powiedział.

- Nie, jeżeli moi prawnicy mają z tym coś wspólnego - wtrącił Massinger. - Ona jest teraz ich klientem numer jeden.

- Dziękuję - odparła Eve. - Dziękuję wam obu.

- To był cholerny weekend - stwierdził Massinger.

- I to jak - zgodził się Volovsky.

- Żałuję tylko jednego - dodał Massinger, patrząc jej w oczy.

- Ja też - odparła. - Ja też.

- Lepiej zabierajmy się stąd - odezwał się Clarence, a potem zwrócił się do Eve: - Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

Puściła do niego oko.

- Pewnie, że wiem. Ty tylko poprowadź autobus, dobrze?

*

Straż pożarna z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego w Alamogordo wyposażyla policję w dwie ciężarówki z platformami powietrznymi, aby przetransportować dwa zespoły taktyczne ponad będącym pod napięciem ośmiometrowym ogrodzeniem otaczającym Cloudcroft. Plan polegał na tym, aby członkowie zespołów wspięli się po drabinie, a potem zjechali na linach na pole golfowe. Potem zespoły miały podejść do domu, gdzie, przy założeniu, że pozostaną niewykryte, spróbują dostać się niepostrzeżenie do środka. Jednak jeżeli grupa zostanie dostrzeżona, wybiją frontowe i kuchenne okna, i spróbują przejąć kontrolę nad sytuacją.

Operacja ratunkowa, o kryptonimie Nakaz, została wyznaczona na dziesiątą trzydzieści wieczorem, czyli półtorej godziny przed terminem wyznaczonym przez porywaczy na wywiezienie zakładników autobusem. W tym momencie z polecenia sądu okręgowego policja stanu Nowy Meksyk przekazała jurysdykcję FBI. Akcja miała rozpocząć się za dwadzieścia minut, gdy nagle zadzwonił telefon Zandera w tyle furgonu.

- Tom? To ja, Bette.

- Bette, cześć. Wszystko gotowe do twojego wyjazdu o północy. Tak jak zamówił twój przyjaciel.

- To dobrze, bo wychodzimy zaraz.

- Wychodzicie zaraz? - powtórzył Zander, aby usłyszeli Nixon, Dillon i Everard, którzy spóźnili się z założeniem słuchawek.

- To właśnie powiedziałam. Jesteśmy wszyscy w autobusie i kierujemy się do bramy. Więc lepiej przesuniecie te pojazdy, jeżeli jeszcze tego nie zrobiliście.

Nixon i Dillon jęknęli głośno. Everard zerwał czapkę i rzucił na ziemię. Shaar i Ripper triumfalnie wymachiwali rękami.

- Muszę zobaczyć zakładników - powiedział Zander.

Eve to przewidziała.

- Zatrzymam autobus przy bramie i na minutę otworzę drzwi. Tylko ty, Tom. Jeżeli zobaczę więcej niż jedną osobę, zaczniemy strzelać.

- W porządku - zgodził się niechętnie Zander. - Będę tylko ja, jak powiedziałaś.

Rozłączyła się. Murray Shaar już podchodził z wielkim uśmiechem na twarzy.

- Wygląda na to, że teraz my wkraczamy - powiedział. - FBI przejmuje sprawę. Działamy tak, jak planowaliśmy.

- A co z drzwiami autobusu? - pytał Zander. - Ona spodziewa się, że to ja dokonam inspekcji.

Dowódca FBI zastanawiał się przez moment. Chciał powiedzieć policyjnemu negocjatorowi, żeby spadał na drzewo, bo zgodnie z nakazem sądowym była to sprawa FBI, i że on sam zajrzy do autobusu, w końcu „Bette” nigdy Zandera nie widziała, chociaż wiedziała, że jest z policji stanowej. Nawet w ciemnościach było mało prawdopodobne, że zauważy różnicę w umundurowaniu.

- Dobrze, sierzancie - powiedział niechętnie. - Kapitanie Dillon, odwołajcie resztę waszych ludzi. Trzymamy się pierwotnego planu. Weźmiemy tych bandytów na lotnisku.

- Tylko tego nie spieprzcie - warknął Dillon.

- Nie spieprzymy.

- Powiedz to Koreshowi.

Shaar uśmiechnął się słabo.

- A ty, kapitanie, pozdrów panią Seville. Zdaje się, że dobrze się spisała, prowadząc dzisiaj za ciebie boje w sądzie.

Ciągle się uśmiechając, wrócił do wozu FBI zostawiwszy rozczarowanego gubernatora i policyjny zespół taktyczny.

Dillion wziął walkie-talkie i wcisnął kciukiem przycisk mikrofonu.

- Wstrzymać akcję.

- Proszę powtórzyć, kapitanie.

- Wstrzymać akcję, wstrzymać. Powtarzam: wstrzymać.

Odwrócili się i spojrzeli przez elektryczną bramę na podjazd prowadzący do domu. Już dochodził do nich odgłos silnika zbliżającego się microbirda. Chwilę później zza zakrętu wyłonił się autobus i silnik elektryczny włączył się głośno, gdy wewnętrzny, a potem zewnętrzny zestaw bram otworzył się niczym szlaban kolejowy. Kiedy Zander podszedł do autobusu, rozległ się głośny klakson, zupełnie jakby był spóźnionym uczniem.

Rozsuwane na boki drzwi autobusu otwarły się z sykiem jak skrzydła gigantycznego żółtego nietoperza, ukazując - Zander był prawie tak zaskoczony, jakby zobaczył Elvisa Presleya - Boba Clarenca siedzącego za -kierownicą. Za nim stała wysoka, przystojna kobieta ubrana w kamizelkę kuloodporną i mierzyła mu z

pistoletu w głowę, a za nią z zasłoniętymi oczyma siedzieli najprawdopodobniej zakładnicy. Trudno było cokolwiek zobaczyć, gdyż okna autobusu były zamalowane, a żarówki usunięto. W środku autobusu było ciemno jak w kinie. Wszedł na podest w tym samym momencie, kiedy Eve zbliża się do otwartych drzwi, bronią pokazując Zanderowi, by się zatrzymał.

Pomyślała, że mężczyzna stojący przed nią wygląda na zmęczonego; zmęczonego i niewyobrażalnie smutnego, jakby spotkało go coś straszego.

- Tyle wystarczy - powiedziała.

- Tak, tak. Wszyscy zdrowi?

- Wszyscy - powiedział Massinger, który siedział z przodu autobusu.

Eve pchnęła Zandera do tyłu, tak że musiał zejść na drogę.

- Jak mówiłam wcześniej, połowę z nich zwolnimy na lotnisku.

Zander skinął głową.

- Mnie nie będzie na lotnisku - powiedział. - Jak tam dojedziesz, sprawę przejmą federalni, ponieważ planujecie przekroczyć granicę stanu. Od teraz zajmuje się wami FBI. - Ścisząc głos, dodał: - Nie wiem, jaki jest ich negocjator. Ale powinniście być przygotowani na całkowicie inne nastawienie. Chodzi o to, że oni wcale nie są tak przyjaźni jak policja stanowa, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ci chłopcy grają twardo.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Zander zmarszczył brwi. Czy powiedział za dużo?

- To nie jest ostrzeżenie - dodał. - Chciałem, abyś wiedziała, że mnie tam nie będzie. - Drzwi autobusu zamknęły się mu przed nosem. - To nie było ostrzeżenie - powtórzył.

Clarence zwiększył obroty silnika.

- Słyszałaś tego gliniarza? - zapytał Eve. - O co mu chodziło?

- Skąd mam wiedzieć? - odparła Eve. - Poczekaj dwie minuty, a potem ruszaj. - Ściszyła głos. - I na miłość boską, jedź grzecznie i spokojnie. Im dłużej jazda będzie trwać, tym lepiej. Wtedy wszyscy zdążą zadzwonić.

Już śmigłowiec FBI unosił się nisko nad głównym wejściem, łopatkami wirnika poruszały krzewami i drzewami, które otaczały bramę, niczym składnikami w mikserze, a jaskrawy reflektor penetrował gęste listowie.

Zander cofnął się o krok, gdy obroty silnika znowu podskoczyły, ale autobus jeszcze nie ruszał. Czy jego słowa zmieniają postanowienia porywaczy? Czy mieli wątpliwości co do jazdy na lotnisko? Chciał ich tylko przygotować na zmianę

negocjatora, ale w jego ustach zabrzmiało to ostrzegawczo. Teraz serce podeszło mu do gardła. Przez chwilę spodziewał się, że autokar zawróci do posiadłości, gdzie porywacze byliby względnie bezpieczni. Czyja wtedy to będzie jurysdykcja, jeżeli przestępcy wykażą wyraźny zamiar pozostania w Nowym Meksyku? Na razie wyobrażał sobie kolejną wycieczkę do sądu nazajutrz rano, gdyby porywacze wrócili do domu.

W końcu rozległo się metaliczne stuknięcie wewnątrz autobusu, a po nim kierowca hałaśliwie zmienił bieg i autobus potoczył się do przodu, przez bramę i w dół zbocza do wioski. Zander odetchnął z ulgą. Cokolwiek wydarzy się na lotnisku, on już za to nie ponosi odpowiedzialności. To dobrze, ponieważ nadał uważał, że dojdzie do strzelaniny. Do skrywanej satysfakcji ze śmierci śmietanki Forbes 400 może dołączyć nieunikniona hańba grupy HRT i FBI, nazbyt skorych do użycia broni.

Przed i za autobusem jechały wozy policyjne, po bokach motocykle, a w powietrzu unosił się śmigłowiec FBI. Autobus przejechał przez wioskę i dotarł do szosy stanowej 82 prowadzącej do Alamogordo w konwoju świateł, zupełnie jakby sam Apollo zstąpił z Olimpu na igrzyska w Delfach. Syreny niosły się echem doliną Tularosa jak orkiestra niezestrojonych, solowych gitar elektrycznych, podczas gdy z odbiorników radiowych policji i FBI dobiegały przeróżne trzaski, szумы, sygnały wywoławcze i zakodowane wiadomości.

Za zaczernionymi oknami autobusu zaczęła działać prawdziwa giełda, gdy miliarderzy unieśli opaski, które mieli na oczach, i zaczęli dzwonić do menedżerów handlowych, maklerów, brokerów akcji terminowych, doradców inwestycyjnych i dyrektorów finansowych w ich domach, biurach i poza Stanami Zjednoczonymi. Polecenie zawsze brzmiało tak samo: kupować! I natychmiast rozmowa była kończona, dzwoniący rozkładał telefon i wyrzucał kawałki przez otwarty włącznik techniczny w podłodze autobusu, skąd trafiały na drogę, gdzie rozgniatały je koła goniących ich pojazdów, wśród których znajdowały się nie tylko wozy policji i FBI, ale także mediów.

Zanim węzowaty korowód pojazdów dotarł do lotniska Alamogordo-White Sands, jakieś trzydzieści minut po wyjeździe i Cloudcroft. zamówienia kupna warte miliardy dolarów były właśnie realizowane na giełdzie w Tokio z takim rezultatem, że Nikkei odzyskał dwieście punktów w niecałą godzinę - rekord handlowy.

Bob Clarenco wprowadził autobus przez otwartą bramę lotniska na pas startowy i zatrzymał się przed boeingiem, a za nim wozy policyjne. Tam, przy schodach,

otworzył drzwi autobusu, wyłączył silnik, włączył światła awaryjne, spojrzął na zakładników, którzy ponownie nasunęli opaski na oczy, i założył ręce na głowę. Czuł, że jakiś snajper ogląda go teraz przez celownik noktowizyjny; obawiał się też, że pomyłkowo wezmą go za terrorystę. W końcu już miał nie żyć. Jeżeli dokładnie przejrzeliby zdjęcia zakładników, to snajperzy będą teraz mieli problem, czy go sklasyfikować jako dobrego czy złego. Clarenco zamknął mocno oczy i szykował się, że pocisk karabinowy roztrzaska mu głowę, co wydawało się nieuniknione. Dlaczego zgodził się prowadzić autobus?

Czekali przez chwilę, która ciągnęła się w nieskończoność. Nikt się nie ruszał ani nie odzywał, tak jak poleciła Eve. W końcu Clarenco zawołał o pomoc i po minucie członek grupy HRT ostrożnie pojawił się przy drzwiach autobusu i skierował halogenową latarkę wprost na Clarenca.

- Nie strzelać! — krzyknął. - Nazywam się Bob Clarenco. Jestem zakładnikiem. Oni poszli. Terrorysty uciekli. - Trzymał oczy zamknięte przed oślepiającym światłem i pozostawał na miejscu z rękami na głowie. - Odwróciłem się kilka minut temu, a oni znikli. W autobusie są chyba tylko zakładnicy. - Rozejrzał się ostrożnie. - Szefowa gangu stała z tyłu, kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę.

- Niech nikt się nie rusza - zawołał agent FBI, wchodząc ostrożnie do autobusu, a halogenowa latarka przyklejona taśmą do lufy karabinu maszynowego M16 omiatała ciemności, wyławiając twarze o zasłoniętych oczach, a potem podłogę z ziejącą dziurą.

- Porywacze uciekli! - wrzasnął agent. - Powtarzam, porywacze uciekli.

*

Na moment, zanim autokar wyjechał z Cloudcroft, Eve wyslizgnęła się przez właz techniczny na drogę i leżała nieruchomo przez kilka sekund, a potem wycofała się bezgłośnie za rurę wydechową i przetoczyła w krzaki. Gdy tylko usłyszała, jak Clarenco zmienia biegi, wstała i puściła się sprintem na południe od domu. Kierowała się do zagajnika między ósmym a dziewiątym dolkiem.

Mniej więcej w połowie drogi potknęła się o zgubioną piłkę golfową i upadła. Przez minutę nie ruszała się, tylko głęboko oddychała. To ją uchroniło od spotkania z grupą rekonesansową policyjnego zespołu taktycznego. Obserwowała, jak biegną pod górę w stronę domu, a potem, kiedy uznała, że jest bezpiecznie, pobiegła dalej.

Między ósmym a dziewiątym dołkiem, na skraju lasu, stała wiata chroniąca przed deszczem - jedna z czterech na polu. Miniaturowa chatka z bali drewnianych, wyposażona w gniazdo do ładowania wózków akumulatorowych, toaletę, dobrze zaopatrzoną lodówkę, kilka wygodnych foteli, telewizor, małą kuchenkę i staromodną, pękatą kozę, mogła stanowić praktyczny dom dla wielu ludzi. Był w niej nawet telefon satelitarny, aby można było przeprowadzać ważne rozmowy.

Eve wczołgała się pod taras z przodu chaty. Miała przy sobie małą latarkę przymocowaną do kamizelki kuloodpornej, ale po spotkaniu z zespołem nie chciała jej zapalać. W końcu natrafiła dłońmi na gładką betonową pokrywę; uniosła ją i wsunęła się tyłem w chłodny kopalniany szyb, odnajdując rękami i nogami szczeble drabiny z kutego żelaza. Zeszła kilka szczebli, aż właz zamknął się nad jej głową i dopiero wtedy włączyła latarkę.

Pod koniec dziewiętnastego wieku w górach Sacramento działało kilka kopalni srebra. Nadal za jedyne pół miliona dolarów można było kupić prawo własności do jednej z nich zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Cloudcroft w Zagłębiu Górniczym Tres Hermanas niedaleko Deming. Żyła w Cloudcroft, niespecjalnie bogata, została wyeksploatowana na długo przed pierwszą wojną światową, a stare szyby zamknięto. Bob Clarenco zawsze wiedział, że pole golfowe kryje cały labirynt szybów. Zatrudnił nawet emerytowanego inżyniera górnictwa z Zarządu Kopalń i Złóż Mineralnych Nowego Meksyku w Socorro, aby przestudiował historyczne archiwa i spróbował zlokalizować szyby. Dopiero jednak gdy jego firma podjęła się odnowy schronu Wallenberga, na starym planie inwestycyjnym z 1955 roku natrafił na informacje dotyczące ich położenia. Dalsze badania ujawniły, że jedna z chat na polu golfowym została wybudowana na samym szybie i wykorzystywała szyb do odprowadzania ścieków. Około trzech metrów poniżej wejścia znajdowała się rura ściekowa prowadząca wprost do toalet w domku. Musiał dać kilka tysięcy dolarów łapówek, aby wiadomość o szybach nie dotarła do Wallenberga.

Pod nogami Eve drabina znikwała w cuchnących ciemnościach. Krzywiąc z odrazą nos, zaczęła schodzić po drabinie oblepionej rdzą i nie wiedziała, czym jeszcze. Na dole dwudziestometrowego szybu ziemia była mokra. Szyb był długim, ciemnym tunelem, nie wyższym niż metr dwadzieścia. Pochyliwszy się, Eve z latarką w ręku zaczęła iść korytarzem. Czuła się jak złodziej okradający starożytne egipskie

grobowce, chociaż trudno było sobie wyobrazić, że coś drogiego znajduje się w takim ciemnym i cuchnącym miejscu.

Od czasu do czasu tunel schodził ostro i raz lub dwa straciła równowagę albo boleśnie uderzyła głową w nisko zwisającą skałę. To tu, to tam widziała stare kilofy i szpadle, zepsute wiadra, a w połowie długości tunelu, gdzie tworzył dwie odnogi, dostrzegła inną latarkę, którą ktoś zostawił dla niej zapaloną, aby wskazać jej prawidłową drogę.

Wysokość tunelu stopniowo się obniżała, aż musiała posuwać się na czworakach; ale grunt stał się tu suchszy, a powietrze wydawało się czystsze, jakby do wyjścia było niedaleko.

W końcu, po półgodzinnej wędrówce, dotarła do stosu porośniętych mchem kamieni, które najwyraźniej blokowały wyjście z tunelu. Jednak na górze stosu kilka kamieni zostało usuniętych, dzięki czemu mogła prześlizgnąć się przez gąszcz zarośli i krzaków. Wtedy znalazła się na skraju niskiej skarpy. Około sześciu metrów poniżej biegła do Sunspot droga numer 6563. Górniczy korytarz wyprowadził ją na drugą stronę posiadłości... od której dzieliło ją kilkaset metrów.

Najprawdopodobniej drogę patrolowała policja, ale nie było czasu na ostrożność. Eve, zerknąwszy na zegarek, domyśliła się, że autobus już dotarł na lotnisko, a federalni musieli się domyślić, że zostali oszukani. Zsunęła się po skarpie na drogę i pobiegła skrajem trawiastego pobocza na łączkę narciarską, gdzie, jak miała nadzieję, pozostali będą jeszcze na nią czekać.

W dole zbocza, zaparkowany obok wyciągu, stał używany Gerling Sky Stallion - wóz transmisyjny długi na dziesięć metrów z namalowanymi na boku literami LYTV i wymyśloną częstotliwością. Zakupiony za 225 tysięcy dolarów, stanowił największy wydatek w całym skoku, ale według Boba Clarenca najbardziej opłacalny. Przy takiej liczbie wozów transmisyjnych zaparkowanych w Cloudcroft i dookoła, kto zauważy jeden więcej.

Eve pomachała latarką w stronę sky stalliona i z ulgą zobaczyła, że mignął światłami. Pobiegła, aby przyłączyć się do reszty zespołu. Nie mogła uwierzyć, że im to się udało.

- Czy mówi pan poważnie, że prowadził całą drogę z Cloudcroft - pytał Alonso Sidonia - i nie zauważył, że jej... ich nie ma?

Clarence i pozostali zakładnicy znajdowali się w budynku lotniska. Na zewnątrz, na parkingu, FBI i policja próbowała nie dopuścić całej armii żadnych informacji dziennikarzy.

- Proszę pana - odezwał się Clarence. - Ona celowała mi w głowę z pistoletu. Kazała jechać na lotnisko. Niech pan zapyta policjanta, który zajrzał do środka, kiedy otworzyłem drzwi, jeżeli mi pan nie wierzy. On z nią rozmawiał. Niech pan go spyta.

- Zapytamy. A co potem?

- Kiedy drzwi się zamknęły, kazała mi poczekać minutę, dwie, zanim ruszę. I poszła na tył autobusu. Po kolejnej minucie stuknęła w bok autokaru i kazała jechać. To posłuchałem. Kiedy dojechaliśmy na lotnisko, poczekałem chwilę. W końcu spytałem, co mam teraz robić. Nie usłyszałem odpowiedzi. Odwróciłem się więc, ale jej już nie było. Resztę znacie. Musiała wyslizgnąć się przez właz jeszcze w Cloudcroft.

Sidonia spojrzał na Wallenberga.

Czy tak to było?

- Dokładnie tak, jak opisał - powiedział Wallenberg od niechcienia.

Myślni był już przy pieniądzach, które zarobi, kiedy za kilka godzin otworzą się giełdy w Stanach.

- Nie zauważył pan, że z terrorystów tylko ona była w autobusie? - pytał zastępca dyrektora CIRG, Sterling Ripper.

- Jak mogłem? Miałem opaskę na oczach. Tak jak wszyscy, z wyjątkiem Boba, który prowadził autobus. Siedzieliśmy cicho. Nie chcieliśmy zginąć. I dzięki Bogu, udało się. Wszyscy wyszliśmy z tego cało. Dzięki wam. Słyszałem, co ten policjant powiedział u mnie w domu. Że planujecie coś na lotnisku.

- Co on powiedział?

- Ostrzegł nas, że będziecie grać twardo, jak tu dojedziemy. I teraz widzę, o czym mówił. Wszyscy ci ludzie z bronią. Zamierzaliście strzelać, co?

- To już nie pańska sprawa.

- Nie? Chyba jednak tak. Będę rozmawiać o tym z gazetami i telewizją, tylko poczekajcie. Jeżeli o mnie chodzi, to cieszę się, że te gnojki uciekły. Wszyscy prawdopodobnie byśmy teraz nie żyli, gdyby porywacze zostali w autobusie aż do przyjazdu na lotnisko.

- Nadal nie rozumiem - powiedział TJ. „Viet” Cong. - Zostawili miliard dolarów i odrzutowiec, którym mieli uciec. Jak to wyjaśnić?

- Chyba się przestraszyli - zasugerował Clarenco. - Albo rzeczywiście chodziło o antyglobalizację. Tak myślę. Prawdopodobnie użyli okupu jako przynęty, a potem, po osiągnięciu celów politycznych, zabrali się stąd. Na terenie posiadłości jest chyba pełno starych szybów kopalnianych, co, Cal?

- Kilka razy o tym słyszałem - odparł Wallenberg. - Chociaż osobiście nigdy ich nie widziałem.

- Wszyscy myśleli, że pan nie żyje - Sidonia zwrócił się do Clarenca. - Miliony ludzi widziało pańską egzekucję w internecie. Jak pan to wyjaśni?

- To proste. Dali mi wybór. Powiedzieli, że albo gram z nimi, albo zrobią to naprawdę. Kiedy to odgrywaliśmy, byłem przerażony, że mogą kłamać, że chcą zrobić to naprawdę, że tylko mówią o udawaniu, abym był spokojny. Chyba nie ma czego się wstydzić. Przypuszczalnie każdy w tej sytuacji postąpiłby podobnie. Nie obchodzi mnie, co o tym myślicie. Cieszę się, że to już koniec, że żyjemy, jak powiedział Cal. Ale wy, panowie, powinniście siebie słyszeć. Sugerujecie, że doszło tam do jakiejś tragedii. Powiem wam coś, nie tak to widzę. Co dziwne, nie zamierzam się wstydzić tego, że przeżyłem. Nikomu nic się nie stało i to najważniejsze.

- Brawo! Brawo! - odezwał się Volovsky.

- A co z tymi ochroniarzami w domu? - zapytał Ripper. - Co się tam stało?

- Dobrze, że żyją - wyjaśniał Wallenberg. - Uciekli, próbowali zaatakować terrorystów. Nie wiem, jak zamierzali to zrobić, ale równie dzielnych ludzi w życiu nie spotkałem.

Teraz, kiedy wszystko się skończyło, widział, że Eve ma rację. Najlepiej było upraszczać sprawę. Eliminować to, co niepotrzebne. Im mniej FBI usłyszy, tym mniej będzie do rozumienia i badania. Teraz najważniejsze było uniknięcie przedłużających się przesłuchań, aby nie wydało się, że dokonali zakupów na giełdzie, zanim zostali wypuszczeni. Każdy z nich cenił prywatność. Odbudowanie prywatności było teraz priorytetową sprawą.

- Zamiast nas wypytywać, jakbyśmy zrobili coś złego, co zamierzacie zrobić, żeby ich złapać?

- Złapiemy ich - odparł Sidonia. - Proszę się nie martwić. Nie uciekną daleko.

- Ciekawe jak - powiedział Shapira. - Przecież nie macie pojęcia, jak oni wyglądają, prawda? - Uważał, że będzie najlepiej, jeżeli nigdy nie zostaną złapani. Nie

chciał, by Komisja Papierów Wartościowych dowiedziała się o umowie Ami-bel. Utrzymanie całej sprawy w tajemnicy było chyba najlepszym rozwiązaniem. - Podali nam narkozę. Boję się, że zupełnie nie pamiętam, jak wyglądali. Prawdę mówiąc, to mało co pamiętam od zeszłego piątku.

Massinger skinął głową.

- Ja też. Czuję się jak Ray Milland w *Straconym weekendzie*. Myśli pan, że mogli nam podać anestetyki, aby chronić siebie i aby nikt nie miał żadnych dowodów przeciw nim?

- Może Cadence Kiam, Fiona Lovatt albo któryś ze strażników lepiej wie, kim są i jak wyglądają - zasugerował Laurensen.

Wallenberg uśmiechnął się do siebie. Nie mógł odpowiadać za to, co widziała Kiam, ale Fiona zdecydowanie powie wszystko, co on jej, każe. Szczególnie po tym, jak jej się oświadczył.

- Chciałbym jak najszybciej zobaczyć się z lekarzem - kontynuował Laurensen. - Boję się, że rzeczywiście cierpię na krótkotrwałą amnezję.

Ripper wpatrywał się ponuro w Sidonię i Conga.

- Ktoś za ten bajzel zapłaci - warknął.

8. Po weekendzie

Mówi się, że pieniądze „mówią”. Coś w tym jest. Lecz w tę konkretną środę, na parkietach giełd całej Ameryki pieniądze krzychały niczym przekupka na targowisku, ryczały jak ćwiartowane zwierzę, wołały jak Stentor, gestykulowały jak kiepski aktor i ogólnie rzecz biorąc, obwieszczały restaurację ich rządów absolutnych we współczesnej świątyni Mamony.

Analitycy giełdowi powtarzali z lubością, że dobrzy inwestorzy kupują przy spadkach i sprzedają podczas ożywienia. Lecz zanim jeszcze otwarto giełdy, indywidualni inwestorzy złożyli niezwykle duże zamówienia, a kupno przewyższało sprzedaż w stosunku ponad cztery do jednego; giełda bardzo szybko odnotowywała silne tendencje zwykłe, więc wszyscy poza najbardziej ostrożnymi inwestorami - było kilku, którzy pamiętali, choć może tylko z wartościowej książki J.K. Galbraitha na ten temat, że podczas krachu w 1929 roku Wall Street dokonała dramatycznego

odbicia na trzeci dzień po początkowym spadku („środowy cud”) tylko po to, aby później spaść jeszcze bardziej - ruszyli podczepić do tego uciekającego pociągu Dow Jones Industrial Average.

W Chicago i Nowym Jorku interes kwitł, jakby sto tysięcy ludzi wskoczyło do wagonów i z niezrównaną zaciętością popędziło, aby nabyć prawo własności do jak największego kawałka ziemi w Oklahomie. Linie telefoniczne zostały uszkodzone, a handel elektroniczny zwolnił do ślimaczego tempa przez samą wielkość zamówień; w Chicago, na CBOT, wiele biur handlowych musiało zrezygnować z komputerów i korzystać z gońców, aby dokonać transakcji. Niczym wściekłe rekiny karmiące się soczystym, krwawiącym ciałem olbrzymiego wieloryba, wszyscy chcieli choćby kawałek akcji. Taksówkarze w Nowym Jorku zamieniali mozolnie uciulane oszczędności na siedemdziesiąt pięć udziałów w Delphus. Kasjerzy bankowi w Denver kradli kilka minut on-line u Charlesa Schwaba, aby kupić trzydzieści udziałów C-Kwadrat. Producenci śliwek w Yuba City, osobiści trenerzy w Beverly Hills, tancerki z barów nocnych w Miami, księgarze w Cambridge, bossowie w Las Vegas - wszyscy rzucili się na szybkie pieniądze.

Inwestorzy handlowali, jakby ich życie od tego zależało. Był to największy i najlepszy dzień od katastrofy World Trade Center. I nikt nie poszedł na lunch w tę środę. Restauracje na całym Manhattanie pozostały puste, gdyż pracownicy finansjery zostali w pracy. Nawet w The Four Seasons były wolne stoliki. Na Wall Street nikt nawet nie szedł do łazienki ani po kawę. Sprzedawcy byli oblegani niczym ekscentryczni miliarderzy rozdający garściami banknoty studolarowe. Na giełdzie nowojorskiej doszło do kilku walk na pięści, gdy inwestorzy walczyli o uwagę tego samego maklera. Nawet kiedy zepsuła się rozslawiona klimatyzacja CBOT, przy temperaturze powietrza w Chicago zbliżającej się do trzydziestu pięciu stopni, a w niektórych biurach do czterdziestu, inwestorzy zostali w pracy, jak Spartanie broniący przejścia perskiej armii przez gorące bramy Termopil - a niektórzy z nich zrywali koszule i spodnie podczas transakcji, pozostawiali jedynie w bieliźnie i kolorowych marynarkach. Nikt nigdy czegoś takiego nie widział; w Nowym Jorku, zanim rozległ się dzwon na koniec dnia, ludzie na parkiecie śpiewali „Happy Days Are Here Again”.

Liczyły mówiły same za siebie.

Na NYSE dotychczasowe rekordy zostały całkowicie pobite. Dow Jones wzniósł się do 575 punktów, największa jednodniowa zwyżka, i zamknął się na wysokości 10076, w procentach wzrost wyniósł 6 - kolejny rekord. Miliard trzysta milionów akcji

zmieniło właścicieli zaledwie w siedem godzin, czyli o 8,3 procent więcej, niż wynosił poprzedni rekord ustanowiony w roku 1997. Zwyżka wyrównała wszystkie wtorkowe straty, a także część poniedziałkowych, chociaż niewystarczająco szybko, aby uratować wielu inwestorów od wezwań do uzupełnienia depozytu. Lecz ci, którzy oparli się pokusie, aby sprzedać udziały - całkiem sporo z nich po prostu nie dało rady tego uczynić - byli zadowoleni z siebie i optymistycznie nastawieni, że tendencja zwyżkowa będzie trwać w czwartek i piątek. Już niektórzy analitycy giełdowi przewidywali, że Dow Jones pójdzie teraz znacznie wyżej niż w poprzedni czwartek. Część z nich nawet twierdziła, że będzie najwyższy od czasu jedenastego września 2001 roku. Uwolnienie dwudziestu jeden największych amerykańskich biznesmenów wywołało taką euforię na Wall Street i wśród inwestorów, że prezes Rezerw Federalnych zastanawiał się, czy nie zwiększyć stóp procentowych przed weekendem, aby w oczach inwestorów banki pozostały konkurencyjne.

W oczach Joela Reichmanna pojawienie się samochodu zabawki na stronie leverage.net poprzedniej nocy było jak drugie nadejście Chrystusa. Samochodzik był znakiem, że zespół ruszył w drogę, a on teraz mógł bezpiecznie sprzedać opcje przed kończącym się okresem. Reichmann myślał, że pozwoli giełdzie zwyżkować przez czwartek rano, zanim zaczął sprzedawać opcje; ale zanim cokolwiek sprzedał, było jasne, że jeszcze raz inwestycja przyniesie olbrzymi zysk. Jego udział w Funduszu Principia był już wart ponad pięćset milionów dolarów.

Pół miliarda dolarów. Może nawet trzy czwarte miliarda do czasu sprzedaży. Aby dostać się na listę Forbes 400, potrzeba było siedmiuset dwudziestu pięciu milionów dolarów. Wcale nie chciał się na niej znaleźć i przyciągać uwagę. Poza tym Forbes 400 prezentował najbogatszych ludzi Ameryki, a Reichmann planował gdzie indziej wydać swoje pieniądze, ale nadal była miła świadomość, że to on dokonał takiej redukcji.

Teraz już nic nie trzymało go w Chicago. Mógł z powodzeniem polecieć biurom handlowym w sześciu bankach, z których korzystał, aby sprzedały jego akcje z Wielkiego Kajmana telefonicznie lub e-mailem. Lecz zanim opuścił hotel Four Seasons, zadzwonił do wszystkich, żeby poinformować ich, iż wyjeżdża na jakiś czas. Zadzwonił też do Jacka Shine'a u Goldmana Sachsa, gdzie było prowadzone konto handlowe Funduszu Principia, i powiedział, że wyjeżdża z Chicago na „kilkudniowe wakacje”. Z rezerwą ignorując wylewne pochwały Shine'a na temat śmiałych pozycji wyjściowych Principii, Reichmann potwierdził, że wszystkie pieniądze powinny być wysyłane do Bank of Butterfield International (Cayman) Limited.

Tego samego wieczoru Joel Reichmann udał się o 19.30 na lotnisko Newark, zarezerwowawszy lot Continental Airlines na Kajmany o 9.50 w czwartek rano. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nazajutrz zje lunch w apartamencie plażowym w Hyatt Regency na Seven Mile Beach na Wielkim Kajmanie.

*

W ciągu kilku godzin od uwolnienia zakładników FBI złożyło w wydziale Spraw wewnętrznych policji stanowej skargę na policję stanu Nowy Meksyk i Toma Zandera. Jeszcze w Cloudcroft inspektor Dillion powiedział Zanderowi, że zawiesza go obowiązkach.

- Przepraszam, Tom, ale wygląda na to, że FBI chce uczynić cię odpowiedzialnym za tę wpadkę - wyjaśnił. - I bez wątpienia w odwecie za wniesienie przez nas skargi w kwestii jurysdykcji. Według mnie ciężko przyjęli tę porażkę. Nawet jeżeli ostrzegłeś tę terrorystkę, na pewno nie zmieniło to toku wydarzeń.

- Ale ja jej nie ostrzegłem - powiedział Zander po raz dziesiąty tego ranka. - Powiedziałem jedynie, że na lotnisku spotka innego negocjatora. Że mnie tam nie będzie. Że FBI postępuje inaczej niż policja w Nowym Meksyku. Jeżeli to jest ostrzeżenie, to przyznaję się do winy. Ale nie powiedziałem, że FBI planuje ich zgarnąć czy coś w tym rodzaju.

Dillion zerknął na Everarda i domyślił się, że tamten jest podobnego zdania. Przynajmniej trzech miliarderów w autobusie zeznało, że słyszało, jak Zander ostrzega „Bette”, że coś ma się wydarzyć na lotnisku.

- Muszę być szczery, Tom - powiedział. - Ci świadkowie mówią to samo. To nie wygląda dobrze. Wzruszył ramionami. - Ani dla ciebie, ani dla nikogo z nas. Teraz rozpocznie się śledztwo mające wykazać, z jakich powodów się wymknęli. Jedyne powód, dla którego nie jestem w drodze do Sante Fe, to spotkanie z tym facetem ze spraw wewnętrznych.

- Słuchaj - odezwał się Everard. - Byłeś zmęczony. Wszyscy byliśmy. Muszą to wziąć pod uwagę.

- Na pewno wezmą.

Zander bezwiednie skinął głową.

- Co najgorszego może mnie spotkać? - zapytał.

- To chyba zależy od tego, jak FBI to potraktuje. Ale jak pozwiemy ich do sądu, nie będą chyba za bardzo się odgryzać. Mówiąc szczerze, Tom, możesz rozważyć przejście na wcześniejszą emeryturę.

- Emeryturę? Ale ja nie chcę. Jezu Chryste, nie mam jeszcze pięćdziesiątki.

- Nie będzie tak źle - powiedział Dillion. - Poza tym z tego, co słyszałem, uciulałeś sobie niezłą sumkę w akcjach i obligacjach. Przy takim odbiciu giełdy dzisiaj rano pewnie wyjdiesz na tym lepiej od nas.

Zander uśmiechnął się słabo, jakby rzeczywiście to, co mówi Dillion, było prawdą. Nie potrafił zmusić się, aby powiedzieć Dillionowi, że jego portfel stracił trzecią część wartości od poprzedniego czwartku. Że nie miał z czym przechodzić na emeryturę. Że jeżeli odejdzie z policji, będzie musiał znaleźć sobie jakieś podrzędne zajęcie, na przykład ochroniarza w domu towarowym w Albuquerque - tak kończyli ludzie tacy jak on.

- Chyba masz rację - powiedział.

- Pewnie. Słuchaj, Tom, ten kutas z wewnętrznego będzie chciał ą tobą rozmawiać. Może pójdziesz napić się kawy? Schowaj się na chwilę przed słońcem. To był długi weekend.

- Dobrze, zaraz tu będą.

Zander zdjął rysz tunek i wrzucił do bagażnika swojego wozu. Potem pojechał na dół do Cloudcroft i zaparkował przez hotelem. Przeszedł przez jezdnię i kupił w spożywczym papierosy. Spacerując, wypalił dwa jeden po drugim, zanim przypomniał sobie, że rzucił palenie.

*

W porze lunchu Kyle Liebermann zadzwonił na komórkę do Dolores Milliano, która siedziała w restauracji w Cloudcroft Inn z Acacio i ekipą. Nazajutrz odlatywała do Nowego Jorku. Cele MacBrazel zgodziła się na wywiad dla NBC. Czekali na jej przyjazd z Las Cruces. Tymczasem Saul Mendelssohn, jej producent w NBC, próbował umówić się na wywiad z jednym z miliarderów, Murrayem Drennanem, zanim wyleci z Alamogordo.

Milliano wstała od stołu i podeszła do drzwi, gdzie był lepszy zasięg.

- Chcesz dobrą wiadomość czy fantastyczną? - zapytał Liebermann.

Milliano wiedziała, że zarobiła pieniądze. Wystarczyło jej przelotne spojrzenie na telewizor. Pozostawało jedynie pytanie ile.

- Najpierw dobrą.

- Twój portfel odbił się mocno. Przy takim wzroście i odrobinie szczęścia do piątku możesz nawet odrobić większość strat z giełdy technicznej z zeszłego roku.

Milliano zastanawiała się przez chwilę.

- Jutro rano - zdecydowała. - Sprzedaj cały portfel. A potem poszukaj mi ładnego funduszu dewizowego.

- Okay, ty tu rządzisz.

- A teraz podaj mi tę fantastyczną wiadomość.

- Chicago.

- Moje miasto, hm?

- Przy tej dźwigni twoja pięciodniowa akcja jest już warta około dziesięciu milionów. Zanim wzejdzie gamma, może być warta dwa razy tyle. Może więcej. Nawet dwadzieścia pięć milionów.

- Kyle, to fantastyczne.

Komórka zaczęła piszczeć. Bateria była prawie całkowicie wyczerpana. Skończyła więc rozmawiać i wróciła do stołu, niemal unosząc się w powietrzu.

Oczywiście od dwudziestu pięciu milionów należało odjąć podatek. A jednak to było aż nadto, aby kupić apartament na Manhattanie, o którym zawsze marzyła. A ona знаła takie miejsce. Niesamowite mieszkanie przy Piątej Alei, z widokiem na Central Park, u Ashfortha Warburga. Marmurowe posadzki, korytarz o podwójnej wysokości, schody z kutego żelaza, balkon dookoła, jak wycięte z „Architectural Digest”. Może nie było zbyt wcześnie, aby umówić się na oglądanie. Odwróciła się i poszła do budki telefonicznej.

- Pani Milliano?

Stała przed nią dwudziestokilkuletnia dziewczyna.

- Jestem Cele MacBrazel.

- Cele, cześć, dzięki, że przyjechałaś taki kawał. Czy wszystko poszło dobrze w wypożyczalni samochodów?

- Tak, dobrze.

Milliano wskazała swój stolik.

- Widzisz tych ludzi tam. To moja ekipa. Może przedstawiś się im, a ja dojdę za chwilę. Muszę zadzwonić, to potrwa chwilę; komórka mi padła.

Weszła do budki i użyła karty AT&T, aby się połączyć.

- Mamy dwa mieszkania przy Piątej - wyjaśnił pośrednik z Ashforth Warburg. - Chodzi o to za siedem milionów czy za czternaście?

Milliano umówiła się na obejrzenie apartamentu za czternaście milionów dolarów w sobotę rano.

Kończąc rozmowę, zauważyła, że zostawiła drzwi do budki otwarte. Przy stoliku obok budki siedział policyjny negocjator. Znowu miał na sobie cywilne ubranie - dżinsy, koszulę w kratę, kowbojskie buty - to dlatego wcześniej go nie zauważyła. Ile słyszał? Uśmiechnęła się do niego uprzejmie, a potem przysiadła się, przypomniawszy sobie, że to jego podpowiedź nakłoniła ją do postawienia na rynku transakcji terminowych. Wiadomość o wewnętrznym śledztwie jeszcze się nie rozeszła. Widać jednak było, że sierżant nie jest szczęśliwy. Uznawszy, że to zmęczenie, nawiązała rozmowę, cały czas próbując wymyślić sposób, jak mu to należycie wynagrodzić. W końcu ile gliniarz może zarabiać - nawet taki bystry, który gra na giełdzie?

Trzydzieści? Czterdzieści tysięcy dolarów na rok?

- No, dzięki Bogu, skończyło się i wszyscy wyszli cało - powiedziała.

- Tak. Dzięki Bogu.

- To ważne. Chyba nie ma znaczenia, że ci porywcze uciekli. Jak na razie. Na pewno ich złapiecie, niedługo. Dobrze, że nikt nie został poważnie ranny. Wspaniale, że Bob Clarendo żyje. Nie mogę uwierzyć, że jego śmierć była sfingowana. Wyglądała tak realnie.

- Tak.

Zander rozejrzał się po restauracji. Byli tu głównie dziennikarze, tak jak przedtem. Gdy tylko rozejdzie się wiadomość o jego zawieszeniu, będą kręcić się mu obok tyłka jak stado sępów, chcących wyrwać serce i wątrobę. Nie miał się już czym z nimi dzielić. Przed nim stał talerz nieruszonych tamale i zimna kawa.

Milliano ściszyła głos i pochyliła się w jego stronę.

- Jestem panu głęboko zobowiązana za to, co pan powiedział. Postawiłam na giełdę ostatnią koszulę, tak jak mi pan kazał, i proszę, trafiłam na żyłę złota.

- To dobrze. - Zander uśmiechnął się słabowicie, zastanawiając się, czy rzeczywiście mogła zarobić na to mieszkanie.

Czternaście milionów dolarów? Nie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zander nie wiedział o pochodnych i transakcjach terminowych. Dla niego pochodna to było coś związanego z matematyką. A termin? Termin kojarzył mu się z końcem pracy.

Gdy tylko ta banda szczerów dowie się o tym, będzie miał szczęście, jak dostanie pracę jako cieć w supermarkecie. Był skończony, obojętnie, jak się na to spojrzalo. Całkowicie splukany. Bezużyteczny w policji. Jedyne w restauracji, który się nie śmiał. Nawet gubernator, popijając kawę z burmistrzem, Bozo Molesworthem¹, i szeryf Baker się śmiali. Nawet ta suka, którą aresztowali w Las Cruces, śmiała się. No, nic dziwnego. Krążyła plotka, że policja będzie musiała wypłacić jej przynajmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rekompensaty za bezpodstawne aresztowanie. Wydawało się, że wszyscy z niego się śmieją.

- Chciałabym panu w jakiś sposób się odwdziaczyć - powiedziała, zawijając kosmyk włosów wokół zaobrączkowanych palców.

- Za co?

- Za... wie pan. Za ostrzeżenie.

Zander drgnął, kiedy znowu usłyszał to słowo, ale jej rzeczywiście coś powiedział, chociaż spodziewał się innego obrotu spraw. Zamiast zrujnować ją, tak jak zamierzał przysporzyć jej fortuny, i z tym było trudno się pogodzić. Przez moment wpatrywał się w nią tępo.

- Ostrzeżenie? - powtórzył.

- O tym, co się stanie z zakładnikami. Myślałam... Chciałabym odwdziaczyć się za przysługę. Może jakimś podarunkiem dla żony? Jest pan żonaty, prawda?

Zander skinął głową. Jak zareaguje Janine, kiedy powie jej, że przysły ich szanse na kupno nowego domku?

- Lubi srebro? Pomyślałam, że mogłabym wysłać jej coś ze srebra. Od Tiffany'ego.

Zander niemal się zaśmiał. Stracił prawie sto tysięcy dolarów, za chwilę przejdzie na emeryturę... a ona oferuje mu jakiś nędzny breloczek.

- Byłoby miło.

Milliano podniosła wzrok, kiedy w drzwiach pojawił się Warren Meisler w koszulce z napisem *Kto chce zostać milionerem*. Filmował wyjazd niektórych milionerów.

- Federalni bardzo się wściekli - powiedział. - Że zakładnicy wylecieli ot tak. Wygląda, że większość chce po prostu wrócić do domu. Zapomnieć o tym. A na dodatek nie mają specjalnej ochoty rozmawiać o szczegółach.

- Warren. To sierżant Zander z policji stanowej. Tom, oto Warren, mój kamerzysta i dźwiękowiec z KOBTV.

Zander stęknął.

- Cześć, sierżancie. Czy to prawda, co mówią federalni? Że jeden z waszych jest zawieszony, ponieważ ostrzegł terrorystów, że FBI chce ich zgarnąć na lotnisku?

- Nie, to nieprawda. Kto wam to powiedział?

- Federalni. - Meisler wzruszył przeprasza ramionami. - Twierdzi pan, że się mylą?

- A mieli kiedykolwiek rację? - zapytał, przywołując uśmiech, gdyż widać było, że Warren żywi pewne podejrzenia.

Wiedział. To było w jego oczach. Udawał tylko, że jest inaczej. Szczur.

- Chce pan udzielić wywiadu na ten temat? - zaproponował Meisler.

Zachowanie Zandera go zdradziło, poza tym to on był negocjatorem, toteż przypuszczalnie właśnie jego zawiesili.

- Nie sądzę. - Zander wstał i sięgnął po rachunek.

- Pan pozwoli, proszę - powiedziała Milliano, przykrywając go dłonią.

- Dzięki.

- Jeżeli będzie pan kiedyś w Nowym Jorku, proszę mnie odwiedzić. - Wręczyła mu wizytówkę.

To ci dopiero, pomyślał. Ona w swoim wymyślnym apartamencie za czternaście milionów dolarów z marmurowymi posadzkami i widokiem na Central Park przyjmuje upadłego eksplinę. Może odbędzie formalną ceremonię: ona będzie wręczać jego żonie breloczek od Tiffany'ego.

- Tak, z przyjemnością.

Wyczuwając podejrzenia Meislera, Milliano zapytała Zandera, czy ma wizytówkę.

- Chyba mam jedną w samochodzie - powiedział, chcąc już stąd wyjść. -

Zaparkowałem na zewnątrz. Pójdę po nią.

W chwili kiedy Tom Zander wyszedł z Cloudcroft Inn, zapalił kolejnego papierosa, mrużąc oczy przed dymem i południowym słońcem, i coś drgnęło mu w duszy - jakby jego serce ogarnął płomień. Otworzył bagażnik taurusa i zobaczył M16A2 kalibru 5,56 leżący na starannie poskładanym ekwipunku. „Ta broń piechoty ma magazynek na trzydzieści pocisków i kosztuje pięćset osiemdziesiąt sześć dolarów”. Podniósł karabin i poczuł, jakby stali się jednym. Dłonie mu drżały, jakby dotknął przewodu pod napięciem, wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie wpakuje paru pocisków w Dolores Milliano.

Siłą przyzwyczajenia sprawdził magazynek, chociaż wiedział, że jest pełny.

Ostatni raz wystrzelił z tego karabinu, aby zabić hodowcę owiec, Nawaha, który

zamordował oficera Billa Sancheza przed ośmioma tygodniami. Trzy strzały z odległości trzydziestu metrów. A potem jeden, w gardło, z bliska. Były osoby, które uważały, że należy przeprowadzić śledztwo, ale w przypadku śmiertelnego postrzelenia policjanta szanse na dochodzenie były małe. Ku własnemu zaskoczeniu drżenie ustąpiło.

Zander zamknął bagażnik taurusa i odwrócił się twarzą do restauracji. Dostrzegł własne odbicie przyciemnianych oknach w obłożonej kamieniem, półokrągłej ścianie i zaskoczył go własny spokój. Spokój i jednocześnie osamotnienie, jakby już znalazł się na marginesie społeczeństwa. Twarz miał tak niewzruszoną, że nie poznał samego siebie. On i karabin stanowili jedność. Myślał teraz spokojnie. Nawet kiedy przygotowywał się do wejścia do Cloudcroft Inn, po części nie wierzył, że chce to zrobić. Wiedział, że to na pewno niczego nie rozwiąże.

Ku własnemu zaskoczeniu usłyszał, jak zaczyna śpiewać. Nie mógł w to uwierzyć, ale rzeczywiście to jego głos, śpiewał, ile w płucach sił. *Kto chce zostać milionerem?* Numer Franka Sinatry z filmu High Society. Podzwaniał mu w głowie jak mantra, od kiedy facet z KOBTV wszedł w tym głupim T-shircie.

Wyobrażał sobie, jak to wejdzie tam z bronią. Teraz, kiedy Zander sobie wyobraził, jak łatwo będzie wejść i to zrobić, chciał tego. To była przecież Ameryka. Ameryka była najlepszym miejscem, jeżeli chciałeś kogoś zastrzelić albo samemu dać się zabić. Co roku ginęło dwadzieścia pięć tysięcy Amerykanów. Wziął się w garść.

- Dzień dobry.

Zander spojrzał w dół i zobaczył dziewczynkę w wieku około ośmiu lat, która stała przed nim.

- Słyszałam, jak pan śpiewa.

Zander usłyszał własne burknięcie.

- Mój tata mówi, że to cyrk. Dla głupców.

- Tak mówi?

Wskazała restaurację.

- On tam jest. Je śniadanie.

- Jak nazywasz?

- Holly Molesworth. Tata mówi, że jest pan bardzo dzielny człowiekiem i że wszyscy mamy wobec pana dług. Za to, że się pan nami zajął. On jest burmistrzem Cloudcroft. - Wskazała szkołę za sobą. - To moja szkoła.

- Lubisz szkołę?

Wzruszyła ramionami.

- Może być. Szkoła jak szkoła.

Wskazała karabin w jego rękach.

- Chce pan kogoś zastrzelić?

Zander spojrział na broń. Z przerażeniem zauważył, że mierzy wprost w nią.

- Nie, nie chcę.

Natychmiast zabezpieczył karabin i opuścił lufę.

- Dlaczego pan płacze?

Z zewnątrz restauracja wyglądała mniej więcej normalnie. Trudno uwierzyć, że ludzie w środku dzielili sekundy od tragedii. W tej chwili bez problemu czternaście osób mogło już nie żyć albo znajdować się w stanie krytycznym. W tym tata Holly, burmistrz. Po prostu kolejny zwykły dzień w Ameryce. Czując mdłości na myśl o tym, do czego jest zdolny, odłożył M16 do bagażnika i wsiadł do samochodu. Dziewczynka pomachała mu, a on kiwnął jej głową. Po ustach rozpełzła mu się gorycz, włączył silnik i wyjechał powoli z Cloudcroft w stronę Alamogordo.

Niemal otumaniony myślą o zabiciu tych wszystkich ludzi, w tym taty Holly, jechał około czterdziestu pięciu minut w dół zbocza, przez pustynię ludzkich zmagają, czyli Alamogordo, obok lotniska, gdzie nawet teraz startowały prywatne odrzutowce, zabierając miliarderów z powrotem do ich domów w całej Ameryce, i na szosę numer 70 w dolinie Tularosa.

Przy drodze pojawił się znak White Sands National Monument. Gdzie może być lepiej? Zjechał z drogi i skierował się w stronę spokoju i ciszy, jaką oferowało największe na świecie złożo gipsu. Turyści musieli płacić za wjazd. Zander mógł pokazać odznakę i wjechać za darmo, ale to oznaczało rozmowę z człowiekiem w kasie. Wręczył więc sześć dolarów i wjechał przez bramę jak każdy inny, Piętnaście kilometrów w górę drogi i znalazł się w samym środku piasków.

Zaparkował obok pustego stołu piknikowego. Nie było wokół ruchu. Temperatura sięgała czterdziestu stopni. Za gorąco dla turystów.

Zander wyłączył silnik i po prostu siedział otumaniony, wciąż myślał o tym, co chciał niedawno zrobić. Nie wysiadał z samochodu. Przez długi czas pozostawał w bezruchu, z głową spuszczoną na piersi. Lecz w końcu otworzył drzwi i ociężale wysiadł. Z nieba lał się popołudniowy żar.

Zostawił wóz i wszedł na zbocze najbliższej wydmy, płosząc pobielałą jaszczurkę, która zygzakiem uciekła przed nim, jakby bała się pistoletu, który trzymał w dłoni. Na

szczycie wydmy zatrzymał się, aby objąć wzrokiem kilometry mialkiego, czystobiałego pyłu, ale nieubłagane słońce i wszechobecny żar świadczyły, że to pył gipsowy, a nie śnieg. Powędrował w dół wydmy na drugą stronę, słaby, wycieńczony, obezwładniony mdłościami.

Poczuł się słabo, ale nie chciał odpoczywać, chciał iść dalej, nie zatrzymywać się, dopóki nie dojdzie do końca. Zsunął się po białej paraboli, a potem wspiął na następną i tak dalej, nie myśląc o niczym. Wspinał się pomimo zmęczenia. Przed nim, oddzielając jasnoblękitne niebo od białych jak śnieg wzgórz, ciągnął się ciemnoszary pas gór San Andres. Szedł niemal bezdźwięcznie.

Parł do przodu, czasami musiał prawie biec, aby poruszać się po osypującym piasku gipsowym. Kilka razy upadł i pragnął leżeć nieruchomo, gdyż czuł zmęczenie. Tyle że to jeszcze nie był koniec, więc zmusił się, by iść dalej, po drodze zrzucił ubranie, wkrótce był nagi, ale w dłoni wciąż trzymał pistolet. Jego spocone ciało pokrył biały pył, tak że musiał wyglądać jak biała jaszczurka, którą widział wcześniej... Parł do przodu w kierunku jaskrawego słońca, chcąc dotrzeć do końca. Miał już dosyć. Ale jeszcze nie odpocznie. Szedł przez kilka kilometrów. Wspiął się na jedną wydmę, potem na drugą. Stracił poczucie kierunku. Raz lub dwa rozejrzał się, szukając własnych śladów, i odkrył, że lekki wiejący wiatr poderwał już cząsteczki gipsu i zakrył ślady niczym dłoń wygładzająca prześcieradło na materacu. Nie odnalazłby drogi do samochodu, nawet gdyby chciał.

Zander stoczył się z dużej wydmy, przez chwilę ciesząc się cieniem, następnie podniósł się i podążył doliną między dwoma wzgórzami. Na szczycie wydmy leżącej przed nim, przypominającej pierś, dostrzegł coś czerwonego. Wspiął się tam i zobaczył, że to pustynna werbena - piękny, różowy kwiat, wyglądający jak kobiecy sutek.

Myśląc o tej mlecznobiałej piersi i różowym sutku, Zander usiadł na piachu. To było odpowiednie miejsce na skończenie ze sobą.

Skuliwszy się pośród różowych kwiatów, zamknął oczy i włożył lufę pistoletu w usta.

*

Bob Clarenco, korzystając z sugestii Errola Laursona i Eliota Massingera, doszedł do wniosku, że na razie dosyć opowiedział FBI, i opuścił Cloudcroft około

dziesiątej w środę rano, wynajmując jednosilnikowy samolot w firmie Ed's Flying Service na lotnisku w Alamogordo. Poleciał do Albuquerque. Stamtąd o 13.26 złapał samolot United Airlines do Denver, gdzie wylądował o 14.40; a potem o 17.00 odleciał do Miami, gdzie miał się znaleźć o 20.46. W swoim pokoju hotelowym w International przy Chopin Plaza obejrzał o północy wydanie wiadomości na CNN i właśnie wtedy dowiedział się o samobójstwie policyjnego negocjatora w Cloudcroft. Natychmiast, gdy Clarenco zobaczył fotografię Zandera, wiedział, że to ten policjant, który stanął w otwartych drzwiach autobusu poprzedniego wieczoru.

Wiele spekulowano na temat przyczyn samobójstwa, ale większość domysłów skupiała się wokół dwóch faktów: Zander został zawieszony w obowiązkach zawodowych, ponieważ FBI zarzucało mu, że ostrzegł porywaczy przed próbą planowanego odbicia zakładników na lotnisku; w wolnym czasie Zander grał na giełdzie i stracił znaczną kwotę pieniędzy podczas paniki, która ogarnęła Wall Street w związku z kryzysem w Cloudcroft.

Clarenco nie miał wątpliwości, że Zander wypowiedział jakieś ostrzeżenie. Wszyscy z przodu autobusu to słyszeli. Ta wiadomość zaskoczyła go i jednocześnie zasmuciła, ale wkrótce doszukał się czegoś pozytywnego w tragicznych wydarzeniach, do których doszło w Cloudcroft. Zander był jedynym policjantem, który widział Eve i mógł ją zidentyfikować. Ponadto przy zainteresowaniu mediów samobójstwem oficera mniej uwagi będzie się poświęcać miejscu pobytu porywaczy. Po wyjeździe wszystkich miliarderów z Nowego Meksyku, w tym Cala Wallenberga, samobójstwo policjanta było gorętszym tematem niż pokojowe zakończenie porwania.

Nie widział sensu rozpamiętywania tragedii. Clarenco nie zastanawiał się, jak wiele innych istnień ludzkich zostało zrujnowanych poprzez jego działania. Powiedział sobie, że takie rzeczy dzieją się w Ameryce. Według tego, co mówiono o Zanderze w telewizji, istniały szanse, że gdyby nie zastrzelił się teraz, to bardzo prawdopodobne, że zrobiłby to innym razem. Zawieszenie w pracy było ostatnią kroplą przepełniającą kielich goryczy.

Clarenco zastanawiał się, czy nie zamówić sobie do towarzystwa paru dziewczyn, które pomogłyby mu w zabawie. Ale położył się i dawno nie spał tak dobrze.

Nazajutrz rano w apartamencie w Hyatt Regency na Seven Mile Beach na Wielkim Kajmanie Eve rozciągnęła się na wielkim, wygodnym łóżku i radośnie zajęczała. Prawie zapomniała, jak to jest spać w łóżku z pościelą, bez ubrania, bez broni i telefonu w ręku. Miała ochotę na gorącą kąpiel, śniadanie i może opalanie na tarasie, zanim Bob Clarenco przyjedzie z Miami w sam czas na lunch. To, że im się udało, wydawało się zbyt piękne, aby było prawdziwe. Oczywiście nikt z nich jeszcze nie dostał zapłaty i pomimo zapewnień Eve, że wszystko zadziała, gdzieś w głowie czaiło się słabe podejrzenie, że wszystko jeszcze może się popsuć; że Bob Clarenco może zostać aresztowany albo może ich oszukać. Zmiana planu w ostatniej chwili i pozostawienie Clarenca wydawało się wówczas dobrym pomysłem i dopiero teraz Eve dostrzegała oczywiste wady. Clarenco nigdy nie był człowiekiem budzącym pełne zaufanie.

Po odnalezieniu wozu transmisyjnego ona i reszta zespołu pojechali przez Sunspot i Timbern lasem po drugiej stronie gór, a później szosą numer 54 na północ od Orogrande. Przekroczyli granicę meksykańską tuż przed drugą w nocy, a o trzeciej trzydziści dojechali na lotnisko w Chichuachua. Tam złapali planowy lot linią Aeromexico do Mexico City; potem wczesnym popołudniem lot do Kingston na Jamajce, a stamtąd o 20.20 rejsowy lot liniami Cayman Airways na Wielki Kajman, gdzie wylądowali na Owen Roberts Airport o 9.15 wieczorem. Lotnisko znajdowało się zaledwie pięć kilometrów od hotelu i po kilku lampkach szampana w barze, przed 11.30 Eve była już w łóżku.

Usiadła i rozglądała się po pokoju zaskoczona, że to wszystko jest jej. Była przyzwyczajona do innych warunków. Teraz po raz pierwszy od miesiąca miodowego zasmakowała prawdziwego luksusu; ale brak Brada, który teraz kombinowałby jak oszukać minibar, stanowił zdecydowaną różnicę. Po raz pierwszy od tygodnia Eve zadzwoniła do matki, która powiedziała jej, że Brad otworzył bar cappucino przy Wall Street i że już został zaskarżony przez jedną z kelnerek o napastowanie.

- Czego się spodziewasz po takim kutasie? - zapytała matka.

Eve powiedziała jej, że przez pewien czas będzie podróżować, ale jak interesy pójdą dobrze, przyśle jej pieniądze.

- Nie potrzebuję pieniędzy - upierała się matka. - Mam dosyć.

Kiedy Eve skończyła rozmawiać, sięgnęła po pilota, włączyła telewizor i przyjemność z szybkiego przebudzenia wyparowała, gdy z przerażeniem i niedowierzaniem oglądała wiadomości CNN.

Nie mogła uwierzyć, że człowiek, z którym przez trzy dni negocjowała, zastrzelił się - jego ciało znaleźli turyści w White Sands National Monument - ale w przeciwieństwie do Boba Clarenca Eve dokuczało sumienie, bo zadawała sobie pytanie, czy jej działania nie doprowadziły do tej tragedii.

W jakim stopniu była odpowiedzialna za to, co się stało? Oczywiście istniał jeszcze „związek przyczynowy”, tak to przynajmniej nazywają prawnicy. Programy informacyjne podawały, że Zander, okazjonalnie grający na giełdzie, stracił aż sto tysięcy dolarów. Sam mniej więcej to jej powiedział. Ilu jeszcze było takich jak on, którzy stracili pieniądze, aby ona i Clarenco mogli zarobić miliony?

Siedziała na łóżku z pobladłą twarzą, myśląc o tych wszystkich rozmowach, które odbyła z Zanderem. Był żonaty. Co myśli jego żona? Co zrobi? Jej życie legło w gruzach. Ich wszystkie plany diabli wzięli. Raporty nie wspominały o dzieciach. Gdyby mieli dzieci, to chyba by o nich wspomniano? Nie przyszło jej do głowy, żeby cieszyć się ze śmierci jedyne go policjanta, który widział jej twarz.

Po chwili poszła do łazienki, unikając własnego wzroku w lustrze, i wzięła zimny prysznic.

- Widzisz? To cena, jaką płacisz za te pieniądze. Będziesz się cieszyć, wydając je, skoro wiesz, co się stało? Nie ma takiej rzeczy jak zbrodnia bez ofiary.

Trochę później rozległo się stukanie do drzwi. To był Bill King.

- Na pewno widziałaś wiadomości - powiedział.

Eve uśmiechnęła się smutno i wzruszyła ramionami.

- Nie zabiliśmy go - rzekł King. - Zapomnij o tym.

Nie podobało jej się to, że przychodzi do niej i mówi takie rzeczy. Chciała, żeby poszedł. Nie chciała teraz być z nimi. Czowała się brudna.

- Nie zabiliśmy go — powtórzył w taki sposób, jakby nie chciał przekonać jej, ale samego siebie.

- Nie, oczywiście, że nie zabiliśmy. - Potrząsnęła głową. - Ale w pewnym sensie lubiłam go.

- Wykonywał swoją pracę. Negocjował. Starał się, żebyś go lubiła. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz na to nic nie poradzimy. Nie wini siebie tylko dlatego, że z nim rozmawiałaś. - King objął ją i przytulił. - Ludzie, którzy zabijają siebie, robią to, ponieważ tacy są. Zapewne pod wpływem innych czynników za jakiś czas i tak by to zrobił.

- Chyba masz rację, Bill. Dziękuję.

Minął ranek i Bob Clarenco przyleciał lotem o 11.30 z Miami. Pozostawał w swoim apartamencie na plaży, na wypadek gdyby ktoś go rozpoznał. Zadzwoił do Eve o pierwszej i kiedy do niego przyszła, był z nim jeszcze jeden mężczyzna, którego Clarenco nie przedstawił, ale który - jak się domyślała - musiał być jego partnerem z Chicago.

Mężczyzna wręczył jej plik papierów, kartę kredytową z National Bank w Belize na jej nowe nazwisko, nowy paszport, kilka czeków podróжных i nieco gotówki. Kiedy przeglądali dokumenty, dotarło do niej, że chodzi o sumę dwudziestu milionów dolarów, która już w momencie ich rozmowy jest transferowana elektronicznie do banku w Belize.

- Gdzie do diabła jest Belize? - zapytała.

- Na półwyspie Yucatan - odparł Clarenco. - Między Meksykiem a Gwatemalą. Oczekują tam ciebie za kilka dni. Sporządziliśmy listę wyjątkowo szacownych doradców inwestycyjnych, z którymi możesz się spotkać. Osobiście radziłbym zostawić główny kapitał tam, gdzie jest, i umówić się z innymi bankami na całym świecie co do możliwości wyciągania pieniędzy.

Eve milczała.

- Zdaje się, że chciałaś podróżować. Zobaczyć trochę świata.

- Czy pozostali też dostali pieniądze?

- Oczywiście.

- O co pytało cię FBI?

- Sporo o ciebie. I firmę cateringową. I moją nieumiejętność weryfikacji. - Uśmiechnął się i zapalił cygaro. - Nie sądzę, żeby Wallenberg mnie zaskarżył.

- Dwadzieścia milionów to więcej, niż się spodziewałam.

- Jest trochę więcej, w ten sposób wyrażam swoją wdzięczność. Spisałaś się kapitalnie. Niewiele brakowało do tragedii, ale dzięki tobie odnieśliśmy sukces. No i nie muszę zniknąć. Nie muszę zmieniać twarzy. Dużo ci zawdzięczam. Bez ciebie nie dalibyśmy rady.

Nie mówił nic o samobójstwie Zandera. Zamiast tego uśmiechnął się po swojemu, zapalił cygaro, popił szampana i od czasu do czasu zerkał na ocean, jakby nie mógł się już doczekać powrotu do Nowego Jorku.

- Jak czujesz się jako bogata osoba? - zapytał. - Muszę przyznać, że nie wyglądasz na uszczęśliwioną.

Eve uśmiechnęła się cierpko. Czy nie zamierzał nawet wspomnieć o samobójstwie Zandera?

Przez chwilę wszyscy troje stali w milczeniu.

- Nie wiem. Inaczej, niż się spodziewałam. Jakoś normalnie. Wiem tylko, że nie tak miałam się czuć.

Bob Clarenco zaśmiał się cynicznie i wypuścił chmurę dymu z cygara w stronę morza.

- Ale tak to właśnie jest, gdy jest się bogatym. - Ciągłe chichocząc, z cygarem w zębach, nalał im obojgu więcej szampana. - Cóż, skarbie, teraz wiesz. Jedyne problem, który pieniądze rozwiązują, to brak pieniędzy. Wszystko inne pozostaje bez zmian.

*

Nowoczesny budynek w kształcie książki z cegieł w kolorze miodu mieścił sąd okręgu Bernalillo, był tak jaskrawy w porannym świetle, że wyglądał, jakby odbijał blask eksplozji jądrowej, a Janine Zander rzadko wychodziła z niego przed lunchem, nie musząc chronić oczu okularami przeciwsłonecznymi. Teraz na dodatek musiała jeszcze przed otoczeniem ukrywać swoją tragedię. To był jej pierwszy dzień z powrotem w pracy po śmierci Toma. Wyszła z sądu przez ciężkie drzwi ze zbrojonego szkła i skierowała się na południe, w stronę Civic Plaza. Zgodnie z projektem Plaza miała być sercem Albuquerque, ale wyglądała raczej, jakby to serce wymyśliła maszyna, albo jeszcze gorzej, architekt. W budynku banku Compass naprzeciw Convention Center wjechała windą na szóste piętro, gdzie mieściły się biura Stryver & Carton, kancelarii radców prawnych. Janine nie miała pojęcia, dlaczego zaproszono ją tutaj na rozmowę. Nigdy dotąd nie słyszała o Stryverze i Cartonie.

Neal Stryver był małym, łysym mężczyzną o szurzej twarzy, noszącym niemodny, szeroki krawat. Szybko przeszedł do sedna sprawy, informując ją, że ktoś - nie miał prawa wyjawiać tożsamości tej osoby - zlecił jego firmie przekazanie pani Zander sumy dwóch milionów dolarów; oraz że firma Stryvera pozostawała do jej dyspozycji w kwestii tego, jak zamierza te pieniądze zainwestować.

- To jakiś żart - powiedziała Janine, zdejmując okulary. Nie jestem w nastroju...

- Zapewniam panią, że to nie żart - powiedział Stryver. - Dwa miliony dolarów leży teraz w depozycie na pani nazwisko w Pierwszym Banku Stanowym. Mam za zadanie poinformować o tym panią i żałuję, że nie mogę powiedzieć niczego więcej. Zaproponuję pani dobrych doradców inwestycyjnych.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego? - Stryver uniósł ręce. - Tego mi nie wyjaśniono, pani Zander. Jednakże gdybym mógł pozwolić sobie na spekulacje, zasugerowałbym, że te pieniądze zostały wypłacone pani jako rekompensata za tragiczną stratę. Może... i znowu jest to zaledwie spekulacja... pani darczyńca jest jednym z miliarderów, których zwolnienie pani świętej pamięci mąż próbował wynegocjować bezpośrednio przed swoją nieszczęśliwą śmiercią.

Janinę skinęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała.

- Tak właśnie mówią ludzie w podobnych okolicznościach.

- Dwa miliony?

- Dwa miliony. - Mówiąc to, wręczył jej list ze szczegółami depozytu w Pierwszym Banku Stanowym.

Janine wyciągnęła chusteczkę i osuszyła oczy.

- Żeby Tom żył, aby mógł to zobaczyć - zaszlochała.

Stryver z powagą pokiwał głową, uznając, że może niestosownie będzie nadmienić, że gdyby mąż pani Zander żył, to raczej nie rozmawiałaby teraz w biurze Stryver & Carton o sumie dwóch milionów dolarów

- On zawsze chciał zostać milionerem.

*

W Galleria degli Uffizi we Florencji dobrze ubrana, atrakcyjna, najwyraźniej zamożna Amerykanka spacerowała po różnych salach w towarzystwie przewodnika, przystojnego, młodego studenta o imieniu Luca. Kobieta mówiła bardzo mało i rzadko zadawała pytania po włosku, ale najwyraźniej wizyta tutaj sprawiała jej przyjemność i doceniała szczegółowe wyjaśnienia Luki na temat najrozmaitszych obrazów. Najwyraźniej doceniała jego znanstwo bardziej, niż on się tego spodziewał, bo gdy zwiedzanie dobiegło końca, do opłaty, którą już wniosła, dołożyła mu dwa banknoty o nominale pięciuset euro. A kiedy wróciła taksówką do hotelu - Villa San Michele obok Fiesole, zdecydowanie najznakomitszego we Florencji - przypomniał sobie, że dwa obrazy podobały się jej o wiele bardziej niż innym zwiedzającym; jednak nie były to malowidła, które zazwyczaj przyciągały szczególną uwagę klientów - malowidła takie jak Wenus Botticellego, Zwiastowanie Leonarda da Vinci albo Święta

Rodzina Michała Anioła. Żaden artysta - Francesco Salviati ani Piero Benci, zwany del Pollaiuolo - nie należał do gwiazd, mówiąc oględnie, i Luca nagle zaciekawiony tymi dwoma obrazami - żaden klient nigdy nie dał mu napiwku trzykrotnie większego od honorarium - wrócił do galerii, aby jeszcze raz na nie popatrzeć.

Żaden z obrazów nie uderzył go nawet jako najlepsza praca danego artysty. *Portret Galeazzo Marii Sforzy* Piera del Pollaiuola był zdecydowanie lepszym obrazem niż ten, który spodobał się Amerykance; natomiast trudno było spojrzeć ponownie na Salvatiego, zważywszy na to, że wisiał obok *Jana Chrzciciela* Rafaela. Dopiero po dłuższej chwili Lucas zauważył, co oba obrazy mają coś wspólnego. Oba były zatytułowane *Miłosierdzie*.